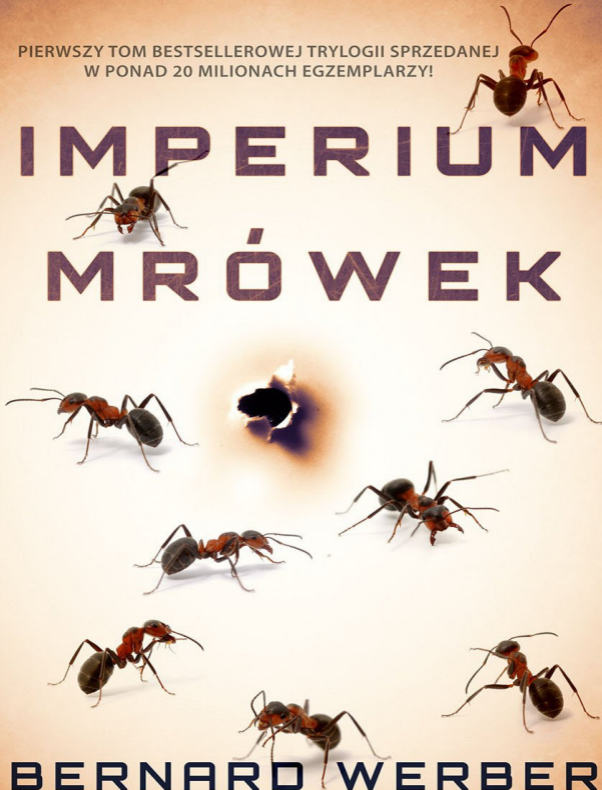


PIERWSZY TOM BESTSELLEROWEJ TRYLOGII SPRZEDANEJ
W PONAD 20 MILIONACH EGZEMPLARZY!

IMPERIUM MRÓWEK



BERNARD WERBER



BERNARD WERBER

IMPERIUM
MRÓWEK

Z języka francuskiego przełożyła
Marta Olszewska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
LES FOURMIS

Copyright © Editions Albin Michel S.A.- Paris 1991.

Published by arrangement with Literary Agency "Agence de l'Est"

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Konsultacja: Mariusz Januszewski

Korekta: Barbara Meisner

ISBN: 978-83-7999-403-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[1. Przebudzenie](#)

[2. Coraz niżej](#)

[3. Trzy odyseje](#)

[4. Kres podróży](#)

[Słownik](#)

1

PRZEBUDZENIE

– Zobaczycie coś zupełnie innego niż to, czego się spodziewacie.

Notariusz wyjaśnił, że budynek został zaklasyfikowany jako zabytek i że mieszkali w nim mędrzy epoki Renesansu, już nie pamiętał, kto dokładnie.

Zeszli schodami kończącymi się ciemnym korytarzem, w którym notariusz najpierw długo szukał, a potem na próżno włączał przycisk, nim wreszcie rzucił:

– A niech to! Nie działa.

Po omacku przedzierali się w ciemnościach. Gdy notariusz znalazł w końcu drzwi, otworzył je i – tym razem owocnie – nacisnął przełącznik światła, zobaczył, że jego klient zmienił się na twarzy.

– Coś nie tak, panie Wells?

– Mam taką fobię. Nic wielkiego.

– Lęk przed ciemnością?

– Właśnie. Ale już mi lepiej.

Obeszli pomieszczenie. Była to suterena o powierzchni dwustu metrów kwadratowych. Mimo że na zewnątrz wychodziły jedynie nieliczne okienka piwniczne, niskie i umieszczone tuż przy suficie, mieszkanie spodobało się Jonatanowi. Wszystkie ściany były jednolicie szare, wszędzie mnóstwo kurzu. Ale nie zamierzał narzekać.

Jego obecne mieszkanie stanowiło jedną piątą tego. Poza tym nie miał już środków, żeby opłacać czynsz; firma ślusarska, w której pracował, ostatnio postanowiła zrezygnować z jego usług.

Ten spadek po wuju Edmundzie był naprawdę nie lada gratką.

Dwa dni później urządzał się przy ulicy Sybarytów 3 ze swoją żoną Lucie, synem Nicolasem i psem Ouarzazate, krótkowłosa miniaturką pudła.

– Te szare ściany całkiem mi się podobają – oznajmiła Lucie, upinając gęste rude włosy. – Będziemy mogli urządzić się tu, jak nam się spodoba. Wszystko jest do przerobienia. To zupełnie, jakby zamienić więzienie na hotel.

– Gdzie będzie mój pokój? – spytał Nicolas.

– W głębi, po prawej.

Pies zaszczekał i zaczął podgryzać łydki Lucie, nie zważając na fakt, że trzyma ona w rękach swoją ślubną zastawę. Został więc zamknięty w toalecie na klucz, gdyż doskakując aż do klamki, potrafił otworzyć sobie drzwi.

– Znałeś dobrze tego marnotrawnego wuja? – podjęła Lucie.

– Edmunda? Właściwie pamiętam tylko, że kiedy byłem mały, bawił się ze mną w samolot.

Raz tak się przestraszyłem, że aż się na niego zsiusiałem.

Roześmiali się.

– Już wtedy miewałeś pietra, co? – drażniła się z nim Lucie.

Jonatan udął, że nie słyszy.

– Nie miał mi tego za złe. Powiedział tylko do mojej mamy: „Dobra, wiemy już, że pilotem to on nie będzie...” Później mama mówiła, że śledził uważnie moje życie, ale nigdy więcej go nie widziałem.

– Czym się zajmował?

– Był naukowcem. Biologiem chyba.

Jonatan zamyślił się. Właściwie prawie nie znał swojego dobroczyńcy.

6 km stamtąd:

BEL-O-KAN

1 metr wysokości

50 pięter pod ziemią

50 pięter nad ziemią

Największe miasto regionu

Szacunkowa populacja: 18 milionów mieszkańców.

Roczna produkcja:

– 50 litrów spadzi z mszyc.

– 10 litrów spadzi z koszenili.

– 4 kilogramy grzybków.

– Wydalony żwir: 1 tona.

– Kilometry drożnych korytarzy: 120.

Powierzchnia: 2 m.

Przedarł się promień. Poruszyła się nóżka. Pierwszy ruch od czasu wejścia w hibernację przed trzema miesiącami. Inna nóżka wysuwa się powoli, jest zakończona pazurami, które rozchylają

się po trochu. Trzecia nóżka rozprostowuje się. Potem klatka piersiowa. Potem cała istota. I wreszcie dwanaście istot.

Drżą, aby w sieci tętnic przyspieszyć krążenie przezroczystej krwi. Ta powoli przechodzi ze stanu przypominającego gęstością likieru w stan rzadszy. Serce powoli znowu zaczyna pracować. Wstrzykuje życiodajny płyn aż po końce odnóży. Procesy biologiczne odzyskują pełną wydajność. Obracają się ultraskomplikowane stawy. Kończyny próbują skrócić się do granic możliwości.

Wstają. Pracuje już ich układ oddechowy. Poruszają się nieskładnie. Taniec w zwolnionym tempie. Lekko otrząsają się, wzdrygają. Składają odnóża tuż przy wargach, jak do modlitwy, ale nie, to tylko zwilżone pazurki mają nadać połysek czułkom.

Dwanaście już rozbudzonych istot naciera się wzajemnie. Następnie próbują obudzić sąsiadów. Mają jednak zaledwie tyle sił, by poruszyć własne ciała, nie mają energii do oddania. Rezygnują.

Z trudem przemieszczają się więc między zmienionymi w posągi ciałami swych siostr. Kierują się na wielkie Zewnątrz. Ich zmiennocieplne organizmy muszą pozyskać energię od gwiazdy dnia.

Prą do przodu, wyczerpane. Każdy krok sprawia ból. Mają taką ochotę ponownie położyć się i trwać w spokoju jak miliony ich współtowarzyszy! Ale nie. Obudziły się pierwsze. Muszą teraz przywrócić do życia całą populację.

Przechodzą przez skórę miasta. Światło słoneczne je oślepia, ale kontakt z czystą energią jest tak pokrzepiający.

*Słońce przenika nasze szkielety,
Porusza obolałe mięśnie,
Jednocy rozdzielone myśli.*

To stara pieśń rudych mrówek z setnego tysiąclecia. Już w tamtych czasach przy pierwszym kontakcie z ciepłem miały ochotę śpiewać w myśli.

Znalazłszy się na zewnątrz, zaczynają metodyczne mycie. Wydzielają białą ślinę i pokrywają nią szczęki i odnóża. Czyszczą się. To niezmienny rytuał. Najpierw oczy. Tysiąc trzysta maleńkich okienek składających się na każde ze sferycznych oczu jest oczyszczanych z kurzu, zwilżanych, osuszanych. To samo z czułkami, kończynami przednimi, środkowymi i tylnymi. Na koniec polerują piękne rude pancerze, aż te lśnią jak ogniste krople.

Pośród dwunastu rozbudzonych mrówek jest jeden samiec reproduktor, nieco mniejszy niż reszta populacji belokanijskiej. Ma wąskie szczęki i zaprogramowane życie nie dłuższe niż kilka miesięcy, obdarzony jest jednak wieloma atutami nieznanymi jego rodakom.

Pierwszy przywilej kasty: jako osobnik obdarzony organami płciowymi ma pięcioro oczu. Dwoje wielkich gąłkowatych, dających pole widzenia 180°, ponadto troje małych oczek ułożonych w trójkąt na czole. Te dodatkowe oczy są w rzeczywistości wykrywaczami podczerwieni, które pozwalają na rozpoznanie z daleka każdego źródła ciepła, nawet w kompletnych ciemnościach. Ta cecha okazuje się wyjątkowo cenna, gdyż większość mieszkańców w tym stutysięcznym tysiącleciu całkowicie oslepla na skutek spędzania całego życia pod ziemią.

Ale to nie jedyna osobliwość samca. Ma on również (podobnie jak samice) skrzydła, które pozwolą mu pewnego dnia na miłosny lot. Tułów chroniony jest specjalnym pancerzem: mesotonum. Czułki są dłuższe i bardziej wrażliwe niż u innych mieszkańców. Ten młody samiec reproduktor zostaje dłuższy czas na kopule mrowiska, chłonąc słońce. Wraca do miasta na jakiś czas, ale dopiero gdy się dobrze rozgrzeje – tam tworzy się kasta mrówek-kurierów termicznych.

Kraży po korytarzach trzeciego podziemnego piętra. Tutaj wszyscy jeszcze głęboko śpią. Lodowate ciała są zastygłe w bezruchu. Czułki opuszczone.

Mrówki jeszcze śnią.

Młody samiec wysuwa nóżkę ku robotnicy, którą chce obudzić ciepłem swojego ciała. Wilgotny kontakt wywołuje przyjemne wyładowanie elektryczne.

Po drugim dzwonku dało się słyszeć drobne kroki. Drzwi uchyliły się najpierw, gdy babcia Augusta odblokowywała łańcuch, a potem otwarły na całą szerokość.

Od śmierci swych dwojga dzieci żyła zamknięta w trzydziestu metrach kwadratowych, przesiewając w pamięci wspomnienia dawnych czasów. To na pewno nie było dla niej dobre, ale w żaden sposób nie zmieniło jej miłego charakteru.

– Wiem, że to śmieszne, ale włóż pantofle. Wypastowałam parkiet.

Jonatan usłuchał prośby. Babcia podreptała przed nim, kierując się do salonu pełnego mebli w pokrowcach. Siadając na brzegu dużej kanapy, Jonatan bezskutecznie próbował nie dopuścić do skrzywienia plastikowego pokrowca.

– Tak się cieszę, że przyszedłeś... Wierz mi, miałam zamiar zadzwonić do ciebie w tych dniach.

– Tak?

– Wyobraź sobie, że Edmund zostawił coś dla ciebie. List. Powiedział: jeśli umrę, musisz to koniecznie przekazać Jonatanowi.

– List?

– List, tak... Hmm... już nie pamiętam, gdzie go położyłam. Poczekaj sekundę... Daje mi list, mówię mu, że go schowam, wkładam go do pudełka. To musi być jedno z blaszanych pudełek w dużej szafie.

Rusza w swych pantoflach, lecz zatrzymuje się przy trzecim posuwistym kroku.

– Ależ jestem głupia! Jakże ja cię przyjmuję! Wypijesz małą herbatkę ziołową?

– Bardzo chętnie.

Zniknęła w kuchni i zaczęła przestawiać garnki.

– Powiedz, co tam u ciebie, Jonatanie! – rzuciła.

– No więc nie najlepiej. Zostałem zwolniony z pracy.

Babcia wysunęła na chwilę przez drzwi swoją mysią głowę, później ukazała się cała, z poważną miną, owinięta w długi niebieski fartuch.

– Zwolnili cię?

– Tak.

– Dlaczego?

– Wiesz, ślusarze to specyficzne środowisko. Nasza firma „SOS Ślusarz” działa dwadzieścia cztery godziny na dobę we wszystkich dzielnicach Paryża. A odkąd jeden z moich kolegów został napadnięty, odmówiłem chodzenia nocą po podejrzanych dzielnicach. Więc mnie wywalili.

– Słusznie zrobiłeś. Lepiej być bezrobotnym i zdrowym niż odwrotnie.

– Poza tym nie najlepiej układało mi się z szefem.

– A twoje doświadczenia dotyczące utopijnych społeczeństw? Za moich czasów nazywało się to społeczeństwem New Age. (Roześmiała się ukradkiem, „nju ejdż” wymawiała w charakterystyczny sposób).

– Zrezygnowałem z tego po porażce z fermą w Pirenejach. Lucie miała już dosyć gotowania i zmywania dla wszystkich. Pośród nas były pasożyty. Pokłóciliśmy się. Teraz mieszkam tylko z Lucie i Nicolasem... A ty, babciu, jak się miewasz?

– Ja? Egzystuję. To już wypełnia każdą chwilę.

– Szczęściara! Przeżyłaś wejście w nowe tysiąclecie...

– Och! Wiesz, najbardziej uderza mnie to, że nic się nie zmieniło. Dawniej, gdy byłam młodziutka, mówiło się, że w nowym tysiącleciu zdarzą się rzeczy niesamowite, a widzisz, nic się takiego nie stało. Nadal starcy żyją w samotności, nadal są bezrobotni i spaliny samochodów. Nawet pomysły nie ruszyły z miejsca. Popatrz, w zeszłym roku na nowo odkryto surrealizm, rok wcześniej rock and roll, a na lato prasa już zapowiada wielki powrót minispódniczek. Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo powrócą idee z początku zeszłego wieku: komunizm, psychoanaliza i teoria względności...

Jonatan uśmiechnął się.

– Jest jednak jakiś postęp: wzrosła średnia długość życia człowieka, podobnie jak i liczba rozwodów, zanieczyszczenie powietrza, długość linii metra...

– Wielkie mi rzeczy. Ja wierzyłam, że będziemy mieć swoje osobiste samoloty i że będziemy

startować z balkonów... Wiesz, gdy byłam młoda, ludzie bali się wojny atomowej. To był potworny strach. Umrzeć w wieku stu lat w ogniu wielkiego nuklearnego grzyba, zginąć razem z planetą... to, trzeba przyznać, niezłe brzmiało. Zamiast tego umrę jak stary zgniły ziemniak. I wszyscy będą to mieli gdzieś.

– Ależ nie, babciu, wcale nie.

Otarła czoło.

– I na dodatek jest gorąco, ciągle za gorąco. Za moich czasów tak nie było. Mieliśmy prawdziwe zimy i prawdziwe lata. Teraz upały zaczynają się w marcu.

Ruszyła w stronę kuchni, chwytając z niezwykłą zręcznością wszystkie akcesoria niezbędne do przygotowania prawdziwej dobrej herbatki ziołowej. Kiedy potarła zapalkę i zasumiał gaz w starych rurach kuchenki, wróciła odprężona.

– A tak właściwie, musiałeś tu przyjść w jakimś konkretnym celu. W dzisiejszych czasach nie przychodzi się odwiedzać starych ludzi ot tak, bez powodu.

– Nie bądź cyniczna, babciu.

– Nie jestem cyniczna, wiem, w jakim świecie żyję, i tyle. Dobrze, dosyć krygowania się, powiedz, co cię sprowadza.

– Chciałbym, żebyś mi opowiedziała o nim. Zostawił mi swoje mieszkanie, a ja nawet go nie znam...

– Edmund? Nie pamiętasz Edmunda? A przecież lubił ci robić „samolot”, jak byłeś mały. Pamiętam nawet, że kiedyś...

– Tak, to akurat też pamiętam... ale poza tą anegdotą mam pustkę w głowie.

Usiadła w głębokim fotelu, uważając, by zanadto nie zgnieść pokrowca.

– Edmund był kimś. Jeszcze jako całkiem młody człowiek twój wuj przysparzał mi wielu zmartwień. Bycie jego matką nie było łatwe. Na przykład systematycznie psuł wszystkie zabawki, żeby je rozłożyć na części, rzadziej, żeby je złożyć. I żeby niszczył tylko zabawki! Rozbierał wszystko: zegar, adapter, elektryczną szczoteczkę do zębów. Raz nawet rozłożył na części lodówkę.

Jakby dla potwierdzenia jej słów, antyczny zegar z wahadłem zaczął bić ponuro. Ten też przeszedł swoje przez małego Edmunda.

– Miał jeszcze innego bzika: kryjówki. Przewracał cały dom do góry nogami, żeby je budować. Jedną zrobił na strychu z kołder i parasoli, inną z krzesel i futer w swoim pokoju. Lubił tak siedzieć ukryty pośród skarbów, które gromadził. Zajrzałam kiedyś do środka, miał tam pełno poduszek i mnóstwo mechanicznych urządzeń wyciągniętych z różnych staroci. Swoją drogą było tam całkiem przytulnie.

– Wszystkie dzieci tak robią.

– Może, ale u niego to przybierało zadziwiającą skalę. Przestał się już kłaść do łóżka, mógł zasnąć tylko w którymś ze swoich domków. Siedział tam niekiedy całymi dniami w bezruchu. Jakby w hibernacji. Twoja mama twierdziła zresztą, że w poprzednim życiu musiał być wiewiórką.

Jonatan uśmiechnął się, zachęcając babcię do dalszej opowieści.

– Któregoś dnia zbudował sobie domek pod stołem w salonie. I tym razem przebrał miarkę, twój dziadek wybuchnął zupełnie wyjątkową wściekłością. Sprawił mu lanie, zniszczył wszystkie kryjówki i zmusił go do spania w łóżku.

Westchnęła.

– Od tego dnia straciliśmy z nim kontakt. Zupełnie jakbyśmy przecięli pępowinę. Przestaliśmy być częścią jego świata. Ale myślę, że to było konieczne, musiał zrozumieć, że świat nie będzie wiecznie podporządkowywał się jego kaprysom. Później, w miarę jak rósł, rodziły się kolejne problemy. Nie znosił szkoły. Znowu mi powiesz: „Jak wszystkie dzieci”. Ale u niego to przybrało większe rozmiary. Dużo znasz dzieci, które wieszają się na pasku w toalecie, bo pokłócili się z nauczycielem? On się powiesił w wieku siedmiu lat. Woźny go zdjął.

– Może był zbyt wrażliwy?

– Wrażliwy?! Chyba żartujesz! Rok później próbował zadźgać nożyczkami jednego ze swoich nauczycieli. Celował w serce. Na szczęście zniszczył tylko papierosnicę.

Wzniosła oczy ku górze. Rozproszone wspomnienia opadały na jej myśli jak płatki śniegu.

– Potem się trochę poprawiło, bo niektórym profesorom udawało się go czymś zainteresować. Miał szóstkę z przedmiotów, którymi się pasjonował, i jedynki ze wszystkich innych. Zawsze szóstkę albo jedynki.

– Mama mówiła, że był genialny.

– Fascynował twoją matkę, bo tłumaczył jej, że próbuje osiąść „wiedzę absolutną”. A ona już w wieku dziesięciu lat wierzyła w poprzednie wcielenia, myślała, że jej brat jest wcieleniem Einsteina albo Leonarda da Vinci.

– Oprócz tego, że wiewiórką?

– Czemu nie? Budda powiedział: „Trzeba wielu egzystencji, żeby stworzyć duszę...”.

– Robił testy na inteligencję?

– Tak. Poszło mu bardzo źle. Dostał dwadzieścia trzy punkty na sto osiemdziesiąt, co odpowiada poziomowi lekkiego idioty. Wychowawcy uważali, że jest szalony i że trzeba go zamknąć w specjalnym ośrodku. Ja jednak wiedziałam, że się mylą. Żył po prostu obok. Pamiętam, jak raz – musiał mieć ledwie jedenaście lat – rzucił mi wyzwanie, żeby ułożyć cztery trójkąty równoboczne jedynie z sześciu zapalek. To nielatte, sam spróbuj...

Wyszła do kuchni, rzuciła okiem na czajnik i przyniosła sześć zapalek. Jonatan zawahał się. To

wydawało się do zrobienia. Układał sześć patyczków na różne sposoby, ale po paru minutach musiał zrezygnować.

– Jakie jest rozwiązanie?

Babcia Augusta skupiła się.

– No więc, właściwie to nigdy mi go nie wyjawił. Pamiętam tylko zdanie, które rzucił i które miało mi pomóc je znaleźć: „Trzeba myśleć inaczej, jeśli się myśli zwyczajnie, nie dojdzie się do niczego”. Wyobrażasz sobie, jedenastoletni brzdąc wyjeżdża z takimi rzeczami! O! Chyba czajnik już gwiżdże. Woda się zagotowała.

Wróciła z dwiema filiżankami wypełnionymi żółtawym, bardzo aromatycznym płynem.

– Wiesz, cieszę się, że interesujesz się wujem. Teraz ludzie umierają i zapominają się nawet, że kiedykolwiek się urodzili.

Jonatan porzucił zapałki i wypił ostrożnie kilka łyków herbatki.

– A co działo się później?

– Nie wiem. Kiedy zaczął studia na uniwersytecie, przestaliśmy dostawać wieści od niego. Dowiedziałam się od twojej matki, że błyskawicznie zrobił doktorat, że pracował dla firmy produkującej artykuły spożywcze, zostawił pracę, żeby wyjechać do Afryki, aż wreszcie wrócił i zamieszkał na ulicy Sybarytów, a od tego czasu nikt więcej nic już o nim nie słyszał aż do jego śmierci.

– Jak umarł?

– Ach! Nie wiesz? Niesamowita historia. Pisali o tym we wszystkich gazetach. Wyobraź sobie, że został zabity przez osy.

– Osy? Jak to?

– Spacerował po lesie. Musiał potrącić niechący ich gniazdo. Cały rój rzucił się na niego. Lekarz sądowy oświadczył, że nigdy nie widział tylu ukłuć na jednej osobie. Edmund zmarł, mając we krwi 0,3 grama jadu na litr! To pierwszy taki przypadek.

– Ma grób?

– Nie. Prosił, żeby go pochować pod sosną w lesie.

– Masz jego zdjęcie?

– Popatrz tu, na tej ścianie nad komodą. Po prawej Suzy, twoja matka, widziałeś ją kiedyś w tak młodym wieku? Po lewej Edmund.

Miał wysokie czoło, małe szpiczaste wąsiki, uszy bez płatków jak Kafka, umieszczone wysoko, ponad linią brwi. Uśmiechał się psotnie. Prawdziwe półdiabły.

Obok niego Suzy wyglądająca olśniewająco w białej sukni. Kilka lat później wyszła za mąż, lecz na zawsze zachowała swoje rodowe nazwisko Wells. Jakby nie chciała, żeby jej towarzysz zostawił ślad swojego nazwiska na ich potomstwie.

Podszedłszy bliżej, Jonatan dostrzegł, że Edmund trzyma dwa palce nad głową siostry.

– Był figlarzem, prawda?

Augusta nie odpowiedziała. Kiedy spojrzała na promienną twarz córki, jej spojrzenie przyćmił smutek. Suzy zmarła sześć lat temu. Ciężarówka prowadzona przez pijanego kierowcę zepchnęła jej samochód do wąwozu. Agonia trwała dwa dni. Suzy wzywała Edmunda, ale on nie przyszedł. Znowu był gdzie indziej...

– Znasz jeszcze kogoś, kto mógłby mi opowiedzieć o Edmundzie?

– Hmm... Miał przyjaciela z dzieciństwa. Byli nawet razem na uniwersytecie. Jason Bragel. Chyba mam jego numer.

Augusta sprawdziła szybko w komputerze i dała Jonatanowi adres przyjaciela. Spojrzała czule na wnuka. Ostatni z rodziny Wellsów. Dobry chłopak.

– No, skończ pić, wystygnie. Mam też ciasteczka, jeśli chcesz. Sama je robię z przepiórczych jaj.

– Nie, dziękuję, muszę już iść. Wpadnij kiedyś zobaczyć nasze nowe mieszkanie, skończyliśmy się już urządzać.

– Bardzo chętnie, ale czekaj, nie wychodź bez listu.

Przeszukawszy pracownice głęboką szafę i metalowe pudełka, znalazła wreszcie białą kopertę, na której napisano drżącą ręką: „Dla Jonatana Wellsa”. Zamknięcie koperty było zabezpieczone kilkoma warstwami taśmy klejącej, aby zapobiec otwarciu nie w porę. Rozerwał ją ostrożnie. Ze środka wypadła wygnieciona karteczka, jakby wyrwana z uczniowskiego zeszytu. Przeczytał jedyne napisane na niej zdanie:

NIGDY NIE SCHODZIĆ DO PIWNICY!

Czułki drżą. Mrówka jest jak samochód, który długo stał pod śniegiem i który teraz ktoś stara się uruchomić. Samiec próbuje wielokrotnie. Naciera ją. Smaruje ciepłą śliną.

Życie. Udało się, silnik zaczyna działać. Minęła jedna pora roku. Wszystko rozpoczyna się od nowa, jak gdyby nigdy nie zaznało się tej „małej śmierci”.

Trze ją jeszcze, aby przekazać energię. Teraz jest jej dobrze. Kiedy on nadal się szamocze, ona kieruje ku niemu swoje czułki. Łaskocze go. Chce wiedzieć, kim jest.

Dotyka pierwszego członu, poczynając od czaszki i odczytuje jego wiek: sto siedemdziesiąt trzy dni. Na drugim segmencie ślepa robotnica odczytuje kastę: samiec reproduktor. Na trzecim – rasę i miasto: rudnica, leśna mrówka pochodząca z miasta matki Bel-o-kan. Na czwartym, odkrywa numer zniesionego jaja, który mu służy za imię: jest 327. samcem zniesionym od początku jesieni.

Na tym kończy zapachową analizę. Pozostałe człony nic nie emitują. Piąty służy do

wylapywania cząsteczek-śladów. Szósty jest używany do zwykłych rozmów. Siódmy pozwala na złożone dialogi o charakterze seksualnym. Ósmy przeznaczony jest do dialogów z Matką. Trzy ostatnie wreszcie pełnią rolę małych biczyków.

Oto zbadała czułkiem wszystkie jedenaście segmentów. Ale nie ma nic do powiedzenia. Odsuwa się więc i idzie rozgrzać się na dach Miasta.

On czyni to samo. Zakończył pracę jako kurier ciepła, teraz kolej na posiłek!

Na górze samiec 327 ocenia szkody. Miasto zostało zbudowane w kształcie stożka, aby stawiać czoło niesprzyjającej pogodzie, mimo to zima okazała się niszczycielska. Wiatr, śnieg i grad oderwały pierwszą warstwę gałązek. Ptasi nawóz zatkał niektóre wejścia. Trzeba szybko zacząć działać. 327 pędzi w kierunku dużej żółtej plamy i uderza żuwaczką twardą, cuchnącą materię. Z drugiej strony pojawia się już sylwetka innego owada, który kopie od wewnątrz.

Na judasza w drzwiach padł cień. Ktoś patrzył przez niego.

– Kto tam?

– Moje nazwisko Gougne... Do oprawy.

Drzwi uchylily się. Pan Gougne spojrzal w dół na dziesięcioletniego chłopca o blond włosach, potem jeszcze niżej, na maleńkiego psa, który warczał, wysuwając nos spomiędzy nóg chłopca.

– Taty nie ma!

– Jesteś pewien? Profesor Wells miał do mnie wpaść i...

– Profesor Wells jest wujem mojego ojca. Ale nie żyje.

Nicolas chciał zamknąć drzwi, ale mężczyzna zablokował je nogą, nie dając za wygraną.

– Moje kondolencje. Ale jesteś pewien, że nie zostawił gdzieś grubej teczki z papierami? Jestem introligatorem. Zapłacił mi z góry, żebym oprowił jego notatki w skórę. Chciał chyba napisać encyklopedię. Miał wpaść do mnie, ale od dawna nie miałem od niego wieści...

– Mówię przecież, że zmarł.

Mężczyzna wsunął nogę jeszcze bardziej, odpychając drzwi, jakby chciał wejść, i odrzucił chłopca. Miniaturowy piesek zaczął wściekle ujadać. Intruz znieruchomiał.

– Zrozum, czułbym się źle, gdybym nie mógł dotrzymać obietnicy, nawet pośmiertnie. Proszę, sprawdź. Musi tu gdzieś być duży czerwony segregator.

– Encyklopedia, powiada pan?

– Tak, nazywał to *Encyklopedią wiedzy względnej i absolutnej*, ale zdziwiłbym się, gdyby to było napisane na okładce...

– Znaleźlibyśmy ją, gdyby była u nas.

– Przepraszam, że nalegam, ale...

Pudel znowu zaczął szczeekać. Mężczyzna nieco się cofnął, pozwalając chłopcu na zatrzaśnięcie mu drzwi przed nosem.

Miasto jest już rozbudzone. Korytarze zapełniają się mrówkami-kurierami termicznymi, które śpieszą się, by ogrzać całą Federację. Mimo to na niektórych skrzyżowaniach spotyka się jeszcze nieruchome obywatelki. Na próżno kurierzy potrząsają nimi i popychają je. Nie ruszają się.

Już się nie poruszają. Nie żyją. Hibernacja okazała się dla nich zabójcza. Pozostawanie trzy miesiące praktycznie bez bicia serca musi wiązać się z jakimś ryzykiem. Nie cierpią. Przeszły ze snu w śmierć podczas nagłego przeciągu, który ogarnął Miasto. Ich zwłoki zostały usunięte i wyrzucone na śmietnisko. Każdego ranka Miasto usuwa w ten sposób swoje martwe szczątki oraz inne odpadki.

Po wysprzątaniu arterii komunikacyjnych owadzie miasto zaczyna pulsować. Wszędzie śpieszą nóżki. Szczęki kopią. Czułki drgają informacjami. Wszystko rusza jak dawniej. Jak przed znieczulającą zimą.

Kiedy samiec 327 ciągnie gałązkę ważącą z pewnością sześćdziesiąt razy więcej od niego, zbliża się do niego wojownicza licząca ponad pięćset dni. Klepie go po czaszce biczykiem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Samiec podnosi głowę. Wojownicza przykłada swoje czułki do jego.

Chce, żeby porzucił pracę nad naprawą dachu i wyruszył z grupą mrówek... na wyprawę łowiecką.

Dotyka jego warg i oczu.

Jaka wyprawa łowiecka?

Tamta daje mu do powąchania strzęp dość suchego mięsa, które trzyma w zgięciu stawu swojego tułowia.

Podobno znaleziono to tuż przed zimą w zachodnim sektorze 23° kąta w stosunku do słońca w południe.

Próbuje. To ewidentnie chrząszcz. Rynnica, bez wątpienia. Dziwne. Normalnie chrząszcze powinny być jeszcze w stanie hibernacji. Jak wiadomo, mrówki rudnice budzą się przy temperaturze powietrza 12°C, termity przy 13°C, muchy przy 14°C, a chrząszcze przy 15°C.

Stara wojownicza nie daje się przekonać tym argumentem. Tłumaczy mu, że ten kawałek mięsa pochodzi z przedziwnego regionu, sztucznie ogrzewanego przez podziemne źródło. Tam nie ma zimy. To mikroklimat, gdzie wytworzyła się specyficzna fauna i flora. Poza tym miasto Federacji jest zawsze bardzo głodne po przebudzeniu. Potrzebuje szybko protein, żeby zacząć ponownie działać. Ciepło nie wystarcza.

Samiec zgadza się.

Ekspedycja składa się z dwudziestu ośmiu mrówek z kasty wojowniczek. Większość z nich, podobnie jak inicjatorka wyprawy, to bezpłciowe starsze damy. Samiec 327 jest jedynym uczestnikiem obdarzonym narządami płciowymi. Z oddali obserwuje swoje towarzyszki przez siatkę oczną.

Tysiącami małych powierzchni mrówki nie widzą obrazów powielonych tysiące razy, lecz raczej jeden obraz poszatkowany. Owady te mają trudności z rozróżnianiem szczegółów. W zamian za to zauważają najmniejszy ruch.

Uczestniczki tej wyprawy sprawiają wrażenie zaprawionych w dalekich podróżach. Ich ciężkie odwłoki przepelnione są kwasem. Głowy potężnie uzbrojone. Pancerze porysowane ciosami żuwaczek, otrzymanymi w bojach.

Od wielu godzin idą prosto przed siebie. Mijają wiele miast Federacji, wznoszących się ku niebu lub mieszczących się pod drzewami. Miasta-córki dynastii Ni: Yodu-lou-baikan (największy producent zbóż); Giou-li-aikan (którego legiony morderczyń pokonały dwa lata wcześniej koalicją termitów z Południa); Zedi-bei-nakan (słynne ze swych laboratoriów chemicznych produkujących niezwykle stężone kwasy bojowe); Li-viu-kan (którego alkohol z koszenili ma bardzo poszukiwany smak żywicy).

Mrówki rudnice organizują się bowiem nie tylko w obrębie miasta, lecz także w koalicje gniazd. Siła w jedności. W okresie jurajskim istniały federacje mrówek liczące 15 000 mrowisk zajmujących powierzchnię 80 hektarów, o populacji przekraczającej 200 milionów osobników.

Bel-o-kan daleko jeszcze do takiej potęgi. To młoda federacja, założona pięć tysięcy lat temu. Jak głosi lokalna mitologia, osiadła tu podobno córka zagubiona podczas straszliwej burzy. Nie mogąc dołączyć do własnej federacji, założyła Bel-o-kan, a z Bel-o-kan narodziła się Federacja i setki pokoleń tworzących ją królowych z dynastii Ni.

Imię pierwszej królowej brzmiało Belo-kiu-kiuni, co oznacza „zagubiona mrówka”. Odtąd wszystkie królowe zajmujące główne gniazdo przejmowały jej imię.

Na razie Bel-o-kan stworzyło jedynie wielkie miasto centralne i sześćdziesiąt cztery zjednoczone miasta-córki, rozrzucone w jego otoczeniu. Ale już stanowi wielką siłę polityczną w tym zakątku Lasu Fontainebleau.

Kiedy wyprawa minęła sojusznicze miasta, a konkretnie La-chola-kan, belokanijskie miasto wysunięte najbardziej na zachód, stanęła przed małymi kopczykami: to letnie gniazda lub wysunięte posterunki. Są jeszcze puste. Ale 327 wie, że wkrótce, kiedy zaczną się polowania i wojny, letnie gniazda zapełnią się wojowniczkami.

Nadal idą prosto. Schodzą na rozległą turkusową łąkę i pagórek porośnięty ostami. Opuścili terytorium polowań. W dali, na północy, można dostrzec już miasto wroga, Shi-gae-pou. Ale jego mieszkanki zapewne jeszcze śpią o tej porze.

Idą dalej. Wokół nich większość zwierząt pogrążona jest jeszcze w zimowym śnie. Kilka rannych ptaszków wychyla głowę z nerek. Gdy tylko widzą rude zbroje, chowają się, przestraszone. Mrówki nie cieszą się sławą szczególnie towarzyskich. Zwłaszcza gdy tak maszerują uzbrojone aż po czułki.

Ekspedycja dotarła do granic poznanych ziem. Nie ma już żadnego miasta-córki. Ani najmniejszego posterunku na horyzoncie. Ani ścieżki wyżłobionej przez ostre nóżki. Zaledwie kilka nieznacznych śladów dawnych tras zapachowych, które wskazują na to, że kiedyś przeszły tędy jakieś Belokanijki.

Wahają się. Liście wznoszące się przed nimi nie są zapisane w żadnej karcie węchowej. Tworzą ciemny strop, przez który nie dociera słońce. Ta masa roślinności naznaczona gdziegdzie obecnością zwierząt wydaje się je pochłaniać.

Jak ich przestrzec, że nie mogą tam schodzić?

Odwiesił kurtkę i ucałował rodzinę.

– Rozpakowaliście już wszystko?

– Tak, tato.

– Dobrze. A właśnie, widzieliście w kuchni? W głębi są drzwi.

– Chciałam ci o tym powiedzieć – rzekła Lucie. – To musi być piwnica. Próbowałam ją otworzyć, ale jest zamknięta na klucz. Z tego, co widać przez szparę, musi być głęboka. Trzeba by wylać zamek. Na coś się przyda mój mąż ślusarz.

Uśmiechnęła się i wtuliła w jego ramiona. Lucie i Jonatan żyli razem już trzynaście lat. Spotkali się w metrze. Pewnego dnia jakiś włóczęga z nudów wrzucił bombę łzawiącą do wagonu. Wszyscy pasażerowie padli natychmiast na ziemię, kaszląc i krztusząc się. Lucie i Jonatan upadli jedno na drugie. Kiedy doszli do siebie po ataku kaszlu i łzawienia, Jonatan zaproponował, że ją odprowadzi. Potem zaprosił ją do jednej ze swoich pierwszych utopijnych wspólnot: rudery w Paryżu, przy Gare du Nord. Trzy miesiące później postanowili się pobrać.

– Nie.

– Jak to „nie”?

– Nie wylamiemy zamka i nie będziemy korzystać z tej piwnicy. Nie mówmy o tym więcej. Nie należy się do niej zbliżać ani myśleć o jej otwieraniu.

– Żartujesz! Dlaczego?

Jonatan nie pomyślał o logicznym wytłumaczeniu zakazu dotyczącego piwnicy. Niechący wywołał efekt przeciwny do zamierzonego. Jego żona i syn byli zaintrygowani. Co mógł teraz zrobić? Wytłumaczyć, że wuj dobroczyńca żył otoczony tajemnicą i że chciał ich ostrzec przed niebezpieczeństwem, którym może grozić zejście do piwnicy?

To nie było wytłumaczenie. W najlepszym wypadku przesąd. Jako osoby logicznie myślące Lucie i Nicolas nie dadzą się przekonać.

– Notariusz mnie przestrzegł – wykrztusił.

– Przed czym?

– Ta piwnica jest pełna szczerów!

– Feee! Szczury? Ale przecież one przejdą przez szczelinę – zaprotestował chłopiec.

– Nie przejmujcie się, wszystko zatkamy.

Jonatan był zadowolony z wywołanego efektu. Co za szczęście, że przyszedł mu do głowy ten pomysł ze szczurami.

– Dobrze, więc nikt się nie zbliża do piwnicy, zgoda?

Ruszył do łazienki. Lucie dołączyła do niego.

– Byłeś u babci?

– Tak jest.

– Zajęło ci to całe przedpołudnie?

– Tak.

– Nie możesz się tak włóczyć i marnotrawić czasu. Pamiętaj, co mówiłeś innym na fermie w Pirenejach: „Lenistwo matką wszystkich wad”. Musisz znaleźć inną pracę. Kończą nam się pieniądze!

– Odziedziczyliśmy właśnie dwustumetrowe mieszkanie w eleganckiej dzielnicy, na skraju lasu, a ty mi mówisz o pracy! Nie umiesz się cieszyć chwilą?

Chciał ją objąć, ale się cofnęła.

– Tak, umiem, ale umiem również myśleć o przyszłości. Ja nie mam nic, ty jesteś bezrobotny, za co będziemy żyć za rok?

– Mamy jeszcze oszczędności.

– Nie bądź niemądry, mamy jeszcze za co przetrwać kilka miesięcy, ale potem...

Oparła swoje małe pięści na biodrach i wysunęła pierś do przodu.

– Słuchaj Jonatanie, straciłeś pracę, bo nie chciałeś chodzić wieczorami po niebezpiecznych dzielnicach. Zgoda, rozumiem to, ale musisz znaleźć coś innego!

– Oczywiście, poszukam roboty, pozwól mi tylko trochę się rozerwać. Obiecuję, że niedługo, powiedzmy za miesiąc, dam ogłoszenie.

W drzwiach pojawiła się blond główka, a za nią pudel na czterech łapkach. Nicolas i Ouarzazate.

– Tato, był tu jakiś pan, żeby oprawić książkę.

– Książkę? Jaką książkę?

– Nie wiem, mówił coś o wielkiej encyklopedii napisanej przez wuja Edmunda.

– No proszę, coś takiego... Wszedł? Znaleźliście ją?

– Nie sprawiał miłego wrażenia, a poza tym i tak nie ma żadnej książki.

– Brawo, synu. Dobrze postąpiłeś.

Ta wiadomość zakłopotła Jonatana, potem zaintrygowała. Przeszukał obszerną suterенę, na próżno. Spędził potem sporo czasu w kuchni, badając drzwi od piwnicy, wielki zamek i szeroką

szparę. Cóż za tajemnica kryła się za nimi?

Trzeba zanurzyć się w te zarośla.

Sugestia rzucona przez jedną z najstarszych uczestniczek wyprawy. Ustawić się w szyku „wąż z wielką głową” to najlepszy sposób na przemieszczanie się po nieprzyjaznym terenie. Jednomyślnie podjęły decyzję.

Z przodu pięć zwiadowczyń ustawionych w odwrócony trójkąt stanowi oczy grupy. Małymi równymi krokami wymacują ziemię, węszą, badają mchy. Jeśli wszystko jest w porządku, rzucają wiadomość zapachową, która oznacza: „Z przodu wolne!”. Wracają następnie na koniec procesji, a na ich miejscu stają nowe osobniki. Ten system rotacyjny przemienia grupę w rodzaj długiego zwierza, którego „nos” jest niezmiennie wyjątkowo czujny.

„Z przodu wolne!” rozbrzmiewa ze dwadzieścia razy. Dwudziesty pierwszy raz jest przerwany przez obrzydliwe mlaśnięcie. Jedna ze zwiadowczyń przez nieostrożność zbliżyła się do mięsożernej rośliny. Mucholówka. Skusił ją oszałamiający aromat, lep zniewolił odnoża.

Wszystko już stracone. Kontakt z włoskami powoduje uruchomienie mechanizmu zawiasu organicznego. Dwa szerokie liście zamykają się nieuchronnie. Długie frędzle służą za zęby. Krzyżując się, zamieniają się w mocne kraty. Drapieżna roślina zgniata ofiarę, po czym wydziela żarłoczne enzymy, zdolne strawić najtrwalsze pancerze. Tak stapia się mrówka. Całe jej ciało zmienia się we wzburzony sok. Puszczą parę, wołając o pomoc. Ale nie można jej pomóc. To nieuchronny element wszystkich dalekich ekspedycji. Pozostaje tylko zostawić przy pułapce sygnał „Uwaga, niebezpieczeństwo!”.

Ruszają znowu zapachowym szlakiem, zapominając o incydencie. Feromony wskazują drogę. Przeszedłszy przez gęstwinę, mrówki idą dalej na zachód. Ciągłe kąt 23° w stosunku do promieni słonecznych. Odpoczywają nieco, gdy robi się zbyt zimno lub zbyt gorąco. Muszą się śpieszyć, żeby wrócić przed wybuchem wojny. Zdarzało się już, że uczestniczki wyprawy stwierdzały po powrocie, że ich miasto jest otoczone przez wrogie oddziały, a niełatwo było przedrzeć się przez blokadę.

Udało się, znalazły feromon-ślad, który wskazuje wejście do jaskini. Od nagrzonej gleby bije ciepło. Zagłębiają się w kamienistą ziemię. Im głębiej schodzą, tym wyraźniej słyszą plusk strumyka. To źródło ciepłej wody. Paruje, wydzielając mocny zapach siarki.

Mrówki gaszą pragnienie.

W pewnym momencie zauważają dziwne zwierzę: coś w rodzaju kulki na nóżkach. W rzeczywistości to żuk gnojowy, pchający kulę z nawozu krowiego i piasku, w której ukrył swoje jaja. Jak legendarny Atlas dźwiga swój „świat”. Gdy nachylenie terenu jest korzystne, kula toczy się sama, a on podąża za nią. Jeśli jest niesprzyjające, kula ześlizguje się i zdyszany żuk często musi po nią wracać na dół. Spotkanie z chrząszczem jest w tym miejscu niespodzianką. To

raczej zwierzę z ciepłych regionów...

Belokanijki pozwalają mu przejść. Tak czy owak jego mięso nie jest zbyt smaczne, a ciężar pancerza czyni go trudnym do przeniesienia.

Po ich lewej stronie przebiega czarna sylwetka, aby się schować we wgłębieniu skały. Skorek. Ten z kolei jest pyszny. Najstarsza z uczestniczek ekspedycji jest najszybsza. Podciąga odwłok aż pod szyję, ustawia się w pozycji do strzału, wspierając się na tylnych nóżkach dla zachowania równowagi, celuje instynktownie, wystrzeliwuje z dużej odległości kroplę kwasu mrówczego. Żrący czterdziestoprocentowy skoncentrowany płyn przecina powietrze.

Trafiony.

Skorek ginie w biegu. Czterdziestoprocentowy kwas to nie żarty. Już przy czterdziestu promilach ma niezłą moc, a przy czterdziestu procentach wręcz powala! Owad pada, wszystkie mrówki rzucają się, by pożreć spalone ciało. Jesienna ekspedycja zostawiła dobre feromony. Ten obszar wydaje się obfitować w zwierzynę. Polowanie będzie udane.

Schodzą do studni artezyjskiej i terroryzują wszystkie podziemne gatunki dotychczas im nieznanne. Nietoperz próbuje zakończyć ich wizytę, ale zmuszają go do ucieczki, pokrywając go mgłą kwasu mrówkowego.

W ciągu kolejnych dni nadal dokonują grabieży w cieplej jaskini, gromadząc szczątki małych białych zwierzątek i resztki jasnozielonych grzybów. Gruczołem odbytu sięją feromony-ślady, które powinny tu bez przeszkód doprowadzić ich siostry na polowanie.

Misja się powiodła. Terytorium sięgnęło aż tutaj, poza zachodnią gęstwinię. Objuczone zapasami żywności, ruszają w drogę powrotną, zostawiwszy chemiczną flagę Federacji. Jej zapach dźwięczy w powietrzu: BEL-O-KAN!

– Może pan powtórzyć nazwisko?

– Wells, jestem siostrzeńcem Edmunda Wellsa.

W drzwiach ukazała się niemal dwumetrowa postać mężczyzny.

– Pan Jason Bragel...? Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym porozmawiać z panem o moim wuju. Nie znałem go, a moja babcia powiedziała mi, że był pan jego najlepszym przyjacielem.

– Proszę wejść... Co chciałby pan wiedzieć o Edmundzie?

– Wszystko. Nie znałem go i bardzo tego żałuję.

– Hmm. Rozumiem. Rzeczywiście Edmund był raczej tajemniczym człowiekiem.

– Znał go pan dobrze?

– Któż może twierdzić, że zna kogokolwiek? Powiedzmy, że często zdążyliśmy tą samą drogą i żaden z nas nie miał nic przeciwko temu.

– Jak doszło do waszego spotkania?

– Na wydziale biologii. Ja pracowałem nad roślinami, a on nad bakteriami.

– Znowu dwa równoległe światy.

– Tak, chociaż mój jest jednak bardziej dziki – poprawił Jason Bragel, wskazując na gęstwinę zielonych roślin, które opanowały jego jadalnię. – Widzi pan? Wszystkie konkurują ze sobą, gotowe są zabić dla promienia światła albo dla kropli wody. Gdy tylko jakiś liść znajdzie się w cieniu, roślina porzuca go i sąsiednie liście bardziej się rozprzestrzeniają. Rośliny to naprawdę bezlitosny świat...

– A bakterie Edmunda?

– On sam twierdził, że właściwie bada swoich przodków. Powiedzmy, że nieco bardziej zgłębiał swoje drzewo genealogiczne...

– Dlaczego bakterie? Dlaczego nie małpy albo ryby?

– Chciał zrozumieć komórkę w jej pierwotnym stadium. Według niego człowiek to tylko konglomerat komórek, trzeba zrozumieć w pełni „psychologię” jednej komórki, żeby pojąć działanie całości. „Duży złożony problem to w rzeczywistości zbiór małych prostych problemów”. Wziął tę sentencję dosłownie.

– Badał tylko bakterie?

– Nie, nie. Miał w sobie coś z mistyka, lubił uogólniać, chciał wszystko wiedzieć. Miał też swoje zachcianki... Na przykład, żeby decydować o biciu własnego serca.

– Ależ to niemożliwe!

– Podobno niektórzy jogini hinduscy i tybetańscy są zdolni do takiego wyczynu.

– Czemu to miałyby służyć?

– Nie mam pojęcia. Chciał opanować tę sztukę, żeby móc popełnić samobójstwo, zatrzymując serce siłą woli. Miał nadzieję, że dzięki temu będzie mógł „wyjść z gry” w dowolnym momencie.

– W jakim celu?

– Może bał się bólu związanego ze starością.

– Hmm... A co robił po doktoracie z biologii?

– Zaczął pracować w sektorze prywatnym, w przedsiębiorstwie produkującym żywe kultury bakterii do jogurtów. „Sweetmilk Corporation”. Dobrze mu się układało. Odkrył bakterię, która potrafiła wykształcić nie tylko smak, ale i zapach! Otrzymał za to nagrodę za najlepszy wynalazek 1963 roku...

– A potem?

– A potem ożenił się z Chinką. Ling Mi. Łagodną, wesolą dziewczyną. On, sam zrzęda, natychmiast złagodniał. Był bardzo zakochany. Od tego momentu rzadko go widywałem. To normalne.

– Słyszałem, że wyjechał do Afryki.

– Tak, ale wyjechał już potem.

– To znaczy kiedy?

– Po tragedii. Ling Mi miała białaczkę. Rak krwi jest bezlitosny. W trzy miesiące życie ją opuściło. Biedak... on, który jawnie głosił, że komórki są pasjonujące, a istoty ludzkie małej wagi... to była okrutna lekcja. Nic nie mógł zrobić. Kiedy rozgrywała się ta tragedia, miał kilka konfliktów ze współpracownikami ze „Sweetmilk Corporation”. Rzucił pracę i siedział przygnębiony w mieszkaniu. Ling Mi dała mu wiarę w ludzkość, jej utrata pogрузzyła go ponownie w mizantropii.

– Wyjechał do Afryki, żeby zapomnieć o Ling Mi?

– Może. W każdym razie chciał zabić ranę, poświęcając się całkowicie pracy biologa. Musiał znaleźć sobie inną pasję. Nie wiem dokładnie, co to było, w każdym razie już nie bakterie. Osiadł w Afryce, bo prawdopodobnie ów przedmiot badań łatwiej było tam analizować. Wysłał mi kartkę, w której tłumaczył tylko, że jest z grupą z Centrum Badań Naukowych i pracuje z jakimś profesorem Rosenfeldem. Nie znam tego człowieka.

– Widział pan jeszcze później Edmunda?

– Tak, kiedyś przypadkiem na Polach Elizejskich. Porozmawialiśmy chwilę. Zdecydowanie odzyskał chęć życia. Ale był bardzo enigmatyczny, unikał odpowiedzi na moje pytania dotyczące jego pracy.

– Podobno pisał encyklopedię.

– O, to jeszcze dawniejsza historia. To była jego wielka idea. Zebrać całą wiedzę w jednym dziele.

– Widział ją pan?

– Nie. I nie sądzę, żeby ją kiedykolwiek komuś pokazał. O ile znam Edmunda, musiał ją schować w dzikich ostępach Alaski i powierzyć zięjącemu ogniem smokowi. Miał osobowość „wielkiego czarnoksiężnika”.

Jonatan zbierał się już do wyjścia.

– A! Jeszcze jedno pytanie: wie pan, jak ułożyć cztery trójkąty równoboczne z sześciu zapalek?

– Oczywiście. To był jego ulubiony test na inteligencję.

– Więc jakie jest rozwiązanie?

Jason wybuchnął śmiechem.

– No, z pewnością go panu nie podam! Jak mawiał Edmund: „Każdy musi sam znaleźć swoje przejście”. A zobaczy pan, satysfakcja z odkrycia jest dziesięciokrotnie większa.

Z całym tym mięsem na grzbiecie droga wydaje się dłuższa niż w tamtą stronę. Grupa podąża dziarskim krokiem, aby nie dać się zaskoczyć surowej nocy.

Mrówki są w stanie pracować 24 godziny na dobę od marca do listopada bez najmniejszego

odpoczynku; każdy jednak spadek temperatury je usypia. Dlatego dość rzadko widuje się ekspedycje wyruszające na dłużej niż jeden dzień.

Miasto rudych mrówek przez długi czas borykało się z tym problemem. Wiedziały, że ważne jest rozszerzanie terenów łowieckich i poznawanie dalekich krain, gdzie rosną inne rośliny, gdzie żyją zwierzęta o innych zwyczajach.

W osiemset pięćdziesiątym tysiącleciu Bi-stin-ga, ruda królowa z dynastii Ga (dynastia ze Wschodu, wygasa przed stu tysięcy laty) miała szaloną ambicję, żeby poznać krańce świata. Wysłała setki ekspedycji w czterech głównych kierunkach. Żadna z nich nie wróciła.

Obecna królowa, Belo-kiu-kiuni, nie była taka zachłanna. Jej ciekawość ograniczała się do badania małych złocistych chrząszczy, przypominających szlachetne kamienie, a występujących na dalekim Południu, lub kontemplacji mięsożernych roślin, czasami sprowadzanych dla niej żywych, z korzeniami, w nadziei, że uda się je kiedyś oswoić.

Belo-kiu-kiuni wiedziała, że najlepszym sposobem na poznanie nowych terytoriów jest powiększenie Federacji. Coraz więcej dalekosiężnych ekspedycji, miast-córek, wysuniętych posterunków i wojny z tymi, którzy chcieliby przeszkodzić w tej ekspansji.

Podbój całego świata na pewno potrwa długo, ale ta polityka wytrwałych małych kroczków była całkowicie zgodna z ogólną filozofią mrówek. „Powoli, ale zawsze do przodu”.

Dzisiaj federacja Bel-o-kan liczy sześćdziesiąt cztery miasta-córki. Sześćdziesiąt cztery miasta o tym samym zapachu. Sześćdziesiąt cztery miasta połączone siecią 125 kilometrów wydrążonych szlaków i 780 kilometrów szlaków zapachowych. Sześćdziesiąt cztery miasta solidarne tak w walkach, jak i w czasie głodu.

Taka koncepcja federacji miast pozwala niektórym z nich na wyspecjalizowanie się. A Belo-kiu-kiuni marzyła nawet o tym, żeby kiedyś jedno miasto obrabiało jedynie zboża, drugie zaopatrywało w mięso, a trzecie zajmowało się wojną.

Daleko jeszcze do tego.

Była to w każdym razie koncepcja w pełni zgodna z inną ogólną zasadą filozofii mrówek: „Przyszłość należy do specjalistów”.

Ekspedycja ma jeszcze daleką drogę do wysuniętych posterunków. Przyspieszają kroku. Kiedy przechodzą obok mięsożernej rośliny, jedna z wojowniczek proponuje, żeby ją wykopać z korzeniami i zanieść Belo-kiu-kiuni.

Narada czułek. Dyskutują, emitując i odbierając maleńkie lotne cząstki zapachowe. Feromony. Właściwie hormony, którym udaje się opuścić ciało. Można by przedstawić każdą z tych cząstek jako akwarium, w którym każda rybka byłaby słowem.

Dzięki tym feromonom mrówki mogą prowadzić dowolnie skomplikowane dialogi. Sądząc po nerwowych ruchach czułek, debata musi być burzliwa.

Zajmuje zbyt dużo miejsca.

Matka nie zna tego gatunku rośliny.

Ryzykujemy straty, a to oznacza mniej rąk do niesienia zdobyczy.

Gdy oswoimy mięsożerne rośliny, będą one stanowiły broń, będziemy tworzyć fronty, sadząc je jedną przy drugiej.

Jesteśmy zmęczone i zapada noc.

Postanowiły zrezygnować, ominęły roślinę i podążyły dalej. Kiedy zbliżyły się do kwiecistych zarośli, samiec 327, trzymający się z tyłu, zauważył czerwoną stokrotkę. Nigdy nie widział takiego okazu. Nie ma co się wahać.

Nie mamy rosiczki, ale przyniesiemy to.

Pozwala reszcie się oddalić i odcina ostrożnie łodygę kwiatu. Klik. Następnie ściskając mocno swoją zdobycz, przyspiesza, by dogonić towarzyszkę.

Ale towarzyszek już nie ma. Bez wątplenia ma przed sobą ekspedycję numer jeden tego roku, ale w jakim stanie... Szok emocjonalny. Stres. Nóżki 327 zaczynają drżeć. Wszystkie towarzyszki leżą martwe.

Cóż się mogło wydarzyć? Atak musiał być błyskawiczny. Nie miały nawet czasu, żeby ustawić się w szyku bojowym, pozostały w formacji „wąż z wielką głową”.

327 analizuje ciała. Nie wystrzelono żadnego strumienia kwasu. Mrówki rudnice nie miały nawet czasu wydać feromonów na alarm.

Samiec prowadzi śledztwo.

Przeszukuje czułkami zwłoki jednej z siostr. Kontakt węchowy. Nie zarejestrowano żadnego obrazu chemicznego. Szły i nagle cios.

Trzeba zrozumieć, trzeba zrozumieć. Musi być jakieś wytłumaczenie. Najpierw wyczyścić narząd czucia. Za pomocą dwóch pazurków przedniej nóżki skrobie czułki, usuwając kwaśną pianę powstałą na skutek stresu. Podnosi je do warg i oblizuje. Wyciera o szczotkę kolca przemyślnie umieszczonego przez naturę u góry trzeciego łokcia.

Później opuszcza czyste czułki do poziomu oczu i uruchamia łagodnie wibracje: 300 razy na sekundę. Nic. Przyspiesza ruchy: 500, 1000, 2000, 5000, 8000 wibracji na sekundę. Jest o dwie trzecie od granicy swoich możliwości odbioru.

Nagle docierają doń najmniejsze fluidy utrzymujące się w pobliżu: opary rosy, pyłki, zarodniki i lekki zapach, który już kiedyś poczuł, lecz z którego zidentyfikowaniem ma trudności.

Przyspiesza jeszcze. Maksymalna moc: 12 000 wibracji na sekundę. Kręcąc się we wszystkie strony, czułki wywołują małe wiry powietrzne, które ściągają ku niemu najmniejsze drobinki.

Udało się: zidentyfikował delikatny zapach. To zapach winnych. Tak, to mogą być tylko one, bezlitosne sąsiadki z Północy, które przysporzyły już tylu kłopotów w zeszłym roku.

One: karłowate mrówki z Shi-gae-pou...

A więc już się obudziły, one również. Musiały urządzić zasadzkę i użyć nowej piorunującej broni.

Nie ma chwili do stracenia, musi zaalarmować całą Federację.

„– Zabił je promień lasera o bardzo silnej częstotliwości, kapitanie.

– Promień lasera?

– Tak, nowa broń zdolna na odległość roztopić największy z naszych statków. Kapitanie...

– Myślisz, że to są...

– Tak, kapitanie, tylko Wenusjanie mogliby zrobić coś takiego. To jasne!

– W takim razie odwet będzie straszliwy. Ile zostało nam rakiet stacjonujących w Pasie Oriona?

– Cztery, kapitanie.

– To nie wystarczy, trzeba by poprosić o pomoc brygady...”

– Chcesz jeszcze zupy?

– Nie, dziękuję – powiedział Nicolas kompletnie zahipnotyzowany obrazkami.

– No, popatrz trochę na to, co jesz albo wyłączamy telewizor.

– O! Mamo, proszę cię...

– Nie masz jeszcze dość tych historii o małych zielonych ludzikach i planetach o nazwach jak proszki do prania? – spytał Jonatan.

– To mnie interesuje. Jestem pewny, że pewnego dnia spotkamy istoty pozaziemskie.

– Okaże się... Tyle czasu już się o tym mówi!

– Wysłali sondę ku najbliższej gwiazdzie, nazywa się Marco Polo, niedługo się dowiemy, kim są nasi sąsiedzi.

– Nie uda się jej, jak wszystkim innym sondom wysłanym tylko po to, żeby zaśmiecać przestrzeń. To za daleko, mówię ci.

– Może, ale kto mówi, że to nie oni, kosmici, przyjdą do nas? W końcu nie wyjaśniono świadectw obecności UFO.

– A czemu niby miałyby służyć nasze spotkanie z innymi inteligentnymi istotami? Skończyłoby się to zapewne wojną. Nie uważasz, że i tak jest już zbyt dużo problemów między nami Ziemiąkami?

– To byłyby egzotyczne. Mielibyśmy może nowe miejsca na wakacje.

– To byłyby przede wszystkim nowe kłopoty.

Wziął Nicolasa pod brodę.

– Zobaczysz, mój chłopcze, zobaczysz, jak będziesz większy, będziesz myślał jak ja: jedynym naprawdę pasjonującym stworzeniem, którego inteligencja jest inna niż nasza, jest... kobieta!

Lucie zaprotestowała dla zasady. Roześmiali się oboje. Nicolas zasępił się. To musi być właśnie to poczucie humoru dorosłych... Sięgnął ręką w poszukiwaniu uspokajającej sierści psa.

Nie było go pod stołem.

– Gdzie zniknął Ouarzazate?

Nie było go w jadalni.

– Ouarzi! Ouarzi!

Nicolas zagwizdał na palcach. Zazwyczaj efekt był natychmiastowy: słychać było szczekanie, a potem odgłos biegnących łap. Gwizdnął znowu. Bez rezultatu. Przeszukał liczne zakamarki w mieszkaniu. Rodzice dołączyli do niego. Psa nigdzie nie było. Drzwi były zamknięte, nie mógł sam wyjść, psy nie potrafią jeszcze używać kluczy.

Odruchowo skierowali się do kuchni, a dokładniej ku drzwiom do piwnicy. Szpara nadal nie była zatkana. A była wystarczająco szeroka, żeby mogło przejść zwierzę wielkości Ouarzazate'a.

– Jest w środku, jestem pewien, że jest w środku! – jęknął Nicolas. – Trzeba po niego iść.

Jakby w odpowiedzi dało się słyszeć skomlenie dochodzące z piwnicy. Zdawało się jednak, że dobiega z bardzo daleka.

Wszyscy zbliżyli się do zakazanych drzwi. Jonatan zaprotestował.

– Powiedziałem wyraźnie: nie schodzimy do piwnicy!

– Ależ, kochanie – zaprotestowała Lucie – przecież trzeba po niego iść. Może zaatakowały go szczury. Mówiłeś, że tam są szczury...

Twarz Jonatana była zacięta.

– Trudno. Jutro pójdziemy kupić innego psa.

Dzieciak był oszołomiony.

– Ale tato, ja nie chcę innego, Ouarzazate to mój kumpel, nie możesz pozwolić mu tak zdechnąć.

– Co się z tobą dzieje? – dodała Lucie. – Pozwól mi iść, jeśli się boisz!

– Boisz się tato, jesteś tchórzem?

Jonatan już nie mógł się dłużej opierać, mruknął „dobra, rzucę okiem” i poszedł po latarkę. Oświetlił szczelinę. Było czarno, kompletnie czarno, czernią, która wszystko pochłania.

Zadrzał. Korciło go, żeby uciec. Ale żona i syn pchali go w kierunku przepaści. Opadły go ponure myśli. Strach przed ciemnością brał górę.

Nicolas wybuchnął płaczem.

– On nie żyje! Jestem pewien, że nie żyje! To twoja wina.

– Może jest ranny – uspokajała go Lucie. – Trzeba iść zobaczyć.

Jonatan pomyślał jeszcze raz o przestrodze Edmunda. List brzmiał kategorycznie. Ale cóż zrobić? Pewnego dnia któreś z nich zapewne nie wytrzyma i pójdzie zobaczyć. Musiał wziąć byka

za rogi. Teraz albo nigdy. Przejechał ręką po wilgotnym czole.

Nie, tak nie może być. Miał nareszcie okazję, żeby przeciwstawić się strachom, zrobić krok do przodu, stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Ciemność chce go dopaść? Tym lepiej. Był gotów iść na całość. Zresztą nie miał nic do stracenia.

– Idę.

Przyniósł swoje narzędzia i wyważył zamek.

– Cokolwiek się stanie, nie ruszajcie się stąd, i przede wszystkim nie próbujcie do mnie dołączyć lub dzwonić na policję. Czekać na mnie!

– O czym ty mówisz? Przecież to tylko piwnica, piwnica jak we wszystkich domach.

– Nie jestem taki pewien...

Oświetlany przez pomarańczową tarczę zachodzącego słońca samiec 327, jedyny ocalały z pierwszego polowania wiosennego, biegnie sam. Nieznośnie sam. Jego nóżki od dawna brodzą w kałużach, błocie, spleśniałych liściach. Wiatr wysuszył mu wargi. Kurz pokrył ciało powłoką w kolorze bursztynu. 327 nie czuje już mięśni. Kilka pazurów ma złamanych.

Ale na końcu traktu zapachowego, którym podąża, rozpoznaje swój cel. Pomiędzy pagórkami belokanijskich miast góruje jeden, z każdym krokiem rośnie, olbrzymia piramida Bel-o-kan, miasto-matka, zapachowa latarnia, która magnetyzuje i przyciąga.

327 dociera w końcu do podnóża imponującego mrowiska, podnosi głowę. Jego miasto jeszcze urosło. Rozpoczęto budowę nowej warstwy ochronnej kopuły. Szczyt góry z patyczków przekomarza się z księżycem.

Młody samiec szuka przez chwilę, znajduje przy ziemi otwarte jeszcze wejście i znika w nim. Najwyższa pora. Wszystkie robotnice i wojowniczkę pracujące na zewnątrz już wróciły. Straże przygotowują się do zatkania otworów, aby zatrzymać wewnątrz ciepło. Zaledwie przekroczył próg, już ruszają murarki i dziura zamyka się za nim. Niemal z trzaśnięciem.

I proszę, już nie widać zimnego i dzikiego świata zewnętrznego. Samiec 327 powrócił do cywilizacji. Może się teraz zjednoczyć z kojącą Federacją. Już nie jest sam, jest ich wiele.

Zbliżają się strażniczki. Nie rozpoznały go pod powłoką z kurzu. Szybko emituje zapach-identyfikator, tamte się uspokajają. Jedna z robotnic zauważa zapach zmęczenia. Proponuje mu trofalaksję, rytuał daru ciała.

Każda mrówka ma w brzuchu rodzaj kieszeni, właściwie jest to przedżołądek, który nie trawi pożywienia. Wole. Magazynuje tam jedzenie, które pozostaje świeże i nienaruszone. Potem może je przekierować do żołądka trawiącego normalnie albo też wypluć i ofiarować swojemu ziomkowi. Gesty zawsze są te same: mrówka zaczepia obiekt, któremu chce zaoferować trofalaksję, klepiąc go po głowie. Jeśli ten przyjmuje propozycję – opuszcza czułki. Jeśli je

wznosi, jest to znak odmowy, znak, że naprawdę nie jest głodny.

Samiec 327 nie waha się. Jego zapasy energetyczne są tak małe, że grozi mu zapadnięcie w katalepsję. Przylegają do siebie. Pożywienie podchodzi do góry. Dająca wypływa najpierw ślinę, następnie nektar i papkę zbożową. Smaczne i wzmacniające.

Koniec daru, samiec się cofa. Powoli wszystko powraca. Martwe ciała. Zasadzka. Nie ma chwili do stracenia. Wznosi czułki i małymi kropelkami rozpyla wokół informację.

Uwaga. Wojna. Karłowate zniszczyły naszą pierwszą ekspedycję. Mają nową niszczycielską broń. Alarm do bitwy. Wojna wypowiedziana.

Strażniczka uwalnia się z uścisku. Te alarmujące zapachy drażnią jej mózg. Wokół samca 327 zbiera się już tłumek.

Co jest?

Co się dzieje?

Mówi, że wojna wypowiedziana.

Ma dowody?

Zewsząd zbiegają się mrówki.

Mówi o nowej broni i zdziśiátkowanej wyprawie.

To poważna sprawa.

Ma dowody?

Samiec znajduje się teraz w centrum grupki mrówek.

Alarm, alarm, wojna wypowiedziana, alarm do bitwy!

Ma dowody?

To zapachowe pytanie podejmują wszyscy.

Nie, nie ma dowodów. Był do tego stopnia zszokowany, że nie pomyślał o tym, żeby je przynieść. Ruchy czulek. Kręcą głowami, wątpią.

Gdzie to się stało?

Na zachód od La-chola-kan, między nowym miejscem do polowań, znalezionym przez zwiadowczynię z naszych miast. Na terenie często patrolowanym przez karłowate.

To niemżliwe, nasi szpiedzy wrócili i byli pewni: karłowate jeszcze się nie obudziły!

Anonimowy czulek wyemitował to zdanie-feromon. Tłum się rozprasza. Tej to się wierzy. Jemu nie. Jego opowieść jest mało prawdopodobna, choć nosi znamiona prawdy. Wiosenne wojny nigdy nie zaczynają się tak wcześnie. Gdyby karłowate zaatakowały, kiedy nie wszystkie są jeszcze rozbudzone, byłyoby to z ich strony szaleństwem. Każdy wraca do swoich zadań, ignorując informację przekazaną przez samca 327.

Jedyny ocalały z pierwszej wyprawy myśliwskiej jest oszołomiony. Te zwłoki, do licha, on ich przecież nie wymyślił! W końcu zorientują się, że w którejś z kast siły nie są w komplecie.

Czułki opadły bezradnie na czoło. Ma poczucie, że jego egzystencja niczemu już nie służy. Tak jakby nie żył dla innych, lecz tylko dla siebie samego.

Drży z przerażenia na samą tę myśl. RzUCA się do przodu, biegnie gorączkowo, gromadzi wokół siebie robotnice i bierze je za świadków. Waha się nawet, czy się zatrzymać, gdy słowo po słowie wyrzuca z siebie świętą formułę:

*Poszukując, byłem nogą,
Na miejscu byłem okiem,
Po powrocie jestem bodźcem nerwowym.*

Nikogo to nie obchodzi. Słuchają, nie zważając na niego. A później odchodzą, nie przejmując się. Niech przestanie wreszcie zawracać głowę!

Jonatan był już na dole od czterech godzin. Żona i syn zamartwiali się.

– Dzwonimy po policję, mammo?

– Nie, jeszcze nie.

Podeszła do drzwi piwnicy.

– Czy tatuś nie żyje? Powiedz, mammo, tatuś umarł tak samo jak Ouarzi?

– Ależ nie, nie, kochanie, cóż ty za głupoty opowiadasz!

Lucie zżerał niepokój. Pochyliła się, żeby przyjrzeć się bliżej szczelinie. Wydawało jej się, że mocną lampą halogenową, którą właśnie kupiła, sięgnie dalej... w głąb kręconych schodów.

Usiadła na podłodze. Nicolas dołączył do niej. Pocałowała go.

– Wróci, musimy być cierpliwi. Prosił, żebyśmy czekali, poczekajmy więc jeszcze.

– A jeśli nie wróci?

327 jest zmęczony, ma wrażenie, że błąka się we mgle. Rusza się, a nie posuwa do przodu.

Postanowił zwrócić się do Belo-kiu-kiuni we własnej osobie. Licząca sobie czternaście zim Matka ma niezrównane doświadczenie, podczas gdy bezpłciowe mrówki stanowiące większość populacji żyją najwyżej trzy lata. Ona jedna może mu pomóc w przekazaniu informacji.

Młody samiec podąża drogą ekspresową prowadzącą do serca miasta. Wiele tysięcy robotnic obarczonych jajczkami drepcze tą szeroką galerią. Wynoszą ciężary z czterdziestego piętra pod ziemię aż do żłobków w solarium położonym na trzydziestym piątym piętrze nad ziemią. To wielki strumień białych skorupki unoszonych na nóżkach, poruszający się z dołu do góry i z prawej ku lewej.

Musi iść w przeciwną stronę. To niełatwe. 327 potraça kilka mamek, które natychmiast podnoszą krzyk: „Wandal! Wandal!”. Sam jest popychany, deptany, odpychany, drapany. Na szczęście korytarz nie jest całkowicie wypełniony. Samcowi udaje się utorować sobie drogę w tej mrowiącej się masie.

Następnie kieruje się do małych tuneli, trasą dłuższą, lecz mniej męczącą, i zdąża szybkim krokiem. Z głównych arterii przechodzi w boczne uliczki i zaułki. Przemierza w ten sposób kilometry, przeprawia się przez mosty, pomosty, przechodzi przez place puste i inne, pełne tłumów.

Orientuje się bez trudu w ciemnościach, dzięki swoim trzem przyoczkom umieszczonym na czole. W miarę jak zbliża się do zakazanego rewiru, słodkawy zapach Matki przybiera na sile, a liczba straży rośnie.

Są tutaj wszystkie podkasty wojowniczek, wszystkie rozmiary, wszystkie rodzaje broni. Małe, z długimi wyszczerbionymi żuwaczkami, potężne – zaopatrzone w tarcze brzuszne twarde jak drewno, przysadziste o krótkich czułkach, artylerzystki o wysmukłych brzuchach wypełnionych trucizną powodującą konwulsje.

Zaopatrzone w aktualne zapachy-paszporty, samiec 327 przekracza bez trudu kolejne posterunki. Wojowniczkę są spokojne. Czują, że wielkie wojny terytorialne jeszcze się nie zaczęły. Blisko celu okazuje identyfikatory gwardii przybocznej i wchodzi w ostatni korytarz, prowadzący do królewskiej loży.

Na progu zatrzymuje się, przytłoczony pięknem, które bije z tego jedyne w swoim rodzaju miejsca. To wielka owalna sala skonstruowana według bardzo precyzyjnych zasad architektonicznych i geometrycznych, które matki przekazują swoim córkom z czułka na czulek.

Główne sklepienie mierzy dwanaście głów wysokości na trzydzieści sześć średnicy (głowa jest jednostką Federacji; jedna głowa jest równa trzem milimetrom miary ludzkiej). Pilastry z rzadko spotykanego cementu podtrzymują tę owadzią świątynię, pomyślaną tak, aby dzięki wklęsłej formie podłogi zapachowe cząsteczki emitowane przez osobników odbijały się jak najdłużej i nie wsiąkały w ściany. Niezwykły zapachowy amfiteatr.

Pośrodku spoczywa wielka dama. Leży na stronie brzusznej ciała i od czasu do czasu wysuwa nóżkę w kierunku żółtego kwiatu. Kwiat zatrząskuje się niekiedy z suchym trzaskiem. Lecz nóżka już jest cofnięta.

Ta dama to Belo-kiu-kiuni.

Belo-kiu-kiuni, ostatnia królowa mrówek rudnic z centralnego miasta.

Belo-kiu-kiuni, jedyna płodna, tworząca wszystkie ciała i wszystkie umysły Federacji.

Belo-kiu-kiuni rządziła już za czasów wielkiej wojny z pszczołami, podczas podboju termitier z Południa, podczas pacyfikacji terytoriów pajęczych, za czasów straszliwej, wycieńczającej wojny wywołanej przez osy z dębu, a od poprzedniego roku to ona koordynowała wysiłki miast, aby odeprzeć ataki karłowatych mrówek na północne granice.

Belo-kiu-kiuni bije rekordy żywotności.

Belo-kiu-kiuni, jego mama.

Ten żyjący pomnik jest tu, tuż obok niego, jak dawniej. Tyle że jest nawilżana i pieszczona przez dwadzieścia młodych usłużnych robotnic, podczas gdy dawniej to on, 327, opiekował się nią swoimi małymi, jeszcze niezręcznymi nóżkami.

Młoda mięsożerna roślina kłapnęła szczęką, a Matka wydała z siebie małą zapachową skargę. Nikt nie wiedział, skąd bierze się u niej ta namiętność do roślinnych drapieżników.

327 podchodzi bliżej. Matka nie jest piękna. Ma wysuniętą ku przodowi czaszkę, z dwoma wylupiającymi oczyma, które wydają się patrzeć we wszystkie strony naraz. Jej przyoczka skupione są na środku czoła. Czułki za to są szeroko rozstawione – bardzo długie i leciutkie, wibrują w sposób ściśle kontrolowany.

Już wiele dni temu Belo-kiu-kiuni przebudziła się z głębokiego snu i od tego czasu nie przestaje znosić jaj. Jej brzuch, dziesięć razy pojemniejszy niż normalny, przesywają ciągle spazmy. Po kolejnym skurczu wypuszcza osiem chudziutkich jajeczek, jasnoszarych o perłowych przeblaskach, najmłodsza generacja Belokanijczyków. Przyszłe pokolenie, okrągłe i lepkie, wychodzi z jej wnętrzości, toczy się po podłodze i natychmiast wpada w ramiona opiekuńczych nianiek.

Młody samiec rozpoznaje zapach tych jaj. To bezpłodne wojowniczk i samce. Jest wciąż zimno i gruczoł produkujący córki jeszcze się nie uaktywnił. Gdy tylko pogoda na to pozwoli, Matka zniesie osobników dla każdej kasty według szczegółowego zapotrzebowania Miasta. Robotnice przyjdą jej powiedzieć, że brakuje mielących zboża lub artylerzystek, a ona spełni ich prośby. Zdarza się też, że Belo-kiu-kiuni wychodzi ze swej łoży i idzie sama węszyć w korytarzach. Ma na tyle wrażliwe czułki, że wykrywa najmniejszy brak w tej czy innej kaście. Natychmiast uzupełnia siły.

Matka rodzi jeszcze kilka wątłych osobników i odwraca się ku gościowi. Dotyka go i liże. Kontakt z królewską śliną jest zawsze czymś nadzwyczajnym. Jest ona nie tylko uniwersalnym środkiem dezynfekującym, ale i prawdziwym panaceum leczącym wszystkie rany, jedynie oprócz tych wewnątrz głowy.

Nawet jeśli Belo-kiu-kiuni nie jest w stanie bezpośrednio rozpoznać każdego ze swoich niezliczonych maluchów, okazuje przez ten ślinowy zabieg, że zidentyfikowała jego zapach. Jest swój. Dialog czułkowy może się rozpocząć.

Witaj w płci Federacji. Opuściłeś mnie, lecz nie możesz się powstrzymać od powrotu.

Rytualne zdanie, które matka kieruje do swych dzieci. Wygłosiwszy je, wącha feromony jego jedenastu segmentów, ze spokojem, który udziela się również młodemu 327... Już zrozumiała powód wizyty. Pierwsza ekspedycja wysłana na Zachód została całkowicie unicestwiona. W pobliżu miejsca katastrofy rozpoznano zapachy karłowatych mrówek. Musiały zapewne wynaleźć sekretną broń.

*Poszukując, byłem nogą,
Na miejscu byłem okiem,
Po powrocie jestem bodźcem nerwowym.*

Z pewnością. Problem w tym, że nie udaje mu się pobudzić Federacji. Jego fluidy nikogo nie przekonują. Uważa, że jedynie ona, Belo-kiu-kiuni, będzie wiedziała, jak przekazać wiadomość i wszcząć alarm.

Matka węższy z podwójną uwagą. Stawami i nóżkami wylapuje najmniejsze lotne cząsteczki. Tak, są ślady śmierci i tajemnicy. To może być wojna... Ale może równie dobrze nie być.

Daje mu znać, że tak czy owak nie ma żadnej władzy politycznej. W Federacji decyzje podejmowane są wspólnie, przez tworzenie się grup roboczych w zakresie dowolnie wybranych projektów. Jeśli nie jest w stanie wygenerować takiego centrum nerwowego, krótko mówiąc, stworzyć grupy, jego doświadczenie niczemu nie służy.

Ona nie może mu pomóc.

Samiec 327 nalega. Skoro już ma rozmówczynię, która wydaje się gotowa, żeby wysłuchać go do końca, emituje ze wszystkich sił najbardziej urzekające cząsteczki. Według niego ta katastrofa to sprawa najwyższej wagi. Trzeba natychmiast wysłać szpiegów, spróbować dowiedzieć się, czym jest ta tajemnicza broń.

Belo-kiu-kiuni odpowiada, że Federacja jest przytłoczona problemami najwyższej wagi. Nie tylko wiosenne przebudzenie jeszcze nie dobiegło końca, ale i powłoka Miasta wciąż jest placem budowy. Dopóki nie zostanie położona ostatnia warstwa gałązek, wyruszenie na wojnę byłoby dość ryzykowne. Poza tym w Federacji brakuje protein i cukrów. Trzeba pomyśleć o przygotowaniach do Święta Odrodzenia. To wszystko od każdego wymaga ogromnej energii. Nawet szpiegdy mają za dużo obowiązków. To tłumaczy, dlaczego jego wiadomość nie może zostać wysłuchana.

Mijają chwile. Słychać tylko szmer warg robotnic liżących pancierz Matki, która znów zaczęła macać drapieźną roślinę. Zwija się konwulsyjnie, aż odwłok podchodzi pod klatkę piersiową. Jej dwa przednie odnóża zwisają bezwładnie. Cofa się szybko, gdy roślinne szczęki zatrząskują się, później bierze go na świadka tej fantastycznej potencjalnej broni.

Można by wznieść mur z mięsożernych roślin, aby chronić całą granicę północno-zachodnią. Jedyne problem to ten, że jak na razie te małe potwory nie widzą różnicy między osobnikami z Miasta a obcymi i...

327 powraca do prześladowającego go tematu. Belo-kiu-kiuni pyta, ile osobników zginęło podczas marszu. Dwudziestu ośmiu. Wszyscy z kasty wojowniczek? Tak, był jedynym samcem tej wyprawy. Matka koncentruje się i składa po kolei dwadzieścia osiem perełek, płynnych siostr. Dwadzieścia osiem mrówek zginęło, te dwadzieścia osiem jajeczek je zastąpi.

PEWNEGO DNIA NIEUCHRONNIE: Pewnego dnia nieuchronnie czyjaś ręka dotknie tych stron, czyjeś oczy przeslizgną się po tych słowach, czyjś umysł zinterpretuje ich sens. Nie chcę, by nastąpiło to zbyt szybko. Konsekwencje mogłyby być straszne. I w chwili gdy piszę te zdania, walczę jeszcze ze sobą, czy zachować swoją tajemnicę.

Któregoś dnia jednak ktoś będzie musiał dowiedzieć się, co się zdarzyło. Nawet najskrytsze sekrety wypływają na powierzchnię. Czas jest ich największym wrogiem.

Kimkolwiek jesteś, najpierw Cię pozdrawiam. W chwili, gdy to czytasz, nie żyję już prawdopodobnie od dziesięciu lub stu lat. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Czasami żałuję, że posiadam tę wiedzę. Ale jestem człowiekiem i nawet jeśli solidarność gatunku jest w tej chwili na najniższym poziomie, znam wszystkie obowiązki, które wynikają z faktu, że urodziłem się któregoś dnia pośród was, ludzi tego wszechświata.

Muszę przekazać swoją historię.

Jeśli dobrze się przyjrzeć, wszystkie opowieści są do siebie podobne. Na początku jest temat, który drzemie. Nadchodzi przełom. Ten przełom zmusza do działania. W zależności od postępowania rozwinię się lub umrze.

Pierwsza historia, którą opowiem, jest historią naszego wszechświata. Ponieważ żyjemy wewnątrz. Ponieważ wszystkie rzeczy, małe i duże, podlegają tym samym prawom i są połączone tymi samymi i współzależnościami.

Na przykład Ty, który odwracasz tę stronę, pocierasz papier niewielką powierzchnią palca wskazującego. Z tego kontaktu rodzi się maleńkie ciepło. Ciepło mimo wszystko prawdziwe. Przeniesione do nieskończonej masy powoduje ruch elektronu, który opuszcza swój atom i uderza inną cząsteczkę.

Ta cząsteczka jednak w rzeczywistości, względem siebie samej, jest olbrzymią. Do tego stopnia, że zderzenie z elektronem jest dla niej prawdziwym szokiem. Przedtem była nieruchoma, pusta, zimna. Z powodu Twojego przewrócenia kartki znajduje się oto w stanie kryzysu. Przecinają ją gigantyczne iskry. Raptem jednym gestem spowodowałeś coś, czego konsekwencji nigdy nie poznasz. Być może powstały światy, z żyjącymi na nich ludźmi, ci ludzie odkryją być może metalurgię, kuchnię regionalną, międzygwiazdne podróże. I nigdy by nie zaistnieli, gdybyś nie miał tej książki w rękach i gdyby Twój palec nie spowodował ocieplenia w tym właśnie miejscu kartki.

Podobnie nasz wszechświat zajmuje z pewnością miejsce w rogu strony książki, na skraju podeszwy buta lub w pianie kufla piwa jakiejś innej olbrzymiej cywilizacji.

Nasze pokolenie nigdy nie będzie miało możliwości, żeby to sprawdzić. Lecz wiemy, że dawno temu nasz wszechświat był pusty, zimny, nieruchomy. Aż kiedyś ktoś lub coś spowodowało kryzys. Przewrócono kartkę, nadeptano na kamień, zebrano pianę z kufla

piwa. W każdym razie nastąpił wstrząs. Nasza cząsteczka obudziła się. U nas, jak wiadomo, był to olbrzymi wybuch. Nazwano go Big Bang.

W każdej sekundzie, w nieskończenie wielkiej skali, w nieskończenie małej, w nieskończenie dalekiej, rodzi się być może jakiś wszechświat, taki jak nasz ponad piętnaście miliardów lat temu. Innych nie znamy. Ale o naszym wiemy, że wszystko zaczęło się od eksplozji „najmniejszego” i „najprostszego” atomu: wodoru.

Wyobraź sobie zatem tę wielką przestrzeń ciszy przebudzoną nagle przez gwałtowne spalanie połączone z wybuchem. Dlaczego tam w górze przewrócono kartkę? Dlaczego zebrano pianę z piwa? Nieważne. W każdym razie wodór się pali, wybucha. Wielkie światło przecina nienaruszoną przestrzeń. Rzeczy nieruchome zaczynają się poruszać. Rzeczy zimne ogrzewają się. Rzeczy ciche zaczynają szemrać.

W pierwotnym palenisku wodór zmienia się w hel, atom niewiele bardziej złożony niż poprzedni. Z tej przemiany można już jednak wywnioskować wielką regułę funkcjonowania naszego wszechświata: ZAWSZE BARDZIEJ ZŁOŻONY.

Ta reguła wydaje się oczywista. Nic jednak nie dowodzi, że w sąsiednich wszechświatach jest ona taka sama. Zresztą, może to być również: ZAWSZE CIEPLEJSZY lub ZAWSZE TWARDZYSZY, lub ZAWSZE ŚMIESZNIJSZY.

U nas też wszystko staje się cieplejsze lub twardsze, lub śmieszniejsze, lecz to nie jest prawo pierwotne. To tylko sprawy podrzędne. Nasze podstawowe prawo, wokół którego konstyтуują się wszystkie inne, brzmi: ZAWSZE BARDZIEJ ZŁOŻONY.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Samiec 327 krąży po korytarzach na południu miasta. Nie jest spokojny. Powtarza sobie w kółko zdanie:

Poszukując, byłem nogą,

Na miejscu byłem okiem,

Po powrocie jestem bodźcem nerwowym.

Dlaczego to nie działa? Gdzie tkwi błąd? Ciało gotuje się od nieprzetworzonych informacji. Według niego Federacja została okaleczona i nawet tego nie zauważyła. A on jest bodźcem bólu. On zatem musi sprawić, by Miasto zareagowało.

O, jakże ciężko jest posiadać informację o cierpieniu, trzymać ją w sobie i nie móc znaleźć żadnego czułka, który chciałby jej wysłuchać. 327 tak bardzo chciałby pozbyć się tego ciężaru, podzielić się z kimś tą straszną wiedzą.

Obok niego przeszła mrówka-kurier termiczny. Czując jego przygnębienie, uznaje, że nie jest całkiem rozbudzony, i proponuje mu słoneczne kalorie. To przywraca mu nieco sił, które od razu

próbuję wykorzystać do przekonania jej.

Alarm, wyprawa została zniszczona w zasadzce zastawionej przez karłowate, alarm!

W jego przekazie brak już jednak mocy prawdy, którą miał na początku. Kurier termiczny odchodzi jak gdyby nigdy nic. 327 nie poddaje się. Biegnie korytarzami, rozsyłając swą wiadomość.

Czasami wojowniczki zatrzymują się, słuchają, nawet zamieniają kilka zdań, lecz jego historia niszczycielskiej broni jest mało wiarygodna. Nie tworzy się żadna grupa zdolna do podjęcia akcji zbrojnej.

Idzie przybity.

Nagle, przemierzając pewien pusty tunel na czwartym piętrze podziemia, słyszy za sobą hałas. Ktoś go śledzi.

Samiec 327 odwraca się. Przyoczkami bada korytarz. Plamy czerwone i czarne. Nie ma nikogo. Dziwne. To musi być pomyłka. Ale dźwięk kroków ponownie odbija się za nim echem. Skriczcz... tsssssss, skriczcz... tsssss. Ten ktoś kuleje na dwie z sześciu nóg i jest coraz bliżej.

Aby się upewnić, skręca na każdym skrzyżowaniu i zatrzymuje się. Hałas ustaje. Gdy tylko rusza – skriczcz... tsssssss, skriczcz... tss rozbrzmiewa na nowo.

327 nie ma wątpliwości: jest śledzony.

Ktoś, kto się kryje, gdy on się odwraca. Dziwne zachowanie, zupełnie nieznanne. Dlaczego jedna komórka Federacji miałaby śledzić inną, nie dając się rozpoznać? Tu nikt nie ma nic do ukrycia przed nikim.

Wyczuwa obecność śledzącej mrówki. Ciągłe na dystans, ciągle ukryta. Skriczcz... tsssssss, skriczcz... tss. Co zrobić? Gdy był jeszcze larwą, niańki uczyły go, że trzeba zawsze stawiać czoło niebezpieczeństwu. Zatrzymuje się, udając, że się myje. Postać jest coraz bliżej. Niemal ją czuje. Symulując gesty mycia się, porusza czułkami. Jest, udało mu się przechwycić jej cząsteczki zapachowe. To mała, roczna wojowniczka. Wydaje dziwny zapach, który maskuje jej zwykłe identyfikatory. Ciężko określić. Jakby zapach skały.

Mała wojowniczka już się nie ukrywa. Skriczcz... tsssssss, skriczcz... tsss. Widzi ją teraz w podcierwieni. Rzeczywiście brakuje jej dwóch nóg. Zapach skały staje się coraz bardziej wyraźny.

Nadaje:

Kto tam?

Brak odpowiedzi.

Dlaczego mnie śledzisz?

Brak odpowiedzi.

Chcąc zapomnieć o tym zdarzeniu, rusza w dalszą drogę, lecz już wkrótce wyczuwa kolejną

obecność, inną mrówkę nadchodzącą z przeciwka. Tym razem to wielka wojowniczką. Galeria jest wąska, nie przejdzie.

Zawrócić? To by oznaczało spotkanie z kulawą, która zresztą podąży śpiesznie ku niemu. Nie ma odwrotu.

Teraz to czuje: to dwie wojowniczki. Obie noszą ten sam zapach skały. Wielka rozchyła szerokie żuwaczki.

To pułapka!

Niewyobrażalne, żeby mrówka z tego samego miasta chciała zabić inną. Czyżby nie rozpoznały jego zapachów identyfikacyjnych? Myślą, że jest obcy? To kompletnie bez sensu, to tak jakby żołądek próbował zniszczyć jelita...

Samiec 327 wzmacnia nadawanie:

Jestem tak jak i wy komórką Federacji. Jesteśmy tym samym organizmem.

To młode żołnierki, pewnie się pomyliły. Ale jego komunikaty wcale ich nie uspokoiły. Mała kulawa skacze mu na plecy i przytrzymuje skrzydła, podczas gdy gruba ścisła mu głowę żuwaczkami. Skrępowanego w ten sposób ciągną w kierunku śmietnika.

Samiec 327 szarpie się, emituje przeróżne uczucia, których nie znają nawet bezpłciowe osobniki. Nic nie rozumie, panikuje.

Żeby nie zabrudzić się jego feromonami, kulawa, nadal uczepiona jego mesotonum, zgniata mu czułki żuwaczkami. Usuwa w ten sposób wszystkie zapachy-paszporty. Zresztą tam, gdzie go ciągną, na niewiele mu się one przydadzą.

Ponura trójka posuwa się, ciężko dysząc, najmniej uczęszczanymi korytarzami. Mała kulawa nadal metodycznie go czyści. Tak jakby nie chciała zostawić jakiegokolwiek informacji na jego głowie. Samiec już się nie wrywa. Zrezygnowany, przygotowuje się na najgorsze, zwalniając rytm bicia serca.

„Dlaczego tyle przemocy, dlaczego tyle nienawiści, moi bracia? Dlaczego?”

Jesteśmy jednością, wszyscy jesteśmy dziećmi Ziemi i Boga.

Zaprześciamy próżnych kłótni. XXII wiek będzie uduchowiony, a może nie. Porzucmy daremne spory wywołane pychą i dwulicowością.

Indywidualizm, oto nasz prawdziwy wróg! Brat jest w potrzebie, a wy pozwalacie mu umrzeć z głodu, nie jesteście godni należeć do wspólnoty świata. Zagubiona istota wzywa pomocy, a wy zamykacie przed nią drzwi. Nie należycie do nas.

Znam was, czyste sumienia otulone jedwabiem!

Myślicie tylko o własnej wygodzie, chcecie tylko chwały, szczęścia, tak, lecz tylko waszego i waszych najbliższych.

Znam was, powtarzam. Ciebie, ciebie i ciebie! Przestańcie uśmiechać się do ekranu, mówię

o rzeczach poważnych. Mówię o przyszłości ludzkości. Nie może tak dłużej być. Ten styl życia nie ma sensu. Wszystko marnujemy, niszczymy. Przerabiamy lasy na jednorazowe chusteczki. Wszystko stało się jednorazowe: naczynia, długopisy, aparaty fotograficzne, samochody. Wy również – niepostrzeżenie – stajecie się jednorazowi. Porzućcie tę powierzchowną egzystencję. Musicie ją porzucić dzisiaj, zanim ktoś zmusi was do tego jutro.

Chodźcie do nas, dołączcie do naszej armii wiernych. Wszyscy jesteśmy wojownikami Boga, moi bracia”.

Na ekranie pojawia się spikerka.

– Ten ewangeliczny program został przygotowany dla państwa przez ojca MacDonalda z nowego Kościoła Adwentystów Dnia Czterdziestego Piątego oraz przez firmę produkującą mrożonki „Sweetmilk”. Nadano go przez satelitę Globalwizji. A teraz, przed serialem science-fiction *Istota pozaziemska i duma istnienia*, kilka reklam.

Lucie nie umiała, tak jak Nicolas, przestać całkowicie myśleć przed telewizorem. Już osiem godzin minęło, odkąd Jonatan zszedł na dół, i żadnej wiadomości!

Sięgnęła ręką do telefonu. Mówił, żeby nic nie robić, ale jeśli zginął lub jeśli został zasypany?

Nie miała odwagi sama zejść. Podniosła słuchawkę. Wystukała numer policji.

– Halo, policja?

– Prosiłem, żebyś nie dzwoniła – dobiegł z kuchni słaby głos.

– Tata! Tata!

Odłożyła słuchawkę, mimo że z drugiej strony czyjś głos mówił jeszcze „Halo! Proszę mówić, proszę podać adres”. Klak.

– Tak, to ja, to ja, nie trzeba było się martwić. Mówiłem, żebyście spokojnie na mnie czekali.

Nie martwić się? A to dobre!

Jonatan trzymał na rękach to, co zostało z Ouarzazate’a, a było już raczej krwawym strzępem mięsa. On sam również był odmieniony. Nie wydawał się przestraszony ani przybity, na twarzy miał cień uśmiechu. Nie, to nie to, jak by to określić? Wyglądał jakby się postarzał albo był chory. Miał rozbiegany wzrok, bladą cerę, trząsał się i oddychał niespokojnie.

Widząc zamęczone ciało psa, Nicolas rozplakał się żałośnie. Biedny pudel wyglądał jakby pocięto go setkami małych żyłek.

Położyli go na gazecie.

Nicolas nadal lamentował nad zmarłym przyjacielem. To już koniec. Już nigdy nie zobaczy go skaczącego na słowo „kot”. Już nigdy więcej nie zobaczy, jak otwiera drzwi w radosnym podskoku. Już nigdy nie będzie go ratował przed wielkimi owczarkami niemieckimi o homoseksualnych zapędach.

Nie było już Ouarzazate’a.

– Jutro zabierzemy go na psi cmentarz Père-Lachaise – zdecydował Jonatan. – Kupimy mu grób za cztery i pół tysiąca franków, wiesz, ten, na którym można zamieścić zdjęcie.

– O tak! O tak! – powiedział Nicolas łkając. – Przynajmniej to mu się należy.

– A później pójdziemy do schroniska dla psów i wybierzesz sobie inne zwierzątko. Może chciałbyś tym razem bonończyka? On też jest bardzo ładny.

Lucie jeszcze ciągle nie mogła uwierzyć. Nie wiedziała, od czego zacząć. Dlaczego trwało to tak długo? Co się stało z psem? Co jemu się stało? Czy jest głodny? Czy pomyślał o tym, jak się martwili?

– Co tam jest na dole? – zapytała wreszcie niepewnym głosem.

– Nic, nic.

– Ale widzisz, w jakim stanie wróciłeś? A pies... Wygląda, jakby wpadł do maszynki do mięsa. Co się z nim stało?

Jonatan potarł czoło brudną ręką.

– Notariusz miał rację, pełno tam szczurów. Ouarzazate został rozerwany na strzępy przez rozwścieczone szczury.

– A ty?

Zaśmiał się.

– Ja jestem większą zwierzyną, mnie się bały.

– To jakieś szaleństwo! – krzyknęła. – Co tam robiłeś przez osiem godzin? Co jest w tej przeklętej piwnicy?

– Nie wiem, co jest w głębi. Nie dotarłem tam.

– Nie dotarłeś do końca?

– Nie, jest bardzo głęboka.

– W osiem godzin nie dotarłeś do dna... naszej piwnicy?!

– Nie, zatrzymałem się, gdy znalazłem psa. Wokół było pełno krwi. Wiesz, Ouarzazate walczył dzielnie. To niesamowite, że taki mały piesek mógł wytrwać tak długo.

– Ale zatrzymałeś się gdzie? W połowie?

– Skąd mam wiedzieć? Zresztą nie mogłem iść dalej. Też się bałem. Wiesz, że nie znoszę ciemności i przemocy. Każdy by się zatrzymał na moim miejscu. Nie można bez końca iść w nieznaną. Poza tym myślałem o tobie, o was. Nie masz pojęcia, jak to jest... Tam jest tak ciemno. To śmierć.

Kiedy kończył to zdanie, lewy kącik ust wykrzywił mu rodzaj tiku. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Zrozumiała, że nie należy go już dłużej męczyć. Objęła go w pasie i pocałowała w zimne wargi.

– Uspokój się, to już koniec. Zamurujemy te drzwi i nie będziemy więcej o tym mówić.

– Nie, nie, to nie koniec. Teraz dałem się zatrzymać na granicy niebezpiecznej strefy. Każdy by się lękał iść dalej. Każdy boi się przemocy, nawet jeśli jej ofiarą pada zwierzę. Ale nie mogę zatrzymać się teraz, być może tak blisko celu...

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że tam wrócisz?!

– Owszem, Edmund przeszedł, ja też przejdę.

– Edmund? Twój wuj Edmund?

– Coś tam robił, chcę wiedzieć, co to było.

Lucie stłumiła jęk.

– Proszę cię, z miłości dla mnie i dla Nicolasa, nie schodź tam.

– Nie mam wyboru.

Znów ten tik w kąciку ust.

– Zawsze wszystko robiłem do połowy. Zatrzymywałem się, gdy rozum mówił mi, że niebezpieczeństwo jest blisko. Jestem człowiekiem, który nigdy nie stanął w obliczu zagrożenia, ale też nie odniósł w życiu sukcesu. Robiąc wszystko w połowie, nigdy nie docierałem do sedna spraw. Powiniennem być zostać przy ślusarstwie, dać się zaczepiać, nie zważając na guzy. To byłby chrzest, poznałbym przemoc i nauczyłbym się nad nią panować. A ja unikałem kłopotów i teraz jestem jak dziecko bez doświadczeń.

– Majaczysz.

– Nie, nie majacząc. Nie można wiecznie żyć w kokonie. Dzięki tej piwnicy mam niepowtarzalną okazję zrobić krok do przodu. Jeśli tego nie zrobię, już nigdy nie odważę się spojrzeć na siebie w lustrze, będę tam widział tchórza. Zresztą ty sama zmusiłaś mnie, żebym tam zszedł, przypomnij sobie.

Zdjął poplamioną krwią koszulę.

– Nie nalegaj, moja decyzja jest nieodwołalna.

– Dobrze, a zatem pójdę z tobą! – oświadczyła, chwytając latarkę.

– Nie, zostajesz tutaj!

Ujął ją mocno za przeguby rąk.

– Puść mnie, co się z tobą dzieje?

– Przepraszam, ale musisz zrozumieć: ta piwnica to coś, co dotyczy tylko mnie. To moja droga. I nikt nie może się do tego mieszać, słyszysz?

Za nimi Nicolas płakał nad ciałem Ouarzazate'a. Jonatan puścił ręce Lucie i podszedł do syna.

– Weź się w garść, chłopcze!

– Mam dość. Ouarzi nie żyje, a wy tylko się kłóćcie.

Jonatan postanowił zmienić temat. Wziął pudełko zapalek, wyjął sześć i położył je na stole.

– Masz, zobacz, zadam ci zagadkę. Z sześciu zapalek można ułożyć cztery trójkąty

równoboczne. Spróbuj, powinno ci się udać.

Chłopiec, zaskoczony, otarł łzy i wysiąkał nos. Zaczął od razu układać zapałki na różne sposoby.

– Dam ci jeszcze radę. Żeby znaleźć rozwiązanie, trzeba myśleć inaczej. Jeśli myśli się normalnie, nie uda się.

Nicolasowi udało się ułożyć trzy trójkąty. Nie cztery. Wzniósł wielkie niebieskie oczy, zamrugał powiekami.

– Znalazłeś rozwiązanie, tato?

– Nie, jeszcze nie, ale czuję, że jestem już blisko.

Jonatan uspokoił na chwilę syna, ale żony nie. Lucie rzuciła mu zasmucone spojrzenia. Wieczorem pokłócili się dość ostro. Ale Jonatan nie chciał nic powiedzieć na temat piwnicy i jej tajemnic.

Następnego dnia wstał wcześniej i spędził cały ranek instalując na drzwiach piwnicy wielką klódkę. Klucz od niej zawiesił sobie na szyi.

Zbawienie nadchodzi nieoczekiwanie pod postacią trzęsienia ziemi.

Najpierw wszystkie mury drżą pod wpływem wstrząsu. Piasek zaczyna sypać się strumieniem z sufitu. Nadchodzi drugi wstrząs, potem trzeci, czwarty... Kolejne głucho drgania następują coraz szybciej, jedno po drugim. Olbrzymi nieustający pomruk, przy którym wszystko wibruje.

Ocuony przez drganie, młody samiec przyspiesza rytm serca, uderza żuwaczkami zaskoczonych dręczycieli i umyka w rozpruty tunel. Dodatkowo porusza skrzydłami, jeszcze nie w pełni rozwiniętymi, żeby przyspieszyć ucieczkę i wydłużyć skoki przez gruzy. Każdy mocniejszy wstrząs każe mu zatrzymać się i przywrzeć do ziemi, aż skończą się piaskowe lawiny. Całe ściany korytarzy spadają w niżej położone tunele. Mosty, przęsła i wnęki zapadają się, pociągając za sobą miliony zaskoczonych istot.

Rozchodzi się zapach priorytetowego alarmu. W pierwszej fazie pobudzające feromony rozpylają się w górnych galeriach. Wszyscy, którzy wywęszyli ten zapach, zaczynają natychmiast drzeć, biegać we wszystkich kierunkach i produkować jeszcze ostrzejsze feromony. Panika jest jak kula śnieżna.

Chmura alarmu rozprzestrzenia się jak mgła, wślizgując się do wszystkich żył obolałej przestrzeni, dociera do głównych arterii. Obcy obiekt, który wdarł się do ciała Federacji, wywołuje to, co młody samiec na próżno próbował osiągnąć: toksyny bólu. Nagle czarna krew belokanijskiego tłumu zaczyna krążyć szybciej. Z zagrożonej strefy ewakuuje się jajeczka. Wojowniczkę formują jednostki bojowe.

Kiedy samiec 327 dociera na zablokowane piaskiem i tłumem skrzyżowanie, wstrząsy ustają. Zapada przynębiająca cisza. Wszyscy nieruchomieją, obawiając się kolejnych wydarzeń.

Wzniesione czułki drżą. Oczekiwanie.

Nagle głuchy, groźnie narastający pomruk zastępuje wcześniejszy stukot. Wszystkie czują, że powłoka z gałązek została przedarta. Coś olbrzymiego wdarło się do Miasta, miążdży ściany, wślizguje się między gałązki.

Pośrodku skrzyżowania wyrosła cienka różowa macka. Bije w powietrzu i ślizga się po ziemi w szaleńczym tempie, w poszukiwaniu jak największej liczby mieszkańców. Wojowniczkiczki rzucają się ku niej i próbują ugryźć żuwaczkami, wielkie czarne grono zwisa na jej końcu. Wystarczająco oblepiony, język cofa się ku górze i znika, by wrzucić łup do gardła, potem powraca, coraz dłuższy, coraz bardziej żarłoczny, druzgocący.

Następuje druga faza alarmu. Robotnice uderzają o ziemię końcami odwłoków, by przywołać wojowniczkiczki z niższych pięter, które jeszcze nic nie wiedzą o tragedii.

Całe Miasto dudni od uderzeń tego prymitywnego tam-tama. Można by powiedzieć, że organizm gniazda wdycha: tak, tak, tak! Tok... tok... tok, odpowiada obcy, który ponownie stuka w kopułę, aby zagłębić się w nią jeszcze bardziej. Każdy przylega do ściany, próbując uniknąć tego rozpasanego czerwonego węża, przeszukującego galerie. Jeśli kęs nie jest wystarczająco duży, język wyciąga się jeszcze bardziej. Pojawia się dziób, a następnie olbrzymia głowa.

To dzięcioł! Wiosenny postrach... Te łakome owadożerne ptaki drążą sklepienia mrówek na głębokość do sześćdziesięciu centymetrów i obżerają się ich mieszkańcami.

Najwyższy czas na trzecią fazę alarmu. Niektóre robotnice, niemal oszalałe z podniecenia niedającego się wyrazić w czynach, rozpoczynają taniec strachu. Ich ruchy są nieskoordynowane: podskoki, kłapanięcia żuwaczek, splunięcia... Inne osobniki, w kompletnej hysterii, biegają po korytarzach i gryzą, co się da. Przewrotny skutek strachu: Miasto, nie radząc sobie z poskromieniem napastnika, dokonuje autodestrukcji.

Katakлизм został zlokalizowany na piętnastym piętrze nad ziemią, ale po trzech fazach alarmu całe Miasto jest już w gotowości bojowej. Robotnice schodzą do najgłębszych podziemi, aby zabezpieczyć jajeczka. Mijają spieszące szeregi wojowniczek ze wzniesionymi żuwaczkami.

W ciągu niezliczonych pokoleń Miasto mrówek nauczyło się bronić przed takimi przykrościami. Pośród niezorganizowanych ruchów, mrówki z kasty artylerzystek formują komanda i rozdzielają między siebie najważniejsze zadania.

Otoczają dzięcioła w miejscu najwrażliwszym: na szyi. Odwracają się, przyjmując pozycję do strzału z bliska. Odwłoki celują w ptaka. Ognia! Z całej siły wystrzelują ze swoich zwieraczy strumienie skoncentrowanego kwasu mrówkowego.

Ptak ma nagłe i przykre wrażenie, że na szyi zaciska mu się obroża ze szpilek. Miota się, chce się wyzwolić. Ale zaszedł zbyt daleko. Skrzydła są uwięzione w ziemi i gałązkach kopuły. Uderza ponownie językiem, by zabić jak największą ilość swych małych przeciwników.

Nowa fala wojowniczek zastępuje poprzednie. Ognia! Dzięcioła przesywa dreszcz. Tym razem to już nie szpilki, lecz ciernie. Uderza nerwowo dziobem. Ognia! Kwas tryska raz jeszcze. Ptak trzęsie się, zaczyna mieć trudności z oddychaniem. Ognia! Kwas drąży mu nerwy, napastnik jest całkowicie unieruchomiony.

Strzały ustają. Wojowniczkami o szerokich żuwaczkach zbiegają się zewsząd, wgryzają się w rany wydrążone przez kwas. W innym miejscu jeden z oddziałów udaje się na zewnątrz, na to, co zostało z kopuły, odszukuje ogon zwierzęcia i zaczyna drążyć część wydzielającą najintensywniejszą woń: kloakę. Wojskowi inżynierowie szybko poszerzają wejście i wciskają się do wnętrza ptaka.

Pierwszej ekipie udaje się przeciąć skórę gardzieli. Kiedy zaczyna płynąć krew, feromony alarmu ustają. Ta partia jest wygrana. Gardziel jest szeroko otwarta, wdzierają się tam całe bataliony. Znajdują w krtani zwierzęcia jeszcze żywe mrówki i ratują je.

Następnie wojowniczkami przechodzą do wnętrza głowy, szukając otworów, które pozwolą im dotrzeć do mózgu. Jedna z robotnic znajduje przejście: tętnicę szyjną. Potrzebne jest im bowiem naczynie, którym krew płynie z serca do mózgu, a nie odwrotnie. Oto ona! Cztery wojowniczkami wycinają przejście i rzucają się w czerwony płyn. Niesione prądem, bardzo szybko dostają się w sam środek półkul mózgowych. Są gotowe do kopania w szarej substancji.

Dzięcioł, oszalały z bólu, wije się z lewa w prawo, lecz nie ma już szans pokonać napastników tnących go od wewnątrz. Oddział mrówek wkracza do płuc i wylewa tam kwas. Ptak kaszle przeraźliwie.

Inne, cała armia, zagłębiają się w przelyk, by dołączyć do towarzyszek wędrujących jelitem od strony kloaki, dewastując po drodze wszystkie organy, na które natkną się żuwaczkami. Drążą żywą tkankę systemu trawiennego tak, jak zazwyczaj robią to z ziemią, zdobywają szturmem, jedno po drugim – żołądek, wątrobę, serce, śledzionę, trzustkę i inne strategiczne miejsca.

W pewnym momencie tryska krew, a może limfa i zatapia kilku osobników. To jednak zdarza się jedynie niezdarom, które nie wiedzą, gdzie i jak dokonywać właściwych cięć.

Pozostałe posuwają się systematycznie pośród czerwonych i czarnych wnętrzności. Wiedzą, kiedy się usunąć, by nie zgniółł ich skurcz. Unikają miejsc wypełnionych żółcią i sokami trawiennymi.

Obie armie łączą się wreszcie na poziomie nerek. Ptak jeszcze żyje. Jego serce, pocięte ciosami żuwaczek, nadal pompuje krew w podziurawiony system rurek.

Nie czekając na ostatnie tchnienie ofiary, robotnice ustawiają się sznurem i przekazują z nóżek do nóżek jeszcze pulsujące życiem kawałki mięsa. Nic nie oprze się małym chirurgom. Gdy zaczynają dzielić kawałki mózgu, ptakiem targa konwulsja, już ostatnia.

Całe miasto zbiega się, by pochwalić potwora. Korytarze mrowią się od istot, z których

każdą ścisłą pamiątkę w postaci piórka lub puszku.

Ekipy murarek już weszły do akcji. Będą odbudowywać kopułę i zniszczone tunele. Z daleka wydawać by się mogło, że mrowisko zjada ptaka. Najpierw połknęło go, teraz trawi, rozdzielając ciało i tłuszcz, pióra i skórę wszędzie tam, gdzie będą one przydatne Miastu.

GENEZA: Jak powstała cywilizacja mrówek? Żeby to zrozumieć, trzeba cofnąć się wiele setek milionów lat wstecz, gdy na Ziemi zaczęło rozwijać się życie.

Pośród pierwszych istot, które pojawiły się na tym świecie, były owady.

Wydawały się źle przystosowane do życia. Małe i delikatne, były idealnymi ofiarami drapieżników. Aby utrzymać się przy życiu, niektóre, tak jak szarańcza, wybrały drogę rozmnażania się. Składały tak wielką ilość jaj, że część z nich musiała przetrwać.

Inne, jak osy czy pszczoły, wybrały jad, wykształcając na drodze doświadczeń wielu pokoleń słynne zatrute żądła.

Inne, jak karaluchy, postanowiły stać się niejadalne. Specjalny gruczoł nadawał im tak zły smak, że żadne zwierzę nie chciało ich jeść.

Jeszcze inne, jak modliszki czy też ćmy, wybrały kamuflaż. Upodabniając się do traw czy kory, pozostawały niezauważone pośród wrogiej im natury.

W tej pierwotnej dżungli wiele owadów nie znalazło jednak swojego sposobu na przeżycie i zdawało się, że zostaną skazane na zagładę.

Pośród tych „poszkodowanych” najpierw znalazły się termity. Gatunek tych zjadaczy drewna, który pojawił się na ziemi blisko sto pięćdziesiąt milionów lat temu, nie miał żadnej szansy na długowieczność. Zbyt wielu drapieżników, zbyt mało naturalnych atutów, by przetrwać...

Jaki był los termitów?

Wiele z nich poległo, a te, które przeżyły, były już na tyle przyparte do muru, że wreszcie udało im się znaleźć oryginalne rozwiązanie: „Nie walczyć w pojedynkę, tworzyć solidarne grupy. Trudniej będzie naszym drapieżnikom zaatakować dwadzieścia termitów stawiających wspólnie opór niż jednego, uciekającego”. Termity wypracowały w ten sposób jedną z głównych reguł wspólnoty: organizację społeczną.

Te drobne owady żywiące się drewnem zaczęły żyć w małych grupach, najpierw rodzinnych: wokół Matki. Później rodziny przekształciły się w miasteczka, miasteczka rozrosły się w miasta. Ich budowle z piasku i lepiszcza zaczęły coraz gęściej wznosić się na powierzchni globu.

Termity stały się pierwszymi inteligentnymi władcami naszej planety i zarazem jej pierwszym społeczeństwem.

Edmund Wells,

Samiec 327 stracił już z oczu obie morderczynie o zapachu skały. Naprawdę udało mu się je zgubić. Jest szansa, że zginęły pod gruzami. Ale nawet wtedy nie ma co marzyć, że już jest uratowany. Teraz, jeśli napotka na swej drodze jakąkolwiek wojowniczkę, koniec z nim. Automatycznie zostanie uznany przez swoje siostry za obce ciało. Nie pozwolą mu nawet się wytłumaczyć. Strzał kwasu lub nagle uderzenie żuwaczkami, oto co spotyka tych, którzy nie mogą wydzielić zapachów-paszportów Federacji.

To bez sensu. Jak do tego doszło? Wszystko przez te dwie przeklęte wojowniczkę wydzielające woń skały. Co je napadło? Muszą być szalone. Chociaż to rzadki przypadek, zdarza się, że błąd genetyczny wywołuje psychologiczne zachowania tego typu; podobnie jak rozhisteryzowane mrówki atakują wszystkich wokoło w trzeciej fazie alarmu.

Te dwie nie wydawały się jednak rozhisteryzowane czy zwyrodniałe. Wyglądało na to, że dokładnie wiedzą, co robią. Tak jakby... Tylko w jednej sytuacji komórki niszczą świadomie inne komórki tego samego organizmu. Nazywają to nowotworem.

Ten zapach skały jest jak zapach choroby... Trzeba by znowu ogłosić alarm. Samiec 327 ma już dwie zagadki do rozwiązania: tajemniczą broń karłowatych i komórki rakowe w Bel-o-kan. A nie może z nikim porozmawiać. Musi się zastanowić. Może ma w sobie jakieś ukryte zasoby... jakieś rozwiązanie.

Postanawia umyć sobie czułki. Nawilżanie (to dziwne uczucie lizać czułki, nie rozpoznając charakterystycznego smaku feromonów identyfikujących), czesanie, gładzenie grzebieniem goleni, suszenie.

Co robić, do licha?

Przed wszystkim zostać przy życiu.

Jedna tylko osoba może pamiętać jego obraz i nie potrzebuje potwierdzenia zapachami identyfikującymi: Matka. Tymczasem zakazany rewir jest wprost przepelniony wojowniczkami. Trudno. W końcu czyż Belo-kiu-kiuni nie zwykła mawiać: *Często najbezpieczniej jest w samym sercu niebezpieczeństwa?*

– Edmund Wells nie pozostawił tu po sobie dobrych wspomnień. Zresztą gdy odchodził, nikt go nie zatrzymywał.

Te słowa padły z ust starego człowieka o miłej twarzy, jednego z kierowników „Sweetmilk Corporation”.

– Mimo iż podobno odkrył nową bakterię, która powoduje, że jogurty wydzielają zapach?

– No, trzeba przyznać, że jeśli chodzi o chemię, miał przyływy geniuszu. Ale zdarzały się one nieregularnie, od czasu do czasu.

– Miał pan z nim kłopoty?

– Szczerze mówiąc, nie. Powiedziałbym raczej, że nie umiał pracować w grupie. Był zawsze na uboczu. I mimo że jego bakteria przyniosła firmie miliony, chyba nikt tego naprawdę nie docenił.

– Może pan to bliżej wyjaśnić?

– W każdej grupie są szefowie. Edmund nie znosił szefów ani zresztą żadnej formy władzy hierarchicznej. Zawsze gardził rządzącymi, którzy – jedynie kierują dla samego kierowania, nie produkując niczego – jak mawiał. A przecież wszyscy musimy się płaszczyć przed przełożonymi. Nie ma w tym niczego złego. System tego wymaga. On był dumny. Mam wrażenie, że to przeszkadzało bardziej nam, jego współpracownikom, niż samym szefom.

– W jakich okolicznościach odszedł?

– Pokłócił się z jednym z kierowników, zresztą miał w tej sprawie chyba całkowitą rację. Ten kierownik grzebał mu w biurku i Edmund wpadł w szał. Gdy zobaczył, że wszyscy wolą stanąć po stronie tamtego, nie miał innego wyjścia i odszedł.

– Ale mówił pan, że to on miał rację...

– Czasami lepiej stchórzyć przed znajomymi ludźmi, nawet tymi antypatycznymi, niż okazać się odważnym wobec obcych, a sympatycznych. Edmund nie miał tu przyjaciół. Nie jadał z nami, nie pił z nami, chodził zawsze z głową w chmurach.

– Czemu zatem wyznaje mi pan swoją podłość? Nie musiał mi pan tego wszystkiego mówić.

– Hmm, od jego śmierci myślę sobie, że jednak nie zachowaliśmy się w porządku. Pan jest jego siostrzeńcem, opowiadając to panu, czuję lekką ulgę.

Na końcu ciemnego przesmyku widać leśną fortecę. To zakazane Miasto.

Kopuła budowli powstała wokół pnia sosny. Pniak służy za serce i kręgosłup Bel-o-kan. Za serce, gdyż zawiera królewską komnatę i cenne zapasy żywności. Za kręgosłup, gdyż pozwala Miastu stawić czoło burzom i deszczom. Z bliska widać, że ściany Miasta pokrywają skomplikowane wzory. Jakby prymitywne pismo. To korytarze wyżłobione niegdyś przez pierwszych mieszkańców pnia: termyty.

Kiedy założycielka Belo-kiu-kiuni osiadła w tym regionie pięć tysięcy lat temu, od razu się na nie natknęła. Wojna trwała długo, ponad tysiąc lat, lecz Belokanijczycy w końcu zwyciężyli. Oczarowani, odkryli wtedy trwałe miasto z niezniszczalnymi korytarzami w drewnie. Ten pniak dawał im nowe możliwości urbanizacyjne i architektoniczne.

U góry płaski blat; na dole głęboko osadzone rozłożyste korzenie. To było idealne. Wkrótce jednak pień okazał się zbyt mały, by dać schronienie rozrastającej się populacji rudnic. Wykopano zatem podziemia w przedłużeniu korzeni. Ułożono gałązki na ściętym drzewie, aby poszerzyć

szczyt. Obecnie zakazane Miasto jest niemal puste. Poza Matką i jej elitarnymi strażniczkami wszyscy żyją na peryferiach.

327 nierównym krokiem zbliża się ostrożnie do pnia. Regularne wibracje informują o obecności przybysza, nierówne natomiast mogą udawać lekkie osunięcia się ziemi. Samiec może mieć tylko nadzieję, że nie spotka na swej drodze żadnej wojowniczkki. Zaczyna wspinaczkę. Jest już tylko dwieście głów od zakazanego Miasta. Zaczyna dostrzegać dziesiątki wejść w głąb pnia, a dokładniej głowy mrówek – stróżów broniących wejścia. Ukształtowane przez nieznaną perwersję genetyczną, obdarzone zostały głową szeroką, okrągłą i płaską, co nadało im wygląd dużego gwoźdźcia, dopasowanego do powierzonych im otworu.

Te żywe drzwi już w przeszłości udowodniły swoją skuteczność. Podczas Poziomkowej Wojny, siedemset osiemdziesiąt lat temu, Miasto zostało opanowane przez żółte mrówki. Wszyscy Belokanijczycy, którym dane było przeżyć, schronili się w zakazanym Mieście, a mrówki-stróże, cofając się, szczelnie zamknęły za nimi wejścia.

Dwóch dni potrzebowały żółte mrówki, żeby sforsować blokady. Dozorcy nie tylko zatkali otwory, ale i gryźli na lewo i prawo długimi żuwaczkami. Żółte stawaly po sto do walki z jednym stróżem. Napastnikom udało się w końcu włamać, drążąc chitynowe głowy przeciwnika. Mimo to poświęcenie żywych drzwi nie okazało się daremne. Inne miasta Federacji miały czas na przysłanie posiłków i kilka godzin później nastąpiło wyzwolenie.

Samiec 327 nie ma zamiaru samotnie stawiać czoła stróżowi, liczy, że skorzysta z okazji, kiedy drzwi otworzą się na przykład w celu wypuszczenia niańki obciążonej matczynymi jajeczkami. Mógłby przemknąć przez otwór, zanim zostanie on z powrotem zamknięty.

Oto jedna z głów się porusza, otwiera przejście... strażnik. Nic z tego, nie może ryzykować, ta wróciłaby natychmiast i zabiłaby go. Stróż ponownie poruszył głowę. 327 napina wszystkie sześć nóg, gotowy do skoku. Ale nie! Falszywy alarm, to była jedynie zmiana pozycji. Szyja musi pewnie często sztywnieć, unieruchomiona w ciasnym otworze z drewna. Trudno, brak mu już cierpliwości, rusza wprost na przeszkodę. Kiedy tylko znajduje się w zasięgu czulek, dozorca wyczuwa brak feromonów-identyfikatorów. Cofa się jeszcze bardziej, by lepiej zatkać właz, i emituje krzyczące cząsteczki.

Obce ciało w zakazanym Mieście! Obce ciało w zakazanym Mieście! – powtarza jak syrena alarmowa.

Obraca w powietrzu żuwaczkami, by onieśmielić nieproszonego gościa. Chętnie ruszyłby, by go zniszczyć, lecz rozkaz jest jednoznaczny: przede wszystkim blokować wejście! Trzeba działać szybko. Samiec ma przewagę pod jednym względem: widzi w ciemnościach, podczas gdy stróż jest całkowicie ślepy. Rzuca się, unika ciosów żuwaczek tnących na lewo i prawo, próbuje uchwycić je u nasady. Odcina jedną po drugiej. Tryska przezroczysta krew. Dwa bezbronne

kikuty nadal się poruszają.

Mimo to 327 nadal nie może przedostać się do środka, martwe ciało przeciwnika blokuje przejście. Sztywne nóżki wciąż opierają się o drewno. Co zrobić? Przystawia odwłok do czoła stróża i strzela. Ciało drgnęło, chityna wyżarta kwasem mrówkowym zaczyna topić się, wydzielając szare opary. Ale głowa jest olbrzymia. Samiec musi powtórzyć czynność cztery razy, zanim udaje mu się przecisnąć przez płaską czaszkę.

Może przejść. Po drugiej stronie odkrywa obumarły tułów i odwłok. Mrówka była drzwiami, jedynie drzwiami.

KONKURENCJA: Gdy pojawiły się pierwsze mrówki, pięćdziesiąt milionów lat po termitach, musiały na siebie bardzo uważać. Dalekie krewnie dzikiej, samotnie żyjącej osy, Tiphidae, nie miały ani rozwiniętych żuwaczek, ani żądła. Były małe i wątłe, ale niegłupie – szybko zrozumiały, że w ich interesie leży naśladowanie termitów. Muszą się jednoczyć.

Stworzyły wioski, wzniosły prymitywne miasteczka. Termity wkrótce zaniepokoiły się tą konkurencją. Według nich na Ziemi było miejsce tylko dla jednego gatunku owadów społecznych.

Wojny okazały się nieuchronne. Niemal wszędzie na świecie, na wyspach, drzewach i w górach, armie termitów walczyły przeciwko młodym mrówczym oddziałom.

Nigdy nie widziano czegoś podobnego w królestwie zwierząt. Miliony żuwaczek ścierały się z wrogiem nie w celu zdobycia pożywienia, lecz w celach „politycznych”!

Z początku termity, jako bardziej doświadczone, wygrywały wszystkie bitwy. Ale mrówki szybko się przystosowały. Nauczyły się kopiować broń termitów i wynalazły nowe jej rodzaje. Świat ogarnęły wojny mrówek i termitów, trwające blisko dwadzieścia milionów lat. Mniej więcej w tym okresie mrówki wynalazły broń wykorzystującą kwas mrówkowy, co zadecydowało o ich ostatecznej przewadze.

Jeszcze dzisiaj toczą się bitwy między tymi dwoma skłóconymi gatunkami, rzadko jednak się zdarza, by zwyciężały termity.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

– Poznał go pan w Afryce, prawda?

– Tak – odpowiedział profesor. – Edmund miał zmartwienia. Jeśli dobrze pamiętam, zmarła mu żona. Rzucił się w wir pracy badawczej nad owadami.

– Dlaczego akurat owady?

– A dlaczego nie? Owady stanowiły obiekt zainteresowania od zarania dziejów. Już nasi

najdalsi przodkowie obawiali się komarów przenoszących choroby, gryzących pcheł, wolków zbożowych pożerających ich zapasy żywności. To pozostawiło ślady.

Jonatan znajdował się w laboratorium nr 326 entomologicznego centrum CNRS w Fontainebleau, w towarzystwie profesora Daniela Rosenfelda, starszego pana z włosami spiętymi w koński ogon, uśmiechniętego i gadatliwego.

– Owad może zmylić, jest mniejszy i delikatniejszy niż my, a mimo to drwi sobie z nas, a nawet nam grozi. Zresztą, jeśli się dobrze zastanowić, wszyscy kończymy w ich żołądkach. To przecież robaki, larwy muszek, rozprawiają się z naszymi szczątkami...

– Nie pomyślałem o tym.

– Owad od zawsze był uważany za wcielenie zła. Na przykład Belzebub, jeden z wysłanników Szatana, jest przedstawiany jako postać z głową muchy. To nie przypadek.

– Mrówki mają lepszą reputację niż muchy.

– To zależy. W każdej kulturze jest inaczej. W Talmudzie są symbolem uczciwości. Buddyści tybetańscy kojarzą je z przemijaniem i materializmem. Na Wybrzeżu Kości Słoniowej wierzy się, że jeżeli ciężarna kobieta zostanie ugryziona przez mrówkę, urodzi dziecko z głową mrówki. Niektórzy Polinezyjczycy z kolei mają je za małe bóstwa.

– Edmund pracował poprzednio nad bakteriami, czemu więc porzucił ten przedmiot badań?

– Bakterie interesowały go sto razy mniej niż badania nad owadami, a w szczególności nad mrówkami. A gdy mówię badania, mam na myśli całkowite poświęcenie. To on był inicjatorem petycji przeciwko mrowiskom – zabawkom, tym plastikowym pudełkom sprzedawanym w dużych centrach handlowych, składającym się z królowej i stu robotnic. Proponował również wykorzystywanie mrówek jako „środka owadobójczego”. Chciał zakładać w lasach miasta rudnic, by niszczyły szkodniki. To nie był zły pomysł. Już w przeszłości używano we Włoszech mrówek do walki z korowódkami, a w Polsce do zwalczania niesnujowatych, dwóch szkodników drzew.

– To dobry pomysł: kazać jednym owadom walczyć z drugimi?

– Mhmm, on to nazywał „ingerencją w ich dyplomację”. W poprzednim stuleciu wyrządzono wiele szkód, działając środkami owadobójczymi. Nie należy nigdy atakować owada wprost, lecz bardziej go doceniać i nie próbować go poskramiać, jak to się robi ze ssakami. Owad to inna filozofia, inna czasoprzestrzeń, inny wymiar. Ma na przykład sposób na wszelkie chemiczne trucizny: mitrydatyzm. Wie pan, jeśli nie udaje nam się wciąż radzić sobie z inwazją szarańczy, to dlatego, że te bestie są w stanie dostosować się do wszystkiego. Może je pan potraktować środkiem owadobójczym – 99 procent osobników zginie, ale jeden procent przeżyje. I ten jeden procent będzie nie tylko uodporniony, lecz także wyda na świat 100 procent małych szarańczy uodpornionych na ten środek owadobójczy. I tak od dwustu lat popelnia się ogromny błąd, zwiększając ciągle stężenie toksycznych substancji w środkach owadobójczych, do tego stopnia,

że te niszczą bardziej ludzi niż owady. W ten sposób stworzyliśmy superodporne istoty, które są w stanie zjadać najgorsze trucizny, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy.

– Chce pan powiedzieć, że właściwie nie ma sposobu na walkę z owadami?

– Proszę zobaczyć. Nadal istnieją komary, szarańcza, karaluchy, muchy tse-tse i mrówki. Są odporne na wszystko. W 1945 roku stwierdzono, że jedynie mrówki i skorpiony przetrwały wybuchy bomb atomowych. Przystosowały się nawet do tego!

Samiec 327 przelał krew jednej z komórek Federacji. Dokonał największego gwałtu, jakiego można się dopuścić na własnym organizmie. Naszły go gorzkie myśli. Czy miał jednak inne wyjście, on, hormon informacji, by przeżyć i móc kontynuować swą misję?

Jeśli zabił, to dlatego, że próbowano zabić jego. To reakcja łańcuchowa. Jak rak. Federacja traktuje go w anormalny sposób, więc i on musi postępować podobnie. Musi pogodzić się z tą myślą. Zabił siostrzaną komórkę. Być może zabije też kolejne.

– Ale cóż on miał zamiar robić w Afryce? Skoro mrówki, sam pan mówi, są wszędzie.

– Jasne, ale nie te same mrówki... Myślę, że Edmundowi po śmierci żony na niczym już nie zależało. Zastanawiam się wręcz czasami, patrząc wstecz, czy on nie oczekiwał, że mrówki pomogą mu w popełnieniu samobójstwa.

– Że co, przepraszam?

– Prawie go zżarły, do diabła! Afrykańskie mrówki koczujące... Widział pan może film *Gdy Marabounta grzmi?*

Jonatan pokręcił przecząco głową.

– Marabounta to masa mrówek koczujących *Dorylinae*, zwanych też *Anomma nigricans*, niszczących wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Profesor Rosenfeld wstał z fotela, jakby chciał uniknąć nadchodzącej, niewidzialnej fali.

– Najpierw słychać narastający szmer, na który składają się piski, wrzaski, uderzenia skrzydeł i nóżek wszystkich małych stworzeń próbujących umknąć. Na tym etapie nie widać jeszcze koczujących. Nagle zza jakiegoś wzniesienia pojawia się kilka wojowniczek. Po zwiadowcach nadchodzą inne, w kolumnach, których końca nie widać... Wzgórze robi się czarne. To jak potok lawy, która pochłania wszystko na swej drodze.

Profesor przejęty chodził tam i z powrotem po pokoju.

– To zatruta krew Afryki. Żywy kwas. Ich liczba jest przerażająca. Jedna kolonia koczujących składa każdego dnia pięćset tysięcy jaj. Można by napełniać całe wiadra... Ten strumień czarnego kwasu siarkowego płynie, zalewa wzniesienia, drzewa, nic go nie zatrzymuje. Ptaki, jaszczurki i inne owadożerne ssaki, które na swe nieszczęście znajdują się w pobliżu, w jednej chwili zostają zmiecione. Apokaliptyczna wizja! Koczujące nie boją się żadnego stworzenia. Raz widziałem

zbyt ciekawskiego kota, który rozpuścił się w jednej chwili. Przechodzą nawet przez strumienie, tworząc pływające mosty z własnych trupów!... Na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w regionie położonym niedaleko centrum tropikalnego ekosystemu w Lamto, gdzie prowadziliśmy badania, ludność jeszcze nie znalazła sposobu obrony przed tą inwazją. Gdy nadchodzi wiadomość, że ci maleńcy Attylowie będą przechodzić przez wieś, ludzie uciekają, zabierając co cenniejsze przedmioty. Wstawiają nogi stołów i krzeseł do wiader z octem i modlą się do swych bogów. Po powrocie zastają wszystko wyczyszczone. Jak po tajfunie. Nie ma najmniejszego śladu jakiegokolwiek jedzenia czy innej substancji organicznej. Najmniejszego robaczka. Koczujące to chyba najlepszy sposób na gruntowne oczyszczenie domu.

– Jak je zatem badaliście, skoro były tak okrutne?

– Czekaliśmy do południa. Owady nie mają systemu regulacji cieplnej jak my. Gdy jest 18 stopni na zewnątrz, ich ciało też ma 18 stopni, a upał zmienia ich krew we wrzątek. To dla nich nieznośne. A zatem przy pierwszych parzących promieniach, koczujące wykopują sobie biwakowe gniazdo, gdzie czekają, aż pogoda stanie się bardziej przychylna. To taka niby-hibernacja, chociaż z powodu upału, a nie zimna.

– I co dalej?

Jonatan nie umiał tak naprawdę prowadzić rozmowy. Uważał, że dyskusja przypomina naczynia połączone. Jeden rozmówca wie – to jest naczynie pełne, a drugi nie wie – to jest naczynie puste, czyli zazwyczaj on sam. Ten, który nie wie, nastawia uszu i dodaje od czasu do czasu animuszu rozmówcy rzucając „i co dalej?“, „proszę mi o tym opowiedzieć“ i potakuje głową.

Jeśli nawet istniały inne sposoby porozumiewania się, on ich nie znał. Poza tym wydawało mu się, wnioskując z zachowania innych ludzi, że każdy wdaje się w monologi, szukając jedynie u słuchającego darmowego psychoanalityka. Wolał zatem swoją własną technikę. Sprawiał może w ten sposób wrażenie, że kompletnie nic nie wie, ale przynajmniej bez przerwy się uczył. Chińskie przysłowie głosi: „Ten, kto zadaje głupie pytanie, jest głupi przez pięć sekund, lecz ten, kto go nie zadaje, zostaje głupi na całe życie”.

– I co dalej? No poszliśmy tam, do licha! To było coś, proszę mi wierzyć. Chcieliśmy znaleźć tę cholerną królową. Osławione stworzenie, które składa pięćset tysięcy jaj dziennie. Chcieliśmy ją tylko zobaczyć i sfotografować. Włożyliśmy wysokie buty rybackie. Na nieszczęście Edmund nosił numer 43, a zostały już tylko czterdziestki. Poszedł więc w espadrylach... Pamiętam, jakby to było wczoraj. O 12.30 zaznaczyliśmy na ziemi obszar, który mogło zajmować ich gniazdo, i zaczęliśmy kopać wokół rów głęboki na metr. O 13.30 dotarliśmy do zewnętrznych pomieszczeń. Zaczęło się stamtąd wylewać coś w rodzaju czarnej i chrząszczącej mazi. Tysiące podeksytowanych wojowniczek szczękających żuwaczkami, które u tego gatunku są ostre jak

żyłek. Wbijają się w nasze buty, a my zbliżaliśmy się, krok po kroku, za pomocą łopaty i motyki, do komnaty godowej. W końcu znaleźliśmy nasz skarb. Królową. Owad dziesięć razy większy niż europejskie królowe. Sfotografowaliśmy ją ze wszystkich stron, podczas gdy ona z pewnością wyrzaskiwała *God save the Queen* w swoim zapachowym języku... Nie trzeba było długo czekać na reakcję. Zewsząd zbiegały się wojowniczkę, które zaczęły tworzyć małe wzgórze u naszych stóp. Niektórym udawało się wspiąć po ciałach sióstr, wbitych już w gumę naszych butów. Stąd przedostawały się pod spodnie i pod koszulę. Byliśmy jak Guliwerzy, a nasi Lilipuci marzyli tylko o tym, by nas przerobić na jadalne strzępy! Trzeba było przede wszystkim uważać, żeby nie dostały się do żadnego z naszych naturalnych otworów: nosa, ust, odbytu, uszu. Gdyby tak się stało, to koniec, wydrążyłyby nas od wewnątrz.

Jonatan siedział cicho, pod wrażeniem opowieści. Tymczasem profesor jakby przeżywał ponownie całą scenę, gestykulując z energią młodego człowieka, którym już nie był.

– Próbowaliśmy je przepędzić, ale przyciągał je nasz oddech i pot. Wszyscy ćwiczyliśmy jogę, żeby umieć wolno oddychać i kontrolować strach. Staraliśmy się nie myśleć, zapomnieć o tych czarnych księżkach wojowniczek, chcących nas zabić. Zrobiliśmy dwa filmy zdjęć, z tego niektóre z lampą. Gdy skończyliśmy, szybko wyskoczyliśmy z rowu. Wszyscy oprócz Edmunda. Mrówki zakryły go łącznie z głową, zamierzały go pożreć! Szybko wyciągnęliśmy go za ramiona, rozebraliśmy i zeszkrobaliśmy z niego wszystkie białe w ciało żuwaczki. Byliśmy pogryzieni, ale nie do tego stopnia co on, bez butów. I przede wszystkim przestraszył się, wyemitował feromony strachu.

– To potworne.

– Nie, to wspaniałe, że uszedł z życiem. To go zresztą wcale nie zniechęciło do mrówek. Wręcz przeciwnie, zaczął je badać jeszcze bardziej zapamiętanie.

– A potem?

– Wrócił do Paryża. Nie mieliśmy od niego więcej wieści. Nawet nie zadzwonił do starego Rosenfelda! I w końcu przeczytałem w gazecie, że nie żyje. Pokój jego duszy.

Podszedł odsłonić okno i spojrzął na staroświecki emaliowany termometr.

– Hmm, 30°C w połowie kwietnia, to niewiarygodne. Z roku na rok robi się coraz cieplej. Jak tak dalej pójdzie, za dziesięć lat Francja stanie się krajem tropikalnym.

– Myśli pan, że do tego rzeczywiście dojdzie?

– Nie widzimy tego, bo wszystko dzieje się stopniowo. Ale my, entomolodzy, dostrzegamy konkretne szczegóły: w Basenie Paryskim pojawiają się gatunki owadów typowe dla obszarów okołorównikowych. Zauważył pan, że motyle stają się coraz bardziej kolorowe?

– Rzeczywiście, nawet wczoraj znalazłem jednego, odbłaskowego, czarno-czerwonego siedzącego na samochodzie...

– To z pewnością kraśnik pięcioplamek. Jadowity motyl, którego dotychczas można było spotkać jedynie na Madagaskarze. Jak tak dalej pójdzie... Wyobraża pan sobie koczujące w Paryżu? Niezła panika. To byłoby zabawne...

Po oczyszczeniu czulek i zjedzeniu kilku ciepłych jeszcze kawałków ciała dozorca z wydrążonego otworu, samiec bez zapachu drepcze dalej drewnianym korytarzem. Matczyna komnata jest już niedaleko, czuje ją. Na szczęście jest 25°C i przy tej temperaturze niewiele istot kręci się po zakazanym Mieście. Powinien wślizgnąć się bez trudu.

Nagle wyczuwa zapach dwóch wojowniczek idących z naprzeciwka. Jedna duża i jedna mała. A małej brakuje kilku nóżek...

Węszą wzajemnie z daleka swoje fluidy.

Niewiarygodne, to on!

Niewiarygodne, to one!

327 umyka, licząc, że uda mu się je zgubić. Krąży po trójwymiarowym labiryncie. Wychodzi z zakazanego Miasta. Mrówki stróże nie zatrzymują go, gdyż nie zostały zaprogramowane, by kontrolować wychodzących na zewnątrz. Stąpa teraz po sypkiej ziemi. Bierze zakręt za zakrętem. Lecz tamte są równie szybkie i nie zostają w tyle. Nagle samiec potrąca i przewraca robotnicę obciążoną gałązką; zrobił to niechcący, lecz dzięki temu pościg morderczyń o zapachu skały został przyhamowany. Trzeba wykorzystać tę zwłokę. Szybko chowa się w szczelinie. Kulawa jest coraz bliżej. 327 wciska się nieco bardziej do kryjówki.

– Gdzie on się podział?

– Znowu zszedł na dół.

– Jak to zszedł?

Lucie ujęła Augustę za ramię i zaprowadziła ją do drzwi piwnicy.

– Jest tam od wczorajszego wieczora.

– I do tej pory nie wyszedł?

– Nie, nie wiem, co tam się dzieje, ale stanowczo zabronił mi wzywać policję... Schodził tam już wiele razy i zawsze wracał.

Augusta była oszołomiona.

– Ależ to szaleństwo! Wuj zabronił mu przecież stanowczo...

– Zabiera teraz ze sobą swoje narzędzia, stalowe elementy, betonowe płyty. A jeśli chodzi o to, co on tam robi...

Lucie ukryła twarz w dłoniach. Była wykończona, czuła, że ponownie jest na skraju depresji.

– I nie można po niego zejść?

– Nie. Założył zamek, który zamyka od wewnątrz.

Augusta usiadła przygnębiona.

– No cóż, gdybym mogła przewidzieć, że przywołanie wspomnień o Edmundzie tyle zmieni...

SPECJALISTA: W wielkich współczesnych mrówczych miastach podział ról, niezmienny od milionów lat, spowodował mutacje genetyczne.

Jedne mrowki rodzą się więc z olbrzymimi nożycowatymi żuwaczkami i zostają wojowniczkami, inne wyposażone są w żuwaczki mielące, by produkować mękę zbożową, inne obdarzone zostały wyjątkowo rozwiniętymi gruczołami ślinowymi, by nawilżać i dezynfekować młode larwy.

To tak, jakby nasi żołnierze rodzili się z palcami w formie noży, chłopci z nogami w kształcie szczypiec, by wspinać się i zbierać owoce z drzew, a niańki przychodziły na świat z dziesięcioma sutkami.

Ale ze wszystkich tych „zawodowych” mutacji najbardziej spektakularna jest mutacja „miłosna”. Aby popęd płciowy nie rozpraszał pracowitych robotnic, rodzą się one bezpłciowe. Cała energia rozrodcza skoncentrowała się na specjalistach: samcach i samicach, księżętach i księżniczkach tej równoległej nam cywilizacji.

Ich życie i narządy, w które zostały wyposażone, mają jedną tylko funkcję – funkcję miłosną. Posiadają rozliczne gadżety, mające im pomóc w kopulacji: skrzydła, przyocznka czy też czułki emitujące i odbierające abstrakcyjne emocje.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Jego kryjówka nie jest ślepyim zaułkiem, prowadzi do małej groty. 327 zaszywa się w niej. Wojowniczkami z zapachu skały przechodzą, niczego nie zauważając. Jak się jednak okazuje, grotka nie jest pusta. Jest w niej ktoś ciepły i pachnący. Ktoś, kto emituje sygnały.

Kim jesteś?

Zapachowe pytanie jest jasne, precyzyjne, rozkazujące. Dzięki przyoczkom 327 dostrzega duże zwierzę. Na pierwszy rzut oka jego masa musi przekraczać dziewięćdziesiąt ziaren piasku. A jednak to nie jest wojowniczka. To coś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie czuł, nie widział.

Samica.

Ale jaka samica! Przygląda się jej dłuższą chwilę. Delikatne kształtne nóżki ozdobione są maleńkimi włoskami rozkosznie wysmarowanymi hormonami płciowymi. Szerokie czułki tryskają silnymi zapachami. Oczy o czerwonych refleksach są jak dwie jagody. Ma masywny odwłok, gładki i wrzecionowaty. Duży pancerz osłaniający tułów zwieńczony jest pięknym, ziarnistym mesotonum. Ma także wreszcie długie skrzydła, dwa razy większe niż te, które on sam posiada.

Samica otwiera swoje śliczne, maleńkie żuwaczki i... skacze mu do gardła, by odciąć głowę.

327 ma trudności z przetykaniem, dusi się. Ponieważ brak mu identyfikatorów, samica nie zamierza zwolnić uścisku. Dla niej jest obcym ciałem, które trzeba zniszczyć.

Dzięki swym niewielkim rozmiarom, samcowi udaje się jednak uwolnić. Wspina się na grzbiet samicy, ściska jej głowę. Fortuna kołem się toczy. Teraz ona ma kłopoty. Broni się. Gdy już wyraźnie słabnie, 327 wysuwa czułki. Nie chce jej zabić, chce tylko, żeby go wysłuchała. Ale sprawa nie jest taka prosta. Chce z nią mieć PA. Tak, Porozumienie Absolutne.

Samica (zidentyfikował jej numer jajeczka, to 56) cofa czułki, unika kontaktu. Następnie podnosi się, żeby się go wreszcie pozbyć. Lecz on trzyma się ze wszystkich sił jej mesotonum i zwiększa uścisk żuwaczek. Jeśli ona nie zrezygnuje, wyrwie jej głowę jak chwast.

Samica nieruchomieje. On również.

Przyoczkami, którymi obejmuje pole widzenia do 180°, widzi wyraźnie swojego napastnika, usadowionego na jej plecach. Jest malutki.

Samiec!

Przypomina sobie nauki nianiek:

Samce są pólistotami. W przeciwieństwie do wszystkich innych komórek Miasta posiadają jedynie połowę chromosomów naszego gatunku. Poczęte zostały z niezapłodnionych jajeczek. Są zatem wielkimi jajeczkami, a raczej plemnikami, żyjącymi na wolnym powietrzu.

Ma na plecach plemnik, który usiłuje ją udusić. Ta myśl niemal ją rozśmieszyła. Dlaczego jedne jajeczka są zapłodnione, a inne nie? Zależy to prawdopodobnie od temperatury. Poniżej 20° plemnik nie może się uaktywnić i Matka składa niezapłodnione jajeczka. Samce wywodzą się z zimna. Jak śmierć.

56 po raz pierwszy widzi prawdziwego samca z krwi i chityny. Czegoż on może tutaj szukać, tu, w gineceum dziewicy? To zakazany teren, zarezerwowany jedynie dla żeńskich komórek płciowych. Jeśli jakakolwiek obca komórka jest w stanie dotrzeć do ich sanktuarium, to oznacza, że drzwi są otwarte dla każdej infekcji!

Samiec 327 próbuje ponownie nawiązać komunikację za pomocą czulek. Ale samica nie pozwala na to. Gdy tylko on unosi czułki, ona je natychmiast odpycha, gdy on muska jej drugi człon, ona cofa czułki. Nie chce porozumienia.

Samiec zwiększa jeszcze bardziej ucisk szczęk i udaje mu się skontaktować jego siódmy człon czułkowy z jej siódmym członem. 56 nigdy do tej pory nie porozumiewała się w ten sposób. Nauczono ją unikania wszelkich kontaktów, a jedynie nadawania i odbierania zapachów. Ale wie, że ten eteryczny sposób kontaktowania się może być zwodniczy. Matka nadała któregoś dnia feromon na ten temat:

Zawsze dochodzi do nieporozumień między dwoma mózgami, zakłócające zapachy, przeciągi,

zła jakość emisji i odbioru wywołują przekłamania.

Jedynym sposobem, by uniknąć tych niedogodności, jest Porozumienie Absolutne. Bezpośredni kontakt czułkami. Przekaz neuromediatorów z jednego mózgu do drugiego, bez żadnych przeszkód. Dla niej to rodzaj defloracji umysłu. W każdym razie coś trudnego i nieznanego. Nie ma już jednak wyboru, jeśli on nadal będzie tak ścisłał – zabije ją. Układa czułki na ramionach, okazując w ten sposób swą uległość.

PA może się rozpocząć. Dwie pary czulek zbliżają się do siebie. Następuje małe wyładowanie elektryczne. To nerwy. Powoli, potem coraz szybciej, dwa owady pocierają nawzajem swoje jedenaście karbowanych członów. Tu i ówdzie pojawia się piana pełna bezładnych wyrażań. Ta tłusta substancja nawilża czułki i pozwala na przyspieszenie rytmu tarcia. Dwie owadzie głowy wibrują niekontrolowanie, po chwili czułki kończą swój taniec i przylegają jeden do drugiego całą powierzchnią. Jest teraz tylko jedna istota o dwóch głowach, dwa ciała i jedna para czulek.

Dokonyje się cud natury. Przez tysiące maleńkich porów i naczynek włoskowatych feromony przenikają z jednego ciała do drugiego. Obie myśli się łączą. Nie są już kodowane i dekodowane. Wracają do prostoty pierwotnego stanu: obrazy, muzyka, emocje, zapachy.

W tym całkowicie bezpośrednim języku samiec 327 opowiada swoją przygodę samicy 56: zmasakrowaną wyprawę, zapachowe ślady karłowatych wojowniczek, spotkanie z Matką, próbę zgładzenia go, utratę identyfikatorów, walkę ze stróżem, ścigające go morderczynie o zapachu skały.

Po zakończeniu PA, ona cofa czułki na znak dobrych zamiarów względem niego. On schodzi z jej pleców. Teraz jest zdany na jej łaskę lub niełaskę, mogłaby go z łatwością zniszczyć. Ona zbliża się z szeroko rozwartymi żuwaczkami i... daje mu kilka feromonów identyfikacyjnych. Dzięki nim na jakiś czas jest uratowany. Proponuje mu trofalaksję, na którą on się zgadza. Następnie samica zaczyna brzęczeć skrzydłami, aby rozwiać wszystkie opary ich rozmowy.

Udało się, przekonał kogoś. Informacja została podana dalej, zrozumiana, zaakceptowana przez inną komórkę.

Stworzył swoją grupę roboczą.

CZAS: Pojęcie czasu jest zupełnie inne u ludzi i u mrówek. Dla ludzi czas jest bezwzględny. Okresowość i trwanie sekund jest jednakowe, cokolwiek by się działo.

U mrówek, z kolei, czas jest względny. Kiedy jest ciepło, sekundy są bardzo krótkie. Kiedy jest zimno, rozciągają się i wydłużają w nieskończoność, aż do utraty świadomości, do hibernacji.

Elastyczność czasu daje im pojęcie szybkości zupełnie inne niż nasze. Aby zdefiniować ruch, owady używają oprócz przestrzeni i trwania jeszcze innego wymiaru: temperatury.

Edmund Wells,

Od tej pory jest ich dwoje, obojgu zależy na przekonaniu jak największej liczby sióstr o tym, że „sprawa tajemnej, niszczycielskiej broni” jest poważna. Nie jest jeszcze za późno. Muszą jednak wziąć pod uwagę dwa elementy. Po pierwsze, nie uda im się przeciągnąć na swoją stronę wystarczającej liczby robotnic przed Świętem Odrodzenia, które pochłonie całkowicie większość energii. Muszą zatem mieć trzeciego współnika. Po drugie, konieczne jest znalezienie jakiejś kryjówki na wypadek, gdyby wojowniczkki o zapachu skały znów się pojawiły.

56 proponuje swoją komnatę. Wykopała tam sekretne przejście, które pozwoli im uciec w razie kłopotów. Samiec 327 nie jest tym specjalnie zdziwiony, gdyż kopanie sekretnych przejść jest akurat w modzie. Wszystko zaczęło się sto lat temu, podczas wojny z mrówkami plującymi klejem. Jedna z królowych Federacji, Ha-yekte-douni, miała obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Kazała skonstruować „pancerne”, zakazane Miasto. Flanki uzbrojone zostały potężnymi kamieniami, te z kolei połączone lepiszczem termitów!

Problem polegał na tym, że istniało tylko jedno wyjście. Kiedy więc miasto otoczyły oddziały mrówek plujących klejem, królowa znalazła się w pułapce własnego pałacu. Plujące klejem mrówki bez trudu złapały ją i uduśliły we wstrętnej, szybkoschnącej mazi. Królowa Ha-yekte-douni została następnie pomszczona, ale jej okropna i bezsensowna śmierć na długo zapisała się w belokanijskich umysłach.

Mrówki, które mają to niesłychane szczęście, że jednym ruchem żuwaczek mogą zmieniać kształt swojego domostwa, zaczęły kopać własne sekretne przejścia. Jedna kopiąca dziurę mrówka nie stanowi jeszcze problemu, lecz gdy jest ich milion, to już jest katastrofa. Oficjalne korytarze zapadały się, podkopywane przez korytarze prywatne. Gdy wchodziło się do jednego sekretnego przejścia, kończyło się w prawdziwym labiryncie utworzonym przez korytarze innych. Były to działania na taką skalę, że sypały się całe dzielnice, co zagrażało przyszłości samego Bel-o-kan.

Matka ukróciła ten proceder. Nikt nie miał odtąd prawa kopać na własny rachunek. Jak jednak zapanować nad wszystkimi komnatami?

Samica 56 usunęła ziarno żwiru, ukazując ciemny otwór. To tu, 327 ogląda schronienie, stwierdza, że jest doskonałe. Pozostaje jeszcze kwestia znalezienia trzeciego współnika. Wychodzą, maskując starannie wejście do kryjówki. 56 nadaje:

Pierwsza lepsza będzie dobra. Zajmę się tym.

Po chwili spotykają dużą bezpłciową wojowniczkę, która ciągnie za sobą kawałek motyla. Samica wzywa ją pełnym wzburzenia sygnałem informującym o poważnym zagrożeniu dla Federacji. Władza językiem emocji z mistrzowską delikatnością, na co samiec patrzy pełen podziwu. Wojowniczkka natychmiast porzuca swą zdobycz i podchodzi, by z nimi porozmawiać.

Wielkie zagrożenie Federacji? Gdzie, kto, jak i dlaczego?

Samica opowiada jej zwięźle o katastrofie, która spotkała pierwszą wiosenną ekspedycję. Każda jej wypowiedź emituje cudowne fluidy. Ma już wdzięk i charyzmę królowej. Wojowniczką szybko daje się przekonać.

Kiedy wyruszamy? Ilu wojowniczek potrzeba, by zaatakować karłowate?

Przedstawia się. 103 683 bezpłciowa z letniego lęgu. Wielka błyszcząca głowa, długie żuwaczki, niemal nieistniejące oczy, krótkie nóżki – to będzie cenna współniczka. Okazuje się również urodzoną entuzjastką. Samica 56 musi wręcz ostudzić nieco jej zapał.

Informuje ją o istnieniu szpiegów w samym sercu Federacji, być może najemników zaprzędanych karłowatym. Szpiedzy mają za zadanie uniemożliwić Belokanijkom rozwiązanie zagadki tajemnej broni.

Rozpoznaje się je po charakterystycznym zapachu skały. Trzeba działać szybko.

Możecie na mnie liczyć.

Rozdzielają między siebie strefy wpływów. 327 będzie próbował przekonać niańki z solarium. Są zazwyczaj dość naiwne.

103 683 spróbuje przeciągnąć na ich stronę więcej wojowniczek. Będzie wspaniale, jeśli uda jej się stworzyć oddział.

Mogę również przepytać zwiadowczynię, spróbować zdobyć dodatkowe informacje na temat tajemnej broni karłowatych.

56 odwiedzi zaś miejsca uprawy grzybów i obory, aby uzyskać tam wsparcie strategiczne.

Zbiórka w celu podsumowania działań, w tym miejscu, przy 23°.

W ramach cyklu *Kultury świata* telewizja nadawała tym razem reportaż o obyczajach japońskich.

„Japończycy, naród wyspiarski, przyzwyczajeni są od wieków do gospodarki samowystarczalnej. Według nich świat dzieli się na dwie części: na Japończyków i innych, obcych, o niezrozumiałych zwyczajach, barbarzyńców, których nazywają *Gai jin*. Poczucie przynależności narodowej zawsze odgrywało u nich dużą rolę. Kiedy Japończyk wyjeżdża, na przykład do Europy, automatycznie zostaje wykluczony ze wspólnoty. Jeśli wróci po roku, rodzina nie będzie go już traktować jak swojego. Życie wśród *Gai jin* jest równoznaczne z przesiąknięciem innym sposobem myślenia, a to oznacza zatem stanie się *Gai jin*. Nawet przyjaciele z dzieciństwa nie odezwią się do niego inaczej niż jak do turysty”.

Na ekranie przesuwają się obrazy różnych świątyń i innych miejsc kultu w Shinto. Głos z telewizora podjął:

„Ich wizja życia i śmierci jest inna niż nasza. Tu śmierć jednostki nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Niepokojące jest tylko zniknięcie komórki produkcyjnej. Aby oswoić śmierć,

Japończycy uprawiają sztukę walki. Kendo naucza się w szkole już od najmłodszych lat...”.

Na ekranie pojawia się dwóch wojowników, ubranych w stroje dawnych samurajów. Ich torsy okrywają czarne, łączone w stawach zbroje. Na głowach mają owalne kaski ze zwisającymi przy uszach długimi piórami. Rzucają się jeden ku drugiemu, wydając okrzyk wojenny, i rozpoczynają pojedynek na długie miecze.

Kolejny obraz: klęczący człowiek trzyma oburącz krótki miecz z ostrzem wycelowanym w brzuch.

„Rytualne samobójstwo, *seppuku*, jest kolejną cechą charakterystyczną kultury japońskiej. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć tego...”.

– Telewizja, ciągle telewizja! Tylko oglupia! Wpycha nam wszystkim te same obrazy do głowy. Zresztą opowiadają same bzdury. Nie macie tego dość? – wykrzyknął Jonatan, który wrócił do domu zaledwie kilka godzin wcześniej.

– Zostaw go. To go uspokaja. Od śmierci psa nie jest z nim zbyt dobrze... – powiedziała Lucie głosem bez wyrazu.

Jonatan pogładził syna po podbródku.

– Coś nie tak, synu?

– Ciii... słucham.

– Hej! Jak to się teraz do nas odzywasz?

– Raczej, jak się do ciebie odzywa. Trzeba przyznać, że nie widujecie się zbyt często, nie dziw się zatem, że traktuje cię chłodno.

– Nicolas, udało ci się ułożyć cztery trójkąty z zapalek?

– Nie, to mnie wnerwia. Nie przeszkadzaj, teraz słucham.

– No dobra, skoro tak...

Jonatan, z zamysłą miną, zaczął układać zapalki rozrzucone po stole.

– Szkoda, to... pouczające.

Nicolas nie słuchał, jego mózg podłączony był bezpośrednio do telewizora. Jonatan poszedł do swojego pokoju.

– Co tam robisz? – spytała Lucie.

– Przecież widzisz, przygotowuję się, wracam tam.

– Co? O nie!

– Nie mam wyboru.

– Jonatan, powiedz mi, cóż tam jest takiego fascynującego? W końcu jestem twoją żoną!

Nic nie odpowiedział. Odwrócił wzrok. I nadal miał ten nieprzyjemny tik. Zmęczona Lucie westchnęła:

– Zabiłeś szczury?

– Sama moja obecność wystarczy, że trzymają się z daleka. A jeśli próbują się zbliżyć, wyjmuję to.

Zamachał przed nią wielkim, zaostrzonym nożem kuchennym. Drugą ręką chwycił halogenową latarkę i skierował się ku drzwiom od piwnicy, z plecakiem i torbą pełną jedzenia i narzędzi ślusarskich. Ledwie rzucił na odchodnym:

– Do widzenia, Nicolas. Do widzenia, Lucie.

Lucie nie wiedziała już, co robić. Chwyciła Jonatana za ramię.

– Nie możesz tak odejść! To zbyt proste. Musisz ze mną porozmawiać!

– Och, przestań!

– Jak mam do ciebie mówić? Odkąd zszedłeś do tej przeklętej piwnicy, zmieniłeś się. Nie mamy już pieniędzy, a ty na narzędzia i książki o mrówkach wydałeś z pięć tysięcy franków.

– Interesuje mnie ślusarstwo i mrówki. Mam do tego prawo.

– Nie, nie masz do tego prawa. Masz syna i żonę na utrzymaniu. Jeśli wszystkie pieniądze z zasiłku dla bezrobotnych przepuścisz na książki o mrówkach, to ja...

– Rozwiedziesz się ze mną? To chcesz powiedzieć?

Puściła jego ramię, przybita.

– Nie.

Ujął ją za ramiona. Znów ten grymas ust.

– Musisz mi zaufać, bo ja muszę dotrzeć do końca. Nie zwariowałem.

– Nie zwariowałeś? Spójrz tylko na siebie! Wyglądasz jak żywy trup, jakbyś cały czas miał gorączkę.

– Moje ciało się starzeje, głowie za to ubywa lat.

– Jonatan! Powiedz mi, co się tam dzieje na dole?!

– Pasjonujące rzeczy. Trzeba schodzić niżej, coraz niżej, jeśli się chce któregoś dnia wyjść...

Wiesz, to tak jak w basenie, jeśli odbijesz się od dna, możesz wypłynąć na powierzchnię.

Wybuchnął obłąkańczym śmiechem, który pół minuty później rozbrzmiewał jeszcze ponuro w głębi kręconych schodów.

Piętro +35. Cienka warstwa gałązek daje efekt witraża. Promienie słońca migoczą, przedzierając się przez ten filtr, a następnie opadają rozgwieżdżonym deszczem na ziemię. To solarium miasta, swego rodzaju fabryka produkująca belokanijskich obywateli.

Panuje tu skwar. 38°C. Nic dziwnego, solarium jest wystawione na południe, by móc jak najdłużej korzystać z żaru białej gwiazdy. Czasami, dzięki katalizatorowi, którym są gałązki, temperatura dochodzi do 50°C!

Tysiące nówek biegają w tę i z powrotem. Najliczniejszą tutaj kastę stanowią niańki. Układają w stosy jajeczka składane przez Matkę. Dwadzieścia cztery stosy stanowią pryzmę, dwanaście

przym tworzy rząd. Rzędy ciągną się daleko. Kiedy chmura rzuci cień, nianki przedstawiają stopy jajeczek. Najmłodsze muszą być zawsze najlepiej ogrzane. „Wilgotne ciepło dla jajeczek, suche ciepło dla kokonów” – oto stary myrmeczeński przepis na śliczne maluchy.

Z lewej widać robotnice odpowiedzialne za ogrzewanie. Układają jeden na drugim kawałki czarnego drewna akumulującego ciepło i grudki fermentującej próchnicy, która je wydziela. Dzięki tym „grzejnikom” w solarium może utrzymać się stała temperatura od 25°C do 40°C, nawet gdy na zewnątrz jest zaledwie 15°C.

Artylerzystki krążą w pełnej gotowości. Gdyby znów pojawił się dzięcioł...

Po prawej widać starsze już jajeczka. Długotrwała metamorfoza: pod wpływem czasu i zabiegów nianiek, małe jajeczka rosną i żółkną. W zależności od pogody, po okresie od jednego do siedmiu tygodni przeobrażają się w złotowłose larwy.

Nianki są niezwykle skupione. Nie szczedzą ani odkażającej śliny, ani uwagi. Larwy nie mogą mieć kontaktu z najmniejszym brudem. Są tak delikatne. Nawet feromony dialogu ograniczone są do minimum.

Pomóż mi je przenieść w ten kąt... Uwaga, twój stos zaraz się rozsypie...

Nianka przenosi larwę dwa razy dłuższą od siebie. Z pewnością artylerzystkę. Układa ją w jednym z kątów i liże.

W samym środku tego obszernego inkubatora spoczywają ułożone w stopy larwy, u których można już zauważyć zarysowujące się segmenty ciała; krzyczą, domagając się karmienia. Poruszają głowami we wszystkie strony, wyciągają szyje i gestykują, aż nianki dostarczą im nieco spadzi lub owadziego mięsa.

Po upływie trzech tygodni, gdy larwy dojrzeją, przestają jeść i poruszać się. To faza letargu, przygotowująca do wysiłku. Akumulują energię, potrzebną do utworzenia kokonu, w którym zmienią się w poczwarkę.

Nianki taszczą te wielkie pakunki do sąsiedniego pomieszczenia, wypełnionego suchym piaskiem, w który wsiąka wilgoć z powietrza. „Wilgotne ciepło dla jajeczek, suche ciepło dla kokonów”, w kółko można powtarzać tę starą prawdę.

W tej cieplarni biały kokon o błękitnawym odcieniu staje się żółty, następnie szary, wreszcie brązowy. Kamień filozoficzny *à rebours*. Pod skorupką dokonuje się cud. Wszystko się zmienia. System nerwowy, narządy układu oddechowego i trawienne, organy czucia, pancerz...

Poczwarka umieszczona w cieplarni zwiększa swą objętość w ciągu kilku dni. Jajeczko dojrzewa, zbliża się wielka chwila. Poczwarka, której termin wylęgu jest już bliski, jest odciągana na bok, leży w towarzystwie tych, które znajdują się w podobnym stanie. Nianki nakładają ostrożnie powłokę kokonu, wyciągają czułki, nóżkę, wreszcie całą białą mrówkę, chwytając się i drżąc. Pokrywająca ją chityna, teraz jeszcze miękka i jasna, stanie się w ciągu

kilku dni ruda, jak u wszystkich Belokanijek.

327 zatrzymał się w samym centrum tego wiru pracy, nie bardzo wiedząc, do kogo się odezwać. Kieruje delikatny zapach do jednej z nianiek, która pomaga noworodkowi stawiać pierwsze kroki.

Dzieje się coś ważnego. Nianka nie raczy nawet odwrócić się w jego stronę. Rzuca ledwie zauważalne zdanie:

Cicho. Nie ma nic ważniejszego od narodzin.

Jedna z artylerzystek popycha go maleńkimi biczykami umieszczonymi na końcach czulek.

Tip, tip, tip.

Nie można przeszkadzać. Proszę nie hamować ruchu.

Jego poziom energii jest niewystarczający, nie umie nadawać przekonujących komunikatów. Gdyby miał taki dar przekonywania jak 56! Mimo wszystko ponawia swe próby z innymi niankami, ale nie zwracają na niego najmniejszej uwagi. Zaczyna się zastanawiać, czy jego misja jest rzeczywiście aż tak ważna, jak to sobie wyobrażał. Może Matka ma rację. Są ważniejsze obowiązki. Na przykład zapewnić ciągłość życia, a nie wywoływać wojny.

Kiedy jest zajęty tymi dziwnymi myślami, strumień kwasu muska jego czułki! To nianka. Porzuciła kokon, który miała pod opieką, i złożyła się do strzału. Na szczęście chybiła.

Rzucił się, by dogonić terrorystkę, lecz ta już schroniła się w pierwszym żłobku, przewracając stos jajeczek, by zabarykadować przejście. Skorupki pękają, wylewa się przezroczysta substancja.

Zniszczyła jajeczka! Cóż ją napadło? Wybucho panika, nianki biegają we wszystkich kierunkach, drżąc z niepokoju o bezpieczeństwo przyszłego pokolenia.

Samiec 327, widząc, że nie uda mu się dogonić uciekinierki, podciąga odwłok pod klatkę piersiową i szykuje się do strzału. Ubiega go jednak artylerzystka, która widziała, jak tamta przewracała stos jajeczek.

Przy zwęglonym przez kwas mrówkowy ciele tworzy się zbiegowisko. 327 pochyla czułki nad zwłokami. Bez wątplenia czuć delikatną woń. Zapach skały.

SKŁONNOŚĆ DO ŻYCIA W GRUPIE: Mrówki, podobnie jak ludzie, mają wrodzoną skłonność do życia w grupie. Mrówczy noworodek jest zbyt słaby, by samemu wydostać się z więżącego go kokonu. Ludzkie dziecko nie jest nawet w stanie samo chodzić i żywić się. Mrówki i ludzie są gatunkami tak ukształtowanymi, że pojedyncze osobniki muszą korzystać z opieki otoczenia i nie potrafią uczyć się same.

Ta zależność od dorosłych jest bez wątpienia oznaką słabości, lecz uruchamia pewien istotny proces, a mianowicie dążenie do wiedzy. Skoro dorosli są w stanie przeżyć, a młodzi nie, ci ostatni od samego początku muszą domagać się nauki od starszych.

Piętro -20. Samica 56 nie zaczęła jeszcze rozmawiać ze żniwiarkami o sekretnej broni karłowatych; zafascynowana widokiem, jaki ma przed oczami, nie jest w stanie nadać żadnego komunikatu.

Samice, jako wyjątkowo cenna kasta, całe dzieciństwo spędzają zamknięte w gineceum księżniczek. Ich świat składa się zaledwie z setki korytarzy, a niewiele z nich ośmieliło się zapuścić niżej niż do dziesiątego piętra podziemia i wyżej niż do dziesiątego piętra nadziemia...

Pewnego dnia 56 próbowała wyjść obejrzeć to Zewnątrz, o którym mówiły nianki, cofnęły ją jednak strażniczki. Udało się jej jakoś zakamuflować swój zapach, ale długich skrzydeł już nie. Straże przestrzegły ją przed olbrzymimi potworami grasującymi na zewnątrz; pożerają one małe księżniczki, które ośmielają się wyjść przed Świętem Odrodzenia. Od tego czasu 56 żyła rozdarta między ciekawością a przerażeniem.

Na poziomie -20 zdała sobie sprawę, że zanim zwiedzi wielkie Zewnątrz, ma jeszcze mnóstwo cudów do odkrycia we własnym mieście. Tu zobaczyła po raz pierwszy uprawy grzybów.

Według mitologii belokanijskiej pierwsze uprawy grzybów zostały odkryte w czasie Wojny Zbóż, w pięćdziesięcioletnim tysiącleciu. Komando artylerzystek opanowało miasto termitów. Nagle znalazły się w komnacie kolosalnych rozmiarów. W centrum znajdował się biały placek, polerowany bez przerwy przez robotnice termitów.

Spróbowały i stwierdziły, że jest wyśmienity. To było... jadalne miasto! Wzięte w niewolę termity wyznały, że są to grzyby. Okazało się, że termity żywią się celulozą, a że nie mogą jej strawić, uciekają się do pośrednictwa grzybów i przyswajają produkty ich trawienia.

Mrówki z kolei bardzo dobrze trawią celulozę, nie jest im potrzebny ów atrybut. Zrozumiały jednak dobrze, jak wielką zaletą jest posiadanie upraw wewnątrz miasta: pozwalało to przetrwać oblężenia i okresy głodu.

Dzisiaj, w wielkich pomieszczeniach na poziomie -20 w Bel-o-kan trwa selekcjonowanie szczepów. Mrówki jednak nie używają już tych samych grzybów co termity, w Bel-o-kan uprawia się przede wszystkim pieczarki.

Samica 56 krąży między klombami tego białego ogrodu. Na jednym jego końcu mrówki przygotowują łożysko, na którym grzyb będzie rósł. Tną listki na małe kawałki, ugniatają je, ucierają, miela, zmieniają w jednolitą masę. Układają ją następnie w rzędach na kompoście z odchodów (mrówki gromadzą odchody w specjalnie przygotowanych w tym celu zagłębieniach). Po nawilżeniu śliną pozostawia się masę na jakiś czas, by mogła zakiełkować.

Po fermentacji grudki masy owija się jadalnymi strzępkami grzybni. Widać je, leżą po lewej.

Robotnice podlewają je dezynfekującą śliną i odcinają wszystko, co wystaje z białego kokonu. Gdyby pozwoliło się grzybom rosnąć bez przeszkód, wkrótce rozsadziłyby komnatę. Ze strzępków grzybni zmielonych przez robotnice o płaskich żuwaczkach otrzymuje się mąkę równie smaczną, co regenerującą.

Tu znowu koncentracja robotnic osiąga kres możliwości. Nie można pozwolić, by zaplątał się tu najmniejszy chwast, najdrobniejszy szkodnik.

W tym mało przyjaznym właściwie otoczeniu, 56 próbuje nawiązać kontakt z ogrodniczką zajęłą pieczołowitym obcinaniem jednego z białych stożków.

Wielkie niebezpieczeństwo grozi Miastu. Potrzebujemy pomocy. Chcesz dołączyć do naszej grupy roboczej?

Jakie niebezpieczeństwo?

Karłowate odkryły niszczycielską tajemną broń, trzeba zacząć działać jak najszybciej.

Żniwiarka pyta ją spokojnie, co sądzi o jej grzybie, pięknej pieczarce. 56 zachwala uprawę. Tamta zachęca ją do skosztowania. Samica wgrzyza się w biały miąższ i natychmiast czuje palenie w przelyku. Trucizna! Pieczarka została nasączona porażającym kwasem używanym zazwyczaj w rozcieńczonych roztworach jako środek przeciwko chwastom. 56 kaszle i wypluwa toksyczną substancję. Ogroniczka zostawia swój grzyb, by rzucić się na nią z żuwaczkami.

Tarząc się w kompoście, biją po czaszkach krótkimi uderzeniami czulek-biczyków. *Czak! Czak! Czak!* Wyraźnie widać, że ciosy mają zabić. Mrówki-żniwiarki rozdzielają je.

Co się z wami dzieje?

Ogroniczka wyrzywa się. Rozpościerając skrzydła, 56 wykonuje niesamowity skok i przygniata ją do ziemi. Wtedy to nagle rozpoznaje delikatny zapach skały. Nie ma wątpliwości, teraz ona z kolei trafiła na członkinię tej zadziwiającej morderczej bandy.

Szczypie jej czułki.

Kim jesteś? Dlaczego próbowałaś mnie zabić? Co oznacza ten zapach skały?

Cisza. Wykręca jej czułki. To bardzo bolesne, mrówka wierzga, ale uparcie milczy. 56 nie jest przyzwyczajona do zadawania bólu siostrzanej komórce, mimo to zwiększa uścisk.

Tamta już się nie rusza. Wprowadziła się sama w stan katalepsji. Jej serce niemal przestało bić, wkrótce umrze. Rozczarowana 56 odcina jej czułki, lecz jest to już znęcanie się nad martwym ciałem.

Rolniczki ponownie ją otaczają.

Co się dzieje? Co jej zrobiłaś?

56 nie uważa, że jest to dobry moment na wyjaśnienia, lepiej uciec, co zresztą natychmiast czyni. 327 ma rację. Dzieje się coś przerażającego, komórki Federacji oszalały.

CORAZ NIŻEJ

Bezpłciowa 103 683 zmierza na piętro -45. To poligon wojskowy, pomieszczenie o niskim sklepieniu, w którym żołnierze ćwiczą, przygotowując się do wiosennych wojen.

Wokoło wojowniczkę toczą pojedynki. Najpierw obmacują się, by ocenić wielkość i barczystość przeciwnika. Następnie okrążają się, trącając bokami, ciągną za włoski, rzucają sobie zapachowe wyzwania, łaskoczą biczykami znajdującymi się na końcach czulków.

Wreszcie rzucają się jedna na drugą. Zderzają się pancerzami. Każda stara się uchwycić przeciwniczkę za przednie odnóża. Gdy jednej z nich się to udaje, druga próbuje ugryźć ją w kolana. Ruchy walczących są nieskoordynowane. Wściekle, unoszą się na dwóch tylnych nóżkach, opadają, toczą się po ziemi.

Chwyciwszy wroga, nieruchomieją, by po chwili nagłym ruchem uderzyć w inne miejsce. Uwaga, to tylko ćwiczenia, żadnych złamań, żadnego przelewu krwi. Walka kończy się, gdy jedna z mrówek zostaje powalona na grzbiet. Na znak poddania odchyła czułki do tyłu. Mimo to pojedynki wyglądają zazwyczaj dość realistycznie. Pazurki chętnie wczepiłyby się w oczy, żuwaczki zaciskają się w próżni. Nieco dalej siedzące na odwłokach artylerzystki strzelają do ziarenek żwiru ułożonych w odległości pięciuset głów. Strumienie kwasu trafiają celnie.

Stara wojowniczka instruuje nowicjuszkę, że każda walka jest rozgrywana na ogół jeszcze przed starciem. Od decyzji walczących zależy, kto będzie zwycięzcą, a kto zwyciężonym. Wszystko jest kwestią podziału ról. Kiedy te zostaną już przydzielone, nic nie może zmienić wyniku walki. Zwycięzca może strzelać kwasem, nie celując – i tak trafi; zwyciężony, choćby zadał najdoskonalszy cios żuwaczkami – nawet nie zrani wroga. Wszystko rozgrywa się w głowie. Trzeba zaprogramować się na zwycięstwo i to właściwie koniec.

Pojedynkująca się para potrąca wojowniczkę 103 683. Ta energicznie odpycha walczące i kontynuuje swą wędrówkę. Szuka koszar najemników znajdujących się poniżej areny walk. Oto i przejście.

Sala jest jeszcze bardziej przestronna niż ta, w której ćwiczą legioniści. To dlatego, że służy najemnikom zarówno za mieszkanie, jak i miejsce ćwiczeń. Przebywają tutaj jedynie w obliczu zagrożenia wojną. Spotkać w tym miejscu można wszystkie ludy regionu – plemiona sprzymierzone i podbite: mrówki żółte, czerwone, czarne, mrówki plujące klejem, prymitywne

mrówki o jadowitym żądle, a nawet karłowate.

I znów termity były inicjatorami pomysłu, który polegał na karmieniu obcych populacji w zamian za pomoc w razie inwazji.

Zdarzało się już wcześniej, że mrówcze miasta zawierały przymierza z termitami w walkach przeciwko innym mrówkom.

Wkrótce potem termity zaczęły się zastanawiać: czemu po prostu nie zatrudnić legionów mrówek, które przebywałyby na stałe w termitierze? Pomysł okazał się rewolucyjny. Jakież było zaskoczenie wojsk myrmecenńskich, gdy musiały ścierać się podczas bitew z siostrami tego samego gatunku, walczącymi po stronie termitów. Mrówcza cywilizacja, która potrafiła tak szybko się dostosowywać, tym razem posunęła się nieco za daleko.

Mrówki miały ochotę pójść śladem swoich przeciwników, czyli najmować legiony termitów, aby te walczyły przeciwko swym rodakom. Pojawiła się jednak przeszkoda, która położyła kres projektowi: termity okazały się nieugiętymi rojalistami. Ich wierność jest niezawodna, nie są w stanie walczyć przeciwko swoim. Jedynie mrówki, których ustroje polityczne są równie zróżnicowane jak ich fizjologia, potrafią zaakceptować wszystkie przewrotne implikacje najemnictwa.

Ale mniejsza z tym! Wielkie federacje mrówek rudnic zadowolily się zasilaniem szeregów wojsk licznymi legionami obcych gatunków, zjednoczonych pod jednym zapachowym sztandarem belokanijskim.

103 683 zbliża się do karłowatych najemników. Pyta, czy słyszały o tajemnej broni skonstruowanej w Shi-gae-pou, mogącej unicestwić w jednej chwili całą ekspedycję złożoną z dwudziestu ośmiu mrówek. Tamte zapewniają, że nigdy nie widziały ani nie słyszały o czymś równie skutecznym.

103 683 wypytuje innych najemników. Jedna z żółtych twierdzi, że była świadkiem podobnego zdarzenia. Nie był to jednak atak karłowatych... lecz zgniła gruszka, która nieoczekiwanie spadła z drzewa. Wszyscy tryskają feromonami śmiechu. To humor w wydaniu żółtej mrówki.

103 683 wraca do sali, gdzie trenują jej bliskie koleżanki. Zna je wszystkie osobiście. Słuchają z uwagą, ufają jej. Grupa do poszukiwania tajemnej broni karłowatych liczy już ponad trzydzieści świeżo pozyskanych wojowniczek. Ach! Gdyby tylko 327 to widział!

Uwaga. Zorganizowana banda zamierza zgładzić wszystkich, którzy chcą wiedzieć. To z pewnością rudnice-najemniczki pracujące dla karłowatych. Łatwo je zidentyfikować: wszystkie pachną skalą.

Ze względów bezpieczeństwa postanowiły, że pierwsze zebranie odbędzie się w jednej z najniższych położonych komnat pięćdziesiątego piętra. Tam nikt nie powinien im przeszkadzać w zorganizowaniu ofensywy. 103 683 odczuwa nagle, że jej ciało nadaje sygnały informujące

o nagłym przyspieszeniu czasu. 23°. Opuszcza towarzyszki i rusza szybko na umówione spotkanie z 327 i 56.

ESTETYKA: Czy istnieje coś piękniejszego niż mrówka? Linie jej sylwetki są krągłe i nieskalane, aerodynamika doskonała. Cała postać owada wypracowana tak, by każdy człon wpasowywał się dokładnie w przewidziane nań wgłębienie. Każdy staw jest cudem mechaniki. Płytki umocowane są tak, jakby zaprojektowano je na komputerze. Nic nie skrzypi, nic się nie ociera. Trójkątna głowa przecina powietrze, długie i giętkie nóżki pozwalają na wygodne zawieszenie tuż przy ziemi. Można by rzec – włoski samochód sportowy.

Pazaruki umożliwiają chodzenie po suficie. Oczy panoramiczne – kąt widzenia do 180°. Czułki wylapują tysiące nieuchwytnych dla nas informacji, a ich końce mogą służyć za młoteczki. Odwłok wypełniony jest kieszeniami, komorami, przedziałami, gdzie owad składa substancje chemiczne. Żuwaczki tną, szczypią, chwytają. Zdziwiający system wewnętrznych przewodów pozwala na emitowanie zapachowych wiadomości.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Nicolas nie chciał iść spać. Nadal siedział przed telewizorem. Skończyły się właśnie wiadomości, w których poinformowano o powrocie sondy Marco Polo. Wynik ekspedycji: w sąsiednich systemach słonecznych nie ma najmniejszego śladu życia. Wszystkie odwiedzone przez sondę planety przekazały jedynie widoki kamienistych pustyń lub zbiorników amoniaku. Nigdzie najmniejszego mchu, żadnej ameby czy drobnoustroju.

„A jeśli tata miał rację? – powiedział do siebie Nicolas. – Jeśli jesteśmy jedyną inteligentną formą życia w całym wszechświecie?...”

Wygłądało na to, że ta przygnębiająca wizja może okazać się prawdziwa.

Po wiadomościach nadawano reportaż z serii *Kultury świata*, poświęcony tym razem problemowi kast w Indiach.

„Hindusi należą dożywotnio do kasty, w której się urodzili. Każda z nich funkcjonuje według własnego zbioru reguł, surowego kodu, którego nikt nie może naruszyć, nie skazując się tym samym na wykluczenie ze swojej kasty i zarazem ze wszystkich innych. Aby zrozumieć takie zachowanie, musimy pamiętać, że...”

– Jest pierwsza w nocy – postanowiła interweniować Lucie.

Umysł Nicolasa był przeladowany obrazami. Od czasu pojawienia się problemu z piwnicą spędzał przed telewizorem po kilka godzin dziennie. To był jego sposób na to, by nie myśleć i nie być sobą. Głos matki sprowadził go do przykrej rzeczywistości.

- Nie jesteś zmęczony?
- Gdzie jest tato?
- Ciągłe w piwnicy. A teraz trzeba iść spać.
- Nie mogę zasnąć.
- Chcesz, żebym ci opowiedziała bajkę?
- O tak! Bajkę! Piękną bajkę!

Lucie poszła z nim do pokoju i usiadła na brzegu łóżka, rozpuszczając swoje długie rude włosy. Wybrała starą hebrajską historię.

- Był sobie kamieniarz, zmęczony drążeniem skał w gorących promieniach słońca. „Dość mam tego życia – rzekł sobie pewnego dnia. – Łupanie kamienia mnie wykańcza... i to słońce, ciągle to słońce! Ach! Jakże chciałbym być na jego miejscu, byłbym wszechwładny – tam w górze. Byłbym gorący, zatapiałbym wszystkich w swych promieniach”. Wtedy zdarzył się cud, jego wołanie zostało wysłuchane. Kamieniarz przeobraził się w słońce. Był szczęśliwy, że jego prośba została spełniona. Ale w pewnym momencie, gdy delektował się rozsyłaniem promieni, zauważył, że te zatrzymywane są przez chmury. „Cóż z tego, że jestem słońcem, skoro zwykle chmury mogą zatrzymać moje promienie! – wykrzyknął. – Jeśli chmury są silniejsze od słońca, wolę być chmurą”. I stał się chmurą. Płynął przez świat, gnał, zsyłał deszcz, aż nagle podniósł się wiatr i rozpędził chmurę. „Ach, wiatr rozpędza chmury, on zatem jest najsilniejszy, chcę być wiatrem” – zdecydował.

- I stał się wiatrem?

- Tak, i wiał po świecie. Powodował burze, zawieje, tajfuny. Pewnego razu stanął mu na przeszkodzie mur – bardzo wysoki i bardzo twardy. Skała. „Cóż z tego, że jestem wiatrem, skoro zwykła skała może mnie zatrzymać? Ona jest najsilniejsza!” – rzekł do siebie.

- I stał się skałą!

- Tak jest. W tym momencie poczuł, że coś w niego uderza. Coś silniejszego od niego, co drąży go od wewnątrz: był to... mały kamieniarz...

- Aaaaa!

- Podobała ci się ta historia?

- O tak!

- Jesteś pewny, że nie widziałeś ładniejszych w telewizji?

- O nie, mamo.

Zaśmiała się i przytuliła go.

- Mamo, myślisz, że tato też kopie?

- Może, kto wie? W każdym razie wydaje mu się, że schodząc tam na dół, zmieni się w kogoś innego.

– Źle mu tutaj?

– Nie, synu, wstydzi się być bezrobotnym. Wierzy, że lepiej jest być słońcem. Podziemnym słońcem.

– Tata myśli, że jest królem mrówek.

Lucie uśmiechnęła się.

– Przejdzie mu. Wiesz, on też jest dzieckiem. A mrowiska zawsze fascynują dzieci. Ty pewnie też bawiłeś się mrówkami?

– O tak!

Lucie poprawiła mu poduszkę i ucałowała go.

– Teraz się połóż, kochanie. Dobranoc.

– Dobranoc, mamó.

Lucie ujrzała zapalki leżące na nocnym stoliczku. Chłopiec z pewnością po raz kolejny próbował ułożyć cztery trójkąty. Wróciła do salonu i znowu oddała się lekturze książki opowiadającej historię ich domu.

Mieszkało tu poprzednio wielu naukowców. Głównie protestantów. Kilka lat spędził tu na przykład Michel Servet. Pewien fragment zwrócił szczególnie jej uwagę. Podobno w czasach wojen religijnych wykopane tu zostało podziemne przejście, które miało umożliwić protestantom ucieczkę z miasta. Podziemne przejście o niespotykanej długości...

Trzy owady siadają, tworząc trójkąt, aby przystąpić do Porozumienia Absolutnego. Dzięki temu nie będą musiały relacjonować swych przygód, gdyż dowiedzą się o wszystkim natychmiast, jakby były jednym ciałem, które rozdzieliło się na trzy, by móc lepiej prowadzić śledztwo.

Spajają czułki. Myśli zaczynają krążyć, łączyć się. To działa. Każdy mózg jest jak tranzystor, który przewodzi elektryczną wiadomość, wzbogacając ją. Trzy zjednoczone w ten sposób mrówcze umysły wychodzą poza zwykłą sumę swych myśli.

Nagle czar prysnął. 103 683 wyczuła zakłócający zapach. Mury mają czułki. A dokładniej dwa czułki, które wychylają się z otworu wejściowego komnaty 56. Ktoś ich podsłuchuje...

Północ. Od dwóch dni Jonatan nie wychodził na powierzchnię. Lucie nerwowym krokiem krążyła po pokoju. Zajrzała do Nicolasa, który spał głębokim snem, gdy nagle jej wzrok zatrzymał się na czymś. Zapalki. Poczwała, że one mogą kryć w sobie początek rozwiązania zagadki piwnicy. Cztery trójkąty równoboczne z sześciu patyczków...

„Trzeba myśleć inaczej. Jeśli się myśli zwyczajnie, do niczego się nie dojdzie”, powtarzał Jonatan. Wzięła zapalki i wróciła do salonu, gdzie siedziała nad nimi do późna. Wreszcie, wycieńczona zmartwieniami, położyła się spać.

Tej nocy miała dziwny sen. Zobaczyła najpierw wuja Edmunda, a w każdym razie kogoś, kto

odpowiadał jego opisowi. Stał w czymś w rodzaju długiej kolejki, która ciągnęła się pośrodku żwirowej pustyni. Meksykańscy żołnierze pilnowali kolejki i czuwali nad tym, by „wszystko przebiegało sprawnie”. W oddali widać było z dziesięć szubienic, na których wieszano ludzi. Gdy jedni już całkowicie sztywnieli, zdejmowano ich i umieszczano kolejnych. Kolejka posuwała się do przodu...

Za Edmundem stał Jonatan, później ona sama, a dalej gruby mężczyzna w małych okularkach. Wszyscy skazani na śmierć, dyskutowali spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

Kiedy wreszcie założono im pętle na szyje i zawisli wszyscy czworo, jeden obok drugiego, nie pozostało im nic innego, jak po prostu czekać. Wuj Edmund jako pierwszy zdecydował się przemówić – i spytał zachrypłym głosem:

– Co my tu robimy?

– Nie wiem... żyjemy – odpowiedział Jonatan. – Urodziliśmy się, więc żyjemy jak najdłużej się da. Ale teraz, mam wrażenie, zbliża się koniec.

– Drogi siostrzeńcze, jesteś pesymistą. Rzeczywiście jesteśmy powieszani i otoczeni przez meksykańskich żołnierzy, lecz to tylko traf życiowy; nie koniec, lecz przypadek. Zresztą z pewnością musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Jesteście mocno związani z tyłu?

Zaczęli szamotać się w pętach.

– A nie – rzekł gruby mężczyzna. – Ja mogę rozwiązać sznur!

Po chwili rzeczywiście oswobodził ręce.

– Świetnie, teraz proszę nas uwolnić.

– Ale jak?

– Proszę się rozhuścić tak, żeby udało się panu dosięgnąć moich rąk.

Grubas zaczął się wyginać, aż zamienił się w żywe wahadło. Kiedy rozluźnił więzy Edmunda, wszyscy po kolei uwolnieni zostali tym samym sposobem.

Następnie wuj rzekł: „Róbcie to, co ja!” i małymi podrzutami głowy zaczął przesuwac się ze sznura na sznur w kierunku ostatniej szubienicy w rzędzie. Pozostali uczynili to samo.

– Dalej już się nie da! Za tą belką nic już nie ma, zauważą nas.

– Popatrzcie, jest w niej mały otwór. Chodźmy.

Edmund skoczył na belkę, zmniejszył się i zniknął wewnątrz. Jonatan i gruby mężczyzna poszli jego śladem. Lucie była przekonana, że jej się to nie uda, ale rzuciła się w kierunku drewnianej belki i weszła do dziury!

Wewnątrz znajdowały się kręcone schody. Zbiegali, przeskakując po cztery stopnie. Już słyszeli za sobą krzyki żołnierzy, którzy zauważyli ich ucieczkę. *Los gringos, los gringos, cuidado!* Tupot butów, strzały. Ścigano ich.

Schody kończyły się w nowocześnie urządzonym pokoju hotelowym z widokiem na morze.

Weszli i zamknęli za sobą drzwi. Pokój nr 8. W momencie gdy zatrząskiwali za sobą drzwi, pionowe 8 zmieniło się w 8 poziome, symbol nieskończoności. Pokój był luksusowy i nie czuło się w nim zupełnie strachu przed żołdakami.

Kiedy wszyscy odetchnęli z ulgą, Lucie rzuciła się nagle mężowi do gardła. „Musimy pamiętać o Nicolasiu – krzyczała. – Musimy pamiętać o Nicolasiu!”. Powaliła go, uderzając w głowę antyczną wazą, na której przedstawiony był mały Herkules duszący węży. Jonatan upadł na dywan i zmienił się w... cudacznie wijącą się, obraną z uszek krewetkę.

Wuj Edmund zbliżył się do niej.

– Żałujesz, prawda?

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz – rzekł, uśmiechając się. – Chodź ze mną.

Poprowadził ją ku balkonowi wychodzącemu na morze i strzelił palcami. Sześć płonących zapalek opadło z chmur i ustawiło się rzędem tuż nad jego rozłożoną dłonią.

– Posłuchaj mnie dobrze – rzekł wyraźnie – zawsze myśli się jednakowo. Postrzega się świat w ten sam banalny sposób. To tak, jakbyśmy robili zdjęcia zawsze tym samym szerokokątnym obiektywem. To jeden z obrazów rzeczywistości, ale nie jedyny. TRZEBA... MYŚLEĆ... INACZEJ...! Popatrz.

Zapalki zakręciły się chwilę w powietrzu, wreszcie połączyły w całość na ziemi. Wspiwały się jedna na drugą jak żywe stworzenia, by utworzyć...

Następnego dnia, rozgorączkowana, Lucie kupiła palnik. Poradziła sobie z kłódką. Gdy już niemal przekroczyła próg piwnicy, Nicolas, na wpół przebudzony, pojawił się w kuchni.

– Mamo! Gdzie idziesz?

– Idę po tatę. Wydaje mu się, że jest chmurą, która potrafi pokonywać góry. Idę sprawdzić, czy trochę nie przesadza. Wszystko ci opowiem...

– Nie, mamo, nie idź... zostanę sam.

– Nie martw się, Nicolas, wróć niedługo, czekaj na mnie.

Oświetliła piwniczny otwór. Był ciemny, jakże ciemny...

Kto tam?

Dwa czułki wysunęły się do przodu, ukazując głowę, a następnie tułów i odwłok. Mała kulawa o zapachu skały.

Zamierzają się na nią rzucić, lecz z tyłu widać już setkę uzbrojonych po zęby wojowniczek. Od wszystkich czuć skałę.

Uciekajmy sekretnym przejściem! – rzuca samica 56.

Usuwa żwir i odsłania wejście. Następnie bijąc skrzydłami, unosi się aż pod sufit, skąd strzela kwasem w pierwszych intruzów. Jej współnicy uciekają, gdy tymczasem któraś z grupy

wojowniczek rzuca rozkaz:

Zabić ich!

Teraz z kolei 56 nurkuje do dziury, strzały kwasu omal jej nie dosięgły. *Szybko! Dogonić ich!* Setki nówek rzucają się za nimi w pogoń. Zdziwiająco liczni są ci szpiedzy! Szamoczą się hałaśliwie w przesmyku, by dogonić naszą trójkę.

Z odwołaniem przy ziemi, z czułkami odchylonymi do tyłu, samiec, samica i wojowniczką podążają przejściem, które bynajmniej nie jest już sekretne. Wychodzą z gineceum i schodzą ku niższym piętrům. Wąski korytarz wkrótce się rozwidla. Dalej skrzyżowania są coraz liczniejsze, lecz 327 orientuje się w nich dobrze i służy za przewodnika swym towarzyszom.

Nagle na jednym z zakrętów tunelu wpadają na grupę żołnierzy, spieszącą w ich kierunku. Nie do wiary: kulawa już ich dogoniła. Makiaweliczny owad najwyraźniej zna wszystkie skróty!

Troje uciekinierów zawraca i umyka w drugą stronę. Kiedy wreszcie mogą chwilę odpocząć, 103 683 stwierdza, że nie jest łatwo walczyć na obcym terenie, gdy wrogowie z taką łatwością poruszają się po płataninie korytarzy.

Kiedy przeciwnik wydaje ci się silniejszy, działaj inaczej niż on mógłby się tego po tobie spodziewać. To stare powiedzenie pierwszej Matki idealnie pasuje do obecnej sytuacji. 56 wpada na pomysł, by zakamuflować się wewnątrz ściany!

Zanim wojowniczkom o zapachu skały udaje się je dogonić, drążą ze wszystkich sił w bocznej ścianie, odrzucając ziemię szeroko rozstawionymi żuwaczkami. Mają jej pełno w oczach, na czułkach. Czasami, by posuwać się szybciej, polykają tłuste grudki. Gdy wgłębienie jest już wystarczające, kulą się w nim, odbudowują ścianę i czekają. Pościg nadciąga, mija ich biegiem. Po chwili jednak prześladowczyni wracają, tym razem już wolniej. Węszą przy cienkiej przegrodzie...

Nie, niczego nie zauważyły. Nie można tu jednak zostać. Tamte w końcu wytropią ich wonne cząsteczki. Kopią więc dalej. 103 683, wyposażona w największe żuwaczki, kopie na czele; dwie płciowe odsuwają na bok piach i zasypują przejście za nimi.

Morderczynie zrozumiały wreszcie ich manewr. Badają ściany, odnajdują ślad i zaczynają gorączkowo kopać. Troje uciekinierów bierze zakręt ku dołowi. Zresztą w tej czarnej mazi nie jest łatwo śledzić kogokolwiek. W jednej chwili powstają i są zasypywane trzy korytarze. I jak tu, w takich warunkach, stworzyć wiarygodną mapę Miasta? Jedyne stałymi punktami orientacyjnymi są kopuła i pniak.

Uciekinierzy zagłębiają się powoli w ciało Miasta. Trafiają czasami na długą lianę – jest to w rzeczywistości bluszcz zasadzony tu przez mrówki żniwiarki, by miasto nie rozplynęło się podczas deszczów. Gdziekolwiek ziemia okazuje się zbyt twarda, żuwaczki uderzają bezskutecznie o kamień; trzeba iść inną trasą.

Obie płciowe mrówki nie odbierają już wibracji pogoni; cała trójka postanawia odpocząć. Znajdują się w bańce powietrznej zagubionej gdzieś w samym sercu Bel-o-kan. Szczelna, bezwonna, nieznana nikomu. Wydrążona bezludna wyspa. Któż mógłby ich wytropić w tej maleńkiej grocie? Czują się tu jak w ciemnym jajeczku wewnątrz odwłoka rodzicielki.

56 bębni końcami czułków w czaszkę towarzysza, prosi o trofalaksję. 327 ugina czułki na znak zgody, a następnie przylega swoimi wargami do warg samicy. Zwraca nieco spadzi mszyc, którą ofiarowała mu swego czasu strażniczka. 56 wkrótce odzyskuje siły. Z kolei 103 683 bębni w jej głowę. Jedne wargi przysysają się do drugich i 56 cofa pokarm, który dopiero co zmagazynowała. Następnie cała trójka głaszczce się i naciera wzajemnie. Ach! Jakże przyjemnie jest dawać...

Mimo iż odzyskały siły, wiedzą, że nie będą mogły zostać w tym miejscu wiecznie. Tlen się wyczerpie i nawet jeśli mrówki są w stanie wytrwać jakiś czas bez jedzenia, bez wody, powietrza i ciepła, to dłuższy brak tych życiodajnych elementów powoduje, że zapadają w śmiertelny sen.

Kontakt czułkami.

Co teraz robimy?

Oddział trzydziestu wojowniczek pozyskanych dla sprawy czeka na nas w sali 50. podziemnego piętra.

Chodźmy.

Ponownie zaczynają kopać, określając kierunek za pomocą narządu Johnstona, wyczuwającego ziemskie pole magnetyczne. Wszystkie wskazuje na to, że znajdują się między zbiornikami zbóż na -18. piętrze a plantacjami grzybów na -20. piętrze. Tymczasem robi się coraz zimniej. Zapada noc i mróz przenika w głąb ziemi. Ruchy mrówek stają się wolniejsze. Nieruchomieją w końcu w takich pozycjach, w jakich kopały, i zasypiają w oczekiwaniu na ocieplenie.

– Jonatan! Jonatan! To ja, Lucie!

Schodząc coraz głębiej w świat ciemności, czuła ogarniający ją strach. Ta niekończąca się wędrówka schodami w dół wprawiła jej umysł w dziwny stan, wydawało jej się, że pogrąży się coraz bardziej w głąb samej siebie. Czuła teraz rozległy ból brzucha, który poprzedziło nagle wyschnięcie gardła, a wkrótce doznała niepokojącego ucisku w splocie słonecznym i ostrego klucia w żołądku. Kolana i stopy działały nadal mechanicznie; czy one również wkrótce zaczną ją boleć, odmawiając posłuszeństwa?

Ujrzała obrazy ze swego dzieciństwa. Despotyczna matka, wywołująca u niej poczucie winy, niesprawiedliwa i stojąca zawsze po stronie braci-ulubieńców... I ojciec, zgaszona postać, drżący ze strachu przed żoną, spędzający czas na unikaniu najmniejszych dyskusji i przytakujący każdemu postulatowi królowej matki. Ojciec, ten tchórz...

Bolesne wspomnienia ustąpiły miejsca uczuciu, że była niesprawiedliwa wobec Jonatana.

Właściwie zarzucała mu to wszystko, co przypominało jej ojca. Jej ciągle wyrzuty powstrzymywały go od działania, niszczyły, upodabniały krok po kroku do ojca. Tak więc cykl się powtarzał. Odtworzyła w swoim małżeństwie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, to, czego nienawidziła najbardziej: związek rodziców. Trzeba przerwać ten łańcuch. Miała sobie za złe wszystkie klótnie, które wywołała. Trzeba to naprawić.

Zakręt po zakręcie schodziła w dół. Przyznanie się do winy uwolniło jej ciało ze strachu i dręczącego bólu. W pewnym momencie niemal wpadła na drzwi. Zwykle drzwi, w kilku miejscach pokryte napisami, na których czytanie postanowiła nie tracić czasu. Drzwi miały klamkę; otworzyły się bezgłośnie.

Za nimi dalej ciągnęły się schody. Jedyną zauważalną różnicę stanowiły żyłki żelazistej skały pojawiające się na ścianach. Zmieszane z przeciekami wody, prawdopodobnie pochodzącymi z podziemnej rzeki, żelazo nabrało rudawego odcienia.

Miała jednak wrażenie, że pokonała jakiś etap. W pewnym momencie światło latarki padło na plamy krwi u jej stóp. To prawdopodobnie krew Ouarzazate'a. Dzielnicy mały pudel dotarł więc aż tutaj. Wszędzie wokół można było dostrzec ślady, gdziekolwiek z trudnością dawało się odróżnić krew od rdzawego żelaza.

Nagle do jej uszu dobiegł niewyraźny dźwięk. Szmer. Tak jakby jakieś małe istoty podążały w jej kierunku. Nerwowe, nieśmiałe kroczki kogoś, kto nie ma odwagi się zbliżyć. Zatrzymała się i zaczęła przeszukiwać ciemności latarką. Kiedy dostrzegła źródło szmeru, z jej gardła wydobył się nieludzki krzyk. Ale tam, gdzie się znajdowała, nikt nie mógł jej usłyszeć.

Dla wszystkich istot na Ziemi wstaje ranek. Trzy mrówki kontynuują swą wędrówkę w dół. Piętro -36. 103 683 dobrze zna okolicę, sądzi, że unikną niebezpieczeństwa. Skalne wojowniczkę nie mogły dojść za nimi aż tutaj.

Docierają do całkowicie pustego korytarza o niskim sklepieniu. Gdziekolwiek, po lewej i prawej stronie, widać dziury, dawne spichlerze opuszczone od co najmniej dziesięciu hibernacji. Podłoże jest lepkie. Muszą tu być przecieki. Oto dlaczego ten rejon, uznany za szkodliwy dla zdrowia, zyskał sobie złą sławę w Bel-o-kan.

W powietrzu unosi się nieprzyjemny zapach.

Samiec i samica nie czują się zbyt pewnie. Wyczuwają obecność nieprzyjaznych istot, szpiegujących czułków. To miejsce musi być pełne szkodników i nielegalnych lokatorów. Z szeroko rozwartymi żuwaczkami posuwają się dalej przez posępne komnaty i korytarze. Nagle dobiega ich przenikliwy zgrzyt. *Ruik, ruik, ruik...* Jednostajne dźwięki, układające się w hipnotyzującą, monotonną melodię, która rozbrzmiewa w błotnistych jaskiniach.

Wojowniczkę twierdzi, że to świerszcze. Ich miłosne śpiewy. Obie płciowe mrówki są uspokojone jedynie częściowo. To zadziwiające, że świerszcze drwią sobie w ten sposób

z oddziałów federalnych w samym środku Miasta!

103 683 nie jest zdziwiona. Jak mawia obecnie panująca Matka: *Lepiej wzmocnić silne punkty niż próbować wszystko kontrolować*. Oto rezultat...

Inne dźwięki. Jakby szybkie drążenie. Czyżby wojowniczeki o zapachu skały jednak je odnalazły? Nie... Tuż przed nimi pojawiają się dwie łapki w kształcie grabi. Żwawo chwytają ziemię i usuwają ją do tyłu, ukazując olbrzymie czarne cielsko.

Oby to nie był kret!

Cała trójka zastyga w bezruchu, z szeroko rozwartymi żuwaczkami.

To rzeczywiście kret.

Czarny kłębek. Kudłata kula o białych pazurach. Zwierzę zdaje się płynąć przez warstwy osadowe jak żaba w jeziorze. Poobijane, wymieszane z ziemią, przygniecione grudkami gliny mrówki wychodzą jednak z przygody całe i zdrowe. Podziemna, ryjąca machina podążyła dalej. Kret szukał jedynie robaków. Największą przyjemność sprawia mu paraliżowanie ich zwojów nerwowych i magazynowanie jeszcze żywych ofiar w swojej norze.

Trzy mrówki otrząsają się i umywszy się dokładnie, ruszają w drogę.

Weszły właśnie w bardzo wąskie i wysokie przejście. Wojowniczek-przewodnik nadaje ostrzegawczy zapach, wskazując sklepienie, które usłane jest czerwonymi pluskwiakami o czarnych plamkach. Kowale bezskrzydłe!

Grzbiet tych owadów, długich na trzy głowy (dziewięć milimetrów), zdobi rysunek przypominający gniewne oblicze. Żywią się zazwyczaj wilgotnym ciałem martwych, a często wciąż żywych owadów.

Jeden z kowali spada wprost na trójkę bohaterów. Zanim jednak dotyka ziemi, 103 683 zarzuca odwłok na tułów i strzela kwasem mrówkowym. Kiedy kowal ląduje u ich stóp, stanowi już tylko ciepłą konfiturę. Zjadają go szybko i opuszczają pomieszczenie, zanim zaatakują kolejny z tych potworów.

INTELIJENCJA: Właściwe doświadczenia rozpocząłem w styczniu 1958 roku. Temat pierwszy: inteligencja. Czy mrówki są inteligentne?

Aby się tego dowiedzieć, postawiłem jednego osobnika z gatunku mrówek rudnic (Formica rufa), średniego wzrostu, bezpłciowego, przed następującym problemem. Położyłem wewnątrz otworu stwardniały kawałek miodu. Wejście do dziury zatkałem gałązką, niezbyt ciężką, lecz długą i wepchniętą głęboko. W normalnych warunkach mrówka powiększyłaby otwór, by móc przejść, lecz tu miała do czynienia ze sztywnym plastikiem, którego nie sposób przebić.

Dzień pierwszy: mrówka ciągnie gałązkę, nieco ją unosi, puszcza, unosi ponownie.

Dzień drugi: mrówka powtarza te czynności. Próbuje również przyciąć gałązkę

u nasady. Bez rezultatu.

Dzień trzeci: idem. Owad jakby zakodował sobie zły tok rozumowania i trwa w nim, gdyż nie jest w stanie wyobrazić sobie innego. Byłby to dowód na brak inteligencji.

Dzień czwarty: idem.

Dzień piąty: idem.

Dzień szósty: obudzisz się tego ranka, znalazłem gałązkę usuniętą z dziury. To musiało stać się w ciągu nocy.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Ciągnące się coraz głębiej korytarze są niemal nie do przejścia. Zimna, sucha ziemia poszczepiana białymi korzeniami tworzy zwisające ze sklepienia kiście. Czasami odpada jakaś grudka. Zwą to podziemnym gradem. Jedynym sprawdzonym sposobem ochrony przed nim jest wzmoczona ostrożność i uskakiwanie w bok przy najmniejszym zapachu zwiastującym oberwanie.

Trzy mrówki podążają naprzód, z odwłokami przy ziemi, z czułkami odrzuconymi w tył, na szeroko rozstawionych nóżkach.

103 683 zdaje się dokładnie wiedzieć, dokąd prowadzi towarzyszy. Podłoże znowu jest wilgotne, a powietrze przesiąknięte przyprawiającym o mdłości zapachem. Czuć tu życie. Czuć zwierzę.

Samiec 327 zatrzymuje się. Nie ma całkowitej pewności, ale wydaje mu się, że jedna ze ścian nieco się poruszyła. Zbliży się do podejrzanego miejsca – ściana znowu drży. Rysuje się na niej coś na kształt otworu gębowego. 327 cofa się. Tym razem to coś mniejszego niż kret. Gęba przeobraża się w spiralę. Z jej środka wysuwa się jakaś wielka wypukłość i rzuca się na niego. 327 wydaje z siebie zapachowy krzyk.

Dżdżownica! 327 przecina ją jednym uderzeniem żuwaczek. Ale kolejne wijące się bestie wypelzają jedna za drugą ze ścian. Jest ich tyle, iż można by pomyśleć, że mrówki znalazły się w ptasich wnętrzościach. Jedna z dżdżownic zaciska się wokół tułowia samicy, ta jednak przecina ją żuwaczkami na kilka części, które teraz wiją się, każda z osobna. Kolejne robaki włączają się do akcji i oplatają mrówcze odnóża i głowy.

Sz szczególnie nieprzyjemne jest dotknięcie ich czułkami. Wszyscy troje naraz chwytają za broń i oddają strzały w kierunku bezbronych dżdżownic. Wkrótce ziemia pokrywa się resztkami ciał w kolorze ochry, jeszcze drgającymi wyzywająco.

Mrówki umykają.

Kiedy dochodzą nieco do siebie, 103 683 wskazuje kolejną amfiladę korytarzy, którymi powinni podążać. Im dalej się posuwają, tym większy smród panuje wokół i tym szybciej przyzwyczajają się do tego. Do wszystkiego bowiem można się przyzwyczaić. Wojowniczką wskazuje jedną ze

ścian i wyjaśnia, że tu właśnie trzeba kopać.

To dawne zbiorniki kompostu, miejsce spotkania jest tuż obok. Lubimy się tu gromadzić, bo jest tu spokojnie.

Posuwają się niczym buldożer. Po drugiej stronie ukazują się im wielka, cuchnąca odchodami sala.

Trzydzieści wojowniczek pozyskanych dla sprawy już na nich czeka. Żeby jednak móc z nimi porozmawiać, trzeba być wielkim specjalistą od układanek, wszystkie bowiem rozłożone są na części. Niektóre są wręcz rozrzucone.

Trzy mrówki, wystraszone, badają makabryczne miejsce. Kto mógł je zabić tutaj, tuż u stóp Bel-o-kan?

Z pewnością coś, co przyszło z dołu – nadaje 327.

Nie wierzę w to – odpowiada samica 56, lecz mimo wszystko proponuje przekopać podłoże.

Samiec próbuje wbić żuwaczkę w ziemię. Ból. Pod spodem jest jedynie skała.

Olbrzymia, granitowa skała – precyzuje chwilę potem 103 683 – to już dno, twarde podłoże miasta. I grube. Bardzo grube. I rozległe. Bardzo rozległe. Nigdy nie udało się określić jego granic.

Być może jest to nawet podstawa świata. Nagle daje się wyczuć dziwny zapach. Coś weszło do pomieszczenia. Coś, do czego od razu czują sympatię. Nie, to nie jedna z mrówek Federacji, lecz chrząszcz zwany lomechusą.

Jeszcze jako larwa, 56 słyszała opowieść Matki o tym owadzie:

Uczucia, które towarzyszy spożyciu nektaru lomechusy, nie da się porównać z niczym innym. To owoc zaspokajający wszystkie żądze fizyczne i najdziksze pragnienia.

Przyjęcie tej substancji unicestwia ból, strach, myśli. Mrówki, które przeżyły spotkanie z dostarczycielem trucizny, opuszczają bezpowrotnie Miasto i udają się na poszukiwanie kolejnej dawki. Nie jedzą, nie odpoczywają i wędrują, aż do utraty sił. Jeśli ponownie nie spotkają lomechusy, przylegają do napotkanego źdźbła trawy i czekają na śmierć, rozdierane bólem narkotycznego głodu.

Jako dziecko, 56 spytała kiedyś, dlaczego w Mieście tolerowana jest ta plaga, skoro zarówno termity, jak i pszczoły bezlitośnie ją zwalczają. Matka wyjaśniła, że zawsze istnieją dwa sposoby stawienia czoła problemowi: albo trzymać się od niego z daleka, albo pogodzić się z nim. Drugie rozwiązanie nie musi być z założenia złe. Wydzielina lomechusy, stosowana w odpowiednich dawkach i wymieszana z innymi substancjami, może stanowić doskonałe lekarstwo.

327 zbliża się jako pierwszy. Oszołomiony cudownymi aromatami, liże włoski na odwłoku chrząszcza wydzielające halucynogeny likier. Rzecz zadziwiająca: odwłok trucicielki, pokryty długimi włoskami, do złudzenia przypomina mrówczą głowę z dwoma czułkami!

Samica 56 również podąża w jej kierunku, zanim jednak zdążyła uraczyć się jej smakiem,

pada strzał z kwasu. To 103 683. Oparzona lomechusa zwija się z bólu. Wojownicza trzeźwo wyjaśnia swoją interwencję:

Ten owad nie mógł tak zwyczajnie pojawić się na tej głębokości. One nie potrafią kopać w ziemi. Ktoś celowo ją tu przyprowadził, by uniemożliwić nam dalszą podróż. Musi w tym kryć się jakaś tajemnica.

Dwie pozostałe, zawstydzone, mogą jedynie podziwiać bystrość towarzyszki. Długo szukają. Przesuwają kawałki żwiru, węższą w najmniejszych zakamarkach pomieszczenia. Wskazówki są nieliczne. Udaje im się jednak wpaść na trop znajomego zapachu. Charakterystyczna woń skały morderczyń. Prawie niezauważalna, zaledwie dwie lub trzy cząsteczki – ale to wystarcza. Tu ma źródło. Pod tym małym kamieniem. Odsuwają go na bok i ich oczom ukazuje się tajemne przejście. Kolejne.

Z tym że to różni się zasadniczo od poprzednich: nie jest wydrążone ani w ziemi, ani w drewnie. Zostało po prostu wywiercone w litej skale granitowej! Żadna żuwaczka nie byłaby w stanie zmierzyć się z takim materiałem.

Korytarz jest dość szeroki, ale idą ostrożnie. Po krótkiej chwili wchodzą do obszernej sali wypełnionej pożywieniem. Mąka, miód, ziarna, przeróżne mięsiwa... Zaskakujące ilości – można by żywić całe Miasto przez pięć hibernacji! A od wszystkiego bije taka sama woń skały, jak od ścigających ich wojowniczek.

W jaki sposób mógł powstać tu tak dobrze zaopatrzony spichlerz? I do tego broniąca dostępu lomechusa! Taka informacja nigdy nie krążyła między czułkami Federacji...

Jedzą do syta, a następnie zbierają się, by podsumować wydarzenia. Cała sprawa staje się coraz bardziej mroczna. Tajemna broń, która zdziesiątkowała pierwszą wyprawę, atakujące zewsząd wojowniczki o dziwnym zapachu, lomechusa, schowek z jedzeniem pod Miastem... To już przerasta hipotezę o grupie najemnych szpiegów na usługach karłowatych. Chyba że są wyjątkowo dobrze zorganizowani!

Nagle rozważania 327 i jego współpracowników przerywają głucho wibrujące dochodzące z góry. *Pan pan panpan, pan pan panpan!* Nad nimi robotnice bębnią końcami odwłoków o ziemię. Sprawa jest poważna. Druga faza alarmu. Nie mogą zignorować tego wezwania. Nóżki odruchowo robią w tył zwrot. Ich ciała, pchane przez niepowstrzymaną siłę, już są w drodze ku reszcie Federacji.

Kulawa, idąca za nimi w sporej odległości, odczuwa ulgę. Uff! Niczego nie odkryli...

Kiedy ani matka, ani ojciec nie powrócili z piwnicy, Nicolas postanowił w końcu wezwać policję. I oto wygłodniałe dziecko, z zaczerwienionymi oczyma stawilo się na komisariacie, aby oznajmić, że jego rodzice zniknęli w piwnicy, prawdopodobnie pożarci przez szczury lub mrówki. Dwóch osłupiałych policjantów podążyło za nim, aż do suterenu przy ulicy Sybarytów 3.

INTELIGENCJA (ciąg dalszy): Próba druga, tym razem z kamerą wideo.

Badany obiekt: inna mrówka tego samego gatunku i z tego samego gniazda.

- Dzień pierwszy: bezskutecznie ciągnie, popycha i gryzie gałązkę.

- Dzień drugi: idem.

- Dzień trzeci: Udało się! Wpadła na pomysł – ciągnie trochę, następnie przyblokowuje ją, wkładając odwłok do dziury i nadymając go nieco, następnie chwyta niżej gałązkę i ponawia cały proces. Tym sposobem, krok po kroku, wyciąga całą gałązkę.

Więc to tak...

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Alarm wywołało nadzwyczajne wydarzenie. La-chola-kan, miasto-córka wysunięte najdalej na zachód, zostało zaatakowane przez oddziały karłowatych mrówek.

Zdecydowały się zatem uderzyć po raz kolejny...

Teraz wojna jest nieunikniona.

Te, które przeżyły i przedarły się przez blokadę ustawioną przez Shigaepounijki, opowiadają niewiarygodne rzeczy. Oto ich relacja z wydarzeń:

O 17^o długa gałąź akacji zbliżyła się do głównego wejścia La-chola-kan. Gałąź niespotykanie ruchliwa. W jednej chwili wkręciła się w mrowisko i zdewastowała otwór wejściowy...

Czujki ruszyły, by zaatakować niezidentyfikowany drażący obiekt, lecz wszystkie zostały unicestwione. Kto żyw zatem zaszył się w najgłębszych zakamarkach, czekając, aż gałąź zakończy swe niszczyielskie działania. Ale końca zniszczeń nie było widać.

Przeszukując korytarze, gałąź zrzuciła kopułę, jakby była pączkiem róży. Na próżno wojowniczkami ostrzeliwały wszystko wokół, kwas był bezsilny wobec niszczyielskiej rośliny.

Lacholakanijski były przerażone. W końcu jednak wszystko ustało. Spokój trwał zaledwie 2^o, po czym bojowym krokiem nadciągnęły legiony karłowatych.

Rozprute miasto-córka miało trudności z odparciem pierwszego ataku. Straty oszacowano na dziesiątki tysięcy. Ocalali schronili się wreszcie w pniu sosny i tam na razie trwają w stanie oblężenia. Nie utrzymują się tam jednak zbyt długo, nie mają żadnych zapasów żywności, a walki toczą się już w korytarzach prowadzących do zakazanego rewiru.

Jako że La-chola-kan stanowi część Federacji, Bel-o-kan oraz wszystkie sąsiednie miasta-córki czują się w obowiązku przyjść mu z pomocą. Zarządzono przygotowanie do walki, zanim jeszcze czułki odebrały ostatnie sygnały relacjonujące tragedię. Nikt już nie mówi o odpoczynku czy pracach przy odbudowie Miasta. Pierwsza wiosenna wojna właśnie się rozpoczęła.

Kiedy samiec 327, samica 56 i wojowniczka 103 683 pokonują czym prędzej piętra, wokół nich wszystko się kłębi.

Niańki znoszą jajeczka, larwy i poczwarki na -43 piętro. Dojarki mszyc ukrywają swą zieloną trzodę w najgłębszych częściach Miasta. Żniwiarki przygotowują drobno posiekane racje żywnościowe. W pomieszczeniach wojennych artylerzystki wypełniają po brzegi odwołki kwasem mrówkowym. Wojowniczkę ostrzą żuwaczki. Najemniczki formują zwarte oddziały. Płciowe zaszywają się w swoich dzielnicach.

Nie można atakować natychmiast, jest zbyt zimno. Jutro jednak, o pierwszych promieniach słońca, rozpęta się wojna. Na kopule zamykane są otwory regulujące temperaturę wewnątrz Miasta. Bel-o-kan zwięża swe pory, chowa pazury i zaciska zęby. Jest gotowe ugryźć.

Grubszy z policjantów otoczył chłopca ramieniem.

– Więc jesteś pewien? Są tam, na dole?

Dziecko, sprawiające wrażenie wycieńczonego, bez słowa uwolniło się z uścisku.

Inspektor Galin nachylił się w głąb schodów i krzyknął głośno, lecz zarazem zabawnie: „Hop hop!”. Odpowiedziało mu echo.

– Wygląda na to, że tu jest rzeczywiście głęboko – rzekł. – Nie możemy tak zejść, musimy mieć sprzęt.

Zatroskany komisarz policji Bilsheim przyłożył swój mięsisty palec do ust.

– Oczywiście, oczywiście...

– Sprowadź strażaków – powiedział inspektor Galin.

– Zgoda, ja w tym czasie przesłucham małego.

Komisarz wskazał na zniszczony zamek u drzwi.

– Twoja mama to zrobiła?

– Tak.

– Całkiem sprytna ta twoja mama. Niewiele znam kobiet, które potrafiłyby posłużyć się palnikiem do otwarcia drzwi. I nie znam żadnej, która umiałaby odetkać zlew...

Nicolas nie był w nastroju do żartów.

– Chciała iść po tatę.

– No tak, przepraszam... Od jak dawna są tam w dole?

– Od dwóch dni.

Bilsheim podrapał się w nos.

– A wiesz, dlaczego twój tato tam zszedł?

– Najpierw poszedł szukać psa. Potem to już nie wiem. Kupił różne metalowe płyty i wziął je tam ze sobą. Kupił też mnóstwo książek o mrówkach.

– O mrówkach? Ach tak, oczywiście, oczywiście.

Komisarz Bilsheim, nieco zdezorientowany, ograniczył się do kiwania głową i mruknięcia jeszcze kilka razy „oczywiście”. Sprawa zapowiadała się źle. Nie czuł jej. Nie pierwszy raz miał

do czynienia ze specjalnym przypadkiem. Można by wręcz powiedzieć, że systematycznie podrzucano mu najbardziej cuchnące sprawy. Zawdzięczał to z pewnością jednej ze swych głównych zalet: szaleńcy, widząc go, mieli wrażenie, że wreszcie znaleźli kogoś, kto ich rozumie.

To był dar natury. Kiedy był małym chłopcem, koledzy z klasy opowiadali mu o swoich majakach. On przytakiwał ze zrozumieniem, wpatrując się w rozmówcę i powtarzając tylko „oczywiście”. Działo za każdym razem. Człowiek często komplikuje sobie życie, układając wyrafinowane zdania i komplementy, aby zrobić na kimś wrażenie; tymczasem Bilshheim zauważył, że zwykłe „oczywiście” jest całkowicie wystarczające. Oto kolejna tajemnica komunikacji międzyludzkiej.

Fenomen był tym ciekawszy, że młody Bilshheim, który praktycznie nigdy się nie odzywał, zyskał sobie w szkole reputację wielkiego oratora. Proszono go nawet, by wygłaszał przemówienia na uroczystościach zakończenia roku.

Bilshheim mógł zostać psychiatrą, ale fascynował go mundur, a przy nim biały fartuch niemal się nie liczył. W świecie pełnym wariatów policja i wojsko stanowiły rodzaj przywódców wszystkich tych, którzy „się nie dają”. Nawet jeśli Bilshheim wierzył, że ich rozumie, nienawidził tych gadających od rzeczy ludzi. Bezmózgowcy! Najbardziej męczyli go ci mówiący sami do siebie na głos w metrze, odgrywający ponownie przeżytą przygodę, poniesioną porażkę.

Kiedy Bilshheim wstąpił w szeregi policji, jego wyjątkowy dar szybko został zauważony przez zwierzchników. Przydzielano mu systematycznie wszystkie „niezrozumiałe przypadki”. Zazwyczaj żadnego nie udawało mu się rozwiązać, ale przynajmniej zajmował się nimi, a to już się liczyło.

– A! No i jeszcze zapalki!

– Co z zapalkami?

– Jeśli chce się znaleźć rozwiązanie, trzeba ułożyć cztery trójkąty z sześciu zapalek.

– Rozwiązanie czego?

– Chodzi o nowy sposób myślenia. Inną logikę, o której mówił tato.

– Oczywiście.

Tym razem chłopiec się zbuntował:

– Nie, wcale nie oczywiście! Trzeba znaleźć figurę geometryczną, która da nam cztery trójkąty. Mrówki, wuj Edmund, zapalki, wszystko jest ze sobą powiązane.

– Wuj Edmund? A któż to taki?

Nicolas ożywił się.

– To on napisał *Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej*. Ale umarł. Może przez szczury. Te szczury, które zabiły Ouarzazate'a.

Bilshheim westchnął. To przygnębiające. Co wyrosnie z tego malca, co będzie, gdy osiągnie

pełnoletność? W najlepszym wypadku alkoholik. Inspektor Galin sprowadził wreszcie strażaków. Bilshaim spojrział na niego z dumą. Prawdziwy as z tego Galina. A przy okazji zbrocheniec. Takie szalone historie go podniecały. Im sprawa bardziej zakręcona, tym chętniej się angażował.

Wyrozumiały Bilshaim i entuzjasta Galin tworzyli we dwójkę nieoficjalną brygadę „wariackich-spraw-którymi-nikt-się-nie-chce-zajmować”. Mieli już za sobą przypadek staruszki-żeżartej-przez-koty i prostytutki-duszącej-klientów-językiem, nie mówiąc już o mordercy-ścinającym-głowy-rzeźnikiem.

– Dobra – rzekł Galin – proszę tu zostać, szefie, my nurkujemy i przynosimy ich tu na nadmuchiwanym noszach.

W swej królewskiej łoży Matka przerywa składanie jajeczek. Unosi jeden czulek i prosi, by zostawiono ją samą. Służące znikają.

Belo-kiu-kiuni, żywa płeć Miasta, jest niespokojna.

Nie boi się wojny. Wygrała już albo poniosła klęskę w przynajmniej pięćdziesięciu. Niepokoi ją coś innego. Chodzi o tę sprawę z tajemną bronią. Ta gałąź akacji, która kręci się i niszczy kopułę. Nie zapomniała też o opowieści samca 327 i o dwudziestu ośmiu wojowniczkach, które zginęły, zanim udało im się ustawić w szyku bojowym. Czy można dalej ryzykować i nie brać pod uwagę tych zadziwiających faktów?

Teraz już nie.

Ale co robić?

Belo-kiu-kiuni przypomina sobie przypadek, gdy musiała stawić czoło niepojętej tajemnej broni. Było to podczas wojen z termitierami z Południa. Pewnego pięknego dnia oznajmiono jej, że pluton stu dwudziestu wojowniczek został nie tyle rozbity, ile unieruchomiony!

Powszechnie przerażenie nie miało granic. Sądzono, że termyty uzyskały decydującą technologiczną przewagę i że nigdy już nie uda się ich pokonać.

Czym prędzej wysłano szpiegów. Jak się okazało, termyty właśnie wyhodowały kastę artylerzystek plujących klejem. Były w stanie wystrzelić na odległość dwustu głów lepką maź, która unieruchamiała odnóża i szczęki żołnierzy.

Federacja długo się zastanawiała, aż wreszcie znalazła sposób: przemieszczać się, trzymając przed sobą zeschnięte liście. Sposób ten zresztą wykorzystany został w czasie słynnej Bitwy Zeschłych Liści, z której armia belokanijska wyszła zwycięsko...

Tym razem jednak przeciwnikami nie były niezdarne termyty, lecz mrówki karłowate, które wielokrotnie już zaskakiwały żywotnością i inteligencją. Poza tym tajemna broń sprawiała wrażenie wyjątkowo niszczycielskiej.

Potarła nerwowo czułki.

Co właściwie wiedziała o karłowatych?

Dużo i zarazem niewiele.

Pojawiły się w okolicy sto lat temu. Najpierw jedynie kilka zwiadowczyń. Nie obawiano się ich, gdyż były znikomych rozmiarów. Następnie dotarły karawany karłowatych, niosące jajeczka i zapasy żywności. Pierwszą noc spędziły w korzeniach wielkiej sosny.

Nad ranem połowa z nich została uśmiercona przez wygłodniałego jeża. Te, które ocalały, oddaliły się na północ, gdzie zagospodarowały sobie miejsce biwakowe, niedaleko siedziby czarnych mrówek.

W Federacji stwierdzono, że to sprawa między nimi a czarnymi. Byli i tacy, którym wręcz żal było zostawiać te wątle stworzenia na pastwę czarnych mrówek.

Tymczasem karłowate wcale nie zostały zmasakrowane. Widziano je codziennie, jak taszczyły gałązki i małe chrząszcze. Nie widywano już natomiast... czarnych mrówek.

Do tej pory nie wiadomo, co się wydarzyło, ale belokanijskie zwiadowczynie doniosły w swych raportach, że obecnie karłowate zajmują całe gniazdo czarnych. Zdarzenie to przyjęto jako zrządzenie losu, niemal z humorem. *Dobrze im tak, tym zarozumiałym czarnym* – w korytarzach upajano się tym zapachem. Poza tym te małe mrówki od siedmiu boleści nie będą niepokoić Federacji.

Problem polegał na tym, że po czarnych przyszła kolej na rój pszczół z krzaka dzikiej róży. Karłowate zajęły ich gniazdo... Wkrótce potem ostatnia termitiera z Północy i gniazdo czerwonych jadowitych mrówek przeszły na stronę karłowatych!

Napływający do Bel-o-kan uchodźcy, dzięki którym wzrastała liczba najemników, opowiadali, że karłowate wykorzystywały wyjątkowo nowoczesne strategie wojskowe. Na przykład zatrwały wodopoje, wlewając do nich toksyczne wyciągi kwiatowe.

Mimo to nikt nie niepokoił się jeszcze poważnie. Kiedy jednak Niziu-ni-kan padło w zeszłym roku w 2°, wreszcie zorientowali się, że mają do czynienia z groźnymi przeciwnikami. Co prawda rudnice nie doceniły karłowatych, ale te również źle je oszacowały. Niziu-ni-kan było niewielkim miastem, lecz sprzymierzonym z Federacją. Nazajutrz po zwycięstwie karłowatych dwieście czterdzieści legionów po tysiąc dwieście wojowniczek każdy urządziło im pobudkę. Wynik walki był z góry przesądzony, co jednak nie zniechęciło karłowatych do zażartej walki. Oddziały Federacji potrzebowały aż całego dnia, by dostać się do wnętrza oswobodzonego Miasta.

Na miejscu odkryto, że karłowate umieściły w Niziu-ni-kan nie jedną, lecz... dwieście królów. To był szok.

ARMIA ZACZEPNA: Mrówki są jedynymi owadami żyjącymi w społeczeństwie utrzymującym oddziały zaczepne.

Termity i pszczoły, gatunki mniej wyrafinowane – monarchiści i lojaliści,

wykorzystują swych żołnierzy jedynie do obrony miasta lub ochrony robotnic, gdy te oddalają się od gniazda. Rzadko widuje się termitierę lub ul prowadzące kampanię mającą na celu podbój nowych terenów. Chociaż i to się zdarzało.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Wzięte w niewolę królowe karłowatych opowiedziały historię i opisały zwyczaje tego gatunku. Zaskakująca to była opowieść.

Dawno temu karłowate żyły w innej krainie, odległej o miliardy głów stąd.

Kraj ten wielce się różnił od lasu Federacji. Rosły tam olbrzymie owoce, kolorowe i bardzo słodkie. Poza tym nie było tam ani zimy, ani hibernacji. Na tej ziemi mlekiem i miodem płynącej karłowate wybudowały dawne Shi-gae-pou, miasto wywodzące się z bardzo starej dynastii. Powstało ono u stóp wielkiego oleandra.

Pewnego dnia jednak oleander został wyrwany z ziemi i włożony do drewnianej skrzyni. Karłowate próbowały wydostać się z pudła, zostało jednak umieszczone ono wewnątrz jakiejś olbrzymiej i twardej konstrukcji. Te z mrówek, które dotarły do jej granic – wpadły do wody. Wody słonej, ciągnącej się wszędzie, jak okiem sięgnąć.

Wiele karłowatych utopiło się, próbując odnaleźć ziemię przodków, wreszcie większością głosów zdecydowano, że trzeba przetrwać w tej wielkiej, twardej konstrukcji otoczonej wodą. Mijały dni. Dzięki narządowi Johnstona wyczuwały, że przemierzają niewiarygodne odległości z bardzo dużą prędkością.

Przemierzaliśmy ponad sto ziemskich barier magnetycznych. Dokąd podążaliśmy? Tutaj. Wysadzono nas razem z oleandrem. Odkryliśmy ten świat i jego egzotyczną florę i faunę.

Przesiedlenie przyniosło jedynie rozczarowanie. Owoce, kwiaty i owady były mniejsze, mniej kolorowe. Karłowate opuścili kraj czerwony, żółty, błękitny, by znaleźć się w zielonym, czarnym, brązowym. Świat pastelowy w zamian za jaskrawą krainę. No i jeszcze unieruchamiające wszystko zima i mróz. Tam nie wiedziały nawet, że zimno istnieje, a jedynym powodem, dla którego odpoczywały, było ciepło!

W pierwszej kolejności karłowate wynalazły różne sposoby ochrony przed zimnem. Najbardziej skuteczną metodą okazało się napychanie się cukrem i pokrywanie ciała śliną ślimaka. Jeśli chodzi o cukier – zbierały fruktozę z truskawek, jeżyn i czereśni. Aby zdobyć tłuszcz – rozpoczęły w okolicy prawdziwą eksterminację ślimaków.

Zaskakiwały również ich odmienne zwyczaje: nie miały ani skrzydlatych osobników płciowych, ani lotu godowego. Samice kochały się i składały jaja pod ziemią. Dlatego też każde miasto posiadało nie jedną, lecz kilkaset samic składających jaja. Dawalo im to znaczącą przewagę: poza o wiele wyższym niż u rudnic przyrostem naturalnym były również bardziej odporne.

Wystarczało jedynie zabić królową, by zniszczyć całe miasto rudych, gniazdo karłowatych natomiast mogło odradzać się, dopóki przy życiu ostała się przynajmniej jedna pliciowa istota.

Ale to jeszcze nie wszystko. Karłowate miały zupełnie inne podejście do podbojów terytorialnych. W odróżnieniu od rudych, które po miłosnym locie lądowały jak najdalej, by następnie łączyć miasta ścieżkami, tworząc rozległe imperium Federacji, karłowate posuwały się centymetr po centymetrze, zdobywając tereny wokół centralnego miasta.

Nawet ich małe rozmiary okazały się atutem. Potrzebowały niewielkiej ilości kalorii, by zachować bystry umysł i wysoką wydajność działania. Ich prędkość można było podziwiać podczas pewnej pamiętnej wielkiej ulewy.

Gdy rude były jeszcze na etapie ewakuowania, nie bez problemów, ostatnich jajeczek i stad mszyc z zatopionych korytarzy, karłowate zdążyły już zbudować nowe gniazdo we wgłębieniu kory wielkiej sosny, gdzie przetransportowały wszystkie swoje skarby...

Belo-kiu-kiuni poruszyła się, jakby chcąc odegnąć niepokojące myśli. Złożyła właśnie dwa jajeczka-wojowniczeki. W pobliżu nie ma nianiek, by się nimi zająć, a ona jest głodna. Zjada więc lakomie te pożywne proteiny.

Droczy się ze swoją mięsożerną rośliną. Zmartwienia biorą jednak górę. Jedynym sposobem na tę tajemną broń byłoby wynalezienie innej, jeszcze doskonalszej i straszliwszej.

Mrówki rudnice odkryły po kolei kwas mrówkowy, liść-tarczę, klejące pułapki. Wystarczy znaleźć coś innego. Broń, która zaskoczyłaby karłowate, jeszcze gorsza od niszczycielskiej gałęzi!

Królowa wychodzi ze swej łoży, idzie na spotkanie z wojowniczkami. Sugeruje im, by w grupach zastanawiały się nad wynalezieniem broni przeciwko tajnej broni. Jej bodziec jest przyjęty pozytywnie przez Federację.

Tu i ówdzie tworzą się małe grupki złożone z trzech lub pięciu wojowniczek, czasami dołączają do nich robotnice. Przytykają czułki jedne do drugich, tworząc trójkąt lub pięciokąt – przeprowadzają setki Porozumień Absolutnych.

– Uwaga, zatrzymuję się! – ostrzegł Galin, chcąc uniknąć zderzenia z ciężarem ośmiu strażaków idących za nim.

– Ależ tu ciemno! Podajcie mi silniejszą latarkę.

Odwrócił się i ktoś podał mu dużą lampę. Strażacy mieli niepewne miny, chociaż ubrani byli w skórzane kurtki i kaski. Co mu strzeliło do głowy, żeby na tego typu wyprawę wkładać coś równie mało praktycznego jak marynarka.

Schodzili ostrożnie. Inspektor, pełniący rolę oka ekspedycji, starał się oświetlić każdy zakamarek, zanim zrobił krok do przodu. Szli w ten sposób wolniej, lecz bezpieczniej.

Snop światła latarki omiótł napis wyrzyty na ścianie, na wysokości wzroku.

Zastanów się.

Jeśliś czysty,

Chemiczne gody wyrządzą Ci szkodę.

Nieszczęsny ten, kto zbyt długo zabawi,

Niech powstrzyma się ten, kto zbyt płochy.

Ars Magna

– Widzieliście to? – spytał jeden ze strażaków.

– To stary napis, i tyle... – uspokajał inspektor Galin.

– Trąci mi to jakimis czarownicami...

– W każdym razie to diabelnie głębokie.

– Co? To zdanie?

– Nie, to miejsce. Wygląda na to, że schody ciągną się kilometrami.

Ruszyli dalej. Oceniali, że znajdują się jakieś 150 metrów pod poziomem miasta. A schody nadal biegły w dół, zakręt za zakrętem. Jak spirala DNA. Niemal kręciło im się od tego w głowie. Głębiej, coraz głębiej.

– Można tak w nieskończoność – mruknął jeden ze strażaków. – Nie jesteśmy przygotowani do zabawy w speleologów.

– Myślałem, że trzeba po prostu wyciągnąć kogoś z piwnicy – rzekł inny, niosący nadmuchiwane nosze. – Żona czeka na mnie od ósmej z kolacją, pewnie jest zachwycona, dochodzi dziesiąta.

Galina starał się przywrócić porządek.

– Słuchajcie, chłopaki! Jesteśmy już bliżej dna niż powierzchni, więc jeszcze tylko mały wysiłek. Nie poddamy się przecież teraz.

Tymczasem pokonali zaledwie jedną dziesiątą drogi...

Po PA trwającym kilka godzin w temperaturze 15° grupa żółtych mrówek najemników przedstawia pomysł, który wszystkie inne centra nerwowe szybko uznają za najlepszy. Tak się składa, że Bel-o-kan ma liczną grupę najemników należących do dość osobliwego gatunku łupaczy ziaren. Mrówki te obdarzone są olbrzymich rozmiarów głową i długimi ostrymi żuwaczkami, którymi miażdżą najtwardsze ziarna. Nie sprawdzają się w walce, gdyż ich nóżki są za krótkie, a tułów za ciężki. Po co więc miałyby wlec się mozolnie na pole bitwy, skoro powodują tam więcej szkód niż pożytku? Rudnice postanowiły wykorzystać je do prac gospodarskich, na przykład do cięcia dużych gałązek.

Żółte mrówki wynalazły sposób na to, jak zmienić te wielkie niezdary w prawdziwych wojennych pogromców. Wystarczy, że sześć małych, żwawych robotnic weźmie jedną na grzbiet! W ten sposób łupacze, kierując się węchem, niesione na żywych nóżkach mogą natrzeć z dużą prędkością na przeciwnika i rozszarpać go na części długimi żuwaczkami.

Kilka obzartych cukrem wojowniczek robi próby w solarium. Sześć mrówek podnosi jednego lupacza i biegnie, starając się utrzymać równy krok. Wygląda na to, że działa świetnie.

W Bel-o-kan właśnie wynaleziono czołg.

Nigdy nie powrócili na powierzchnię. Następnego dnia gazety doniosły: „Fontainebleau – tajemnicze zniknięcie w piwnicy ośmiu strażaków i inspektora policji”.

O pierwszych promieniach słońca karłowate mrówki oblegające Zakazane Miasto La-chola-kan przymierzają się do rozpoczęcia bitwy. Rudnice, odcięte od świata, ukryte w pniaku, są wygłodniałe i wycieńczone. Długo już nie wytrwają. Walki zostają wznowione. Po długiej strzelaninie kwasem karłowate zdobywają kolejne skrzyżowanie. Wyżarte strzałami drewno wypływa zwłoki obłożonych wojowniczek. Ostatnie ocalałe rude mrówki są u kresu sił. Karłowate wdzierają się coraz głębiej do Miasta. Partyzanci ukryci w zakamarkach sklepienia nie są już w stanie ich powstrzymać. Łoża królewska musi być już blisko. Wewnątrz królowa zwalnia rytm bicia serca. Wszystko przepadło.

Nagle jednak oddziały karłowatych wysunięte najbardziej do przodu wyczuwają zapach alarmu. Coś dzieje się na zewnątrz. Zawracają.

Na Wzgórzu Maków, górującym nad miastem, dostrzec można pośród czerwonych kwiatów tysiące czarnych punkcików.

A więc Belokanijki ostatecznie się przyjąć z odsieczą. Jeszcze tego pożąłują. Karłowate wysyłają najemnych giermków-posłańców, aby ostrzegli Miasto Centralne. Wszyscy przekażą ten sam feromon:

Atakują! Przyślijcie posiłki od wschodu, by zaskoczyć je z obu stron. Przygotujcie tajną broń.

Pierwszy ciepły promyk, który przedarł się przez chmury, przyspieszył decyzję o przystąpieniu do ataku. Jest 8.03. Oddziały belokanijskie pokonują pędem stok, omijają źdźbła traw, przeskakują przez ziarna żwiru. Miliony wojowniczek biegną z rozwartymi szeroko żuwaczkami. Widok ten robi naprawdę duże wrażenie.

Ale karłowate wcale się nie boją. Przewidziały tę taktykę. Poprzedniego dnia wykopały dziury w ziemi w układzie ukośnej szachownicy. Ukryły się w nich, zakopane w piachu, wystawiając na powierzchnię jedynie żuwaczki.

To posunięcie karłowatych niweczy atak rudych. Na próżno walczą z przeciwnikami, którzy ukazują jedynie swoje mocne strony. Nie ma sposobu, by odciąć im nóżki czy wyrwać odwłok.

Teraz nadchodzi chwila, w której większość piechoty Shi-gae-pou, przyczajona nieopodal przy grupie borowików szatańskich, wyrusza z kontrofensywą, zaskakując rudnice od tyłu.

Belokanijek są miliony, Shigae-pounijek zaś dziesiątki milionów. Na jedną rudą przypada co

najmniej pięć karłowatych, nie mówiąc już o przyczajonych w małych norkach wojowniczkach, które przyczajają wszystko, co nawinie im się na zuwaczki.

Szala zwycięstwa wkrótce przechyla się na korzyść liczniejszych. Oddziały federalne rozpraszane są przez wyskakujące zewsząd karłowate.

O 9.36 Belokanijki zaczynają się wycofywać. Karłowate wydzielają już zapachy zwycięstwa. Ich strategia sprawdziła się doskonale. Nie ma nawet potrzeby użycia tajnej broni! Podążają za armią uciekinierów, uważając, że twierdzą La-chola-kan można uznać za zdobytą.

Ale na swych krótkich nóżkach karłowate muszą zrobić dziesięć kroczków tam, gdzie rudym wystarcza raptem jeden skok. Szybko męczą się wspinaczką na Wzgórzu Maków. Na to właśnie liczyły rudnice w swej strategii. Pierwsza szarża miała służyć wyciągnięciu oddziałów karłowatych z zagłębienia terenu, by stawić im czoło na zboczu.

Rude docierają do grzbietu wzgórza, oddziały karłowatych biegną za nimi w całkowitej rozsypce. Na szczycie w jednej chwili pojawia się las ostrzy. To olbrzymie szczypce łupaczy. Unoszą się, by załsnąć w promieniach słońca, a po chwili ustawić równoległe do ziemi i ruszyć na karłowate. Łupacze ziaren, łupacze ziaren!

Całkowite zaskoczenie. Oszołomione Shigaeponijki, z zeszywniałymi ze strachu czułkami, dają się kosić jak trawnik. Łupacze przecinają linię wroga w wielkim pędzie, korzystając ze spadku terenu. Pod każdym z nich sześć robotnic przebiera nóżkami ze wszystkich sił. Są gąsienicami tej wojennej maszyny. Dzięki doskonale zsynchronizowanej komunikacji między kołami a wieżyczką czołgu, zwierzę na trzydziestu sześciu nóżkach i o dwóch gigantycznych zuwaczkach z łatwością przebija się przez armię przeciwnika.

Karłowatym jedynie migają przed oczami te wielkie, ciężkie maszyny, które atakują je setkami, niszczą, zgniatają, mielą. Olbrzymie zuwaczki zanurzają się w masie ciał, skubią i unoszą się pełne krwawiących nówek i głów zgniatanych niczym słoma.

Totalna panika. Sterroryzowane karłowate wpadają na siebie, depczą się, czasami zabijają nawzajem.

Belokanijskie czołgi, przeczesawszy w ten sposób piechotę karłowatych, zostawiły ją za sobą i podążają dalej w swym pędzie. Stop. Wspinają się znów po zboczu, cały czas w idealnym szyku, by ponownie przejechać niszczycielskim walcem. Te z karłowatych, które ocalały, chciałyby uciec, lecz u szczytu wzgórza rysuje się już drugi front czołgów... przystępujący do natarcia!

Dwie równoległe kolumny łączą się. Przed każdym czołgiem rosną stosy trupów. Hekatomba.

Obserwujące z daleka całą bitwę Lacholakanijki podchodzą teraz, by dopingować siostry. Początkowe zdziwienie ustępuje miejsca entuzjazmowi. Emitują feromony radości. To zwycięstwo technologii i inteligencji! Nigdy do tej pory geniusz Federacji nie objawił się równie efektownie.

Tymczasem Shi-gae-pou nie odkryło jeszcze wszystkich swoich kart. Nadal ma tajną broń. Teoretycznie została ona stworzona z myślą o wyplaszaniu krnąbrnych, obłączonych przeciwników, ale przy tak nieprzyjemnym obrocie spraw karłowate decydują się pójść na całość.

Sekretna broń ma postać ciemnej rośliny, na którą nawleczono czaszki mrówek rudnic.

Kilka dni wcześniej karłowate odkryły zwłoki jednej z uczestniczek ekspedycji, należącej do Federacji. Jej ciało rozprysło się pod naciskiem pasożytniczego grzyba o nazwie *Alternaria*. Karłowate badaczki przeanalizowały ów fenomen i zorientowały się, iż grzyb ten produkuje lotne spory, które przylepiają się do pancerza, przeżerają go, przenikają do środka organizmu stworzenia i rozpychają aż do rozerwania szkieletu.

Cóż za broń!

Niezawodność gwarantowana. Spory przyczepiają się bowiem jedynie do chityny rudych, a do karłowatych nie. Powód jest prosty – te ostatnie, często marznąc, mają zwyczaj smarowania się śliną ślimaków! A substancja ta chroni przed *Alternarią*.

Belokanijki może i wymyśliły czołg, ale Shigaepounijki wynalazły broń biologiczną.

Jeden z oddziałów piechoty rusza z trzema setkami zainfekowanych czaszek, odzyskanych po pierwszej bitwie w La-chola-kan. Rzucają je w sam środek nieprzyjacielskiej armii. Łupacze ziaren i niosące je mrówki kichają wśród śmiertelnego pyłu. Widząc, że oblepia on ich pancerze, wpadają w panikę. Żywe nóżki porzucają swój ładunek. Łupacze, pozostawione same sobie, przerażone atakują towarzyszy. Całkowity chaos.

Około 10.00 nagle fala zimna rozdziela walczące strony. Nie da się walczyć w lodowatych podmuchach wiatru. Oddziały karłowatych korzystają z chwili przerwy, by się wycofać. Czołgi rudnic mozolnie wspinają się na wzniesienie.

W obydwu obozach trwa przeliczanie rannych, analizowanie strat. Sporządzony na szybko bilans okazuje się przygnębiający. Obie strony chętnie zmieniłyby wynik bitwy.

U Belokanijek rozpoznano spory *Alternarii*. Zapada decyzja, by stracić wszystkie wojowniczkę, które miały styczność z grzybem, aby oszczędzić im nieuniknionych cierpień.

Przybiegają szpiedzy z informacją, iż można się ochronić przed skutkami działania broni biologicznej – wystarczy pokryć ciało śliną ślimaka. Tak też zrobiono. Trzy mięczaki (obecnie coraz trudniej o nie) zostały zgładzone i każda mrówka zabezpiecza się przed atakiem.

Kontakt czułkami. Stratedzy rudnic stwierdzają, że nie można już atakować samymi czołgami. Pada nowy rozkaz – czołgi zajmą miejsce w środku, a sto dwadzieścia legionów biegnącej piechoty i sześćdziesiąt oddziałów legii cudzoziemskiej będzie kroczyć po bokach. Nastrój zdecydowanie się poprawia.

MRÓWKA ARGENTYŃSKA: Mrówki argentyńskie (Iridomyrmex humilis) pojawiły się we Francji w 1920 roku. Prawdopodobnie znalazły się w transporcie donic z oleandrami,

przeznaczonymi do ukwiecenia dróg Lazurowego Wybrzeża.

Pierwsza wzmianka o nich pojawiła się w 1866 roku w Buenos Aires (stąd ich nazwa). W 1891 roku trafiono na ich ślad w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Orleanie.

Ukryte w grzywie koni argentyńskich przeznaczonych na eksport, docierają w 1908 roku do Afryki Południowej, w 1910 do Chile, do Australii w 1917, wreszcie do Francji w 1920.

Gatunek ten charakteryzuje się nie tylko małymi rozmiarami, dzięki którym stworzenia te zyskały sobie miano Pigmejów wśród innych mrówek, lecz przede wszystkim inteligencją i zaciętością w walce.

Wkrótce po zadomowieniu się na południu Francji mrówki argentyńskie zaczęły zwalczać wszystkie miejscowe gatunki... i pokonały je!

W 1960 roku przekroczyły Pireneje i dotarły aż do Barcelony. W 1967 przeszły przez Alpy i zalały Rzym. Na początku lat 70. rozpoczęły wędrówkę na północ. Przyjmuje się, iż podczas upałów w końcu lat 90. XX wieku przekroczyły Loarę. Napastnicy o taktyce wojennej, której nie powstydziliby się sam Juliusz Cezar czy Napoleon, stanęli teraz twarzą w twarz z dwoma dość upartymi gatunkami: mrówkami rudnicami (na południu i wschodzie regionu paryskiego) i mrówkami faraona (na północ i zachód od Paryża).

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Bitwa Maków wciąż nierozstrzygnięta. O 10.13 Shi-gae-pou decyduje się posłać po posiłki. Dwieście czterdzieści legionów armii rezerwistów ruszy na pomoc ocalałym z pierwszego starcia. Wyjaśnia im się taktykę czołgów. Czulki łączą się w PA. Musi być przecież jakiś sposób na te dziwne maszyny...

Okolo 10.30 jedna z robotnic proponuje:

Łupacze poruszają się dzięki sześciu nosącym je mrówkom. Wystarczy odciąć im żywe nóżki.

Pada kolejny pomysł:

Słabym punktem tych machin jest ich mała zwrotność. Można to wykorzystać. Ustawimy się w formie zwartych oddziałów. Gdy maszyny podejmą natarcie, rozstąpimy się na boki, dając im wolne przejście. Gdy będą jeszcze rozpędzone, uderzymy od tyłu. Nie zdążą się odwrócić.

I trzeci pomysł:

Zauważyliśmy, że synchronizację ruchu nóżek zawdzięczają porozumieniu za pomocą czulków. Wystarczy odciąć je łupaczom, by nie mogły kierować noszącymi je mrówkami.

Wszystkie pomysły są zapamiętane. Karłowate biorą się za układanie nowego planu bitwy.

CIERPIENIE: Czy mrówki mogą cierpieć? A priori nie. Nie mają systemu nerwowego odpowiedzialnego za tę funkcję. A kto nie ma nerwów, nie otrzymuje też informacji o bólu. To tłumaczyłoby, dlaczego oderwane części mrówek „żyją” czasami dość długo niezależnie od reszty ciała.

Brak bólu wprowadza nas w całkiem nowy świat science-fiction. Bez bólu nie ma strachu, a może nawet i samoświadomości. Przez długi czas entomolodzy zastanawiali się nad pewną teorią: jedność społeczeństwa mrówek wynika z faktu, że te nie cierpią. To tłumaczy wszystko i nic. Ma to jednak jeszcze inną zaletę: zabijając je, czujemy się zwolnieni z wszelkich skrpułów.

Ale ja bałbym się zwierzęcia, które nie cierpi.

Cała ta koncepcja jest jednak fałszywa. Mrówka, której odcina się głowę, emituje charakterystyczny zapach. Zapach bólu. Coś zatem się dzieje. Mrówka nie ma elektrycznych bodźców nerwowych, ma jednak bodźce chemiczne. Wie, kiedy brakuje jej części samej siebie, i cierpi z tego powodu. Cierpi na swój sposób, z pewnością inny niż nasz, niemniej jednak cierpi.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Walki zostają wznowione o 11.47. Długa, zwarta linia karłowatych żołnierzy rusza powoli szturmem na Wzgórze Maków. Wśród kwiatów pojawiają się czołgi. Na dany sygnał pędzą w dół. Legiony rudych wraz z najemnikami harcują na flankach, gotowe dokończyć pracę po olbrzymich machinach.

Obie armie dzieli już odległość nie większa niż sto głów... Pięćdziesiąt... Dwadzieścia... Dziesięć! Zanim jednak pierwszy łupacz dotyka jakiegokolwiek przeciwnika, zdarza się coś dziwnego. Zwarta linia Shingapounijek rozstępuje się nagle. Wojowniczkki ustawiają się w czworoboki.

Każdy z czołgów widzi, jak wróg znika, a przed nim otwiera się wolne przejście. Żaden z nich nie ma jednak odruchu, by ruszyć zygzakiem i natrzeć na karłowate. Żuwaczki szczękają w próżni, trzydzieści sześć nówek biegnie bez celu.

W powietrzu unosi się cierpki fluid:

Odciąć im nóżki!

Karłowate nurkują natychmiast pod czołgi i mordują tragarzy, a następnie czym prędzej umykają, by uniknąć zgniecenia przez walące się ciała łupaczy.

Inne rzucają się odważnie pomiędzy dwa rzędy tragarzy i rozpruwają żuwaczką odsłonięty brzuch. Pojawia się ciecz – życie wylewa się z łupaczy na ziemię.

Jeszcze inne wspinają się na maszyny, odcinają im czułki i natychmiast zeskakują. Czołgi

padają jeden za drugim. Pozbawione tragarzy łupacze wloką się jak obłożnie chorzy. Przeciwnik dobija je bez problemu.

Przerażający widok! Sześć robotnic, które jeszcze nie zorientowały się, co się stało, nadal niesie rozprute zwłoki... Łupacze widzą, jak ich „koła” rozbiegają się na wszystkie strony, rozdzierając je na części...

Kłęska ta zapowiada upadek technologii czołgów. Ileż wielkich wynalazków w historii mrówek zniknęło tylko dlatego, że zbyt szybko znaleziono na nie sposób!

Biegące po bokach czołgów legiony rudnic i ich najemników nagle stwierdzają, że są całkowicie odsłonięte. Umieszczono je tam, by niszczyły niedobitków, tymczasem są zmuszone do desperackiej strzelaniny. Karłowaci żołnierze już ustawili się z powrotem w szyku – masakra łupaczy została przeprowadzona brawurowo. Gdy tylko któraś z Belokanijek zaatakuje jeden z krańców oddziału, zostanie natychmiast wessana i powalona na ziemię przez tysiące żarłocznych żuwaczek.

Rude i ich żołdacy mogą już tylko się cofać. Przegrupowane na szczycie wzgórza, obserwują karłowate, które powoli wspinają się, nadal w zwartych szeregach. Przerażająca wizja!

Największe wojowniczkę staczają ze wzniesienia kawałki żwiru, licząc na to, że zyskają trochę czasu. Lawina nie opóźnia jednak pochodu. Czujne karłowate zwinnie usuwają się z drogi spadającym głazom i równie szybko powracają na swoje miejsce w szyku. Ofiar jest niewiele.

Oddziały belokanijskie gorączkowo szukają rozwiązania, które wyciągnęłoby je z tarapatów. Kilka wojowniczek proponuje, by powrócić do dawnych technik walki. Czemu by po prostu nie wykorzystać artylerii? Prawdą jest bowiem, że od początku starcia niemal wcale nie użyto kwasu, który w bitewnym zamęcie niszczy tyle samo wrogów, co sprzymierzeńców, lecz w tym wypadku – w walce przeciwko zwartym szeregom karłowatych – powinien dać dobre wyniki.

Artylerzystki ustawiają się w pozycji do strzału, mocno wsparte na czterech tylnych nóżkach, z odwołaniem ku przodowi. Mogą w ten sposób poruszać nim z góry na dół i z prawa na lewo, by wybrać kąt najlepszy do strzału.

Karłowate, znajdujące się nieco poniżej, widzą jedynie czubki tysięcy odwołków, wystające zza grzbietu wzniesienia, ale jeszcze nie rozumieją, co je czeka. Przyspieszają, by wreszcie pokonać ostatnie centymetry stoku.

Do ataku! W zwartych szeregach!

W obozie wroga pada tylko jedno słowo:

Ognia!

Z brzuchów bucha na karłowate ostry jad. *Puf, puf, puf.* Żółta ciecz śmiga w powietrzu, chłoczce pierwsze szeregi napastników.

W pierwszej kolejności topią się czułki. Ściekają na głowy. Następnie trucizna spływa na

pancerze, rozpuszczając je, jakby były z plastiku. Skazane na męki ciała padają, tworząc ciekłą zaporę, na której potykają się kolejne karłowate. Po chwili opanowują się i rzucają wściekle do ataku. Na szczycie zmiennicy zastępują pierwszą ekipę.

Ognia!

Czworoboki rozsypują się, ale karłowate nadal prą naprzód, deptając miękkie, martwe ciała.

Do trzeciej linii artylerzystek dołączają mrówki plujące klejem.

Ognia!

Tym razem oddziały karłowatych ulegają całkowitemu rozbiciu. Miotają się w kałużach kleju. Próbuje jeszcze kontratakować, ustawiając rząd artylerzystek. Te posuwają się tyłem ku szczytowi wzgórza i strzelają, nie mogąc jednak dobrze wycelować. Nie są w stanie dobrze zaprzeć się nóżkami na stoku.

Ognia! – nadają karłowate.

Ich krótkie odwołki wystrzeliwiają jednak tylko małe kropelki kwasu. Nawet gdyby dosięgły celu, podrażniłyby jedynie pancerze, nie niszcząc ich.

Ognia!

Kropelki kwasu padające z obu obozów krzyżują się w powietrzu, zderzają od czasu do czasu. Widząc tak słabe efekty, Shigaepounijki rezygnują z artylerii. Uważają, że uda im się zwyciężyć, trzymając się nadal taktyki zwartych czworoboków piechoty.

Zewrzeć szeregi.

Ognia! – pada odpowiedź rudyh, których artylerzystki spisują się na medal. Kolejna dawka kwasu i kleju.

Mimo celnych strzałów karłowate docierają na szczyt Wzgórza Maków. Ich sylwetki tworzą czarną masę palającą żądzą zemsty.

Natarcie. Wściekłość. Grabież.

Nie ma już gadżetów. Rude artylerzystki nie mogą strzelać, czworoboki karłowatych nie są w stanie dłużej utrzymać się razem.

Chmara. Szturm. Lawa.

Wszystko się miesza, rozsypuje, ustawia, biegnie, skręca, ucieka, naciera, rozbiega, łączy, jątrzy małymi atakami, pcha, ciągnie, podskakuje, upada, pogania, pluje, podtrzymuje, bucha gorącym. Wszechobecne pragnienie śmierci. Toczą się walki, fechtunki, pojedynki. Biega się po ciałach żywych i tych już nieruchomych. Każda ruda ma na karku przynajmniej trzy wściekle karłowate. Siły jednak są rozłożone sprawiedliwie, jako że rudnice są trzy razy większe.

Ramię przy ramieniu. Zapachowe krzyki. Mgła gorzkich feromonów.

Ścierają się ze sobą miliony ostrych żuwaczek, karbowanych, w kształcie piły, miecza, płaskich szczypic, o jednym ostrzu, obosiecznych, pokrytych trującą śliną, klejem, krwią. Ziemia drży.

Ramię przy ramieniu.

Pokryte małymi ostrzami żuwaczki tną powietrze, by utrzymać przeciwnika na odległość.

Nózki o ostrych pazurkach chłoszczą niczym dokuczliwe ciernie.

Pochwycenie. Zaskoczenie. Wzgardzenie.

Chwyta się przeciwnika za żuwaczki, za czułki, za głowę, tułów, odwłok, nózki, kolana, łokcie, szczelinę w pancerzu, wgłębienie w chitynie, oko.

Ciała padają, toczą się po wilgotnej ziemi. Karłowate wspinają się po łądydze obojętne na wszystko maku i z rozcapierzonymi pazurkami rzucają w dół na przerażoną rudą mrówkę.

Przebijają jej grzbiet aż po serce.

Ramię przy ramieniu.

Żuwaczki pokrywają gładkie zbroje.

Jedna z rudnic zręcznie używa swych czułków niczym dwóch oszczepów, które równocześnie wyrzuca wprzód. Przebija naraz dziesiątki czaszek przeciwników, nie tracąc nawet czasu na oczyszczenie pokrytych przezroczytą krwią szpikulców.

Ramię przy ramieniu. Na śmierć.

Olbrzymie ilości leżących na ziemi odciętych nóżek i czułków przypominają iglasty dywan.

Ocalałe z La-chola-kan nadbiegają i rzucają się do walki, jakby za mało jeszcze było poległych.

Oszołomiona liczbą maleńkich napastników, jedna z rudych wpada w panikę, podciąga odwłok i przyska wokół kwasem mrówkowym, zabijając równocześnie wrogów i samą siebie. Wszystkie topią się niczym wosk.

Nieco dalej inna wojownicza jednym ruchem wrywa głowę przeciwnicze. W tym samym momencie, kiedy w identyczny sposób zostaje wyrwana jej własna.

Wojownicza 103 683, widząc nacierające na nią oddziały karłowatych, z paroma dziesiątkami towarzyszek swej kasty utworzyła waleczny trójkąt, który długi czas siał postrach wśród grupiek karłowatych. Teraz trójkąt rozpada się i musi sama stawić czoło pięciu Shigaeponijkom, ociekającym krwią jej ukochanych sióstr.

Gryzą ją wszędzie. Odwzajemnia się im jak może, w głowie dźwięczą jej rady starej wojowniczki:

Każda walka jest rozgrywana jeszcze przed starciem. Od decyzji walczących zależy, kto będzie zwycięzcą, a kto zwyciężonym. Wszystko jest kwestią podziału ról... Wszystko jest kwestią nastawienia. Trzeba nastawić się na zwycięstwo, a będzie ono pewne.

Ten sposób może i jest skuteczny, kiedy ma się do czynienia z jednym przeciwnikiem. Ale kiedy jest ich pięciu? Wtedy czuje się, że przynajmniej dwóch z nich chce wygrać za wszelką cenę. Karłowata, która uparcie tnie jej stawy, i ta, która właśnie próbuje wyrwać jej tylną nóżkę. Ruda czuje przypływ energii. Szamocze się, niczym sztylet zanurza jeden z czułków w szyję wroga,

uwalnia się z uchwytu drugiej mrówki, powalając ją uderzeniem żuwaczki.

Tymczasem karłowate powróciły, by rozrzucić na polu bitwy dziesiątki głów zarażonych *Alternarią*. Ponieważ jednak wszyscy chronieni są ślimaczą śliną, spory krążą w powietrzu, ześlizgują się z pancerzy, wreszcie opadają na żywną ziemię. Zdecydowanie nie jest to dobry dzień dla nowoczesnej broni. Na wszystko znalazł się sposób.

O trzeciej po południu następuje szczytowa faza ataku. W powietrzu unoszą się kłęby oleistego kwasu i charakterystyczne wyziewy schnących myrmeceńskich trupów. O wpół do piątej mrówki, które jeszcze trzymają się na nogach i mają przynajmniej dwie nóżki, nadal walczą wśród maków. Pojedynki ustają dopiero o piątej, z powodu zapowiadających burzę grzmotów. Tak jakby niebo miało już dość przemocy. A może to tylko spóźniona marcowa ulewa.

Ocaleni i ranni wycofują się. Podsumowanie strat: 5 milionów zabitych, w tym 4 miliony karłowatych. La-chola-kan wyzwolone. Jak okiem sięgnąć, ziemia usiana jest rozczłonkowanymi ciałami, rozdartymi pancerzami, złowieszczymi kikutami, drgającymi od czasu do czasu w ostatnim tchnieniu życia. Dokola mnóstwo przezroczystej niczym lakier krwi i kałuż żółtawego kwasu.

Grupka karłowatych, jeszcze ciągle grzęznących w kleju, szamocze się, rozmyślając, jak tu powrócić do rodzinnego Miasta. Ptaki wyłapują je szybko, chcąc zdążyć przed deszczem.

Błyskawice oświetlają grafitowe chmury, a szkielety czołgów połyskują, wznosząc arogancko ku górze swe żuwaczki, jakby te ponure ostrza miały zamiar rozpruć odległe niebo. Kurtyna opadła, deszcz obmywa scenę.

Mówiła z pełnymi ustami.

– Bilsheim?

– Halo?

– Ghm, ghm... Pan sobie chyba ze mnie żartuje, Bilsheim! Czytał pan gazety? Inspektor Galin to pański podwładny, prawda? To ten mały, wkurzający facet, który chciał przejść ze mną na ty już pierwszego dnia?

To szefowa policji, Solange Doumeng.

– Eee... tak, chyba tak.

– Mówiłam panu, że to ordynarny gbur, a teraz się dowiaduję, że okrzyknięto go pośmiertnie bohaterem. Pan jest całkowicie nieodpowiedzialny! Co pana napadło, żeby do tak poważnej sprawy przydzielić kogoś równie niedoświadczonego?

– Galin nie jest niedoświadczony, to doskonały pracownik. Sądzę raczej, że nie doceniliśmy wagi tej sprawy...

– Dobrzy pracownicy znajdują rozwiązania, a źli jedynie się tłumaczą.

– Są przypadki, w których nawet najlepszy spośród nas...

– Są przypadki, w których nawet najgorsi spośród was mają obowiązek odnieść sukces.

Wyciągnięcie dwóch osób z piwnicy należy do tej właśnie kategorii spraw.

– Proszę mi wybaczyć, ale...

– Wie pan, gdzie może pan sobie wsadzić te swoje przeprosiny, kochasiu? Zrobi mi pan przysługę: wróci do tej piwnicy i wyciągnie wszystkich. Pański bohater Galin zasługuje na chrześcijański pogrzeb. I chcę pod koniec miesiąca przeczytać chwalebny artykuł na temat naszej jednostki.

– A jeśli chodzi o...

– A jeśli chodzi o całą tę sprawę, proszę trzymać głowę na kłódkę! Zajmie się pan prasą, gdy cała sprawa zostanie zamknięta. Bierz pan sześciu żandarmów, jeśli pan chce, i specjalistyczny sprzęt. To wszystko.

– A jeśli...

– A jeśli pan zawali sprawę, może pan na mnie liczyć, zajrzę panu do kieszeni!

Odłożyła słuchawkę.

Komisarz Bilsheim umiał sobie poradzić ze wszystkimi wariatami, oprócz niej. Postanowił więc opracować plan wyprawy.

KIEDY CZŁOWIEK: Kiedy człowiek się boi, jest szczęśliwy lub wściekły, jego gruczoły wewnątrzwydzielnicze produkują hormony, które wpływają jedynie na jego własne ciało. Krążą w zamkniętym naczyniu. Serce bije coraz szybciej, człowiek poci się, twarz wykrzywia mu grymas, on sam wydaje z siebie krzyk lub płacze. To jego sprawa. Inni mogą patrzeć, współczując lub nie, w zależności od decyzji swego umysłu.

Kiedy boi się mrówka, jest szczęśliwa lub wściekła, hormony krążą w jej ciele, opuszczają je i penetrują ciała innych. Dzięki fero-hormonom, zwanym też feromonami, miliony osobników będą krzyczeć i płakać w tym samym czasie. Musi to być niesamowite wrażenie: czuć to, co przeżywają inni, dawać odczuć to, co czuje się samemu.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

We wszystkich miastach Federacji panuje radosna atmosfera. Wyczerpanym kombatantom oferowane są słodkie, obfite trofalaksje. A jednak nie ma bohaterów. Każdy spełnił swoje zadanie, nieważne, czy dobrze czy źle – po ukończeniu misji zerowane są liczniki zasług.

Rany opatruje się okładami ze śliny. Kilka młodych i naiwnych mrówek trzyma w żuwaczkach jedną, dwie lub trzy ze swych nówek straconych w walce i cudem odnalezionych. Tłumaczy im się, że niestety, nie można ich przykleić.

W przestronnej komnacie na -45 piętrze żołnierze odtwarzają po kolei etapy Bitwy Maków tym, którzy w niej nie uczestniczyli. Jedni grają rolę karłowatych, drudzy rudych.

Przedstawiają atak na zakazany rewir La-chola-kan, natarcie rudnic, walkę z głowami zmarłych, symulowaną ucieczkę, nadejście czołgów, ich klęskę w obliczu czworobocznych oddziałów karłowatych, zdobywanie wzgórze, rzędy artylerzystek, ostateczne bezładne starcie.

Robotnice licznie stawiały się na przedstawienie. Komentują każde zdarzenie. Jedna sprawa wyjątkowo przykuwa ich uwagę: technika czołgów. W końcu to ich kasta odgrywa w tym wypadku ważną rolę. Ich zdaniem nie powinno się rezygnować z czołgów, ale raczej należy nauczyć się wykorzystywać je inteligentniej, nie tylko w natarciu wprost.

Wojownicze 103 683 udało się wyjść z bitwy w całkiem dobrym stanie. Straciła tylko jedną nóżkę. To drobiazg, gdy ma się ich do dyspozycji aż sześć. Samica 56 i samiec 327, którzy jako osobniki płciowe nie mogli uczestniczyć w wojnie, odciągają ją na stronę. Kontakt czulków.

Nie było tu problemów?

Nie, wszystkie wojownicze o zapachu skały brały udział w walkach. Zamknęliśmy się w zakazanym rewirze, na wypadek, gdyby karłowate dotarły aż tutaj. A tam? Widziałaś sekretną broń?

Nie.

Jak to nie? Słyszeliśmy o ruchomej gałęzi akacji...

103 683 tłumaczy, że jedyną nową bronią, z którą przyszło im się zmierzyć, była okrutna *Alternaria*, lecz i na nią znalazł się sposób.

To nie z jej powodu zginęła pierwsza ekspedycja – stwierdza samiec. *Alternaria* zabija powoli. Poza tym żaden z trupów, które zbadał, nie miał na sobie najmniejszego śladu śmiercionośnych sporów.

A zatem?

Zdezorientowani, postanawiają przedłużyć PA. Naprawdę zależy im na wyjaśnieniu sprawy. Nowa burza mózgów i nowe wątpliwości:

Dlaczego karłowate nie użyły broni, która w tak radykalny sposób zniszczyła dwadzieścia osiem uczestniczek ekspedycji?

Przecież użyły wszelkich sposobów, by wygrać wojnę. Gdyby miały do dyspozycji ową broń, z pewnością by z niej skorzystały! A jeśli jej nie miały? Karłowate pojawiają się zawsze tuż przed lub tuż po uderzeniu tajemnej broni, być może to nie przypadek...

Ta hipoteza pasowałaby dość dobrze do ataku na La-chola-kan. Co się zaś tyczy pierwszej ekspedycji – ktoś z łatwością mógł zostawić ślady identyfikacyjne karłowatych na miejscu zbrodni, by wprowadzić Federację na zły trop. Ale kto miałby w tym interes? Jeśli karłowate nie mają z tym wszystkim nic wspólnego, gdzie szukać winnego? Kto jest ich drugim w kolejności,

najbardziej zażartym, odwiecznym wrogiem? Termity!

Podejrzenie nie jest bynajmniej nieuzasadnione. Od jakiegoś już czasu pojedyncze wojowniczkę z Wielkiej Termitiery ze Wschodu przeprawiają się przez rzekę i zapuszczają na tereny polowań należące do Federacji. Tak, to z pewnością termity. Postanowiły skłócić karłowate z rudymi. Dzięki temu za jednym zamachem pozbędą się bez walki i jednych, i drugich. Gdy przeciwnicy osłabną, będą mogły bez trudu zdobywać po kolei wszystkie mrowiska.

A wojowniczkę o zapachu skały? Najemni szpiedzy termitów, i tyle.

Im bardziej wspólna myśl klaruje się, krążąc w trzech umysłach, tym bardziej oczywisty wydaje się fakt, że to termity ze Wschodu posiadają tajemniczą broń.

Naradę przerywa zapach Federacji skierowany do wszystkich. Miasto postanowiło wykorzystać chwilowy czas pokoju, by przyspieszyć obchody Święta Odrodzenia: zapowiedziano je na następny dzień.

Wszystkie kasty na swoje miejsca. Samice i samce proszeni są do spiżarni, w celu uzupełnienia zapasów cukru! Artylerzystki powinny doładować odwołki w dziale chemii organicznej.

Wojowniczkę 103 683 rzuca swym towarzyszom na odchodnym feromon:

Udanej kopulacji! Nie przejmujcie się, będę prowadzić dochodzenie na własną rękę. Gdy wy będziecie w siódmym niebie, ja ruszę na Wschód ku wielkiej termitierze.

Tuż po ich rozstaniu na miejscu pojawiają się dwie morderczynie, duża wstrętna i mała kulawa. Zeskrobują ze ścian i zbierają lotne feromony rozmowy, która przed chwilą się tu toczyła.

Po tragicznej porażce inspektora Galina i strażaków, Nicolas został umieszczony w sierocińcu oddalonym zaledwie kilkaset metrów od ulicy Sybarytów.

Oprócz prawdziwych sierot umieszczano tam również dzieci opuszczone i bite przez rodziców. Ludzie są jednym z nielicznych gatunków, którego przedstawiciele są w stanie porzucić i maltretować własne potomstwo. Maluchy spędzały w ośrodku trudne chwile, wychowywane bolesnymi klapsami i kopniakami. Rosły, stawały się bardziej odporne. Większość z nich trafiała następnie do armii zawodowej.

Pierwszy dzień Nicolas spędził stojąc na balkonie i wpatrując się w las. Następnego dnia wpadł ponownie w zbawczą rutynę telewizji. Odbiornik ustawiony był w jadalni, a opiekunowie, zadowoleni, że pozbyli się smarkaczy, pozwalali im oglądać się przed ekranem całymi godzinami. Wieczorem dwóch osieroconych chłopców, Jean i Philippe, przepytowało go w sypialni:

– Co ci się stało?

– Nic.

– No, powiedz. W twoim wieku nie trafia się tu bez powodu. W ogóle ile masz lat?

– Ja wiem. Podobno mrówki zżarły jego rodziców.

– Kto wam naopowiadał takich bzdur?

– Ktoś, tere-fero, i ci nie powiemy, dopóki nam nie opowiesz, co się stało twoim rodzicom.

– Spadajcie.

Jean, silniejszy, chwycił Nicolasa za ramiona, a Philippe wykręcił mu rękę do tyłu. Nicolas wyzwolił się jednym wierzgnięciem i uderzył Jeana w szyję kantem dłoni (widział ten sposób w jakimś chińskim filmie). Chłopak zaczął kaszleć. Philippe ponowił atak, próbując przyduśić Nicolasa, który odwzajemnił się, wbijając mu łokieć w żołądek. Pozbywszy się napastnika, który zwinęty wół pozostał na kłęczkach, Nicolas stawiał ponownie czoło Jeanowi, plując mu w twarz. Ten rzucił się na niego i ugryzł go w łydkę, aż do krwi. Cała trójka stoczyła się na podłogę, pod łóżka, kołując się i bijąc. W końcu Nicolas musiał dać za wygraną.

– Powiedz, co się stało twoim rodzicom albo każemy ci zeżreć mrówki! – krzyknął Jean.

Ta myśl wpadła mu do głowy przypadkiem – bardzo mu się spodobała. Podczas gdy on trzymał nowego przygniecionego do podłogi, Philippe pobiegł po kilka osobników, nierzadko spotykanych w tym miejscu, i podsunął je chłopcu pod nos:

– Patrz, jakie tłusciutki!

(Tak jakby mrówki, których ciało otoczone jest sztywnym pancerzykiem, mogły być tłuste!)

Następnie ścisnął mu nos, by zmusić go do rozchylenia warg, i wrzucił mu z obrzydzeniem do ust trzy młode robotnice, które naprawdę miały co innego do roboty. Zdumienie Nicolasa nie miało granic – były pyszne!

Pozostali chłopcy, zaskoczeni, że nie wypluwa paskudztwa, postanowili również spróbować.

Spizarnia, w której przechowywane są manierki z wydaliniami, jest jednym z niedawnych wynalazków w Bel-o-kan. Technologia manierek została w rzeczywistości zapożyczona od mrówek z Południa, które od czasu wielkich upałów posuwają się coraz bardziej na północ.

Komnata z manierkami została oczywiście odkryta przez członkinie Federacji podczas jednej ze zwycięskich wojen. Wojna jest bowiem najlepszym źródłem pomysłów i najlepszym sposobem na obieg wynalazków wśród społeczności owadów.

Z początku legionieści belokanijscy byli przerażeni widokiem, który ukazał się ich oczom... Robotnice zmuszone do spędzenia całego życia, zwisając z sufitu głową w dół, z odwłokiem nadętym do tego stopnia, że przekraczał rozmiarami odwłok królowej! Południowcy wyjaśnili, że owe ofiarne mrówki są żywymi zbiornikami, w których można przechowywać niewiarygodne ilości nektaru, rosy lub spadzi.

Można wyobrazić sobie rozwinięte do granic możliwości wole, a otrzyma się mrówkę-cysterne. Wystarczy polaskotać delikatnie koniec odwłoka takiej żyjącej lodówki, żeby otrzymać kroplę lub nawet cały strumień cennego soku.

Dzięki temu rozwiązaniu południowcy byli w stanie przetrwać długie okresy suszy, charakterystyczne dla regionów tropikalnych. Zmieniając miejsce pobytu, mrówki te starały się zawsze mieć manierki w pobliżu, dzięki czemu przez całą podróż zaspokajały do woli pragnienie. Sądząc z ich opowieści, zbiorniki były równie cenne jak jajeczka.

Belokanijki skopiowały więc technikę manierek, widząc w niej przede wszystkim sposób na przechowywanie dużych ilości pożywienia, przy zachowaniu niezrównanej jakości konserwacji i higieny.

Wszystkie samce i samice Miasta udają się do spiżarni, by zaspokoić pragnienie. Przed każdym zbiornikiem ustawia się kolejka oczekujących. 327 i 56 poją się razem, a następnie rozchodzą w różnych kierunkach.

Osobniki płciowe i artylerzystki opróżniają do ostatniej kropli mrówki-cysterny. Cała armia robotnic śpieszy więc, by ponownie napełnić ich obwisłe odwłoki nektarem, rosą i spadzią, aż odzyskają kształt małych, lśniących piłeczek.

Opiekun przyłapał Nicolasa, Philippe'a i Jeana na bójce i ukarał wszystkich. W ten oto sposób stali się najlepszymi przyjaciółmi w sierocińcu. Najczęściej spotykano ich w jadalni przed telewizorem. Tego dnia oglądali jeden z odcinków nieśmiertelnego serialu *Istota pozaziemska i duma istnienia*. Zapiszczeni z zachwytu i szturchnęli się łokciami, widząc, że opowieść dotyczy pojawienia się kosmonautów na planecie zamieszkałej przez olbrzymie mrówki.

– Dzień dobry, jesteśmy Ziemianami.

– Dzień dobry, jesteśmy olbrzymimi mrówkami z planety Zgü.

W dalszej części scenariusz okazał się stosunkowo banalny: mrówki-olbrzymy posługiwały się telepatią. Wysyłały wiadomości Ziemianom, rozkazując, by zabijali się nawzajem. Ale ostatni, który ocalał, pojął wszystko i podpałił wrogie miasto...

Zadowolone z zakończenia filmu dzieci postanowiły zjeść kilka słodkich mrówek. O dziwo jednak te, które złapały, nie miały już cukierkowego smaku poprzednich. Były mniejsze i kwaśne. Jak sok z cytryny. Fuuuuj!

Wszystko powinno się odbyć w południe, w najwyższej położonym punkcie Miasta. Już przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca artylerzystki zajęły miejsca w ochronnych wnękach, tworzących coś na kształt korony wokół szczytu mrowiska. Wystawiając odwłoki ku niebu, tworzą zaporę przeciwlotniczą, zabezpieczającą przed ptakami, które zapewne wkrótce się pojawią. Niektóre unieruchamiają odwłok między dwiema gałązkami, by osłabić siłę odrzutu. Sądzą, iż dzięki temu uda im się wystrzelić w miarę celnie dwie lub trzy salwy w tym samym kierunku.

Samica 56 jest w swojej loży. Bezpłciowe mrówki pielęgnujące pokrywają jej skrzydła

ochronną warstwą śliny. Czy wychodziłyście już na Zewnątrz? Robotnice nie odpowiadają. Jasne, że wychodziły, lecz po co mówić: *Na Zewnątrz jest mnóstwo drzew i traw*. Za kilka minut potencjalna królowa sama się o tym przekona. Chcieć dowiedzieć się, czym jest świat, za pomocą kontaktu czułkami, to zwykły kaprys, typowy dla płciowych!

Mimo to robotnice poświęcają jej wiele uwagi. Ciągną za nóżki, by uczynić je bardziej giętkimi. Zmuszają ją do wyginania się, aż trzeszczą kolejne segmenty chitynowego pancerza. Ugniatając ją, sprawdzają, czy ma w sobie wystarczający zapas wziątki. Syrop ten musi jej wystarczyć na kilka godzin ciągłego lotu.

Koniec. 56 jest gotowa. Kolej na następną.

Księżniczka przybrana w swój najpiękniejszy strój i zapach opuszcza gineceum. 327 nie pomylił się – to prawdziwa piękność.

Ma trudności z uniesieniem skrzydeł. Niesamowite, jak bardzo urosły przez kilka ostatnich dni. Są teraz tak długie i ciężkie, że ciągną się za nią po ziemi... jak ślubny welon.

W korytarzu pojawiają się kolejne samice. W towarzystwie setki innych dziewczyc 56 przedziera się przez gałązki u szczytu kopuły. Niektóre samice, rozkojarzone, zaczepiają o klujące patyczki, tworząc rysy na swych czterech skrzydłach, rozdzierając je lub wręcz wyrrywając. Nieszczęsne nie pójdą na górę, gdyż i tak nie uda im się wzbic w powietrze. Urażone wracają na piąte piętro. Podobnie jak księżniczki karłowatych, nie poznają, czym jest miłosny wzlot. Będą rozmnażać się w zamkniętej komnacie przy ziemi. Samica 56 jest nienaruszona. Przeskakuje z gałązki na gałązkę, uważając, by nie upaść i nie zniszczyć swych delikatnych skrzydeł.

Jedna z idących obok siostr prosi o kontakt czułkami. Pyta, kim są ci samcy-rozplodowcy. Czy to takie niby trzmiele albo muchy?

56 nie odpowiada. Jej myśli powracają do 327, do zagadki tajnej broni. Wszystko skończone. Koniec z grupą roboczą. W każdym razie dla dwojga płciowych. Wszystko w pazurkach 103 683.

Z nostalgią wspomina wydarzenia ostatnich dni...

Uciekający samiec, który pojawia się w jej łożu... bez identyfikatorów!

Pierwsze Porozumienie Absolutne.

Morderczynie o zapachu skały.

Pościg w podziemiach Miasta.

Kryjówka pełna zwłok tych, które miały stanowić ich oddział.

Lomechusa.

Sekretne przejście w granitowej ścianie...

Idąc, odświeża swe wspomnienia i czuje, że została wyróżniona. Żadna z jej siostr nie przeżyła tylu przygód jeszcze przed opuszczeniem Miasta.

Lomechusa... Sekretne przejście w granitowej ścianie... Morderczynie o zapachu skały...

Szaleństwo nie jest wytłumaczeniem, było ich zbyt wiele. Najemniczek szpiegujące dla termitów? Nie, to nie ma sensu, nie byłyby tak liczne ani tak dobrze zorganizowane.

Pozostaje jeszcze kwestia, która w żaden sposób nie daje się powiązać z resztą wydarzeń: czemu ma służyć zmagazynowane w podziemiach pożywienie? Do wyżywienia szpiegów? Niemożliwe, można by tym utuczyć miliony osobników... A ich jest jednak mniej.

I ta niespodziewana lomechusa. To zwierzę z powierzchni, nie mogło samo dostać się na -50 piętro. Ktoś musiał je tam przetransportować. Ktokolwiek jednak zbliży się do tego owada, w jednej chwili poddaje się urokowi jego fluidów. Potrzebna jest zatem silna grupa, która owinąwszy potwora w miękkie liście, przetaszczyłaby go po kryjomu aż na dół.

Im dłużej 56 o tym myśli, tym jaśniej zdaje sobie sprawę, że podobne przedsięwzięcie wymagałoby znacznego nakładu sił. Właściwie, jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, wszystko wskazuje na to, że Federacja ma tajemnicę, którą skrzętnie ukrywa przed własnymi członkami.

W jej głowie krążą nowe rozwiązania. Zatrzymuje się. Jej rodaczki sądzą, że omdlewa z emocji przed lotem godowym. Zdarza się to czasami, ze względu na wyjątkową wrażliwość płciowych. Samica przykładła czułki do otworu gębowego. Powtarza sobie w kółko: pierwsza ekspedycja rozbita, tajna broń, kilkadziesiąt wojowniczek zamordowanych, lomechusa, sekretne przejście w granitowej skale, zapasy pożywienia...

Udało się, co za szczęście, że zrozumiała! Zawraca i próbuje przecisnąć się pod prąd. Żeby tylko nie było za późno!

EDUKACJA: Edukacja mrowek odbywa się etapami, według następującego schematu:

- Od pierwszego do dziesiątego dnia większość młodych zajmuje się królową, doglądając jej, liżąc ją, głaszcząc. W zamian za to ona pokrywa je odżywczą i dezynfekującą śliną.

- Między jedenastym a dwudziestym dniem robotnice otrzymują prawo doglądania kokonów.

- Od dwudziestego pierwszego do trzydziestego dnia karmią młodsze larwy i opiekują się nimi.

- Między trzydziestym pierwszym a czterdziestym dniem zajmują się pracami domowymi i sprzątniem, nadal opiekują się matką i poczwarkami.

- Dzień czterdziesty jest bardzo ważny: jeśli robotnica zostanie uznana za wystarczająco doświadczoną, otrzymuje prawo do wyjścia z Miasta.

- Od czterdziestego do pięćdziesiątego dnia służą za strażniczki lub dojarki mszyc.

- Od pięćdziesiątego aż po ostatni dzień życia mogą przystąpić do najbardziej pasjonującego zajęcia: polowania i uczestniczenia w wyprawach badających nieznaną krainę.

- *Nota: od jedenastego dnia płciowe są zwalniane z obowiązku pracy. Siedzą zazwyczaj bezczynnie, zamknięte w swych dzielnicach, aż do lotu godowego.*

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Samiec 327 również się przygotowuje. Wszędzie dokoła w zasięgu jego czułek tematem rozmów są jedynie samice. Niewielu samców je widziało. Czasami były to tylko przelotne spojrzenia w korytarzach zakazanego rewiru. Wielu fantazjuje – wyobrażają sobie upajające zapachy, bijący od samic porażający erotyzm.

Jeden z ksiąząt twierdzi, że miał okazję odbyć trofalaksję z samicą. Jej spadz miała smak soku brzozy, hormony płciowe przenosiły fluidy porównywalne do tych wydzielanych przez ścięte żonkile.

Pozostali zazdroszczą w milczeniu.

327, który naprawdę spróbował spadzi samicy (i to jakiej samicy!), wie, że ta niczym się nie różni od wziętki robotnicy czy manierki, ale nie wtrąca się do rozmowy.

Wpada na szelmowski pomysł. Chciałby dostarczyć samicy 56 spermatozoidy potrzebne do stworzenia jej przyszłego Miasta. Gdyby tylko mógł ją odszukać... Szkoda, że nie ustalili wcześniej jakiegoś miejsca lub feromonu, dzięki któremu rozpoznaliby się i odnaleźli w tłumie.

Kiedy 56 pojawia się w komnacie samców, zaskoczenie nie zna granic. Przyjście tu jest sprzeczne z zasadami obowiązującymi w Federacji. Samce i samice nie mogą się nawzajem widzieć aż do chwili lotu godowego. To nie gniazdo karłowatych. Tu nie kopuluje się w korytarzach.

Ciekawość ksiąząt, którzy tak bardzo chcieli wiedzieć, czym jest samica, została zaspokojona. Wydają teraz nieprzyjemne zapachy sygnalizujące, że nie powinna tutaj przebywać. Mimo to samica przepycha się wśród zajętego przygotowaniami tłumu. Rozpycha się, rozsiewa wokół swoje feromony.

327! 327! Gdzie jesteś, 327?

Książęta nie omieszkają zwrócić jej uwagi, że nie wybiera się samca do kopulacji! Musi być cierpliwa, zawierzyć przypadkowi. Trochę przyzwoitości...

Samica 56 odnajduje wreszcie swego towarzysza. Ten nie żyje. Ktoś jednym uderzeniem zuwaczek odciął mu głowę.

TOTALITARYZM: Ludzie interesują się mrówkami, gdyż sądzą, że owadom tym udało się stworzyć udany system totalitarny. Prawdą jest, iż patrząc z zewnątrz, ma się wrażenie, że w mrowisku każdy posłusznie pracuje, skłonny jest do poświęcenia, że wszyscy są podobni. Wszystkie dotychczasowe ludzkie systemy totalitarne z kolei

zawiodły...

Dlatego próbuje się naśladować owady żyjące w społecznościach (czyż godłem Napoleona nie była pszczoła?). Feromony zalewające mrowisko globalną informacją to odpowiednik naszej dzisiejszej ogólnosiwiatowej telewizji. Człowiek wierzy, iż oferując wszystkim to, co jego zdaniem jest najlepsze, osiągnie się kiedyś doskonałą ludzkość.

Tak jednak nie jest.

Nie spodobałoby się to zapewne panu Darwinowi, ale natura nie dąży do hegemonii najlepszych (zresztą według jakich kryteriów ustalanej?). Natura czerpie swą siłę z różnorodności. Potrzebuje dobrych, złych, szalonych, zdesperowanych, sportowców, obłożnie chorych, garbatych, z zajęczą wargą, wesołych, smutnych, inteligentnych, imbecyli, egoistów, hojnych, małych, dużych, czarnych, żółtych, czerwonych, białych... Potrzebne są wszystkie religie, wszystkie filozofie, fanatyzmy, wszystkie mądrości... Jedyne niebezpieczeństwo tkwi w tym, że któryś z gatunków zostanie wyeliminowany przez inny.

Widziano już pola kukurydzy sztucznie stworzone przez ludzi i złożone z bliźniaczych roślin o najdoskonalszych kolbach (potrzebujących najmniejszej ilości wody, odpornych na mróz, dających najpiękniejsze ziarno), umierających nagle z powodu najłżejszej choroby. A tymczasem pola dzikiej kukurydzy, złożone z wielu różnych szczepów, z których każdy ma własną specyfikę, słabość, anomalie, zawsze odnosiły sukces w walce z epidemią.

Natura nienawidzi jednorodności, a kocha różnorodność – może w tym właśnie objawia się jej geniusz.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Przygnębiona 56 drobnymi kroczkami podążyła w kierunku kopuły. W jednym z korytarzy w pobliżu gineceum jej przyoczka zauważają dwie sylwetki. To morderczynie o zapachu skały! Wielka i mała kulawa!

Kiedy ruszają wprost na 56, ta trzepocze skrzydłami i skacze do gardła kulawej. Szybko jednak zostaje unieruchomiona. Ale zamiast dokonać egzekucji, zmuszają ją jedynie do kontaktu czułkami.

Samica jest wściekła. Pyta, dlaczego zabiły samca 327, skoro i tak przecież miał zginąć podczas lotu. Dlaczego go zamordowały?

Morderczynie próbują przemówić jej do rozsądku. Ich zdaniem są sprawy, których nie można opóźnić. Niezależnie od kosztów. Pewne obowiązki są źle widziane, gesty źle osądzone, a jednak trzeba je wykonać, jeśli Federacja ma funkcjonować normalnie. Nie można być

naiwnym... Na jedność Bel-o-kan trzeba zapracować. A jeśli to konieczne, trzeba ją wywalczyć!

Jak to?! Więc one nie są szpiegami?

Nie, nie są szpiegami. Ośmielają się nawet twierdzić, że są... głównymi strażniczkami bezpieczeństwa i zdrowia Federacji.

Księżniczka wykrzykuje feromony wściekłości – przecież 327 wcale nie zagrażał bezpieczeństwu Federacji! Owszem, odpowiadają morderczyni. Pewnego dnia 56 wszystko zrozumie, na razie jest jeszcze zbyt młoda...

Zrozumie? Co tu jest do zrozumienia? Że wewnątrz Miasta działa świetnie zorganizowana grupa morderców utrzymujących, iż ratują, eliminując samców, którzy widzieli rzeczy decydujące o przetrwaniu Federacji.

Kulawa zgadza się dokładniej wyjaśnić swoje słowa. Z jej opowieści wynika, że mrówki o zapachu skały są wojowniczkami antynegatywnego stresu. Istnieje stres pozytywny, dzięki któremu Miasto rozwija się i walczy. Jest też stres negatywny, prowadzący do autodestrukcji...

Nie wszystkie informacje powinno się słyszeć, gdyż niektóre mogą powodować metafizyczne lęki, na które nie znaleziono jeszcze rozwiązania. Dlatego Federacja martwi się, nie będąc w stanie zareagować...

Taka sytuacja źle wpływa na wszystkich. Federacja wytwarza zatruwające ją toksyny. Długotrwałe istnienie jest ważniejsze niż poznanie rzeczywistości na krótką metę. Jeśli oko zobaczy coś, co mózg oceni jako niebezpieczne dla reszty organizmu, lepiej, by mózg zniszczył to oko...

Wielka mrówka dołącza do kulawej, by w następujący sposób podsumować swoje wywody:

Przeszyliśmy oko,

Odcięliśmy bodziec,

Ukróciłyśmy lęk.

Prześladownicze ciągną dalej, tłumacząc, że wszystkie organizmy wyposażone są w podobny system obrony. Te, które go nie mają, giną ze strachu lub popełniają samobójstwo w obawie przed starciem z niepokojącą rzeczywistością.

56 jest zaskoczona, ale nie traci gruntu pod nogami. Ładny mi feromon prawdy! Jeśli chcą zataić istnienie sekretnej broni, i tak jest już za późno. Każdy wie, że La-chola-kan padło jej ofiarą, nawet jeśli technologia budowy broni pozostaje jeszcze całkowitą tajemnicą...

Obie wojowniczki, zachowując flegmatyczny spokój, nie rozluźniają uchwytu. Wszyscy już zapomnieli o La-chola-kan. Zwycięstwo przyćmiło ciekawość. Zresztą wystarczy powęszyć po korytarzach – brak najmniejszego zapachu toksyny. W przeddzień Święta Odrodzenia w Federacji panuje całkowity spokój.

Czego więc od niej chcą? Czemu zgniatają jej głowę w ten sposób?

W trakcie wcześniejszej pogoni w podziemiach Miasta kulawa zauważyła jeszcze trzecią towarzyszącą im mrówkę. Chce wiedzieć, jaki jest jej numer identyfikacyjny.

A więc to dlatego nie zabiły samicy od razu! W odpowiedzi 56 wbija głębooko swe czułki w oczy grubej mrówki. Mimo że ślepa od urodzenia, odczuwa przecież ostry ból. Zaskoczona kulawa rozluźnia uchwyt.

Samica biegnie, podlatując co kilka kroków, by poruszać się szybciej. Jej skrzydła wznoszą chmurę kurzu, w której gubi morderczynię. Szybko, trzeba dotrzeć do kopuły.

Otarła się o śmierć – ale przed nią nowe życie.

Fragment petycji przeciwko mrowiskom-zabawkom, ogłoszonej przez Edmunda Wellsa przed komisją śledczą Zgromadzenia Narodowego:

„Widziałem wczoraj w sklepie nowe zabawki dla dzieci na Gwiazdkę. Plastikowe, wypełnione ziemią, przezroczyste pudełka z sześciuset mrówkami wewnątrz i gwarancją, iż wśród nich znajduje się płodna królowa.

Widzimy jak pracują, drążą, biegają.

Dla dziecka to fascynująca rozrywka. To tak, jakby ktoś ofiarował mu miasto. Tylko że mieszkańcy są małych, setki małych, niezależnych, ruszających się laleczek.

Przyznam się, że sam posiadam podobne mrowiska, są bowiem obiektem mojej pracy badawczej. Umieściłem mrówki w akwariium przykrytym kartonem, zapewniając im dopływ powietrza.

Mimo to za każdym razem, gdy stoję przed moim mrowiskiem, czuję się dziwnie. Jakbym był ich bogiem...

Jeśli zechcę pozbawić je jedzenia, mrówki umrą; jeśli przyjdzie mi ochota sprowadzić deszcz, wystarczy, że wleję do mrowiska szklankę wody; jeśli postanowię podnieść temperaturę, ustawię je przy grzejniku; gdy będę chciał porwać jedną z nich i zbadać pod mikroskopem, wyjmę pęsetę i zanurzę w akwariium; a gdy moim kaprysem będzie zabijanie, nie spotkam się z żadnym oporem. Nie rozumiem nawet, co się z nimi dzieje.

Dana jest nam, proszę państwa, olbrzymia władza nad tymi istotami, wynikająca jedynie z ich małych rozmiarów.

Ja nie nadużywam swej władzy. Lecz wyobrażam sobie dziecko... które również może wszystko.

Czasami przychodzi mi do głowy głupia myśl. Patrząc na te miasta z piasku, mówię sobie: a gdyby to był nasz świat? Gdybyśmy to my byli umieszczeni w jakimś więzieniu-akwariium i gdyby nas pilnowali osobnicy jakiegoś gatunku olbrzymów? Gdyby Adam i Ewa byli jedynie królikami doświadczalnymi żyjącymi wśród sztucznej scenerii? Gdyby wygnanie z raju, opisane w Biblii, było jedynie zmianą akwariium? Gdyby się okazało, że potop był jedynie szklanką wody

przewróconą przez niedbałego lub ciekawskiego boga?

Niemożliwe, odpowiecie mi. Kto wie... Jedyna różnica polega być może na tym, że świat mrówek ograniczony jest przez szklane ściany, a nas przytrzymuje siła fizyczna: przyciąganie ziemskie!

Moim mrówkom udaje się czasami naciąć karton i wiele z nich w ten sposób uciekło. My pokonujemy przyciąganie ziemskie, wzbijając się w niebo raketami.

Wróćmy jednak do miast w akwariu. Jak już mówiłem, jestem wielkodusznym, miłosiernym, a nawet nieco przesądnym bogiem. Nie skazuję zatem nigdy na cierpienie swych poddanych. Nie robię im tego, czego nie chciałbym, by mnie robiono.

Tysiące mrowisk sprzedawanych na Gwiazdkę zmieniają tysiące dzieci w małych bogów. Czy okażą się one równie wielkoduszne i miłosierne jak ja?

Z pewnością większość z nich zrozumie, że są odpowiedzialne za miasto, że mają prawa, ale też obowiązki boskie: żywić, dbać o właściwą temperaturę, nie zabijać dla przyjemności.

Tymczasem dzieci, myślę tu w szczególności o tych najmłodszych, którym brak jeszcze poczucia odpowiedzialności, przeżywają wiele przykrości: kłopoty w szkole, kłótnie z rodzicami, bójkę z kolegami. W przypiływie złości z łatwością mogą zapomnieć o swoich obowiązkach młodego boga; boją się nawet myśleć, jaki los miałby spotkać ich podopiecznych...

Nie proszę was o przegłosowanie ustawy zakazującej mrowisk-zabawek w imię litości dla mrówek lub praw zwierząt. Zwierzęta nie mają żadnych praw: każemy im rozmnażać się, byśmy mogli je następnie skonsumować. Proszę was o to, abyście głosując, wyobrażali sobie, że to wy sami jesteście obiektami badawczymi i więźniami jakiejś gigantycznej konstrukcji. Czy życzylibyście sobie, by Ziemia została ofiarowana w prezencie gwiazdkowym jakiemuś małemu, nieodpowiedzialnemu bogu?"

Słońce stoi w zenicie.

Spóźnieni samce i samice śpieszą arteriami prowadzącymi na powierzchni Miasta. Robotnice popychają je, liżą, dopingują.

Samica 56 zdążyła na czas, by wtopić się w ten rozradowany tłum zmieszanych zapachów identyfikacyjnych. Nikomu nie uda się tutaj rozpoznać jej fluidów. Porwana przez potok swych siostr, podąża coraz wyżej i wyżej, mijając nieznaną jej dotąd dzielnicę mrowiska.

Nagle, na zakręcie korytarza napotyka coś, czego jej oczy nigdy wcześniej nie widziały. Światło dnia. Po chwili poświata na ścianach zmienia się w oślepiającą jasność. Wreszcie czuje na sobie tę tajemniczą siłę, którą opisywały jej niańki. Ciepłe, łagodne, piękne światło. Obietnica nowego, cudownego świata.

Z powodu wchłanianych przez oczy czystych fotonów czuje się jak pijana – niemal jak po nadużyciu sfermentowanej spadzi przechowywanej na 32 piętrze.

Księżniczka 56 podążyła dalej. Plamy ostrej bieli pokrywają ziemię. Mrówka brodzi w ciepłych fotonach. Gwałtowna to zmiana dla kogoś, kto spędził całe dzieciństwo pod ziemią. Kolejny zakręt. Trafia w nią strużka czystego światła, które rozlewa się, tworząc oślepiający krąg, a następnie zmienia się w srebrną kurtynę.

Światłny ostrzał zmusza ją do cofnięcia się. Czuje, jak światło przenika jej oczy, pali nerwy optyczne, drażni trójdzielny mózg. Trzy mózgi – spadek po przodkach, którzy mieli osobny zwój nerwowy przypadający na każdy człon – jeden system nerwowy dla każdej części ciała.

56 pnie się pod prąd strumienia fotonów. W dali rozpoznaje sylwetki swych sióstr, pochłaniane przez słoneczną aureolę. Przypominają duchy.

Podążyła dalej. Czuje ciepło.

Opisać światło – co tysiąc razy starano się dla niej uczynić – przekracza możliwości przekazu, trzeba je samemu odczuć! Jej myśl biegnie ku robotnicom z kasty dozorczyń, które całe życie spędzają zamknięte w Mieście i nigdy nie poznają, czym jest świat zewnętrzny i słońce.

56 przenika ścianę światła i pojawia się z drugiej strony, poza Miastem. Jej siatkowate oczy powoli przyzwyczajają się do jasności, nadal jednak czuje klucie ostrego powietrza. Powietrza zimnego, ruszającego się i pachnącego, zupełnie innego od znanej atmosfery, w której żyła wcześniej.

Czulki obracają się we wszystkich kierunkach. Ma trudności z ustawieniem ich według własnej woli. Mocniejszy podmuch wiatru rozplaszcza je na jej głowie. Skrzydła uderzają o siebie.

U szczytu kopuły witają ją robotnice. Chwytają za nóżki, wciągają na górę, popychają do przodu ku tłumowi płciowych, ku setkom mrowiących się samców i samic, zgromadzonych na maleńkiej powierzchni. Księżniczka wie już, że znajduje się na pasie startowym lotu godowego, ale najwyraźniej wszyscy czekają na lepsze warunki meteorologiczne.

Tymczasem, gdy wiatr nadal harcuje w najlepsze, grupka wróbli dostrzega płciowe.

Podekscytowane nieoczekiwaną okazją, podlatują coraz bliżej. Kiedy znajdują się już w niebezpiecznej odległości, artylerzystki na stanowiskach wokół wierzchołka mrowiska wystrzelują w ich stronę strumienie kwasu.

Właśnie jeden z ptaków próbuje swego szczęścia: nurkuje chwytając dziobem trzy samice, i odlatuje! Zanim jednak udaje się zuchwalcowi powrócić na bezpieczną wysokość, zostaje zestrzelony przez artylerzystki. Spada na trawę, wije się rozpaczliwie, jeszcze z pełnym dziobem, z nadzieją, że uda mu się zetrzeć truciznę ze skrzydeł.

Niech im to wszystkim służy za nauczkę! Wróble rzeczywiście nieco się cofnęły... Ale nie bądźmy naiwni. Wkrótce powrócą, by po raz kolejny wystawić na próbę obronę przeciwlotniczą.

DRAPIEŻNIK: Czym byłaby dzisiaj nasza ludzka cywilizacja, gdyby nie znalazła sposobu radzenia sobie z najgroźniejszymi drapieżnikami, takimi jak wilki, lwy,

niedźwiedzie czy hieny?

Z pewnością cywilizacją pełną niepokoju, walczącą stale o byt.

Rzymianie, by urozmaicić dreszczykiem strachu swe libacje, kazali przynosić sobie zwłoki. Miały im one przypominać, że zwycięstwo nigdy nie jest ostateczne i że śmierć może przyjść w każdej chwili.

Za naszych czasów człowiek zgładził, wyeliminował i umieścił w muzeum wszystkie gatunki, które były w stanie go zjeść. W rezultacie niepokoić go mogą jedynie mikroby i – być może – mrówki.

Cywilizacja myrmeczeńska z kolei rozwinęła się, choć nie udało jej się poradzić sobie z drapieżnikami. W rezultacie owady te żyją w nieustannej walce o prawo istnienia. Wiedzą, że droga przed nimi jeszcze długa, a każde najgłupsze nawet zwierzę może jednym ruchem zniszczyć owoc tysiącleci przemysłanych doświadczeń.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Wiatr cichnie, podmuchy stają się coraz rzadsze, temperatura rośnie. W porze 22° Miasto postanawia wypuścić w świat swoje dzieci.

Samice brzęczą czterema skrzydłami. Są w pełni gotowe. Wszystkie te zapachy dojrzałych samców zaostrzyły do granic możliwości ich apetyt seksualny.

Pierwsze dziewice startują z wdziękiem. Wznoszą się na wysokość stu głów i... zostają połknięte przez wróble. Co do jednej.

W dole panuje popłoch, mimo to jednak nikt nie zamierza się wycofać. W powietrze wzbija się kolejna grupa. Czterem samicom na sto udaje się pokonać przeszkodę w postaci dziobów i piór. Za nimi rusza zwarta eskadra samców. Nic im nie zawadza – są zbyt w pełni, by ptaki zwróciły na nich uwagę.

Trzecia grupa samic wznosi się ku chmurom, lecz na swej drodze napotyka co najmniej pięćdziesiąt ptaków. Prawdziwa rzeź. I tym razem żadna nie wychodzi z niej cała. Płactwa zbiera się coraz więcej, jakby się zmówiły: wróble, kosy, gile, zięby, gołębie... Ćwierkają głośno. Dla nich to również święto!

Startuje czwarta ekipa. I znowu ani jednej samicy nie udaje się przedrzeć. Ptaki walczą między sobą o najlepsze kąski.

Zdenerwowane artylerzystki strzelają w górę ze wszystkich sił swych gruczołów wydzielających kwas mrówkowy. Drapieżniki są jednak zbyt wysoko. Śmiercionośne krople opadają na Miasto kwaśnym deszczem, raniąc mrówki i powodując wiele szkód.

Niektóre samice rezygnują, przerażone. Oceniają, że nie są w stanie przetrwać w powietrzu i wolą zejść niżej i kopulować w podziemnych pomieszczeniach w towarzystwie innych rannych

księżniczek.

Rusza piąta grupa, gotowa do największego poświęcenia. Trzeba za wszelką cenę pokonać tę ścianę dziobów! Siedemnastu samicom udaje się przebić, tuż za nimi podąża czterdziestu trzech samców.

Szosta grupa: dwunastu samicom się udało!

Siódma grupa: trzydziestu czterem!

56 porusza skrzydłami. Boi się jeszcze lecieć. Głowa jednej z siostr upadła tuż u jej stóp, a za nią wylądował złowrótny puszek. Chciała wiedzieć, jak jest na zewnątrz? Teraz się przekonała!

Czy ruszy wraz z ósmą grupą? Nie... I słusznie, gdyż ta ulega całkowitej zagładzie.

Księżniczka ma tremę. Znów brzęczy skrzydłami i wznosi się lekko. Dobrze, przynajmniej ma pewność, że to działa, tylko w głowie jakoś tak dziwnie... Ogarnia ją strach. Musi myśleć trzeźwo. Szanse na sukces są nikłe.

56 przerywa trzepotanie skrzydłami: siedemdziesiąt trzy samice z dziewiątej grupy przedarły się przez przeszkodę. Robotnice emitują dopingujące feromony. Powraca nadzieja. Czy polecą w dziesiątej grupie?

Waha się jeszcze, gdy nagle, nieco dalej w tłumie, zauważa małą kulawą i dużą morderczynię o martwych już teraz oczach. Natychmiast podejmuje decyzję i niezwłocznie startuje. Żuwaczki prześladowczyń kłapią w próżni – niewiele jednak brakowało.

Przez jakiś czas 56 utrzymuje się w połowie drogi między Miastem a chmurą ptaków. Wkrótce otaczają ją samice wzbijające się w dziesiątej grupie. Korzysta z okazji i prze wraz z nimi prosto ku powietrznej otchłani. Obie mrówki lecące po jej bokach dają się złapać, jej jednak udaje się niespodziewanie przecisnąć między szponami sikorki.

Kwestia szczęścia.

Z tej grupy uchodzi z życiem czternaście samic. 56 nie ma jednak złudzeń. Pokonała zaledwie pierwszą przeszkodę. Najgorsze dopiero przed nią. Zna statystyki. Zazwyczaj na tysiąc pięćset księżniczek jedynie dziesięć powraca na ziemię bez szwanku. A według najbardziej optymistycznego założenia czterem królowym uda się wybudować nowe miasta.

CZASAMI GDY: Czasami gdy spaceruję latem, zauważam, że omal nie rozdeptałem czegoś na kształt muchy. Przypatruję się bliżej: to mrówcza królowa. Skoro jest jedna, musi być ich tu więcej. Wiją się po ziemi. Zgniatane są pod ludzkimi stopami, giną, wpadając na szyby samochodów. Są wyczerpane, nie kontrolują już swego lotu. Ile miast zostało zgładzonych jednym ruchem wycieraczek latem na szosie?

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

56 wprawia w ruch swoje cztery witrażowo zdobione skrzydła, ale zauważa, że pierzasta ściana wchłonęła na dobre jedenastą i dwunastą grupę. Nieszczęsne! Jeszcze pięć grup samic i Miasto pozbędzie się wszystkich swoich pociech.

Księżniczka nie myśli o tym, pochłonięta przez bezkresny lazur. Wszystko jest takie niebieskie! Dla mrówki, która zaznała dotąd jedynie życia pod ziemią, cudownym uczuciem jest móc wzbic się w przestworza. Ma wrażenie, że porusza się w innym świecie. Opuściła wąskie korytarze dla oszalałającej, trójwymiarowej przestrzeni.

Intuicyjnie odkrywa wszystkie możliwości lotu. Kładąc nacisk na prawe skrzydło, skręca w tę stronę. Unosi się lub opada, zmieniając rytm uderzeń. Przyśpiesza... Zauważa, że aby wziąć idealny zakręt, musi ustawić końce skrzydeł zgodnie z niewidzialną osią i bez obawy ułożyć ciało pod kątem większym niż 45°.

Samica 56 odkrywa również, że niebo nie jest pustką. Wręcz przeciwnie. Jest pełne prądów. Jedne z nich, tak zwane pompy, unoszą ją ku górze. Dziury z kolei powodują, że traci wysokość. Można je zlokalizować jedynie obserwując owady lecące z przodu, i planować posunięcia w odniesieniu do ich ruchów...

Zmarzła. Zimno tu w górze. Czasami wpada w wiry powietrzne, podmuchy ciepłego lub lodowatego powietrza powodują, że kręci się jak bączek.

Grupa samców ruszyła za nią w pościg. Samica 56 przyśpiesza, by dogoniła ją tylko najszybsi i najbardziej zawzięci – na tym polega pierwszy etap doboru naturalnego.

Czuje dotyk. Jeden z samców czepia się jej odwłoka, wspina się. Jest dość drobny, lecz ponieważ zaniechał machania skrzydłami, jego ciężar daje się we znaki.

56 traci nieco na wysokości. Samiec kręci się, by uniknąć uderzeń jej skrzydeł. Starając się utrzymać równowagę, podwija swój odwłok, by dosięgnąć narządów płciowych samicy.

Księżniczka z ciekawością oczekuje wrażeń. Ogarnia ją rozkoszne mrowienie. Wpada na pewien pomysł. Bez uprzedzenia wyrывa się do przodu i pikuje w dół. Szaleństwo! Uniesienie! Seks i prędkość składają się na jej pierwszy wielki koktajl przyjemności.

Na chwilę pojawia się w jej umyśle obraz samca 327. Wiatr szumi wokół jej głowy. Pikantna posoka budzi dreszcz w jej czułkach. Zmysły szaleją niczym wzburzone morze. Jakieś płyny wyciekają ze wszystkich jej gruczołów, tworzą jedną musującą mieszaninę, która wlewa się do jej mózgowia.

Zbliżywszy się do wierzchołków traw, zbiera siły i ponownie bije skrzydłami. Wznosi się jak strzała. Mimo iż po chwili powraca do stanu równowagi, samiec nie czuje się już zbyt dobrze. Nóżki drżą, żuwaczki rozwierają się i zaciskają bez przerwy. Atak serca. I bezwładny spadek...

U większości owadów samce skazane są na śmierć po pierwszym akcie miłosnym. Mają prawo tylko do jednego razu, tego właściwego. Opuszczające ciało spermatozoidy porywają ze sobą

życie ich właściciela.

W wypadku mrówek wytrysk zabija samca. U innych gatunków owadów samica, gdy tylko zostanie zaspokojona, masakruje swego dobroczyńcę tylko dlatego, że emocje zaostrzają jej apetyt.

Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że świat owadów jest w całości światem samic, a ściślej mówiąc – wdów. Rola samców jest epizodyczna...

Oto jednak uczepia się jej kolejny samiec rozplodowy, po nim następny i następny. Samica 56 już ich nawet nie liczy. Siedemnastu, może osiemnastu, jeden po drugim, napelniają świeżymi gametami jej zbiornik z nasieniem. Czuje żywą ciecz, która bulgocze w jej odwłoku – zapas mieszkańców jej przyszłego miasta. Miliony plemników, które pozwolą jej codziennie, przez piętnaście lat, składać jajeczka.

Wokoło siostry przeżywają te same emocjonujące chwile. Powietrze pełne jest fruwających samic, kopulujących z jednym lub kilkoma samcami naraz. Karawany miłości zawieszono w chmurach. Damy są już półprzytomne ze zmęczenia i szczęścia. Nie są już księżniczkami, lecz królowymi. Powracająca falami rozkosz zmysłów oszołomiła je do tego stopnia, że mają trudności z utrzymaniem kierunku lotu.

Ten właśnie moment wybrały cztery majestatyczne jaskółki, by opuścić gałęzie kwitnącej wiśni. Nie lecą, lecz ślizgają się w powietrzu z zatrważającą determinacją... Z szeroko otwartym dziobem spadają wprost na uskrzydłone mrówki i połykają je jedną po drugiej. 56 znowu musi uciekać.

103 683 znajduje się w komnacie poszukiwaczek. Miała zamiar samotnie prowadzić śledztwo, zakradając się do Termitiery ze Wschodu, ale otrzymała propozycję dołączenia do wyprawy badawczej, wyruszającej polować na smoka.

Rzeczywiście, w okolicach miasta Zoubi-zoubi-kan, posiadającego największy inwentarz mszyc w całej Federacji (9 milionów dojnych sztuk!), zlokalizowano jaszczurkę. Jak wiadomo, obecność jednej z nich może wyraźnie przeszkodzić działalności pasterskiej.

Traf chciał, że Zoubi-zoubi-kan znajduje się na wschodnich kresach Federacji, dokładnie w pół drogi między miastem termitów a Bel-o-kan. Dlatego też 103 683 zdecydowała się wyruszyć wraz z ekspedycją. Dzięki temu jej zniknięcie nikogo nie zdziwi.

Wokoło trwają drobiazgowo przygotowania do wyprawy. Jej uczestniczki wypełniają po brzegi zbiornik na kwas mrówkowy oraz społeczne wole na zapasy cukru. Następnie smarują się śliną ślimaka, by chronić się przed zimnem, a także (teraz już to wiedzą) przed sporami *Alternarii*.

Rozmawiają o polowaniu na jaszczurkę. Jedne porównują ją z salamandrami i żabami, ale większość z trzydziestu dwóch wyruszających na wyprawę przyznaje, iż polowanie na to

stworzenie będzie najtrudniejsze.

Jedna ze starszych mrówek twierdzi, że jaszczurkom ogon odrasta po odcięciu! Wyśmiewają ją... Inna upiera się, że widziano jednego z tych potworów stojącego bez ruchu niczym kamień przez 10°. Wszystkie wspominają opowieści pierwszych Belokanijek, które stawiały im czoło gołymi żuwaczkami – w owym czasie kwas mrówkowy nie był jeszcze tak rozpowszechniony. 103 683 nie może opanować drżenia. Nigdy jeszcze nie widziała jaszczurki, lecz perspektywa zaatakowania jednej z nich gołymi żuwaczkami lub nawet kwasem mrówkowym nie wydaje jej się kusząca. Obiecuje sobie, że czmychnie przy pierwszej okazji. W końcu jej śledztwo w sprawie tajnej broni ma większe znaczenie dla przetrwania Miasta niż jakieś tam polowanie dla sportu.

Uczestniczki wyprawy są gotowe. Wspinają się korytarzami zewnętrznego obwodu Miasta i wynurzają się na światło dzienne wyjściem numer 7, zwanym wyjściem wschodnim.

Muszą najpierw opuścić przedmieścia. Nie jest to łatwe zadanie. Wszystkie dojścia do Belokan zatłoczone są spieszącymi się w różnych kierunkach robotnicami i wojowniczkami.

Niektóre mrówki obładowane są liśćmi, owocami, ziarnami, kwiatami lub grzybami. Inne przenoszą gałązki i kamyczki służące jako materiały budowlane. Jeszcze inne pędzą zwierzynę... Szmer zapachów.

Mrówki myśliwi torują sobie przejście w tłumie. Nieco dalej ruch jest bardziej płynny. Aleja zwęża się, by wkrótce stać się drogą szeroką na nie więcej niż trzy głowy (dziewięć milimetrów), potem na dwie, na jedną. Muszą być daleko od Miasta, gdyż nie docierają już do nich zbiorowe komunikaty. Grupa odcięła wężową pępowinę i stanowi teraz niezależną jednostkę. Idą w szyku spacerowym, czyli po dwie mrówki w rzędzie.

Wkrótce mijają inną grupę – powracającą ekspedycję. Jej uczestniczki musiały przeżyć ciężkie chwile. W wynędzniałej drużynie nie ma ani jednej nieposzkodowanej mrówki. Same kaleki. Niektóre wloką się żałośnie, gdyż brakuje im nówek, równie źle wyglądają te, które straciły odwłok lub czułki.

Od czasu Wojny Maków 103 683 nie widziała równie pokiereszowanych wojowniczek. Musiały spotkać na swej drodze coś rzeczywiście potwornego... Może tajną broń? Chciałaby nawiązać rozmowę z dużą wojowniczką o długich, złamanych żuwaczkach. Skąd wracają? Co się wydarzyło? Czy to termity? Mrówka zwalnia i nie odpowiadając, odwraca głowę w jej kierunku. O zgrozo! Jej oczodoły są puste, a głowa pęknięta od otworu gębowego po szyję. 103 683 patrzy, jak duża się oddala. Kawalek dalej ranna upada, by już więcej się nie podnieść. Znajduje w sobie jedynie siłę na przeczłaganie się na pobocze drogi, aby jej zwłoki nie blokowały przejścia.

Samica 56 próbuje wykonać ostre pikowanie w dół, aby uniknąć spotkania z jaskółką, ale ta jest dziesięć razy szybsza. Wielki dziób rzuca już cień na jej czułki, zbliża się do odwłoka, zakrywa tułów, głowę. Kontakt z podniebieniem ptaka jest nie do zniesienia. A potem dziób się zamyka.

Wszystko skończone.

POŚWIĘCENIE: Obserwując mrówkę, można pomyśleć, że jej motywacja powodowana jest jedynie ambicjami zewnętrznymi, niezależnymi od jej własnej egzystencji. Odcięta głowa będzie próbowała okazać się jeszcze przydatną, gryząc nóżki nieprzyjaciela lub łupiąc ziarno; tułów przeczołga się, blokując wejście wrogom.

Abnegacja? Fanatyzm względem Miasta? Oglupienie spowodowane kolektywizmem?

Nie, mrówka potrafi również żyć samotnie. Nie potrzebuje Miasta, może się nawet przeciw niemu zbuntować.

Dlaczego zatem się poświęca?

Na tym etapie swoich badań mogę powiedzieć, że wynika to z jej skromności. Wydaje się, że śmierć nie jest dla mrowki wydarzeniem na tyle dużej wagi, by mogła zaprzestać rozpoczętego kilka sekund wcześniej zadania.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Omijając drzewa, pagórki i kolczaste krzewy, ekspedycja przemyka się w kierunku złowieszczonego Wschodu.

Trakt stał się wąski, ale nadal można spotkać na nich ekipy drogowców. Nie wolno zaniedbywać żadnej trasy prowadzącej z jednego miasta do drugiego. Dróżniczki wyrrywają mech, odciągają na bok tarasujące przejście gałązki, za pomocą gruczołu Dufoura umieszczają zapachowe drogowskazy.

Coraz rzadziej spotykają robotnice idące z przeciwną. Od czasu do czasu napotykają na ziemi feromony sygnalizacyjne: „Na skrzyżowaniu 29 zalecane obejście przez głóg!”. Stanowią zapewne ślad ostatniej zasadzki przygotowanej przez wrogie owady.

Co kawałek 103 683 napotyka kolejne niespodzianki. Nigdy wcześniej nie była w tej okolicy. Rosną tu wielkie borowiki szatańskie wysokie na osiemdziesiąt głów, chociaż gatunek ten najczęściej spotykany jest na terenach zachodnich.

Rozpoznaje również cuchnące sromotniki bezwstydnego, których zapach przyciąga muchy, nieco dalej purchawki. Wspinają się na kurkę i depcze radośnie jej miękką kapelusz. Odkrywa przeróżne rodzaje roślin: dzikie konopie, których kwiaty tak dobrze przechowują rosę, piękne, a zarazem niepokojące sabotki, szarotę na długiej lodydze...

Zbliża się do niecierpka, którego kwiaty przypominają pszczoły i nierozsądnie dotyka go. Natychmiast dojrzałe owoce wybuchają jej prosto w twarz, pokrywając ją żółtymi, lepкими nasionkami! Co za szczęście, że to nie *Alternaria*...

Bynajmniej niezniechęcona, wdrapuje się na zawilec, by z bliska przyjrzeć się niebu.

Dostrzeża w górze pszczoły zataczające na niebie ósemkę, by wskazać tym sposobem siostrom, gdzie znajdują się kwiaty z pyłkiem.

Krajobraz jest coraz bardziej dziki. W powietrzu unoszą się tajemnicze zapachy. Setki małych niezidentyfikowanych istot umykają we wszystkich kierunkach. Ich obecność zdradza jedynie szelest suchych liści.

Czuąc jeszcze mrowienie w głowie, 103 683 dołącza do grupy. Spokojnym krokiem docierają powoli w okolice sfederowanego miasta Zoubi-zoubi-kan. Z daleka nie różni się ono niczym od zwykłych zarośli. Gdyby nie zapach i wytyczona droga, nikomu nie przysłoby do głowy szukać tu Miasta. W rzeczywistości Zoubi-zoubi-kan jest klasycznym gniazdem rudych mrówek leśnych, z pniakiem, kopułą z gałązek i śmietnikiem, ale całość ukryta jest w krzakach. Wejścia do Miasta umieszczone są wysoko, niemal u szczytu kopuły. Można tam dotrzeć przechodząc po kępie paproci i dzikich róż – tak też czynią uczestniczki wyprawy.

Wewnątrz kipi życie. Mszyce bardzo trudno zauważyć, ponieważ są tego samego koloru co liście. Wprawne oko i czułki bez trudu jednak wytropią tysiące małych, zielonych brodawek rosnących powoli, w miarę jak pasą się, spożywając odżywcze soki.

W przeszłości między mrówkami a mszycami zostało zawarte porozumienie. Mszyce żywią mrówki, a te z kolei zapewniają im bezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, w niektórych miastach praktykuje się amputowanie skrzydeł tym dojnym krowom i przekazywanie im własnych zapachów identyfikacyjnych. Dzięki temu łatwiej panuje się nad stadem...

Zoubi-zoubi-kan stosuje właśnie tę metodę. Chcąc wynagrodzić mszycom ten proceder lub zwyczajnie siląc się na nowoczesność, Miasto wybudowało na drugim piętrze olbrzymie obory zapewniające mszycom niezbędny komfort, który ma im dać dobre samopoczucie. Mrówcze nianki opiekują się tam jajeczkami mszycowatych z taką samą uwagą, z jaką zajęłyby się jajeczkami myrmecenijskimi. Dzięki temu zapewne tutejszy inwentarz jest wyjątkowo dorodny.

103 683 wraz z towarzyszkami zbliża się do stada zajętego wysysaniem soków z gałęzi dzikiej róży. Mrówki rzucają im kilka pytań, ale mszyce, zanurzające trąbki w miąższu rośliny, nie zwracają na nie najmniejszej uwagi. Poza tym może wcale nie rozumieją zapachowego języka mrówek... Eksploratorki szukają pasterki, ale żadnej nie znajdują.

W tym momencie dochodzi do wstrząsającego wydarzenia. Prosto w sam środek stada wpadają trzy biedronki. Te groźne dzikie zwierzęta sięją panikę wśród nieszczęsnych mszyc, którym podcięte skrzydła uniemożliwiają ucieczkę.

Na szczęście zaraz po wilkach na scenie pojawiają się pasterki. Dwie zoubizoubikanijskie mrówki wyskakują zza liścia, pod którym się ukrywały, by skuteczniej zaskoczyć czerwonego drapieżnika w czarne plamki. Piorunują napastnika precyzyjnie wymierzonymi strugami ciepłego kwasu. Następnie podbiegają, by pocieszyć grupki wystraszonych jeszcze mszyc. Doją je, klepią

po odwłokach, głaszczą czułki. Mszyce wydzielają duże krople przezroczystego cukru – cenna spadz. Pojąc się tym likierem, pasterki zoubizoubikanijskie zauważają wreszcie belokanijskie poszukiwaczki.

Witają się. Kontakt czułkami.

Przyszliśmy zapolować na smoka – nadaje jedna z nich.

W takim razie musicie udać się dalej na wschód. Zauważyliśmy jednego z tych potworów w okolicach posterunku Guayei-Tyolot.

Zamiast zaproponować zwyczajową trofalaksję, pasterki zapraszają je na poczęstunek prosto od zwierząt. Nowo przybyłe nie każą się długo prosić. Każda wybiera jedną mszycę i łaskocze jej odwłok, by udoić wybornej spadzi.

Wewnątrz gardzieli panują ciemności, śmierdzi i jest tłusto. Pokryta śliną samica 56 ślizga się po gardle drapieźnika. Z braku zębów nie zmiażdżył jej zębami – jest nienaruszona. Nie ma mowy o poddaniu się – wraz z nią znikłoby całe miasto.

Koszttem wielkiego wysiłku udaje jej się wbić żuwaczki w gładkie ciało przelyku ptaka. Ta szybka reakcja ją ratuje. Jaskółce robi się niedobrze, odkastuje i gwałtownie wyrzuca z siebie mrówkę. Oślepią samica próbuje utrzymać się w powietrzu, lecz skrzydła powleczone lepką mazią stały się zbyt ciężkie. Spada w sam środek rzeki. Wokół niej w agonii miotają się samce. Dostrzega nad sobą nierytmiczne ruchy dwudziestu siostr, którym udało się przeżyć nalot jaskółek. Wyczerpane tracą wysokość.

Jedna z nich ląduje na liściu nenufara, gdzie natychmiast pada ofiarą dwóch salamander, które chwytają ją i rozszarpują. Kolejne królowe wypadają z gry za sprawą gołębi, żab, kretów, węży, nietoperzy, jeży, kur i kurczaków... W rezultacie z tysiąca pięciuset samic, które wzniosły się w powietrze, przeżywa jedynie sześć.

Jest wśród nich 56. Cudem ocalała. Musi żyć. Musi założyć własne miasto i rozwiązać zagadkę tajnej broni. Wie, że będzie jej potrzebna pomoc i że będzie mogła liczyć na przyjazny tłum zamieszkujący jej brzuch. Wystarczy tylko wypuścić go na zewnątrz...

Najpierw jednak musi się stąd wydostać...

Kierując się kątem padania promieni słonecznych, sytuuje punkt, w którym spadła na wody Wschodniej Rzeki. Nie można było gorzej trafić – co prawda mrówki zasiedliły wszystkie wyspy świata, ale nadal nie wiadomo, w jaki sposób tam dotarły, skoro nie potrafią pływać.

Nieopodal niej przepływa liść – 56 czepia się go żuwaczkami. Macha zapamiętałe tylnymi nóżkami, ale ten napęd daje żalodne rezultaty. Wlecze się tak dłuższą chwilę, utrzymując się na powierzchni, gdy nagle na wodzie zarysowuje się olbrzymi cień. Kijanka? Nie, to coś tysiąc razy większego od kijanki. Samica coraz wyraźniej rozpoznaje pociągłą sylwetkę o gładkiej, cętkowanej skórze. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Pstrąg! Drobnie skorupiaki,

oczliki i rozwiłtliki umykają przed monstrem, które nurkuje, by po chwili wynurzyć się bliżej uczepionej liścia, przerażonej królowej.

Całą mocą swych płetw pstrąg rzuca się do przodu, tnąc taflę wody. Potężna fala ponieważ mrówką, gdy tymczasem ryba zastyga jakby zawieszona w powietrzu, z szeroko otwartą paszczą uzbrojoną w ostre zęby, i połyka przelatującą w pobliżu muszkę.

Następnie wygina się jednym ruchem ogona i opada z powrotem w głąb swego przejrzystego świata... powodując przyływ, który zalewa mrówkę. Żaby, odetchnąwszy z ulgą, nurkują, by teraz między sobą walczyć o królową i jej kawior. Samicy 56 udaje się wydostać na powierzchnię, ale wodny wir wsysa ją ponownie w nieprzyjazną głębinę. Żaby są tuż za nią. Paraliżuje ją zimno. Traci przytomność.

Nicolas wraz ze swoimi nowymi kolegami, Jeanem i Philippem, oglądał w jadalni telewizję. Wokół nich inne sieroty o różowych twarzyczkach dawały się kołysać nieprzerwanemu ciągowi obrazów. Ich pamięć przyswajała scenariusz filmu z szybkością 500 km/h.

Ludzki mózg może zmagazynować do sześćdziesięciu miliardów różnych informacji. Kiedy pamięć zostanie przepełniona, umysł automatycznie dokonuje porządków – informacje uznane za mniej interesujące ulegają zapomnieniu. Pozostają wtedy jedynie traumatyczne wspomnienia i tęsknota za minionymi radościami.

Tego dnia tuż po serialu nadawano dyskusję na temat owadów. Większość młodzieży rozeszła się – naukowa gadka ich nie pociągała.

„– Profesorze Leduc, jest pan uznawany, obok profesora Rosenfelda, za największego w Europie specjalistę od mrówek. Co skłoniło pana do badań nad nimi?

– Pewnego dnia otworzyłem szafkę w kuchni i stanąłem oko w oko z całą kolumną tych owadów. Spędziłem wiele godzin, patrząc, jak pracują. Była to dla mnie lekcja życia i pokory. Postanowiłem dowiedzieć się więcej... oto i cała historia. – Śmieje się.

– Czym pańskie badania różnią się od pracy innego wybitnego naukowca, którym jest profesor Rosenfeld?

– Ach! Profesor Rosenfeld! Ciągle jeszcze nie na emeryturze? – Znów się śmieje. – Nie, szczerze mówiąc, nie prezentujemy tej samej szkoły. Wie pan, te owady można rozumieć na wiele sposobów... Dawniej myślano, że wszystkie gatunki żyjące w społeczności (termity, pszczoły, mrówki) są rojalistami. Wydawało się to proste, ale okazało się fałszywe. Potem przekonano się, że w wypadku mrówek królowa nie ma żadnej władzy, jej funkcją jest jedynie płodzenie potomstwa. Właściwie wyróżnić można wiele form mrówczych ustrojów: monarchię, oligarchię, triumwirat wojowniczek, demokrację, anarchię i tak dalej. Czasami nawet, kiedy obywatelki nie są zadowolone z rządów, buntują się i mamy wtedy do czynienia z wojnami domowymi w obrębie miast.

– Niesamowite!

– Jeśli o mnie chodzi, należę do szkoły niemieckiej, która utrzymuje, że u podstaw organizacji mrówczego świata leży hierarchia kast i dominacja osobników alfa, uzdolnionych ponadprzeciętnie, rządzących grupami robotnic... Rosenfeld, który należy do szkoły włoskiej, uważa, że mrówki są z natury anarchistkami, a osobniki alfa uzdolnione bardziej niż inne – nie istnieją. Liderzy wylaniają się jedynie czasami, by rozwiązać konkretne problemy. Ich władza jest jednak tymczasowa.

– Nie bardzo rozumiem.

– W pewnym sensie szkoła włoska twierdzi, że każda mrówka może być wodzem, pod warunkiem że przedstawi pomysł, który zainteresuje inne osobniki. Szkoła niemiecka uważa natomiast, że jedynie mrówki o cechach wodza podejmują się kierować misją.

– Obie szkoły zatem różnią się aż tak zasadniczo?

– Zdarzało się, że podczas międzynarodowych kongresów dochodziło do walk na pięści, jeśli o to panu chodzi.

– A zatem nadal trwa rywalizacja między duchem saksońskim a lacińskim, prawda?

– Nie. Ta walka jest raczej porównywalna do tej, w której przeciwstawiają się sobie zwolennicy wiedzy wrodzonej i nabytej. Rodzimy się kretykami czy stajemy się nimi? Na to pytanie, między innymi, staramy się odpowiedzieć, badając społeczeństwo mrówek!

– Dlaczego jednak nie robić tych doświadczeń na królikach albo myszach?

– Mrówki dają nam wspaniałą możliwość oglądania funkcjonującego społeczeństwa. Społeczeństwa składającego się z milionów osobników. To tak, jakby obserwować świat. O ile mi wiadomo, nie istnieje żadne milionowe miasto królików czy myszy...”.

Chłopcy trącili się łokciami.

– Słyszysz, Nicolas?

Ale Nicolas nie słuchał. Ta twarz, te żółte oczy – już je kiedyś widział. Ale gdzie? Kiedy? Szukał w pamięci. Zgadza się, teraz sobie przypominał. To był człowiek od oprawy. Twierdził, że nazywa się Gougne, lecz z pewnością chodziło o jedną i tę samą osobę, o tego Leduca, przechwalającego się w telewizji.

To odkrycie spowodowało, że Nicolas zamyślił się głęboko. Skoro profesor wtedy kłamał, to dlatego, że chciał przywłaszczyć sobie encyklopedię. Jej zawartość musiała być cenna. Musiała znajdować się na dole, w piwnicy. Tego właśnie pożąдали wszyscy: tata, mama i ten Leduc. Trzeba iść po tę przeklętą encyklopedię i wtedy wszystko się wyjaśni.

Wstał.

– Dokąd idziesz?

Nie odpowiedział.

– Myślałem, że interesują cię mrówki...

Doszedł do drzwi, a za nimi puścił się biegiem do swojego pokoju. Niewielu rzeczy będzie potrzebował. Tylko swojej przynoszącej szczęście kurtki, noża i solidnych butów na grubej podszewie.

Kiedy przechodził przez główny hol, opiekunowie nawet nie zwrócili na niego uwagi.

Uciekł z sierocińca.

Z daleka Guayei-Tyolot przypomina kopiec kreta. Ten wysunięty daleko posterunek to minimrowisko, zamieszkiwane przez setkę osobników. Funkcjonuje jedynie od kwietnia do października i pustoszeje na okres jesienno-zimowy.

Tutaj, podobnie jak u prymitywnych gatunków mrówek, nie ma królowej ani wojowniczek. Każdy pełni wszystkie funkcje naraz. Dlatego też często krytykuje się tu gorączkową atmosferę panującą w wielkich miastach. Wyśmiewa się korki, zapadające się korytarze, sekretne przejścia zmieniające miasto w robaczywe jabłko, wyspecjalizowane robotnice, które nie potrafią już nawet polować, ślepe dozorczyńce przez całe życie zamurowane w wąskich przejściach...

103 683 przeprowadza inspekcję posterunku. Guayei-Tyolot składa się ze strychu i obszernej komnaty. Przez otwór w sklepieniu wślizgują się dwa promienie słońca, ukazując dziesiątki trofeów z polowań – rozwieszone na ścianach puste, zasuszone skóry, na których gwizdże wiatr.

103 683 zbliża się do mieniących się wieloma kolorami szczątków. Jeden z tubylców podchodzi i pociera jej czułki. Wskazuje na te wspaniałe istoty, zabite dzięki przeróżnym podstępom myrmeceńskim. Zdobytcze pokryte są kwasem mrówkowym, gdyż substancja ta pozwala również na konserwowanie zwłok.

Rzędem zawieszono tu starannie wszelkie odmiany motyli i innych owadów o przeróżnych kształtach, rozmiarach i kolorach. Jednego tylko, dobrze znanego zwierzęcia brakuje w kolekcji: królowej termitów.

103 683 wypytuje, czy miewają tu problemy z sąsiadującymi z nimi termitami. Tubylec podnosi czułki, wyrażając zdziwienie. Przestaje mleć żuwaczkami i zapada ciężka, zapachowa cisza.

Termitami?

Mrówka opuszcza czułki. Nie ma nic do nadania. Zresztą czeka ją sporo roboty – musi poćwiartować zdobycz. Straciła już wystarczająco dużo czasu. Cześć. Odwraca się, żeby odejść. Ale 103 683 nalega.

Tubylcza mrówka sprawia wrażenie ogarniętej paniką. Lekko drżą jej czułki. Najwyraźniej słowo „termit” przypomina jej o czymś przerażającym. Rozmowa na ten temat zdaje się być ponad jej siły. Umyka w kierunku grupy robotnic, w najlepsze oddających się pijaństwu. Napelnwszy sobie wole alkoholem na bazie miodu kwiatowego, mrówki kosztują nawzajem

swych odwłoków, tworząc długi, zamknięty łańcuch.

Nagle wkracza gwałtownie do komnaty pięć mrówek-mysliwych przydzielonych do posterunku. Popychają przed sobą gąsienicę.

Znaleźliśmy to. I do tego produkuje miód!

Mrówka, która wyemitowała tę nowinę, poklepuje zdobycz końcami czułków. Następnie rozkłada liść, a gdy tylko gąsienica zaczyna go jeść, wskakuje jej na grzbiet. Gąsienica wije się, ale na próżno. Mrówka wbija pazurki w jej boki, unieruchamia swoją zdobycz, następnie odwraca się i zaczyna lizać ostatni jej człon, póki nie ukazuje się na nim kropla nektaru.

Wszystkie jej gratulują. Podają sobie z żuwaczek do żuwaczek tę nieznaną do tej pory spadz. Ma nieco inny smak niż wydalina mszyc. Jest gęstsza, ma wyraźniejszy posmak soku roślinnego. Kiedy 103 683 degustuje egzotyczny likier, czyjś czulek muska jej czaszkę.

Podobno szukasz informacji na temat termitów.

Mrówka, która rzuciła jej ten feromon, wydaje się bardzo leciwa. Pancierz porysowany ma licznymi ciosami żuwaczek. 103 683 cofa czułki, przytakując.

Chodź za mną!

To wojowniczką 4000. Jej głowa jest płaska jak liść, a oczy maleńkie. Niepewne, drżące fluidy, które nadaje, mają lekki posmak alkoholu. Może dlatego zależała jej na tym, by rozmawiać w małym, praktycznie zamkniętym wgłębieniu.

Nie obawiaj się, tutaj możemy rozmawiać, to moja komnata.

103 683 pyta ją, co wie na temat Termitiery ze Wschodu. Starsza mrówka rozchyła czułki.

Czem u cię to interesuje? Przybyłaś, by zapolować na jaszczurkę, czyż nie?

103 683 postanawia grać w otwarte karty ze starą bezpłciową. Opowiada jej historię niepojętej, tajnej broni, która została użyta przeciwko wojowniczkom z La-chola-kan. Początkowo sądzono, iż to sprawka karłowatych, okazało się jednak, że nie są zamieszane w tę sprawę. Naturalnym biegiem rzeczy podejrzenie padło na termity ze Wschodu, na drugiego liczącego się wroga...

Stara mrówka kuli czułki, wyrażając zdziwienie. Nigdy wcześniej nie słyszała o tej sprawie. Przypatruje się 103 683 i pyta:

Czy to tajna broń wyrwała ci piątą nóżkę?

Młoda wojowniczką zaprzecza. Straciła ją w Bitwie Maków, wyzwalając La-chola-kan. 4000 przyjmuje informację z entuzjazmem. Też tam była!

Który legion?

Piętnasty, a ty?

Trzeci!

Podczas ostatniego natarcia jedna biła się na lewym skrzydle, druga na prawym. Wymieniają

wspomnienia. Wiele można się nauczyć na polu bitwy. Na przykład 4000 zauważyła na samym początku potyczek użycie najemnych muszek-posłańców. Według niej chodzi o sposób komunikowania się na odległość o wiele bardziej nowoczesny niż tradycyjni gońcy.

Wojownicza belokanijska, która nie знаła tej metody, zgadza się z nią całkowicie. Następnie powraca do poprzedniego tematu.

Dlaczego nikt nie chce ze mną rozmawiać o termitach?

Stara wojownicza podchodzi do niej bliżej. Ich głowy stykają się.

Tutaj też dzieją się rzeczy bardzo dziwne...

Jej fluidy brzmią tajemniczo. *Bardzo dziwne, bardzo dziwne...* Zdanie odbija się zapachowym echem od ścian.

4000 opowiada, że od jakiegoś czasu nie widziano w okolicy ani jednego termita ze Wschodu. Ich szpiedzy, udający się na zachód, używali dawniej przejścia przez rzekę w Satei. Wiedzano o tym i nadzorowano je, raz lepiej, raz gorzej. Teraz szpiedzy nie pojawiają się wcale. Przejście jest puste.

Atakujący wróg niepokoi, ale wróg, który znika, daje jeszcze bardziej do myślenia. Ponieważ nie dochodziło do żadnych, nawet najmniejszych potyczek ze zwiadowcami termitów, mrówki z Guayeï-Tyolot postanowiły same poszpiegować.

Wyruszyła jedna drużyna wywiadowczyń. Przepadły bez wieści. Kolejne mrówki ruszyły ich śladem i znikły w ten sam sposób. Pomyślano wtedy, iż winę za to ponosi jaszczurka lub wyjątkowo łakomy jeż. Kiedy jednak atakuje drapieżnik, zawsze ktoś się ostaje, choćby ranny. W tym jednak wypadku wojowniczkę jakby rozpułyły się w powietrzu.

Coś mi to przypomina... – zaczęła 103 683.

Stara mrówka nie zamierza jednak dać zbic się z tropu i przerwać swej opowieści. Mówi dalej. Po klęsce dwóch pierwszych ekspedycji wojowniczkę z Guayeï-Tyolot postanowiły pójść na całego. Wysłały minioddział liczący pięciuset uzbrojonych żołnierzy. Tym razem jedna mrówka ocalała. Wlokła się całą drogę, tysiące głów, i zmarła, mając straszliwie tuż po powrocie do gniazda. Zbadano jej zwłoki – nie było najmniejszego śladu rany, a czułki nie ucierpiały w żadnej bitwie. Wydawało się, że śmierć spadła na nią bez powodu.

Rozumiesz teraz, dlaczego nikt nie chce rozmawiać o termitach ze Wschodu?

103 683 rozumie. Czuje satysfakcję, jest pewna, że wpadła na właściwy trop. Jeśli zagadka tajemnej broni ma jakieś rozwiązanie, droga do niego prowadzi z całą pewnością przez Termitę ze Wschodu.

HOLOGRAFIA: Cechę wspólną ludzkiego mózgu i mrowiska bardzo dobrze przedstawia obraz holograficzny.

Na czym polega holografia?

Wygrawerowane płaszczyzny nakłada się na siebie, a te, oświetlone i oglądane pod odpowiednim kątem, dają wrażenie obrazu przestrzennego. W istocie obraz ten istnieje wszędzie i zarazem nigdzie. Dopiero z połączenia tych płaszczyzn powstaje nowa jakość – trzeci wymiar: wrażenie przestrzenności. Każdy neuron naszego mózgu, podobnie jak każdy osobnik należący do mrowiska, dysponuje całością informacji. Ale świadomość – myśl przestrzenna – może powstać jedynie kolektywnie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Samica 56, świeżo mianowana królowa, odzyskuje przytomność – woda wyrzuciła ją na rozległą kamienistą plażę. Najwyraźniej szybki prąd ocalił ją przed żabami.

Chciałaby oderwać się od ziemi, ale skrzydła ma jeszcze przemoknięte. Musi czekać...

Czyści sobie metodycznie czułki, wdycha otaczające ją zapachy. Gdzie się znajduje? Oby tylko nie spadła po złej stronie rzeki!

Wprawia czułki w drgania dochodzące do ośmiu tysięcy wibracji na sekundę. Czuje znajomą woń. Co za szczęście: znalazła się na zachodnim brzegu rzeki. Mimo to nie odnajduje najmniejszego feromonu drogi. Powinna zbliżyć się nieco do centralnego gniazda, aby móc połączyć swoje przysze miasto z Federacją.

Wreszcie udaje jej się wzlecieć. Kierunek na zachód. Nie dotrze już daleko. Mięśnie jej skrzydeł są zmęczone – leci tuż nad ziemią.

Wracają do głównej sali Guayeï-Tyolot. Odkąd 103 683 próbowała wy badać sprawę termitów ze Wschodu, wszystkie unikają jej, jakby była zarażona *Alternarią*. Nie narzeka jednak, całkowicie oddana swej misji.

Wokół niej Belokanijki dokonują trofalaksji z Guayeityolotyjkami, dając im do spróbowania pieczarki z ostatniego zbioru, a kosztując z kolei spadz dzikich gąsienic.

Po wielu przeróżnych wyemitowanych fluidach rozmowa schodzi na polowanie na jaszczurki. Guayeityolotyjki relacjonują, że ostatnio trzy z nich terroryzowały stada mszyc w Zoubi-zoubikan. Zgromiły już przynajmniej dwa stada liczące po tysiąc sztuk, jak również wszystkie towarzyszące im pasterki...

Wszystkich ogarnęła panika. Pasterki gnały swoje stada jedynie przez przejścia wydrążone w gałązkach. Dzięki kwasowej artylerii udało się jednak odeprzeć smoki. Dwa z nich oddaliły się. Trzeci, ranny, zagnieździł się na kamieniu jakieś pięćdziesiąt tysięcy głów stąd.

Oddziały zoubizoubikanijskie już odcięły mu ogon. Należało teraz skorzystać z okazji i dobić zwierzę, zanim odzyska siły.

Czy to prawda, że jaszczurkom odrastają ogony? – pyta jedna z uczestniczek wyprawy.

Odpowiedź jest twierdząca.

Ale ogon ten nie jest już taki sam. Jak mawia Matka: nigdy nie znajdujemy dokładnie tego, co zgubiliśmy. Drugi ogon nie ma kręgow, jest o wiele bardziej wiotki.

Mrówka z Guayeï-Tyolot dołącza do rozmowy, podając kolejne informacje. Jaszczurki są bardzo wrażliwe na zmiany pogody, jeszcze bardziej niż mrówki. Kiedy mają w sobie zmagazynowane duże pokłady energii słonecznej, szybkość ich reakcji jest niesamowita. Ale kiedy jest im zimno, ich ruchy stają się powolne. Trzeba o tym pamiętać, przygotowując się do jutrzejszego ataku. Najkorzystniej byłoby rozpocząć szturm o świcie. Noc wyziębi jaszczurkę – zaskoczy się ją w stanie letargu.

Ale my też będziemy wyziębione – słusznie zauważa jedna z Belokanijek.

Nie będziemy, jeśli zastosujemy technikę ochrony przed zimnem odkrytą przez karłowate – odparowuje mrówka-myśliwy.

Napełnimy się cukrem i alkoholem, by zapewnić sobie energię, a pancerze pokryjemy śliną, by zapobiec zbyt szybkiemu ulatnianiu się jej z naszych ciał.

103 683 odbiera te informacje rozkojarzonymi czułkami. Myśli jej krążą wokół zagadki termitery i niewyjaśnionych zniknięć, o których opowiedziała stara wojowniczką.

Podchodzi do niej Guayeïtyolotyjka, ta sama, która pokazała jej trofea, lecz nie zgodziła się mówić o termitach.

Rozmawiałaś z 4000?

103 683 przytakuje.

Więc nie zwracaj uwagi na to, co ci powiedziała. To tak, jakbyś rozmawiała z trupem. Kilka dni temu została użądłona przez gąsienicznika...

Gąsienicznik! Ciarki przebiegły 103 683. Gąsienicznik to osa o długim sztyletowatym żądle, która nakłuwa nocą mrówcze gniazda, aż trafi na ciepłe ciało. Wbija się w nie i składa w środku swoje jajeczka.

Najgorszy koszmar mrówczych larw to pojawiająca się u sufitu strzykawka macająca w poszukiwaniu miękkich ciał, by złożyć w nich swój pomiot. Jajeczka rozwijają się wewnątrz organizmu, aż w końcu zmieniają się w żarłoczne larwy, które stopniowo pożerają żywe stworzenie od środka.

Koszmar nie opuścił 103 683: tej nocy śni jej się straszliwa trąba ścigająca ją, by zaszczepić jej swoje mięsożerne dzieci.

Kod do drzwi wejściowych nie został zmieniony. Nicolas zachował swoje klucze, wystarczyło zatem zerwać pieczęcie nałożone przez policjantów, by wejść do mieszkania. Od zniknięcia strażaków nikt niczego tu nie dotykał. Nawet drzwi od piwnicy pozostały szeroko otwarte. Z braku latarki, chłopiec zabrał się do robienia pochodni. Udało mu się odrąbać nogę od stołu,

owinąć ją ściśle gazetami i podpalić. Drewno zajęło się bez trudu – pojawił się mały, lecz spokojny płomyk, zdolny stawić czoło przeciągom. Nicolas zniknął w otchłani kręconych schodów, z pochodnią w jednej ręce i nożem w drugiej. Zdecydowany, z zaciśniętą szczęką, czuł się jak kandydat na bohatera.

Schodził i schodził... Nie było końca stopniom i zakrętom. Miał wrażenie, że trwa to już wiele godzin, był głodny i zmarznięty, ale pałał żądzą zwycięstwa. Przypieszywszy kroku, wzburzony, zaczął krzyżeć na całe gardło, na zmianę wołając ojca i matkę lub wydając wojenne okrzyki. Schodził teraz wyjątkowo pewnie, bez trudu wyczuwając kolejne stopnie.

Nagle znalazł się przed jakimiś drzwiami. Pchnął je. Dwa walczące szczurze plemiona rozbiegły się, gdy pojawiło się to wrzeszczące, otoczone iskierkami dziecko. Stare szczury były zaniepokojone – od jakiegoś czasu wizyty olbrzymów stały się dość częste. Cóż to miało oznaczać? Byleby tylko nie zaproszyli ognia w kryjówkach ciężarnych samic!

Nicolas schodził dalej, pędził tak, że nawet nie zauważył szczurów... Ciągle tylko stopnie i dziwne napisy, których z pewnością teraz nie przeczyta. Nagle dosłyszał jakieś odgłosy (*flap, flap*) i dotyk. We włosy wczepił mu się nietoperz. Przerażenie. Spróbował pozbyć się zwierzęcia, lecz ono zdawało się być przyspawane do jego głowy. Chciał je odstraszyć pochodnią, ale zdołał jedynie spalić sobie kilka kosmyków. Wrzasnął i ruszył biegiem przed siebie. Nietoperz pozostał na głowie chłopca niczym kapelusze i odleciał dopiero, kiedy wyssał mu nieco krwi.

Nicolas nie czuł już zmęczenia. Głośno dysząc, z sercem bijącym jak oszalałe, uderzył nagle o ścianę. Upadł, lecz podniósł się od razu – pochodnia ocalała. Powiódł płomieniem wokół siebie.

Rzeczywiście miał przed sobą ścianę. Rozpoznał nawet żelbetonowe płyty, które zwlókl tu jego ojciec. Cementowe spojenia były jeszcze świeże.

– Tato, mam, jeśli tu jesteście – odezwijcie się!

Odpowiedziało mu jedynie przygnębiające echo. Z pewnością zbliżał się jednak do celu. Skoro nie było drzwi, ściana, był tego pewien, musiała się obracać... tak jak na filmach.

Co kryło się za tym murem? Wreszcie Nicolas zauważył napis:

Jak ułożyć cztery trójkąty równoboczne z sześciu zapalek?

Tuż poniżej zamontowano małą tarczę z przyciskami. Nie było na nich cyfr, lecz litery. Dwadzieścia cztery litery, z których powinno ułożyć się słowo lub zdanie odpowiadające na zadane pytanie.

– Trzeba myśleć inaczej – powiedział chłopiec na głos. Oślupiał, gdyż słowa te przysły mu na myśl same z siebie. Długo się zastanawiał, nie ośmielając się dotknąć żadnej z liter. Nagle ogarnęła go niezwykła cisza, która oczyściła go ze wszystkich myśli i w niewytłumaczalny sposób pokierowała nim tak, by wcisnął po kolei osiem liter.

Rozległ się delikatny zgrzyt mechanizmu i... mur poruszył się. Podniecony, gotowy na

wszystko Nicolas ruszył do przodu. Chwilę później ściana powróciła na swoje miejsce, a spowodowany tym ruchem przeciąg zgasił resztkę tłącej się pochodni.

Pogrążywszy się w całkowitej ciemności, zdezorientowany, Nicolas chciał się wycofać, lecz z tej strony ściana nie miała żadnych przycisków. Nie było już odwrotu. Chłopiec połamał sobie paznokcie o żelbetonowe płyty – jego ojciec wykonał kawał dobrej roboty, w końcu nie na darmo był ślusarzem.

CZYSTOŚĆ: Czy jest coś czystsze niż mucha? Cały czas się myje, przy czym nie jest to dla niej obowiązkiem, lecz potrzebą. Jeśli wszystkie jej czułki i oczka nie będą idealnie czyste, nie uda jej się zauważyć położonego dalej pożywienia ani ręki, która spada na nią, by ją zgnieść. U owadów czystość jest kwestią życia i śmierci.

Edmund Wells,
Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Następnego dnia pierwsze strony gazet donosiły: „Kolejna ofiara przekłętej piwnicy w Fontainebleau. Zaginął jedyny syn rodziny Wells. Co na to policja?”.

Pająk łypie okiem ze szczytu swej paproci. Siedzi bardzo wysoko. Wydziela kroplę płynnego włókna, przylepia ją do liścia, rusza w kierunku końca gałęzi i rzuca się w pustkę. Lot trwa dość długo. Lina naciąga się, wreszcie zasycha, twardnieje i przytrzymuje pająka tuż nad ziemią. Mało brakowało, a roztrzaskałby się z powodu naglej fali zimnego powietrza, która opóźniła sutywnienie włókna.

Pająk porusza ośmioma nóżkami, by się rozhuścić, wreszcie udaje mu się chwycić jeden z liści. Będzie to drugi punkt zakotwiczenia nowej pajęczyny. Tu przytwierdza drugi koniec nici. Ale napięta lina to jeszcze nie wszystko. Pająk zauważa po lewej stronie pień i podbiega w jego kierunku. Jeszcze kilka gałązek i kilka skoków – udało się, przytwierdził liny pomocnicze. To one właśnie będą musiały wytrzymać ciężar wpadających w pajęczynę ofiar, oprzeć się podmuchom wiatru. Całość ma kształt ośmiokąta.

Nić pajęczna składa się z włóknistego białka – fibroiny, którego nieprzemakalność i trwałość są już od dawna dobrze znane. Niektóre pająki potrafią po obfitym posiłku wyprodukować siedemset metrów włókna o średnicy dwóch mikronów – jego wytrzymałość jest porównywalna do nylonu, a elastyczność nawet trzy razy większa.

Na dodatek pająki dysponują siedmioma brodawkami przędnymi, z których każda produkuje inny rodzaj nici: włókno na główne liny przytrzymujące pajęczynę, włókno na liny pomocnicze, włókno do budowy serca pajęczyny, lepka nić do chwytania ofiar, włókno do ochrony jajeczek, inne do budowy schronienia i jeszcze inne do owijania zdobyczy...

Właściwie nie jest włóknistym przedłużeniem pajęczych receptorów, tak samo jak feromony są lotnym przedłużeniem mrówczych przekazów.

Pająk wytwarza więc swoją linię pomocniczą i uczepia się jej. Na najmniejszy sygnał zwiastujący niebezpieczeństwo opuszcza się na niej i umyka bez trudu. Trudno zliczyć, ile razy uszedł w ten sposób z życiem.

Następnie krzyżuje cztery nici w centrum ośmiokąta. Te same gesty od stu milionów lat... Pajęczyna wygląda coraz lepiej. Dzisiaj pająk postanowił zrobić swą sieć z suchych włókien. Lepkie nici są o wiele bardziej skuteczne, ale zbyt delikatne. Przylega do nich każdy pyłek i skrawek zeschniętego liścia. W suche włókno ofiara trudniej się łapie, ale za to sieć z pewnością wytrzyma do nocy.

Zamocowawszy główne nici, pająk dodaje jeszcze około dziesięciu odchodzących promieniście od środka i przystępuje do wykończenia dzieła, tworząc centralną spiralę. To najprzyjemniejsza chwila – zeskakuje z gałązki, do której przytwierdził suchą nić, i skacze z jednego włókna-promienia na drugi, zbliżając się powoli do samego serca pajęczyny, zgodnie z ruchem obrotowym Ziemi.

Zrobił to po swojemu. Na całym świecie nie ma dwóch identycznych pajęczyn – podobnie jest z odciskami ludzkich palców.

Trzeba zacisnąć oczka sieci. Dotarłszy do centrum, pająk obejmuje wzrokiem całość swego stelażu, by ocenić jego trwałość. Dużymi krokami przemierza każdą promienistą nić, potrząsając nią ośmioma nóżkami. Wszystko się trzyma.

Większość pajaków w tej okolicy plecie sieć 75/12. Siedemdziesiąt pięć kręgów spirali rozpiętych na dwunastu promieniach. Ten pająk jednak woli konstruować delikatniejszą koronkę, o proporcjach 95/10. Jest może bardziej widoczna, ale też solidniejsza. A ponieważ używa suchej nici, nie powinien oszczędzać na ilości włókna. W przeciwnym wypadku owady wpadałyby w nią jedynie w charakterze gości...

Tymczasem długotrwała harówka pozbawiła go całkowicie sił. Teraz za wszelką cenę musi coś zjeść. To zamknięte koło. Jest głodny, bo zbudował sieć, ale właśnie ta sieć pozwoli mu się wyżywić.

Uczepiwszy się dwudziestoma czterema pazurkami głównych belek pajęczyny, czeka schowany za liściem. Nie potrzebuje nawet używać żadnego ze swych ośmiorga oczu, gdyż wyczuwa odległości i odbiera nóżkami najmniejszą falę otaczającego go powietrza dzięki sieci, która zastępuje najczulszy mikrofon.

Ta mała wibracja to pszczoła zataczająca ósemki jakieś dwieście głów stąd, w ten sposób wskazująca towarzyszkom z ula, gdzie znajduje się pole kwiatowe.

Lekkie drżenie – zapewne ważka. Pyszna ważka. Niestety, ta akurat nie leci w kierunku

stosownym, by posłużyć pająkowi za obiad.

Uderzenie. Coś wskoczyło na pajęczynę – inny pająk, który chce wykorzystać cudzą pracę. Złodziej! Nasz pająk przegania go, zanim pojawi się jakaś zdobycz.

Chwilę później odbiera w lewej tylnej nóżce sygnał, że z zachodu nadlatuje coś na kształt muchy. Zdaje się nie lecieć zbyt szybko. Jeśli nie zmieni kierunku lotu, prawdopodobnie wpadnie prosto w zastawioną pułapkę.

Plaf! Wpada.

Skrzydłata mrówka...

Pająk – bezimienny, gdyż te żyjące samotnie istoty nie mają żadnej potrzeby rozpoznawania innych osobników swego gatunku – czeka cierpliwie. Kiedy był młodszy, często dawał się ponieść entuzjazmowi i tym samym tracił wiele zdobyczy. Wydawało mu się wówczas, że każdy owad złapany w sieć należy do niego. Tymczasem w pierwszej chwili ofiara ma jeszcze 50 procent szans na przeżycie. Decydującym czynnikiem jest czas.

Trzeba czekać, aż przerażona zwierzyna spęta się sama. Na tym właśnie polega specyficzna pajęczna filozofia: *Nie ma lepszej techniki walki niż ta polegająca na czekaniu, aż przeciwnik sam sprowadzi na siebie zgubę...*

Po kilku chwilach pająk zbliża się, by lepiej zbadać swą zdobycz. To królowa. Królowa rudych mrówek leśnych zachodniego imperium Bel-o-kan.

Słyszał już o tym wyjątkowo wyrafinowanym królestwie. Podobno miliony jego mieszkańców stały się tak zależne jedne od drugich, że nie potrafią nawet same się wyżywić! Jaki w tym sens i gdzie postęp?

Jedna z ich królowych... Ma w zasięgu swoich pazurków cząstkę tych przyszłych niepoprawnych napastników. Nie lubi mrówek. Widział, jak jego własna matka została zaatakowana przez hordę czerwonych mrówek-tkaczek...

Pająk obserwuje bacznie swą zdobycz, która miota się uparcie. Głupie owady, nie rozumieją, że ich najgorszym wrogiem jest w tym momencie właśnie panika. Im usilniej skrzydłata mrówka próbuje się uwolnić, tym bardziej zaplątuje się w sieć... powodując zresztą szkody wzbudzające złość pająka.

Zmęczenie samicy 56 ustępuje miejsca wściekłości. Jest już właściwie unieruchomiona. Całe ciało zaplątało się w cienką nić, a każdy ruch powoduje, że włóknista otoczka staje się coraz grubsza. Nie może pogodzić się z myślą o tak głupiej porażce, po tym, jak udało jej się pokonać tyle przeszkód.

Przyszła na świat w białym kokonie i w białym kokonie przyjdzie jej umrzeć.

Pająk zbliża się jeszcze bardziej, sprawdzając po drodze zniszczenia poczynione w sieci. Oczom 56 ukazują się przepiękne, pomarańczowo-czarne zwierzę o ośmiorgu zielonych ślepi

umieszczonych niczym korona na czubku głowy. Już zdarzało się jej takie jeść. Teraz jej kolej, by posłużyć za obiad...

Pająk spluwa na nią włóknistą mazią. Lepiej dokładnie spętać ofiarę – stwierdza. Wysuwa następnie dwa groźnie wyglądające jadowite kły. W rzeczywistości pajęczaki nie zabijają, w każdym razie nie od razu. Ponieważ najbardziej cenią sobie jeszcze ruszające się mięso, nie dobijają zdobyczy, lecz usypiają ją swym jadem i budzą, gdy mają ochotę na przekąskę. Dzięki temu mogą do woli spożywać świeże, chronione przez włóknistą otoczkę mięso. Degustacja taka może trwać nawet tydzień.

56 słyszała już o tej praktyce. Drży. To gorsze niż śmierć. Dać sobie amputować po kolei wszystkie członki... Budzić się, czując, że wyrwa się jej coraz to inną część ciała, i znowu zasypiać. Maleć za każdym razem, aż do chwili, gdy wyrwie się jej życiodajne organy, co pozwoli wreszcie zasnąć snem ostatecznym.

Lepiej zniszczyć się samej! Chcąc uniknąć najgorszego i czując zbliżające się kły, samica decyduje się zwolnić bicie swego serca.

W tym momencie w pajęczynę wpada jednodniówka, i to z takim pędem, że nici krępują ją natychmiast, i to wyjątkowo mocno... Urodziła się zaledwie kilka minut temu i miała umrzeć ze starości za kilka godzin. Jednodniowe życie jednodniówki. Musiała działać szybko, nie tracąc nawet ułamka sekundy. Jak zaplanowalibyście sobie życie, gdybyście wiedzieli, że umrzecie wieczorem?

Ledwie samiec zakończył swą dwuletnią egzystencję larwy, wyruszył na poszukiwanie samicy, by móc się rozmnożyć. Jałowe dążenie do nieśmiertelności przez potomstwo. Swój jedyny dzień jednodniówka poświęci właśnie na to. Nie myśli o jedzeniu, o odpoczynku, nie ma dużych wymagań.

Grożącym jej drapieżnikiem jest przede wszystkim Czas! Każda sekunda to przeciwnik. Przy Czasie straszliwy pająk jest zaledwie czynnikiem przyspieszającym, a nie prawdziwym wrogiem. Czuje w swym ciele starość zbliżającą się wielkimi krokami. Za kilka godzin będzie zgrzybiały. Będzie skończony. Jego życie nie będzie miało sensu. Ciężka do zniesienia porażka...

Jednodniówka miota się. Problem z pajęczą siecią polega na tym, że kiedy się poruszamy, wpadamy głębiej w pułapkę, lecz kiedy się nie ruszamy, też nie wychodzimy z niej cało...

Pająk podchodzi do jednodniówki i owija ją dokładnie cienkim włóknem. Dwie dorodne zdobycze, które dostarczą mu protein koniecznych do zarzucenia jutro następnej sieci. Gdy po raz kolejny zabiera się do uspienia swej ofiary, dociera do niego drganie inne niż poprzednie. Drganie... inteligentne. *Tip tip tiptiptip tip tip tiptip*. To samica! Zbliży się po nici i uderzając w nią nadaje delikatne sygnały:

Jestem twoja, nie przychodzę, by ukraść twoje jedzenie.

Samiec nigdy wcześniej nie doznał równie erotycznych drgań. *Tip tip tiptiptip*. Ach! Nie może już wytrzymać, rzuca się biegiem ku swojej ukochanej (to młódka po czterech liniach, podczas gdy on liczy ich sobie już dwanaście). Jest trzy razy od niego większa, lecz każdy pająk samiec właśnie kocha duże. Wskazuje jej dwie zdobycze, którymi pożywią się później, by odzyskać siły.

Ustawiają się, gotowi do kopulacji. U pająków akt ten jest dość skomplikowany. Samiec nie ma penisa, lecz coś na kształt podwójnej armatki genitalnej. Obiera sobie szybko cel, miniaturkę pajęczyny, którą zrasza swymi gametami. Macza w niej następnie jedną z nówek i upycha w zbiorniku samicy. Podniecony powtarza czynność kilkakrotnie. Młoda piękność jest podekscytowana do tego stopnia, że nie może się już powstrzymać – chwytając samca za głowę i odgryza ją.

Teraz głupotą byłoby nie zjeść go do końca. Ale i to nie zaspokaja jej głodu. Rzuca się na jednodniówkę i jeszcze bardziej skraca jej życie. Zwraca się teraz ku mrówczej królowej, która widząc, że groźba zastrzyku znów się zbliża, wpada w panikę i zaczyna się szarpać w sieci.

56 ma najwyraźniej dużo szczęścia, gdyż hałaśliwe pojawienie się na horyzoncie kolejnej postaci ponownie ją ratuje. Znowu jeden z tych osobników z Południa, które ostatnio dotarły aż tutaj, na Północ. Całkiem duże stworzenie, trzeba przyznać – rohatyniec, zwany też potocznie chrząszczem nosorożcem. Wpada w samo serce pajęczyny, naciąga ją jak gumę i... rozdziera. 95/10 jest wytrzymała, ale bez przesady. Piękna jedwabna serweta zmienia się w garść wirujących w powietrzu strzępów.

Pajęczka samica już zdążyła zeskoczyć, uczepiwszy się liny pomocniczej. Uwolniona z białej obręczy mrówcza królowa czołga się dyskretnie po ziemi, nie mogąc ponownie wzbić się w powietrze.

Pajęczka jest jednak zajęta zupełnie czymś innym. Wspina się po jednej z gałęzi, by tam uwić dla swych dzieci jedwabne gniazdko, w którym złoży jajeczka. Kiedy wykluje się dziesiątka maluchów, pierwszym ich odruchem będzie pożarcie matki. Tak to jest u pajęczaków – nie nadużywają słowa „dziękuję”.

– Bilsheim!

Odsunął słuchawkę od ucha takim ruchem, jakby miało z niej wyskoczyć jakieś wyjątkowo niemiłe stworzenie. To jego szefowa... Solange Doumeng.

– Halo?

– Wydałam panu polecenie, a pan jeszcze nic w tej kwestii nie zrobił. Co pan wyprawia? Czekam pan, aż całe miasto zniknie w tej piwnicy? Znam pana, Bilsheim! Myśli pan tylko o odpoczynku! A ja nie znoszę nierobów! Żądam, żeby rozwiązał pan tę sprawę w ciągu dwudziestu czterech godzin!

– Ale, proszę pani...

– Nie ma żadnego „psze pani”! Pańscy ludzie otrzymali już moje wskazówki. Jutro z rana zjeździe pan z nimi do piwnicy, cały sprzęt będzie czekał na miejscu. Więc niech się pan ruszy, do cholery!

Zdenerwował się. Ręce zaczęły mu drżeć. Nie był wolnym człowiekiem. Dlaczego musiał być posłuszny? Żeby nie stracić pracy, żeby nie wykluczyło go społeczeństwo. Tu i teraz być wolnym znaczyło tyle, co zostać kłozardem, a do tego jeszcze nie dojrzał. Jego potrzeba porządku i socjalizacji weszła w konflikt z niechęcią do wykonywania czyjejś woli. Na polu bitwy – czyli w jego żołądku – powstał wrzód. Poszanowanie dla porządku wzięło w końcu górę nad dążeniem do wolności. Zastosował się więc do poleceń.

Ukryta za kamieniem grupa myśliwych obserwuje jaszczurkę. Ta liczy sobie co najmniej sześćdziesiąt głów długości (osiemnaście centymetrów). Chropowata, żółtozielona skóra upstrzona gdzieniegdzie czarnymi plamkami wzbudza strach i odrazę. 103 683 odnosi wrażenie, że wszystkie te plamy to ślady krwi ofiar jaszczura.

Zgodnie z przewidywaniami zwierzę jest ospałe z powodu zimna. Porusza się, ale w zwolnionym tempie – zanim postawi gdzieś nogę, zdaje się wahać.

Tuż przed wschodem słońca pada feromon:

Naprzód, na zwierza!

Jaszczurka widzi sunącą w jej stronę czarną, agresywną masę. Powoli wstaje, otwiera różową paszczę, w której tańczy szybki jęzor, i zmiata nim znajdujące się w pobliżu mrówki. Następnie wsysa je i połyka. Wydaje z siebie ciche czknięcie i oddala się z szybkością błyskawicy.

Uszczuplona o trzydzieści mrówek grupa myśliwych stoi oszołomiona, bez tchu. Jak na kogoś osłabionego zimnem, potwór ma sporo energii!

103 683, której w żaden sposób nie można posądzać o tchórzostwo, jako jedna z pierwszych stwierdza, że atakowanie takiego zwierzęcia graniczy z samobójstwem. Forteca zdaje się być nie do wzięcia. Skóra jaszczurki jest zbroją, na którą nie można porywać się z żuwaczkami czy kwasem. W dodatku rozmiary zwierzęcia, jego energia, nawet przy niskiej temperaturze dają mu olbrzymią przewagę.

Tymczasem mrówki nie poddają się. Niby wataha mikroskopijnych wilków rzucają się w ślad za potworem. Galopują wśród paproci, rzucając wokół feromony z groźbami – zapachy śmierci. Wzbudzają strach chyba jedynie w pomownikach, ale dzięki temu czują się groźne i niepokonane. Odnajdują jaszczurkę kilka tysięcy głów dalej, gdzie przywarła do kory świerka, zajęta prawdopodobnie trawieniem śniadania.

Trzeba działać! Im dłużej się zwleka, tym więcej energii zyskuje zwierz! Skoro jest tak szybki w niskiej temperaturze, stanie się wszechmocny, napelnivszy się słonecznymi kaloriami. Narada czułków. Trzeba improwizować atak. Szybko powstaje plan działania.

Wojowniczy zsuwają się po gałęzi na głowę zwierza. Próbuje osłepić go, gryząc w powieki i drążąc nozdrza. Niestety, pierwsze komando ponosi klęskę. Jaszczurka przeciera pysk znudzonym gestem i połyka gramolące się mrówki.

Nadbiega druga ekipa napastniczek. Kiedy są już niemal w zasięgu jęzora, niespodziewanie ruszają szerokim łukiem i przypuszczają brutalny atak na kikut ogona. Jak mawia Matka: *Każdy przeciwnik ma swój słaby punkt. Znajdź go i atakuj jedynie to miejsce.*

Rozrywają bliźnię, przepalając ją kwasem i wnikają w ciało jaszczurki aż po wnętrzości. Zwierzę przewraca się na grzbiet. Macha tylnymi kończynami, przednimi uderza się po brzuchu. Drążą je tysiące wrzodów. W tym samym czasie inna grupa mrówek dostaje się do nozdrzy, rozwierając je i poszerzając parzącymi strumieniami kwasu.

Nieco wyżej trwa szturm na oczy. Miękkie galki pękają z łatwością, lecz oczodoły okazują się jaskiniami bez wyjścia – otwór nerwu wzrokowego jest zbyt wąski, by móc przedostać się nim do mózgu.

Mrówki wycofują się, by dołączyć do drużyny, która dobrnęła już dość głęboko korytarzem nozdrzy... Jaszczurka wije się, zanurza łapę w pysku, próbując rozgnieść rozwierające jej gardło istoty. Niestety jest już za późno.

W jednym z zakamarków płuc wojownicza 4000 odnajduje młodszą towarzyszkę 103 683. Ciemno tu, a żadna z nich nic nie widzi, gdyż bezpłciowe nie są wyposażone w przyoczek. Łączą końce czułków.

Wykorzystajmy to, że nasze siostry są tak zajęte, i ruszajmy w kierunku Termitiery ze Wschodu. Pomyślą, że zginęłyśmy w walce.

Wychodzą tą samą drogą, którą się tu dostały – przez krwawiący teraz obficie kikut ogona. Do jutra jaszczurka zostanie rozdzielona na tysiące jadalnych porcji. Niektóre obtoczy się w piasku i zaciągnie do Zoubi-zoubi-kan; inne dotrą do samego Bel-o-kan, okraszone epicką opowieścią o polowaniu. Cywilizacja mrówek musi wzmacniać swoje poczucie siły. Pokonanie jaszczurki utwierdza ją w nim wyjątkowo.

KRZYŻOWANIE RAS: Błędem byłoby sądzić, że mrowiska nie dopuszczają żadnych obcych osobników. Każdy owad nosi co prawda flagę zapachową swojego miasta, lecz nie ma to nic wspólnego z ksenofobią, rozumianą na ludzki sposób.

Przykładowo, jeśli zmieszamy w wypełnionym ziemią formikarium setkę mrówek Formica rufa z podobną liczbą mrówek Lasius niger – przy czym każdy gatunek będzie miał płodną królową – szybko zauważymy, że po kilku niegroźnych potyczkach bez ofiar i długotrwałych dyskusjach czułkami, oba gatunki zaczną wspólnie budować mrowisko.

Niektóre korytarze będą przystosowane do rozmiarów mrówek rudnic, inne do czarnych, ale przejścia zostaną połączone wspólnymi skrzyżowaniami. Będzie to

dowodem na to, że nie istnieje gatunek dominujący, który próbowałby zamknąć inny w getcie, osobnej dzielnicy miasta.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Droga prowadząca na Terytoria Wschodnie nie została jeszcze oczyszczona. Wojny toczone z termitami uniemożliwiają jakikolwiek proces pokojowy w regionie.

4000 i 103 683 drepczą ścieżką, która była sceną wielu potyczek. Pewne siebie, przepiękne jadowite motyle kręcą czułkami, co niepokoi nieco mrówki. Kawalek dalej 103 683 nagle odczuwa podrażnienie na prawej nóżce. Udaje jej się rozpoznać roztocza, mikroskopijne stworzenia gęsto pokryte cienkimi czułkami, włoskami i haczykami, przemieszczające się stadami w poszukiwaniu zakurzonych zagłębień. 103 683 jest ubawiona tym widokiem. Pomyśleć tylko, że na jednej planecie żyją stworzenia tak małe jak roztocza i inne, tak wielkie jak mrówki.

4000 zatrzymuje się przy jednym z kwiatów. Poczuela nagle silny ból. W jej starym ciele, które wiele już przeszło, młode larwy gąsienicznika w końcu się przebudziły. Najwyraźniej spożywają obiad, czerpiąc pełnymi garściami z wewnętrznych organów nieszczęsnej mrówki.

103 683 stara jej się pomóc, szukając w głębi swego wola resztek spadzi lomechusy. Po zakończeniu podziemnych walk w Bel-o-kan zebrała jej nieco, by służyła jako środek przeciwbólowy. Musiała obchodzić się z nią bardzo ostrożnie, by nie zatruć się tą wyborną trucizną.

Bóle 4000 ustają zaraz po wchłonięciu likieru. Mimo to chce jeszcze. 103 683 stara się przemówić jej do rozsądku, lecz 4000 nalega, jest gotowa walczyć, by opróżnić wnętrze towarzyski z cennego narkotyku. Kiedy chce rzucić się na nią i uderzyć, ześlizguje się do ukrytego w piasku krateru – prosto do pułapki mrówkolwa!

Ten ostatni, a właściwie jego larwa, ma głowę w kształcie łopaty, dzięki której może kopać owe słynne kratery. Chowa się w nich następnie, wyczekując gości.

4000 pojmuje, ale nieco za późno, co się z nią dzieje. Przeciętna mrówka jest na tyle lekka, by wydostać się z otworu. Zanim jednak 4000 rozpoczyna wspinaczkę, dwie długie, ostro zakończone żuwaczki wychylają się z niecki i zasypują ofiarę piaskiem.

Na pomoc!

4000 zapomina o cierpieniu spowodowanym nieproszonymi gośćmi w jej wnętrzu i o narkotykowym głodzie zrodzonym po wypiciu spadzi lomechusy. Boi się, nie chce umrzeć w ten sposób.

Walczy ze wszystkich sił. Pułapka mrówkolwa funkcjonuje jednak jak pajęczyna – korzysta z paniki swych ofiar. Im bardziej 4000 miota się, próbując wydostać się z krateru, tym bardziej zbocze się zapada, pociągając ją w głąb..., a tam mrówka-lew nadal ostrzeliwuje ją drobnym

piaskiem.

103 683 szybko pojmuję, że jeśli się nachyli, by podać mrówce jedną ze swych nóżek, może z łatwością wpaść do krateru. Oddala się w poszukiwaniu wystarczająco długiej i wytrzymałej trawy.

Starej mrówce czas ucieka, wydaje z siebie zapachowy krzyk i pedałuje nóżkami w niemal płynnym piasku. Zagłębia się przez to jeszcze szybciej. Od cęgowych żuwaczek dzieli ją jeszcze tylko odległość pięciu głów. Z bliska wyglądają naprawdę przerażająco. Każda z nich pokryta jest setką ostrych ząbków, między którymi znajdują się długie, zagięte ostrza. Czubki żuwaczek tworzą szpikulce zdolne do przekłucia każdego myrmeczeńskiego pancerzyka, i to bez większego trudu.

Wreszcie 103 683 pojawia się na skraju otworu, skąd podaje towarzysze stokrotkę. Szybko! 4000 unosi nóżki, by uczepić się lodygi. Mrówkolew nie zamierza jednak tak łatwo zrezygnować ze zdobyczy. Obsypuje gwałtownie piaskiem obie mrówki. Nic już nie widzą, nic nie słyszą. Napastnik rzuca teraz małe kamyczki, które odbijają się glucho od chitynowych pancerzyków. 4000, do połowy zakryta piaskiem, ześlizguje się coraz niżej.

103 683 opiera się, zaciskając w żuwaczkach lodygę. Na próżno wyczekuje drgnięcia. Już prawie chce się poddać, kiedy z piasku wylania się nóżka... Uratowana! 4000 wydostaje się wreszcie z otworu śmierci.

W dole chciwe szczypcy kłapią z wściekłości i rozczarowania. Mrówkolew potrzebuje protein, by przeobrazić się w dorosłego osobnika. Jak długo przyjdzie mu jeszcze czekać, aż kolejna ofiara ześliznie się do krateru?

4000 i 103 683 czyszczą się i poddają licznym trofalaksjom. Tym razem jednak w menu nie ma wziętki lomechusy.

– Witam, Bilsheim!

Podala mu wiotką dłoń.

– Tak, wiem, nie spodziewał się pan mnie tu zobaczyć. Ale ta sprawa zaczyna się ciągnąć, i sam prefekt zainteresował się nią osobiście, a wkrótce uczyni to minister, postanowiłam więc się do niej przyłożyć... Proszę nie robić takiej miny, droczę się z panem. Gdzie się podziało pańskie poczucie humoru, Bilsheim?

Stary policjant nie wiedział, co odpowiedzieć. I tak było już od piętnastu lat. Na nią nigdy nie działało żadne „oczywiście”. Chciał popatrzeć jej prosto w oczy, lecz zakrywał je długi kosmyk włosów. Ruda, farbowana. Taka moda. W biurze mówiono, że próbowała przekonać wszystkich, że naprawdę jest ruda, by uzasadnić bijący od niej silny zapach...

Menopauza sprawiała, że Solange Doumeng stawała się coraz bardziej rozgoryczona. Powinna właściwie zażywać żeńskie hormony, by uzupełnić ich niedobór, lecz zbyt bała się

utyć. Hormony zatrzymują wodę, to rzecz znana, więc zaciskała zęby, każąc otoczeniu znieść trudności towarzyszące metamorfozie wieku średniego.

– Po co pani przyszła? Chce pani tam zejść? – spytał policjant.

– Pan chyba żartuje, mój drogi! Nie, to pan tam zejdzie. Ja zostaję tu, wszystko przygotowałam: termos z herbatą i walkie-talkie.

– A jeśli coś mi się stanie?

– Czyżby był pan tchórzem, że przewiduje od razu najgorsze? Pozostaniemy w kontakcie radiowym, przecież mówię. Kiedy tylko zauważy pan najmniejsze niebezpieczeństwo, zasygnalizuje mi je pan, a ja podejmę stosowne kroki. Poza tym będzie pan doskonale wyposażony, mój drogi, zejdzie pan z najnowszym sprzętem do misji specjalnych. Proszę zobaczyć: ma pan tu linę do wspinaczek, broń. Nie mówiąc już o tych sześciu osilkach.

Wskazała stojących na baczność żandarmów. Bilsheim mruknął pod nosem:

– Galin zszedł z ośmioma strażakami i jakoś mu to nie pomogło...

– Ale nie mieli broni ani kontaktu radiowego!

Nie chciał już się opierać... Te jej gierki i zastraszanie irytowały go. Walczyć przeciwko Solange oznaczało przeobrazić się w nią. Była jak chwast w ogrodzie. Musiał starać się rosnąć, nie dając się zagłuszyć.

Bilsheim, policjant bez złudzeń, naciągnął na siebie strój speleologa, przewiązał się liną w pasie i przewiesił przez ramię walkie-talkie.

– Gdybym nie wrócił, chcę, żeby wszystko, co posiadam, przekazano osieroconym dzieciom policjantów.

– Stek bzdur, mój drogi Bilsheim. Wróci pan i wszyscy pójdziemy uczcić to do restauracji.

– Na wypadek, gdybym nie wrócił, chciałbym pani coś powiedzieć...

Zmarszczyła brwi.

– Proszę skończyć z tą dziecinadą, Bilsheim!

– Chciałbym pani powiedzieć... Kiedyś każdy z nas zapłaci za złe czyny.

– Co pan taki mistyczny! Nie, Bilsheim, myli się pan, nie płacimy za złe czyny! Być może istnieje dobry Bóg, jak pan mawia, ale jemu kompletnie na nas nie zależy! I jeśli nie korzystał pan z życia, to po śmierci również pan nie skorzysta!

Zaśmiała się krótko, a następnie zbliżyła się do swego podwładnego, niemal go dotykając. Bilsheim wstrzymał oddech. Nawdycha się jeszcze wystarczająco ohydnych zapachów w tej piwnicy...

– Nie umrze pan jednak tak szybko. Musi pan rozwiązać tę sprawę. Pańska śmierć nie zdałaby się na nic.

Uczucie niezadowolenia sprawiało, że policjant czuł się jak dziecko. Jak dzieciak, któremu

odebrano grabki i który wiedząc, że już ich nie odzyska, próbuje jeszcze rzucić kilka obelg.

– Do licha, moja śmierć byłaby porażką pani osobistego śledztwa. Zobaczymy, jaki będzie rezultat pani przyłożenia się do sprawy.

Podeszła jeszcze bliżej, jak gdyby miała pocałować go w usta. Zamiast tego przemówiła, opryskując go kropelkami śliny:

– Nie lubi mnie pan, co? Nikt mnie nie lubi i mam to gdzieś, zresztą ja pana też nie lubię. I nie mam żadnej potrzeby bycia lubianą. Chcę tylko, by się mnie bano. Mimo to musi pan o czymś wiedzieć: jeśli pan zdechnie tam w dole, nie przejmę się tym i wyślę trzecią ekipę. Jeśli naprawdę chce mi pan zaszkodzić, proszę wrócić żywym i zwycięskim, będę wtedy pańskim dłużnikiem.

Nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w białe odrosty jej modnej fryzury – działało to nań kojąco.

– Jesteśmy gotowi! – powiedział jeden z żandarmów, unosząc broń.

Wszyscy związali się liną.

– OK, chodźmy.

Skinęli ku trzem policjantom, którzy utrzymywali z nimi kontakt na powierzchni i zagłębili się w piwnicy.

Solange Doumeng zasiadła przy biurku, na którym zainstalowano nadajnik.

– Powodzenia, wracajcie szybko!

3

TRZY ODYSEJE

Samica 56 nareszcie znalazła idealne miejsce do założenia swego miasta. To okrągłe wzgórze. Wspina się na nie. Ze szczytu dostrzega miasta wysunięte najbardziej na wschód: Zoubi-zoubikan i Gloubi-diu-kan. Teoretycznie połączenie jej gniazda z resztą Federacji nie powinno stanowić dużego problemu.

Bada dokładnie okolicę – ziemia jest nieco twarda i ma szary kolor. Nowa królowa szuka miejsca, gdzie podłoże byłoby nieco bardziej miękkie, ale wszędzie napotyka opór. Nagle, w momencie gdy zanurza żuwaczkę w glebę, aby wykopać swą pierwszą godową lożę, czuje dziwny wstrząs: jakby trzęsienie ziemi, lecz nazbyt skoncentrowane w jednym miejscu, by mogło nim być rzeczywiście. Nakłuwa ponownie ziemię. Wstrząs powtarza się, jeszcze mocniejszy; wzgórze podnosi się i ześlizguje się w lewo...

Za swego mrówczego życia widziała wiele niesamowitych rzeczy, ale żywego wzgórze – nigdy! To porusza się teraz całkiem szybko, ścinając wysokie trawy, miażdżąc krzaki.

56 nie zdążyła otrząsnąć się ze zdziwienia, a już widzi zbliżające się drugie wzgórze. Cóż to za przekleństwo? Nie mając czasu na ześlizgnięcie się, zostaje wciągnięta w rodeo, a właściwie w miłosną paradę wzgórz, które teraz obmacują się bezwstydnie... Na domiar złego, wzgórze, na którym znajduje się 56, jest samicą. A drugie jest właśnie w trakcie powolnego wspinania się na partnerkę. Powoli wychyla się kamienna głowa, przerażający gargulec otwiera pysk.

Tego już za wiele! Młoda królowa musi zaniechać założenia miasta w tej okolicy. Kiedy już spada u stóp wzgórzka, uświadamia sobie, jakiego niebezpieczeństwa udało jej się uniknąć. Wzgórza mają nie tylko głowy, ale też cztery szponiaste łapy i maleńkie trójkątne ogonki. 56 właśnie po raz pierwszy zobaczyła żółwie.

CZAS SPISKOWCÓW: Najbardziej rozpowszechniony wśród ludzi system organizacji jest następujący: złożona hierarchia administratorów – mężczyzn i kobiet przy władzy – kieruje, a właściwie zarządza wąską grupą wynalazców, których pracę przywłaszczają sobie następnie handlowcy pod pozorem dystrybucji... Administratorzy, wynalazcy,

handlowcy – oto trzy ludzkie kasty odpowiadające robotnikom, wojowniczkom i płciowym w społeczeństwie mrówek.

Walka między Stalinem a Trockim, dwoma rosyjskimi przywódcami XX wieku, idealnie obrazuje przejście z systemu promującego wynalazców do systemu dającego przywileje administratorom. Trockiemu, matematykowi, twórcy Armii Czerwonej, odbiera władzę Stalin, człowiek intrygant. Karta historii zostaje odwrócona.

Poszczególne warstwy społeczne mogą rozwijać się lepiej i szybciej dlatego, że umieją deprawować, przyjmować morderców, dezinformować, a nie dlatego, że są w stanie tworzyć nowe idee i nowe przedmioty.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

4000 i 103 683 powróciły na zapachową ścieżkę prowadzącą do Termitiery ze Wschodu. Mijają żuki zajęte toceniem kulek z leśnej próchnicy, mrówcze badaczki należące do gatunku o tak małych rozmiarach, że z trudem da się je zauważyć, i inne, tak wielkie, że niemal nie zauważają naszych dwóch wojowniczek...

Istnieje ponad dwanaście tysięcy gatunków mrówek, z których każdy ma własne charakterystyczne cechy morfologiczne. Najmniejsze osiągają zaledwie kilkaset mikronów długości, największe mogą liczyć nawet siedem centymetrów. Rude mrówki leśne mieszczą się gdzieś pośrodku.

4000 zaczyna wreszcie orientować się, gdzie się znajdują. Trzeba jeszcze przedostać się przez tę kępę mchu, wspiąć na ten krzak akacji, przejść pod żonkilami i cel wyprawy powinien znajdować się tam, za pniem martwego drzewa.

Rzeczywiście, minąwszy suchy pniak za zaroślami solirodu zielnego i rokitnika, dostrzegają Rzekę Wschodnią i port w Satei.

– Halo, halo, Bilsheim, słyszy mnie pan?

– Idealnie.

– Wszystko w porządku?

– Tak jest.

– Długość rozwiniętej liny wskazuje na to, że przeszliście już 480 metrów.

– Wspaniale.

– Czy coś zauważyliście?

– Nic konkretnego. Jedynie kilka napisów wygrawerowanych w kamieniu.

– Jakich napisów?

– Formuły ezoteryczne. Mam pani którąś przeczytać?

– Nie, wierzę panu na słowo.

W brzuchu samicy 56 gotuje się. Czuje, jak wewnątrz niej coś ciągnie, pcha, gestykuje. Mieszkańcy jej przyszelego miasta niecierpliwą się. Postanawia zatem nie wydziwiać już i wybiera wgłębienie w ziemi koloru czerni i ochry – tutaj założy miasto.

Miejsce nie jest najgorzej położone. Nie ma tu śladów zapachowych karłowatych, termitów czy os. 56 wyczuwa nawet feromony świadczące o tym, że Belokanijki już kiedyś tu dotarły.

Próbuje smaku ziemi. Gleba jest tu bogata w mikroelementy, wilgotność jest wystarczająca, ale nie za duża. Znajduje się tu nawet mały krzak.

Oczyszcza powierzchnię o średnicy trzystu głów – taki kształt będzie miało jej miasto.

U kresu sił próbuje jeszcze cofnąć nieco pożywienia z wola, lecz to, niestety, od dawna jest już puste. Koniec zapasów energii. 56 wyrwa sobie zatem jednym ruchem skrzydła i zjada chciwie ich umięśnioną nasadę.

Dzięki temu zastrzykowi kalorii powinna wytrzymać jeszcze kilka dni.

Następnie zakopuje się aż po czubki czułków. W tym okresie, kiedy stanowi całkowicie bezbronną ofiarę nikt nie może jej dostrzec.

Czeka. Miasto ukryte w jej ciele powoli się budzi. Jak je nazwie?

Przed wszystkim musi znaleźć sobie imię królowej. W mrówczym świecie posiadanie imienia jest warunkiem zaistnienia w charakterze niezależnej jednostki. Robotnice, wojowniczk i płciowe dziewice oznaczane są jedynie liczbami odpowiadającymi kolejności ich narodzin. Zapłodnione samice mogą natomiast przybrać sobie imię.

Hmm! Była ścigana przez wojowniczk o zapachu skały, więc może po prostu nazwać się „*ściganą królową*”. Albo raczej nie, była ścigana, gdyż próbowała rozwiązać tajemnicę sekretnej broni. Nie może o tym zapomnieć. Będzie więc „*królową wywodzącą się z tajemnicy*”.

Postanawia zatem nazwać swoje gniazdo „*miastem królowej wywodzącej się z tajemnicy*”. Co w języku mrówek pachnie następująco: CHLI-POU-KAN.

Dwie godziny później kolejne połączenie:

– Wszystko w porządku, Bilsheim?

– Jesteśmy pod jakimiś drzwiami. Zwykłymi drzwiami. Jest tu duży napis. Stare liternictwo.

– Co tam jest napisane?

– Tym razem mam przeczytać?

– Tak.

Komisarz oświetlił napis latarką i zaczął czytać powoli i uroczyście, rozszyfrowując tekst słowo po słowie:

W chwili śmierci dusza odczuwa to samo, co ci zapoznani z wielkimi Tajemnicami. Najpierw

bieg drogami o licznych zakrętach, które kształtuje przypadek, niepokojące podróże w ciemności bez końca.

Następnie, już u kresu, strach przechodzi wszelkie granice. Dreszcz, drżenie, zimny pot, obezwładniające przerażenie.

Po tym etapie nieomal natychmiast następuje wyjście ku światłu, ku naglej iluminacji.

Cudowna luna ukazuje się oczom, mijają się miejsca czyste, łąki, na których rozbrzmiewają głosy i tańce.

Święte słowa budzą nabożny szacunek.

Doskonały, wtajemniczony człowiek staje się wolny i czci Tajemnicę.

Jeden z żandarmów zadrzał.

– A co się znajduje za tymi drzwiami? – dobiega głos z walkie-talkie.

– Otwieram... Za mną, chłopaki.

Długa cisza.

– Halo, Bilsheim! Halo, Bilsheim! Proszę się odezwać, co pan widzi?

Słychać strzał. Znowu długa cisza.

– Halo Bilsheim, niech pan odpowie!

– Tu Bilsheim.

– Niech pan mówi, co się dzieje?

– Szczury. Tysiące szczurów. Rzuciły się na nas, ale udało nam się je przegonić.

– To był ten strzał?

– Tak. Teraz siedzą w ukryciu.

– Proszę opisać, co pan widzi!

– Czerwono tu. Widać ślady skał żelazistych na ścianach i... krew na ziemi! Idziemy dalej...

– Zostańcie w kontakcie radiowym! Dlaczego się pan rozłącza?

– Wolę działać na swój sposób niż słuchać pani rad z daleka, jeśli pani pozwoli.

– Ale Bilsheim...

Klik. Przerwał połączenie.

Satei nie jest portem w dosłownym tego słowa znaczeniu, nie jest to też przyczółek. Z pewnością jednak jest to miejsce, w którym ekspedycje belokanijskie najczęściej przeprawiają się przez rzekę.

Swego czasu, gdy pierwsze mrówki z dynastii Ni stanęły nad tym dopływem, zrozumiały, że pokonanie go nie będzie łatwym zadaniem. Mrówka jednak nie poddaje się. Poniesie porażkę choćby i tysiąc razy i na tysiąc sposobów uderzy głową w mur, dopóki albo sama nie polegnie, albo mur nie padnie.

Takie postępowanie wydaje się nielogiczne. Kosztowało ono zapewne cywilizację

myrmeceńską wiele ofiar – ale opłacało się. W końcu, w wyniku nadzwyczajnych wysiłków, mrówkom zawsze udawało się pokonać trudności.

W Satei badaczki na początek spróbowały pokonać rzekę wpław. Powierzchnia wody mogła utrzymać ich ciężar, ale nie było niestety możliwości wczepić się w nią pazurkami. Mrówki kręciły się przy brzegu rzeki jak na ślizgawce. Dwa kroki do przodu, trzy w bok i... *slurp!* Zjadały je żaby.

Po stu nieudanych próbach i kilku tysiącach poświęconych eksploratorek, mrówki postanowiły znaleźć inny sposób. Robotnice ustawiły się w łańcuch, trzymając jedna drugą za nóżki i czułki, aby dosięgnąć drugiego brzegu. To doświadczenie miałoby szanse powodzenia, gdyby rzeka nie była tak szeroka i pełna burzliwych prądów. Dwieście czterdzieści tysięcy ofiar. Ale mrówki się nie poddają. Za namową ówczesnej królowej, Biu-pa-ni, rozpoczęły budowę mostu z liści, następnie mostu z gałązek, wreszcie mostu ze zwłok chrabąszczy i mostu z kamyczków... Te cztery próby kosztowały życie prawie sześciuset siedemdziesięciu tysięcy robotnic. Biu-pa-ni, starając się stworzyć utopijny most, skazała na śmierć więcej poddanych niż pochłonęły wszystkie wojny terytorialne stoczone za jej panowania!

Mimo to nie rezygnowała. Trzeba było przedostać się na Terytoria Wschodnie. Kiedy upadła koncepcja mostów, postanowiono ominąć rzekę u jej źródła na północy. Żadna jednak z ekspedycji nigdy nie powróciła. Osiem tysięcy ofiar. Następnie królowa stwierdziła, że wszystkie mrówki powinny nauczyć się pływać. Piętnaście tysięcy ofiar. Potem wymyśliła, że mrówki muszą oswoić żaby. Sześćdziesiąt osiem tysięcy ofiar. Użyć liści, by przelecieć nad rzeką, skacząc z wysokiego drzewa? Pięćdziesiąt dwie ofiary. Przejść po powierzchni wody, obciążając nóżki zaschniętym miodem? Dwadzieścia siedem ofiar. Legenda głosi, że gdy poinformowano królową, że w całym Mieście ostał się zaledwie tuzin ocalałych robotnic i że w związku z tym należy przerwać doświadczenia, wyemitowała zdanie:

Szkoda, miałam jeszcze tyle pomysłów...

Mrówkom należącym do Federacji udało się mimo wszystko znaleźć satysfakcjonujące je rozwiązanie. Trzysta tysięcy lat później królowa Lifoug-ryuni podsunęła swym córkom pomysł, by wykopały pod rzeką tunel. Idea była tak prosta, że nikomu wcześniej nie przyszła do głowy.

Od tego czasu w Satei można było podróżować pod rzeką bez najmniejszego trudu.

103 683 i 4000 od wielu stopni brną przez tunel. Jest tu wilgotno, nie ma jednak śladów wody. Miasto termitów wznosi się na drugim brzegu. Termity używają zresztą tego samego przejścia do wypadów na terytorium Federacji. Do tej pory obowiązywała tu cicha umowa. Nie toczy się walk w podziemnym korytarzu, wszyscy mogą dowolnie przechodzić w tę i we w tę, zarówno termity, jak i mrówki. Było jednak jasne, że w momencie, gdy któraś ze stron zechce zdominować sąsiada, druga będzie próbowała zatkać lub zatopić przejście.

Dwie mrówki podążają niekończącym się długim korytarzem. Mają problem: płynna masa nad nimi jest lodowata, podłoże tym bardziej. Sztywnieją z zimna. Każdy kolejny krok jest coraz trudniejszy. Zaśnieć w tym miejscu oznaczałoby wieczną hibernację. Wiedzą o tym. Wspinają się ku wyjściu. Muszą zaczerpnąć z wola socjalnego ostatnie zapasy protein i cukrów. Ich mięśnie są zdrętwiałe. Wreszcie docierają do wyjścia...

Wychynawszy na wolne powietrze, 103 683 i 4000 są wyziębione do tego stopnia, że zapadają w sen na samym środku ścieżki.

Posuwanie się w ten sposób – gęsiego, wąską, ciemną kiszka korytarza – sprawiło, że zaczął bawić się własnymi myślami. Nie ma tu się nad czym zastanawiać, trzeba iść, aż dojdzie się do końca. Oczywiście w nadziei, że koniec istnieje...

Idący za nim nie rozmawiali. Do Bilshaima dochodził jedynie odgłos chrapliwych oddechów sześciu żandarmów i powtarzał sobie, że naprawdę padł ofiarą niesprawiedliwości.

Powinien być zostać głównym komisarzem i otrzymywać godziwe wynagrodzenie. Dobrze wypełniał swoje obowiązki, godzinowo przekraczał normę, rozwiązał już przynajmniej dziesięć spraw. Nadal jednak Doumeng blokowała jego awans.

Sytuacja wydała mu się nagle nieznośna.

– Psiakrew!

Wszyscy się zatrzymali.

– Coś się stało?

– Nie, nic, w porządku, idziemy dalej!

Co za wstyd: oto już mówi sam do siebie. Zagryzł wargi, obiecując sobie, że będzie trzymał nerwy na wodzy. Nie minęło jednak pięć minut, a znów pogrążył się w niewesołych myślach.

Nie miał nic przeciwko kobietom, lecz miał, i to sporo, przeciwko niekompetencji. „Stara dziwka ledwie umie czytać i pisać, nigdy nie przeprowadziła ani jednego śledztwa i oto awansuje na sam szczyt, by stać na czele stu osiemdziesięciu policjantów! I zarabia cztery razy więcej ode mnie! Wstąp do policji, mówili mi! Ona została mianowana na to stanowisko przez swojego poprzednika, z pewnością łózkowa sprawa. Na dodatek nie siedzi cicho, nie traci żadnej okazji. Podlega jednym przeciwko drugim, partaczy robotę, udając niezastąpioną...”.

W trakcie rozważań Bilshaim przypomniał sobie pewien film dokumentalny o samcach ropuchach. W okresie godowym są one do tego stopnia podniecone, że rzucają się na wszystko, co spotkają na drodze: nie tylko na samice, ale też na inne samce lub nawet na kamienie. Nagniatają brzuchy towarzyszek, by wycisnąć z nich jajeczka, które będą mogły zapłodnić. Te, które trafią na samice, zostają wynagrodzone. Te, które trafią na samców, nie otrzymują w zamian nic i wkrótce zmieniają partnera. Te, które trafią na kamień, odczuwają ból i rezygnują.

Jest jednak pewien wyjątek: stanowią go te ropuchy, które natrafiają na grudę ziemi. Jest ona równie miękka jak brzuch ropuchy. Nie przestają jej więc ugniatać. Potrafią kontynuować to bezowocne działanie całymi dniami. I cały czas wierzą, że to, co robią, ma sens...

Komisarz uśmiechnął się. Może wystarczyłoby wytłumaczyć tej dzielnej Solange, że istnieją też inne zachowania, o wiele skuteczniejsze niż blokowanie wszystkiego i stresowanie podwładnych. Nie wierzył jednak w skuteczność tego tłumaczenia. Pomyślał, że może to on znalazł się w tej cholernej służbie nie na swoim miejscu.

Pozostali idący za nim również pogrążeni byli w ponurych myślach. To schodzenie w milczeniu wszystkim działało na nerwy. Szli już nieprzerwanie pięć godzin. Większość rozmyślała o premii, którą powinni otrzymać po zakończeniu akcji, inni o żonie, dzieciach, o samochodzie lub zgrzewce piwa...

NIC: Czy coś może sprawić większą przyjemność niż zaprzestanie myślenia? Zatrzymać wreszcie ten nurt przepelniony mniej lub bardziej przydatnymi pomysłami. Przestać myśleć! Jakbyśmy byli martwi, mając jednak możliwość powrotu do życia. Być pustką. Powrócić do korzeni istnienia. Nie być już nawet kimś, kto nie myśli. Być niczym. Oto szlachetna ambicja.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Spędziwszy całą noc na mulistym brzegu rzeki, dwie nieruchome wojowniczkki powracają do życia dzięki pierwszym promieniom słońca. Jedna po drugiej, siateczki oczu 103 683 odzyskują zdolność reakcji, przekazując mózgowi nową otaczającą je sceneryę. Składa się ona w całości z olbrzymiego oka, nachylonego nad nimi, nieruchomego i czujnego.

Młoda bezpłciowa wydaje z siebie feromon przerażenia, który aż parzy jej czułki. Oko również się wystraszyło, cofa się prędko, a wraz z nim cofa się długi unoszący je czulek. Całość chowa się za czymś w rodzaju okrągłego kamyka. Ślimak!

Wokół znajduje się ich kilka. W sumie pięć ukrytych w skorupkach stworzeń. Mrówki zbliżają się i obchodzą je dokoła. Próbuja ugryźć, lecz nie bardzo jest za co złapać. Ruchome gniazdo stanowi fortecę nie do zdobycia. Przychodzi im na myśl pewna sentencja Matki: *Bezpieczeństwo jest moim największym wrogiem, usypia odruchy i inicjatywę.*

103 683 ma wrażenie, że dla tych ukrytych w skorupkach stworzeń życie jest proste i polega głównie na skubaniu nieruchomych traw. Nigdy nie musiały walczyć, zdobywać, polować czy uciekać. Nigdy nie musiały stawiać życiu czoła. A zatem nigdy nie dokonała się w nich żadna ewolucja.

Wojowniczkę nachodzi nagle ochota, by zmusić ślimaki do opuszczenia muszli i udowodnić im,

że w gruncie rzeczy wcale nie są tak odporne.

Właśnie dwa z pięciu ślimaków uznały, że niebezpieczeństwo już minęło. Wysuwają więc tułowia ze schronienia, aby dać upust napięciu nerwowemu. Łączą się, przylegając do siebie brzuchami. Ślina do śliny – sklejają się w lepki pocałunku obejmującym całe ciało. Muskają swoje narządy płciowe.

Coś się między nimi dzieje.

Bardzo wolno.

Ślimak z prawej zanurzył swój penis w kształcie kolca w wypełnionej jajeczkami pochwie ślimaka z lewej. Ten ostatni nie osiągnął jeszcze w pełni rozkoszy, a już wysunął swój penis w stanie wzwodu i wprowadził go w partnera.

Oba zwierzęta odczuwają równocześnie przyjemność penetrowania i bycia penetrowanym. Wyposażone zarówno w pochwę, jak i w penis mogą w tym samym czasie doznawać wrażeń obu płci.

Ślimak z prawej jako pierwszy przeżywa męski orgazm. Zwija się i napina, ciało przeszywa mu dreszcz. Cztery oczne czułki obojnaków splatają się. Tańczą ciało przy ciele, z namiętnością nasiloną przez powolność ruchów.

Swoje czułki unosi ślimak z lewej. Teraz on przeżywa męski orgazm. Ledwie zakończył wytrysk, a już jego ciało ogarnia druga fala rozkoszy, tym razem pochwowej. Z kolei ślimak z prawej zaznaje żeńskiej rozkoszy.

Czulki opadają, strzałki miłosne kurczą się, pochwy zamykają. Po zakończeniu całego aktu kochankowie przeobrażają się w magnesy o identycznej polaryzacji. Odpychają się nawzajem – fenomen stary jak świat. Dwie maszyny otrzymujące i dające przyjemność wolno oddalają się od siebie, zachowując jajeczka zapłodnione spermatorami partnera.

103 683 jest jeszcze pod wrażeniem tego pięknego spektaklu, a już 4000 rusza, by zaatakować ślimaki. Chce wykorzystać ich miłosne zmęczenie, by rozpruć większego osobnika. Niestety jest już za późno, oba ponownie zaszyły się w skorupkach.

Stara wojowniczką nie rezygnuje jednak, wie, że prędzej czy później znów się z nich wychylą. Rozpoczyna się długotrwałe oblężenie. Wreszcie jedno nieśmiałe oko, a po nim cały czułek wysuwa się ze skorupki. Ślimak chce zobaczyć, co dzieje się na świecie, poza obrębem jego ciasnego życia.

Kiedy pojawia się i drugi róg, 4000 rusza do przodu i wgryza się ze wszystkich sił żuwaczkami w oko. Mięczak momentalnie się kuli, porywając mrówkę w głąb spirali skorupy.

Flup!

Jak ją ratować?

103 683 zastanawia się chwilę i w jednym z jej trzech mózgów rodzi się pewien pomysł.

Chwyta żuwaczkami kamyk i uderza nim ze wszystkich sił w ściankę skorupy. Z pewnością wynalazła właśnie młotek, ale muszla ślimaka to nie balsa. Wydobywają się z niej jedynie dźwięki. Trzeba wymyślić coś innego.

To wyjątkowo owocny dzień, jako że teraz mrówka odkrywa lewarek. Chwyta solidną gałązkę, ziarnko żwiru służy jej za punkt podparcia. Używa całego swego ciężaru, by przewrócić zwierzę. Musi próbować kilka razy. Wreszcie muszla zaczyna kołysać się w przód i w tył, aż w końcu przewraca się – otworem wejściowym ku górze. Udało się!

103 683 pokonuje spirale, nachyla się nad studnią skorupy i wskakuje do niej, wprost na spotkanie z mięczakiem. Długa ślizgawka kończy się upadkiem zamortyzowanym przez brunatną galaretowatą masę. Czując obrzydzenie do całej tej tłustej mazi, w której brodzi, mrówka rozdziera miękkie tkanki wokół siebie. Nie może użyć kwasu – ryzykowałaby, że sama się w nim stopi. Nowa wydzielina szybko miesza się ze śliną: przezroczysta krew ślimaka. Spazm przeszywa spanikowane zwierzę, które naprężając się, wyrzuca z muszli obie mrówki. Nietknięte, długo głaszczą sobie czułki. Ślimak – w agonii – chciałby uciec, ale po drodze gubi trzewia. Mrówki doganiają go z łatwością i dobijają. Cztery pozostałe ślimaki, przerażone, wystawiwszy rogi na zewnątrz, by śledzić rozgrywającą się scenę, kulą się teraz w głębi swych skorupek, z których nie ruszą się już do wieczora.

Tego ranka 103 683 i 4000 pożywiają się do syta mięsem ślimaka. Tną go na kawałki i jedzą w postaci letniego steku nasączonego śliną. Trafiają nawet na kieszeń pochwową pełną jajeczek. Ślimaczy kawior! Jedno z ulubionych dań rudyh mrówek, a zarazem cenne źródło witamin, tłuszczów, cukrów i protein...

Napełniwszy po brzegi wole i nasyciwszy się energią słoneczną, ruszają dziarskim krokiem na południowy wschód.

ANALIZA FEROMONÓW (Doświadczenie nr 34): Udało mi się zidentyfikować kilka mrówczych cząsteczek komunikacyjnych przy użyciu spektrometru masowego i chromatografu. Mogłem dzięki temu poddać analizie chemicznej rozmowę samca i robotnicy przechwyconą o godzinie 10.00 wieczorem. Samiec znalazł właśnie kawałek chleba. Oto co wyemitował:

- Metyl-6
- Metyl-4 heksanon-3 (dwie emisje)
- Ceten
- Oktanon-3

A następnie:

- Ceten
- Oktanon-3 (dwie emisje).

Po drodze napotykają kolejne ślimaki. Wszystkie chowają się na ich widok, jakby rozeszła się już wieść: „Te mrówki są niebezpieczne”. Ale jeden z nich się nie kryje. Ukazuje się nawet w całej swej okazałości.

Mrówki zbliżają się, zaciekawione. Zwierzę zostało całkowicie zmiażdżone przez jakiś ciężar. Jego skorupka rozprysła się na tysiąc kawałków. Zgniecione ciało rozlało się na sporej powierzchni.

103 683 od razu przychodzi na myśl sekretna broń termitów. Wrogie miasto z pewnością znajduje się już blisko. Mrówka bada zwłoki z bliska. Uderzenie było rozległe, nagłe i wyjątkowo silne. Nic dziwnego, że przy użyciu takiej broni udało im się niemal wypatroszyć posterunek La-chola-kan!

103 683 podjęła decyzję. Trzeba przedostać się do miasta termitów i zrozumieć – lub jeszcze lepiej – wykraść broń. W przeciwnym wypadku Federacji grozi całkowite zniszczenie!

Nagle zrywa się silny wiatr. Nie mają czasu, by wczepić się pazurkami w ziemię. Burza porywa je ku górze. 103 683 i 4000 nie mają skrzydeł... a jednak lecą.

Kilka godzin później, gdy ekipa z powierzchni całkiem miło sobie drzemie, z walkie-talkie ponownie dobiega chrypienie.

– Halo, pani Doumeng? To my, dotarliśmy na sam dół.

– No i? Co tam widzicie?

– To ślepy zaułek. Jest tu świeżo postawiona żelbetonowa ściana. Wygląda na to, że droga się kończy... Widać jeszcze jakiś napis.

– Proszę przeczytać!

– *Jak ułożyć cztery trójkąty równoboczne z sześciu zapalek?*

– To wszystko?

– Nie, są jeszcze przyciski z literami, na pewno po to, by wpisać odpowiedź.

– Nie ma żadnego bocznego korytarza?

– Nie.

– Nie ma też ciał zaginionych?

– Nie, ale... hmm, są jakieś ślady. Tak jakby ktoś stąpał tuż przy ścianie.

– Co robimy? – wyszeptał jeden z żandarmów. – Wracamy?

Bilsheim przyjrzał się uważnie przeszkodzie. Wszystkie te znaki, te żelbetonowe płyty – musiał kryć się za tym jakiś mechanizm. A poza tym gdzie podziiali się wszyscy, którzy zeszli wcześniej do piwnicy?

Żandarmi usiedli na stopniach. On sam skoncentrował się na przyciskach. Trzeba było wcisnąć je w odpowiedniej kolejności. Jonatan Wells był ślusarzem, zapewne skopiował tu jeden z systemów bezpieczeństwa, które istnieją w jakichś budynkach. Trzeba znaleźć kod.

Odwrócił się ku swoim ludziom.

– Macie zapalki, chłopaki?

Walkie-talkie zaczęło się niecierpliwić.

– Halo, komisarzu Bilsheim, co pan wyprawia?

– Jeśli naprawdę chce nam pani pomóc, proszę spróbować ułożyć cztery trójkąty z sześciu zapalek. Jak pani będzie miała odpowiedź, proszę się ponownie odezwać.

– Pan sobie chyba ze mnie żartuje, Bilsheim!

Burza wreszcie ustaje. W ciągu kilku sekund wiatr spowalnia swój taniec; liście, kurz i owady wracają ponownie we władanie prawa grawitacji i opadają sobie z właściwą prędkością.

103 683 i 4000 lądują na ziemi w odległości kilkudziesięciu głów jedna od drugiej. Wyszły z burzy bez szwanku, odnajdują się i zaczynają badać otoczenie: kamienista okolica, która w niczym nie przypomina miejsca opuszczonego chwilę wcześniej. Ani jednego drzewa, zaledwie kilka traw rozrzuconych przez wiatr tu i tam. Nie mają pojęcia, gdzie się znajdują...

Kiedy starają się zebrać siły i opuścić to ponure miejsce, niebo raz jeszcze postanawia dać wyraz swej mocy. Napływają ciężkie chmury, niebo staje się czarne. Wybuch błyskawicy otwiera przestworza i uwalnia całe zebrane w nich napięcie elektryczne.

Wszystkie zwierzęta pojęły komunikat natury. Żaby nurkują, muchy szukają schronienia pod kamieniami, ptaki latają tuż nad ziemią.

Zaczyna padać deszcz. Mrówki muszą za wszelką cenę znaleźć jakąś kryjówkę. Każda kropla może okazać się śmiertelna. Śpieszą ku rysującemu się w oddali wystającemu kształtowi, który przypomina drzewo lub skałę.

Powoli, poprzez rzęsite krople i unoszące się nad ziemią mgły, kształt staje się coraz bardziej widoczny. Nie jest to ani skała, ani krzew. To prawdziwa ziemna katedra, której szczyty i liczne wieże giną w chmurach. Niesamowite.

To termitiera! Termitiera ze Wschodu!

103 683 i 4000 znajdują się teraz w kleszczach między straszliwym deszczem a miastem wroga. Oczywiście mają zamiar je zwiedzić, ale nie w tych warunkach! Miliony lat nienawiści i rywalizacji nie pozwalają im ruszyć do przodu.

Nie na długo jednak. W końcu przybyły tu właśnie w celu szpiegowania termitiery. Zbliżają się więc, drząc na całym ciele, do zięjącego ciemnością wejścia u stóp budowli. Czułki wzniesione, żuwaczki rozstawione, nóżki lekko ugięte – nie oddadzą łatwo swego życia. Tymczasem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, wejścia do termitiery nie pilnuje ani jedna wartownicza.

To nie jest normalne. Co się dzieje?

Dwie bezpłciowe wślizgują się do olbrzymiego miasta. Ciekawość walczy z podstawowymi zasadami ostrożności. Trzeba przyznać, że miejsce to w niczym nie przypomina mrowiska. Ściany utworzone są z budulca o wiele mniej sypkiego niż ziemia, lepsze jest twarde jak drewno. Korytarze pełne wilgoci. Brak najmniejszego prądu powietrza. A stężenie gazu węglowego jest nienaturalnie duże.

Idą już 3°, nie napotkawszy na swej drodze ani jednej czujki! To niezwykle... Obie mrówki nieruchomięją, porozumiewają się dotknięciem czułków. Szybko podejmują decyzję: ruszają dalej.

Wkrótce jednak kompletnie tracą orientację. To obce miasto stanowi labirynt o wiele bardziej skomplikowany niż ich rodzinne gniazdo. Nawet zapachy orientacyjne wydzielane przez gruczoł Dufoura okazują się nieprzydatne. Nie wiedzą już same, czy znajdują się nad, czy pod powierzchnią ziemi!

Próbują wrócić tą samą drogą, którą przyszły, lecz na niewiele się to zdaje. Bez przerwy odkrywają nowe korytarze o przedziwnych kształtach. Naprawdę się zgubiły.

Nagle 103 683 wyczuwa zaskakujący feromon: światło! Wojowniczkom ciężko w to uwierzyć! Łuna w samym środku opuszczonego miasta termitów to po prostu niedorzeczne. Ruszają w kierunku, z którego dochodzą promienie.

Jasność jest żółtopomarańczowa, czasami wpadająca w zieleń lub błękit. Następuje nieco mocniejszy błysk i świetliste źródło gaśnie. Po chwili znów się pojawia, zaczyna migotać, odbijając się od błyszczącej chityny mrówek.

Jak zahipnotyzowane, 103 683 i 4000 podążają prosto ku podziemnej latarni.

Bilsheim aż podskakuje z podniecenia: zrozumiał! Pokazuje żandarmom, jak ułożyć zapalki, aby otrzymać cztery trójkąty. Na ich twarzach maluje się zdumienie, które ustępuje entuzjastycznym okrzykom.

Solange Doumeng, która dała się wciągnąć do gry, rzuciła:

– Znalazł pan? Proszę mi powiedzieć!

Nie posłuchano jej jednak, dał się tylko słyszeć szmer ludzkich głosów zmieszany z odgłosem pracy jakiegoś mechanizmu. Zapadła cisza.

– Co się dzieje, Bilsheim? Proszę się odezwać!

Walkie-talkie zaskrzypiało z wściekłością.

– Halo! Halo!

– Tak – trzask – otwarliśmy przejście. Tam jest – trzask – korytarz. Prowadzi w – trzask – prawo. Idziemy!

– Poczekajcie! Jak udało wam się ułożyć cztery trójkąty?

Bilsheim i jego ludzie nie słyszeli już jednak poleceń z powierzchni. Głośnik ich urządzenia przestał działać – musiało nastąpić jakieś spięcie. Nic już nie odbierali, ale mogli jeszcze nadawać.

– A! To niesamowite, im głębiej się posuwamy, tym lepiej korytarz jest wykończony. Widać sklepienie, a w oddali światło. Idziemy.

– Czekajcie, powiedział pan „światło”? Tam, wewnątrz? – wydzieriała się Solange Doumeng.

– Są tutaj!

– Kto? Na miłość boską! Zwłoki? Odpowiedzcie!

– Uwaga...

Na górę dotarli odgłos wystrzałów, krzyki, a następnie połączenie zostało zerwane.

Sznur już się nie rozwijał, pozostał jednak napięty. Policjanci z powierzchni chwycili zań i pociągnęli pospołu, sądząc, że o coś się zaczepił. Przymierzali się we trójkę... w piątkę. Nagle lina puściła.

Wyciągnęli ją na zewnątrz i zwinęli, ale nie w kuchni, lecz w jadalni – kłęb bowiem był aż tak wielki. Dotarli wreszcie do zerwanego końca, poszarpanego, jak gdyby ktoś go przegryzł.

– Co robimy, proszę pani? – szepnął jeden z policjantów.

– Nic. W żadnym wypadku. Już nic. Ani słowa prasie, ani słowa komukolwiek. I zamurujcie mi to wejście jak najszybciej. Śledztwo skończone. Zamykam całą tę sprawę i żeby nikt mi więcej nie wspominał o tej przeklętej piwnicy! Szybko, wy idźcie kupić cegły i cement. A wy załatwicie sprawy z wdowami po żandarmach.

Po południu, kiedy policjanci kończyli kłaść ostatnie cegły, dał się słyszeć głuchy odgłos. Ktoś wychodził! Zrobiono przejście. Z ciemności wychynęła głowa, a następnie cały tułów ocalałego. To jeden z żandarmów. Nareszcie dowiedzą się, co się działo tam pod ziemią. Na twarzy policjanta malowało się bezgraniczne przerażenie. Niektóre z mięśni twarzy zastygły jak po ataku paraliżu. Mężczyzna wyglądał jak prawdziwy zombi. Drżał, z oczami w ślup. Czubek nosa miał oderwany i obficie krwawił.

– Błebelbe – wybełkotał.

Strużka śliny sphywała mu z obwisłych ust. Przesunął sobie po twarzy ręką pokrytą ranami, które wprawny wzrok jego kolegów od razu skojarzył z ciosami zadanymi nożem.

– Co się stało? Ktoś pana zaatakował?

– Błebelbe!

– Czy pod ziemią został ktoś żywy?

– Błebelbe!

Ponieważ nie był w stanie nic więcej z siebie wydobyć, opatrzono mu rany, zamknięto w centrum opieki psychiatrycznej, a drzwi do piwnicy zamurowano.

Najłżejszy odgłos stąpania ich nóg powoduje zmiany w natężeniu światła, które drży, jakby słyszało, że nadchodzi, jakby było żywe.

Mrówki nieruchomieją, by się upewnić. Łuna nasila się, aż wreszcie zalewa światłem każdy najmniejszy zakamarek korytarza. Dwoje szpiegów kryje się czym prędzej, by nie dopadł ich tajemniczy reflektor. Następnie, korzystając ze spadku nasilenia światła, ruszają prosto ku jego źródłu.

No cóż, jest to po prostu fosforyzujący chrząszcz. Świetlik w okresie godowym. Kiedy tylko zauważył intruzów, zgasł całkowicie... Ponieważ jednak nic się nie działo, odzyskuje wkrótce słabą, ostrożną, przytłumioną, zieloną jasność.

103 683 nadaje zapachy nieagresji. Mimo że wszystkie chrząszcze rozumieją ten język, świetlik nie odpowiada. Jego zielone światełko przygasa, staje się żółte, aż wreszcie lekko czerwone. Mrówki podejrzewają, że ten nowy kolor wyraża zapytanie.

Zgubiłyśmy się w tej termieterze – nadaje stara badaczka.

Przez chwilę trwa cisza. Po kilku stopniach świetlik zaczyna migotać, co może wyrażać równie dobrze radość, jak i podenerwowanie. Pełne wątpliwości, mrówki czekają. Świetlik rusza nagle w kierunku odchodzącego w bok korytarza, migając coraz szybciej. Tak jakby chciał im coś pokazać. Podążają więc za nim.

Znalazły się w miejscu jeszcze bardziej chłodnym i wilgotnym. Słychać tu posępne piski, dochodzące nie wiadomo skąd. Jakby krzyki wołającego o pomoc, rozchodzące się pod postacią zapachów i dźwięków.

Dwie badaczki zastanawiają się. Mimo że świetlisty owad nie mówi, słyszy doskonale i jakby chcąc odpowiedzieć na ich pytanie, rozbłyska i gaśnie na zmianę: *Nie bójcie się, chodźcie za mną.*

Cała trójka zanurza się coraz głębiej w obce podziemie i dociera wkrótce do zimnej okolicy, gdzie korytarze stają się coraz przestronniejsze.

Piski ponawiają się ze wzmoczoną siłą.

Uwaga! – nadaje gwałtownie 4000.

103 683 odwraca się. Chrząszcz oświetla zbliżającego się potwora o pomarszczonej, starczej twarzy, o ciele owiniętym białym przezroczystym całunem.

Wojownicze wrywa się głośny zapach przerażenia, który zaskakuje jej dwóch towarzyszy. Mumia nadal podąża ku nim, zdaje się nawet nachylać, by do nich przemówić. Nagle zwala się całym ciężarem na ziemię. Kokon otwiera się. Przerażający starzec zmienia się w noworodka...

Poczwarka termita!

Musiała stać gdzieś w kącie. Wypatroszona mumia nadal wije się, popiskując smętnie – stąd zatem dochodziły krzyki.

Mumii jest więcej. Trzy owady znajdują się bowiem w żłobku. Setki poczwerek ustawionych

pionowo wzdłuż ścian. 4000 bada je z bliska i stwierdza, że wiele z nich zmarło w skutek braku opieki. Te, które przeżyły, wysyłają zapachy wzywające na pomoc niańki. Od przynajmniej 2° nie były lizane, wszystkie umierają właśnie z wyczerpania.

To karygodne. Żaden owad żyjący w społeczności nie porzuciłby, choćby na 1° swych jajeczek. Chyba że... Ta sama myśl przebiegła umysły obu mrówek. Chyba że... wszystkie robotnice wymarły i pozostały tu już tylko poczwarki!

Świetlik mruga dalej, dając im sygnał, by podążyły za nim kolejnym korytarzem. W powietrzu unosi się dziwny zapach. Wojownicza trafia nóżką na coś twardego. Nie ma przyoczek i nie widzi w ciemnościach. Żywe światło zbliża się i oświetla nóżki 103 683. Zwłoki wojowniczkii-termita! Pod wieloma względami przypomina mrówkę, jest jednak biała i jej odwłok nie jest oddzielony od reszty tułowia...

Podłoga usłana jest setkami białych trupów. Co za masakra! Najdziwniejsze jest to, że wszystkie ciała są nienaruszone. Nie ma śladów bitwy! Śmierć spadła na nie niczym grom z jasnego nieba. Mieszkańcy zastygli w pozycjach, w których wykonywali codzienne obowiązki. Niektórzy zdają się rozmawiać ze sobą lub ciąć drzewo żuwaczkami. Co mogło spowodować taką katastrofę?

4000 ogląda te przygnębiające postacie. Przesiąknięte są ostrą wonią. Dreszcz przebiega obie mrówki. Trujący gaz. Wszystko staje się jasne: zaginięcie pierwszej ekspedycji, która ruszyła na podbój termitiery, i jedyna ocalała wojownicza, która umiera bez śladów ran na ciele.

Ale jeśli one same nic nie czują, to znaczy, że toksyczny gaz już się ulotnił. Jakim sposobem jednak przeżyły poczwarki? Stara wojownicza wysuwa swoją hipotezę. Mają specyficzne właściwości odpornościowe, a może ocalił je kokon... Teraz z pewnością są odporne na truciznę. Słynny mitrydatyzm, który pozwala owadom stawiać opór wszystkim środkom owadobójczym, przez powstawanie zmutowanych generacji.

Kto jednak wpuścił tu śmiertelny gaz? Prawdziwa zagadka. Po raz kolejny, szukając tajemnej broni, 103 683 wpada na ślad innych rzeczy, równie niezrozumiałych.

4000 chciałaby wydostać się na zewnątrz. Świetlik migoce na znak zgody. Mrówki dają kilka kawałków celulozy tym larwom, które mają jeszcze szanse na przeżycie, a następnie ruszają w poszukiwaniu wyjścia. Chrzążecz rusza za nimi. W miarę jak posuwają się do przodu, zwłoki wojowniczek ustępują miejsca zwłokom robotnic, których obowiązkiem była opieka nad królową. Niektóre z nich trzymają jeszcze między żuwaczkami jajeczka!

Architektura staje się coraz bardziej wyszukana. Na ścianach korytarzy o trójkątnym przekroju wygrawerowane są znaki. Świetlik zmienia kolor i zaczyna wydzielać niebieskawe światło – musiał coś zauważyć. Rzeczywiście, z głębi korytarza daje się słyszeć sapanie.

Cała trójka dociera do czegoś w rodzaju sanktuarium, do którego dostępu broni pięciu

olbrzymich strażników. Wszyscy są martwi, a w przejściu leżą nieruchome ciała około dwudziestu małych robotnic. Mrówki oczyszczają wejście, przekazując sobie ciała z nówek do nówek.

Ukazuje się im jaskinia o niemal idealnie sferycznym kształcie. Królewska loża termitów. Stąd właśnie dochodziły jęki.

Chrząszcz emanuje piękną białą luną, w której świetle mrówki zauważają przedziwne stworzenie siedzące pośrodku komnaty: to królowa termitów, istna karykatura królowej mrówek. Jej ciało, złożone z małej głowy i rachitycznego tułowia, zakończone jest niesamowitym odwłokiem, długim na niemal pięćdziesiąt głów. Przerośniętym organem wstrząsają regularne skurcze.

Mała główka rzuca się na boki w bólu, wydając z siebie słyszalne i zapachowe krzyki. Zwłoki robotnic tak dokładnie zatkały otwór wejściowy, że gaz nie przeniknął do pomieszczenia. Królowa umiera jednak powoli z powodu braku opieki.

Popatrz na jej odwłok! Młode rosną w jej wnętrzu, a ona nie umie samodzielnie urodzić.

Świetlik wznosi się aż pod sklepienie i emituje lekko pomarańczowe światło, podobne do tego, w którym skąpane są obrazy Georges'a de la Tour.

Dzięki wspólnym wysiłkom obu mrówek jajeczka zaczynają wydostawać się z olbrzymiej kieszeni rodzicielki. To prawdziwy strumień życia. Królowa zdaje się odczuwać ulgę, przestaje krzyczeć.

Używając uniwersalnego języka zapachowego, pyta, komu zawdzięcza ratunek. Nie może ukryć zaskoczenia, wyczuwając zapachy mrówek. Czy są zamaskowanymi mrówkami?

Zamaskowane mrówki należą do wyjątkowo uzdolnionego w dziedzinie chemii organicznej gatunku: są to duże, czarne owady, żyjące na północnym wschodzie. Potrafią naśladować każdy feromon – identyfikacyjny, śladowy czy komunikacyjny – jedynie mieszając sprytnie soki roślinne, pyłki i ślinę.

Zapewniwszy sobie w ten sposób kamuflaż, często potrafią przedostać się niezauważenie na przykład do miasta termitów. Grabią i zabijają, a żadna z ich ofiar nie jest w stanie ich zidentyfikować!

Nie, nie jesteśmy zamaskowanymi mrówkami.

Dowiedziawszy się, że nikt poza nią w Mieście nie ocalał, królowa wyraża życzenie, by ją zabito, skracając w ten sposób jej cierpienia. Wcześniej jednak zamierza im coś wyjawić.

Tak, wie, dlaczego Miasto zostało zniszczone. Niedawno termity odkryły wschodni kraniec świata. Brzeg planety. Znajduje się tam czarny, gładki kraj, w którym wszystko zostało zniszczone.

Żyją w nim dziwne stworzenia, bardzo szybkie i okrutne – strażnicy krańca świata.

Uzbrojone są w czarne płytki, którymi mogą wszystko zgnieść. A teraz używają jeszcze trującego gazu!

Mrówki są oszołomione. Przypominają sobie dawną ambicję królowej Bi-stin-ga: dotrzeć na koniec świata. A zatem jest to jednak możliwe?

Sądziły do tej pory, że Ziemia jest tak olbrzymia, iż nie sposób osiągnąć jej skraju. Tymczasem królowa termitów daje im do zrozumienia, że kraniec świata znajduje się niedaleko! I że strzegą go potwory... Marzenie królowej Bi-stin-ga może się jednak spełnić!

Cała ta historia wydaje im się tak niesamowita, że same nie wiedzą, od jakiego pytania zacząć.

Czem u ci strażnicy krańca świata dotarli aż tutaj? Czy chcą opanować miasta Zachodu?

Wielka królowa nie zna na to odpowiedzi. Chce umrzeć. Nalega. Nie potrafi sama zatrzymać bicia swego serca. Trzeba ją zabić.

Mrówki odcinają zatem głowę królowej termitów, dowiedziawszy się od niej wcześniej, jak trafić do wyjścia. Zjadają kilka małych jajeczek i opuszczają majestatyczne miasto widmo. U wejścia pozostawiają feromon zawierający opis dramatycznych wydarzeń – jako badaczki należące do Federacji nie mogą zaniedbać żadnego ze swych obowiązków.

Świetlik pozdrawia je. On również zapewne zgubił się w termitierze, szukając schronienia przed deszczem. Teraz, gdy ponownie zrobiła się ładna pogoda, powróci do swych stałych zajęć: musi jeść, emitować światło, by przyciągnąć do siebie samice, rozmnażać się, jeść, emitować światło, by przyciągnąć do siebie samice, rozmnażać się... Po prostu wieść życie świetlika!

Mrówki kierują swój wzrok i czułki ku wschodowi. Nie widać stąd zbyt wiele, mimo to są pewne: kraniec świata jest niedaleko. Jest tam.

ZDERZENIE CYWILIZACJI: Kontakt dwóch cywilizacji jest delikatną kwestią. Jedna z sytuacji, gdy ludzkość stanęła przed tak poważnym problemem, nastąpiła w XVIII wieku i dotyczyła niewolnictwa Czarnych z Afryki.

Tamtejsza ludność, którą wywożono do niewolniczej pracy, żyła w głębi kontynentu, na równinach i w lasach. Nigdy wcześniej nie widziała morza. Niespodziewanie król z sąsiedztwa bez widocznego powodu wypowiedział im wojnę. Następnie, zamiast ich zabijać, brał w niewolę, zakuwał w łańcuchy i prowadził na brzeg morza.

Dotarłszy na miejsce, więźniowie odkrywali dwie niepojęte dla nich rzeczy: 1) olbrzymie morze, 2) Europejczyków o białej skórze. Jeśli chodzi o samo morze, nawet jeśli nigdy wcześniej go nie widzieli, znali je z opowieści, w których przedstawiano je jako krainę śmierci. Biali jednak byli dla nich niczym istoty pozaziemskie: wydzielali dziwny zapach, mieli dziwny kolor skóry i dziwne ubrania. Wielu Czarnych zmarło z przerażenia, inni, w panice, skakali ze statków do wody i ginęli pożarci przez rekiny.

Ci, którzy ocaleli, na każdym kroku spotykali tajemnicze zjawiska. Co widzieli? Na przykład Białych pijących wino; byli przekonani, że to krew – krew ich współtowarzyszy.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Samica 56 jest wygłodzona. Nie tylko jej ciało, lecz cała populacja woła o swoje porcje kalorii. Jak wyżywić Miasto, któremu daje schronienie w swym wnętrzu? Wreszcie decyduje się wyjść ze swej norki. Wlecze się kilkaset głów i wraca z trzema igłami sosny, które oblizuje i żuje łakomie. To za mało. Chętnie zapolowałaby, lecz brak jej już sił. Poza tym ryzykuje, że sama posłuży za pokarm któremuś z tysięcy drapieżników czających się w okolicy. Kuli się zatem w swym wgłębieniu, czekając na śmierć.

Zamiast niej pojawia się jajeczko. Jej pierwszy Chlipoukanijczyk! Prawie go nie poczuła. Potrząsnęła zeszywniałymi nóżkami i całym wysiłkiem woli nagniotła swe trzewia. To musi zadziałać, w przeciwnym razie – wszystko przepadnie. Potoczyło się jajeczko. Jest malutkie, o szarym, wpadającym w czerń odcieniu.

Jeśli pozwoli mu się wykluć, urodzi się martwa mrówka. A na dodatek... nie byłaby w stanie jej żywić. Zjada zatem swego pierwszego potomka.

Bardzo szybko odczuwa przyływ energii. O jedno jajeczko mniej w odwołku i o jedno więcej w żołądku. To poświęcenie daje jej siłę do złożenia drugiego jajeczka, równie ciemnego i małego, co pierwsze. Rozkoszuje się jego smakiem. Czuje się coraz lepiej. Trzecie jajeczko jest nieco jaśniejsze. Pożera je mimo to.

Dopiero przy dziesiątym królowa zmienia taktykę. Jajeczka są teraz szare, wielkości jej gałek ocznych. Chli-pou-ni składa trzy kolejne, zjada jedno z nich, a dwa pozostawia przy życiu, ogrzewając je ciepłem swego ciała.

Kiedy ona nadal zajęta jest składaniem jajeczek, dwóch szczęśliwców zmienia się w długie larwy, których głowy wykrzywia dziwny grymas. Zaczynają kwilić, żądając pożywienia. Arytmetyka staje się bardziej skomplikowana. Na trzy złożone jajeczka, jedno musi wyżywić ją, a dwa pozostałe – larwy.

W ten oto sposób, w zamkniętym obiegu, udaje się wyprodukować coś z niczego. Gdy jedna z larw jest już wystarczająco duża, samica daje jej do zjedzenia drugą... Jedyny sposób, by dostarczyć jej protein niezbędnych do przeobrażenia się w prawdziwą mrówkę.

Larwa nadal jest jednak wygłodniała. Wije się, wrzeszczy. Uczta z siostr nie jest w stanie jej zaspokoić. Ostatecznie Chli-pou-ni zjada stworzenie, które miało być jej pierwszym dzieckiem.

Musi mi się udać, musi mi się udać – powtarza sobie. Myśli o samcu 327 i składa naraz pięć, o wiele jaśniejszych jajeczek. Połyka dwa z nich, a trzem pozwala się rozwijać.

W ten sposób, od dziecioróbstwa do dzieciobójstwa, trwa przekazywanie życia. Trzy kroki

w przód, dwa do tyłu. Okrutna gimnastyka, w której wyniku pojawia się wreszcie prototyp w pełni zbudowanej mrówki.

Owad jest maleńki i raczej mało rozgarnięty z powodu niedożywienia. A jednak udało się samicy stworzyć pierwszego Chlipoukanijczyka! Kanibalizm, który miał zapewnić zwycięstwo w walce o istnienie jej Miasta, już przyniósł połowiczny sukces. Zdegenerowana robotnica może się poruszać i znosić z okolicy pożywienie: zwłoki owadów, ziarna, liście, grzyby – tak też czyni.

Chli-pou-ni, wreszcie normalnie żywiona, składa jaśniejsze jajeczka, o wiele bardziej spoiste. Wytrzymałsze skorupki przybierają rozsądne rozmiary. Dzieci narodzone w tej nowej generacji są duże i silne. Będą stanowić podstawę populacji Chli-pou-kan.

Pierwsza, niedorozwinięta robotnica, która pozwoliła królowej przeżyć, szybko zostaje skazana na śmierć i pożarta przez swe siostry, po czym wszystkie morderstwa i cały ból towarzyszący powstaniu Miasta, padają w zapomnienie. Chli-pou-kan właśnie się narodziło.

KOMAR: Komar jest owadem, który najchętniej rzuca się do boju przeciwko człowiekowi. Każdy z nas stał kiedyś na łóżku, w piżamie, z kapciem w ręce, obserwując bacznie nieskalanie czysty sufit. Niepojęte. A przecież swędzenie spowodowane jest jedynie dezynfekującą śliną jego trąbki. Bez niej każde ukąszenie mogłoby spowodować zakażenie. Na dodatek komar zawsze stara się kluć, celując pomiędzy dwa receptory bólu!

Komar przeszedł pewną ewolucję, by dostosować się do walki z człowiekiem. Nauczył się, jak wznosić się w powietrze szybciej, niepostrzeżenie, energicznie. Coraz trudniej jest go przyłapać. Niektórzy śmiałkowie ostatniej generacji nie wahają się nawet schować pod poduszką swej ofiary. Odkryli zasadę skradzionego listu Edgara Allana Poe: najlepsza kryjówka to ta, która najbardziej rzuca się w oczy, gdyż zawsze mamy tendencje do szukania daleko tego, co znajduje się tuż obok.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Babcia Augusta spojrzała na przygotowane bagaże. Jutro czeka ją przeprowadzka na ulicę Sybarytów. Wydaje się to niepojęte, ale Edmund przewidział zaginięcie Jonatana i zapisał w swym testamencie: *Jeśli Jonatan umrze lub zaginie i jeśli sam wcześniej nie sporządzi testamentu, życzyłbym sobie, by Augusta Wells, moja matka, zajęła moje mieszkanie. Gdyby i ona zaginęła lub odmówiła przyjęcia spadku, chcę, by odziedziczył to miejsce Daniel Rosenfeld. Gdyby i on odmówił – mógłby tam zamieszkać Jason Bragel...*

Trzeba przyznać, że w świetle ostatnich wydarzeń Edmund miał całkowitą słuszość, przewidując przynajmniej czterech spadkobierców. Augusta nie była jednak przesadna, poza tym uważała, że nawet jeśli Edmund był mizantropem, nie miał żadnego powodu, by chcieć śmierci

swego siostrzeńca i matki. Jason Bragel zaś był jego najlepszym przyjacielem!

Błysnęła jej nagle dziwna myśl. Edmund zdawał się zagospodarowywać przyszłość, tak jakby... wszystko miało zacząć się po jego śmierci.

Od wielu dni wędrują w kierunku wschodzącego słońca. Stan zdrowia 4000 z każdą chwilą się pogarsza, stara wojowniczką jednak nie skarży się i dzielnie podąża naprzód. Jej odwaga i ciekawość świata są godne podziwu.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, kiedy właśnie wspinają się na pień orzecha, zostają nagle otoczone przez czerwone mrówki. Znowu te stworzenia z Południa, które wybrały się na wycieczkę krajoznawczą.

Ich wydłużony tułów zakończony jest jadowitym szpikulcem, który przy najmniejszym zetknięciu zadaje – wszyscy o tym wiedzą – natychmiastową śmierć. Jakże rude mrówki chciałyby teraz znaleźć się daleko stąd. Poza kilkoma zdegenerowanymi najemnikami, 103 683 nie widziała jeszcze nigdy czerwonych poza mrowiskiem. Zdecydowanie, Tereny Wschodnie warte są poznania...

Poruszenie czulek. Czerwone mrówki umieją porozumieć się tym samym językiem co Belokanijki.

Nie macie odpowiednich feromonów identyfikacyjnych. Wynoście się! To nasze terytorium.

Rude wyjaśniają, iż jedynie tędy przechodzą, chcą dotrzeć na wschodni kraniec świata.

Czerwone mrówki naradzają się. Rozpoznały, że obie intruzki należą do Federacji rudnic. Ta co prawda położona jest daleko, niemniej jednak jej potęga jest dobrze znana (64 miasta przed ostatnim okresem godowym), a reputacja jej armii dotarła aż tu, na drugi brzeg rzeki. Może lepiej nie szukać pretekstu do wywołania konfliktu. Pewnego dnia być może przyjdzie czerwonym, które prowadzą wędrowny tryb życia, przemaszerować przez terytorium zajmowane przez rude.

Ruchy czulków powoli uspokajają się. Pora na podsumowanie. Jedną z czerwonych przekazuję opinię grupy:

Możecie tu spędzić jedną noc. Jesteśmy gotowe wskazać wam drogę na koniec świata, a nawet tam towarzyszyć. W zamian zostawcie nam kilka swoich feromonów identyfikacyjnych.

Umowa stoi. 103 683 i 4000 zdają sobie sprawę, iż oddając swe feromony, wręczają czerwonym cenne przepustki na rozległe tereny Federacji. Ale możliwość dotarcia na koniec świata i powrotu stamtąd – jest bezcenna...

Gospodarze prowadzą je do obozowiska położonego kilka gałęzi wyżej.

Różni się ono od wszystkiego, co do tej pory widziały. Czerwone mrówki, które stosują tkactwo i szycie, skonstruowały prowizoryczne gniazda, zeszywszy po brzegach trzy wielkie liście orzechowca. Jeden służy za podłogę, dwa pozostałe za ściany boczne. 103 683 i 4000

obserwują grupę tkaczek spieszących się z położeniem „dachu” przed zapadnięciem nocy. Wybierają liść, który posłuży za sufit. Żeby połączyć go z trzema pozostałymi, ustawiają się w żywą drabinę: dziesiątki robotnic, jedna na drugiej, próbują stworzyć pagórek, który osiągnie liścia-sufitu.

Piramida wielokrotnie się rozsypuje: jest za wysoko.

Czerwone zmieniają zatem taktykę.

Grupa robotnic wspina się na liść dachowy, tworząc łańcuch, który zaczepia się i zwisa z zewnętrznego brzegu rośliny. Łańcuch opuszcza się coraz bardziej, aby dołączyć do żywej drabiny poniżej. Wciąż za daleko, ponadto łańcuch obciążony jest uczeponą na jego końcu kiścią czerwonych mrówek.

Prawie się udało, lodyga liścia ugięła się. Brakuje zaledwie kilku centymetrów z prawej strony. Mrówki tworzące łańcuch próbują rozhuścić się, by jeszcze bardziej zmniejszyć odległość. Przy każdym ruchu łańcuch naciąga się, zdaje się rozrywać – wytrzymuje jednak. Wreszcie żuwaczki akrobatów z dołu i z góry łączą się – klak!

Kolejny manewr: teraz trzeba skrócić łańcuch. Robotnice jedna po drugiej ostrożnie wychodzą z rzędu, wspinając się na ramiona swych towarzyszek, a wszyscy ciągną, by zbliżyć oba liście do siebie. Liść dachowy powoli zakrywa miasteczko, rozpościerając swój cień nad podłogą.

Teraz, gdy pudełko ma już pokrywkę, trzeba ją dobrze przytwierdzić. Stara czerwona mrówka wbiega do jednego z domków i wraca, trzymając w ramionach dużą larwę: oto narzędzie tkackie. Brzegi liści łączy się równolegle i przytrzymuje, a następnie przynosi larwę. Biedaczysko było właśnie w trakcie konstruowania sobie kokonu, by przeobrazić się w spokoju, lecz nie daje jej się tej możliwości. Jedna z robotnic chwyta nitkę i zaczyna ją odwijać z kłębka. Za pomocą śliny przylepia ją do jednego liścia i przekazuje kokon towarzyszcze.

Larwa, czując, że pozbawia się ją nitki, zaczyna produkować jej więcej, by uzupełnić zapas. Im bardziej się ją obnaża, tym silniej odczuwa zimno i produkuje coraz więcej jedwabnego włókna. Robotnice przekazują sobie czółenka z żuwaczek do żuwaczek, nie oszczędzając włókna. Gdy ich wycieńczone dziecko umiera, biorą kolejne. Nim dzieło będzie dokonane, poświęcą w ten sposób dwanaście larw.

Połączenie drugiego brzegu liścia jest już prawie na ukończeniu – Miasto przybrało teraz formę zielonego pudełka o białym szkielecie. 103 683 przechadza się po nim, czując się niemal jak w domu. Zauważa gdzieś tam czarne mrówki w tłumie czerwonych. Nie może powstrzymać się od zadania pytania:

Czy to są najemnicy?

Nie, to niewolnicy.

Czerwone nie były dotąd znane jako zwolenniczki niewolnictwa... Jedna z nich wyjaśnia

wreszcie, że spotkały ostatnio horde mrówek prowadzących niewolników i wymieniły się z nimi, otrzymując jajeczka czarnych w zamian za utkane, przenośne gniazdo.

103 683 wypytuje jednak nadal, czy aby spotkanie nie przeistoczyło się następnie w bójkę. Tamta zaprzecza – straszne mrówki były już zaspokojone, prowadziły aż zbyt liczną grupę niewolników, a poza tym obawiały się śmiertelności żądła czerwonych.

Czarne mrówki, które narodziły się z przehandlowanych jajeczek, otrzymały zapachy identyfikacyjne swych gospodarzy i obsługiwały im jak własnym rodzicom. Jak mogłyby teraz dowiedzieć się, że z pochodzenia są drapieżnikami, a nie niewolnikami? Nie wiedzą nic o świecie poza tym, co czerwone zechcą im opowiedzieć.

Nie boicie się, że się zbuntują?

Owszem, zdarzały się już zamieszki. Zazwyczaj jednak czerwone zapobiegały incydentom, eliminując krnąbrnych osobników. Dopóki czarne nie dowiedzą się, że zostały porwane z gniazda, że należą do innego gatunku, nie będą miały powodów do buntu...

Noc i chłód powoli ogarniają orzechowiec. Dwóm wędrowniczkom przydziela się kąt, w którym będą mogły zapaść w nocną hibernację.

Chli-pou-kan powoli się rozrasta. Na samym początku urządzono Zakazane Miasto. Nie powstaje ono w pniu, lecz w przedziwnym zakopanym tu przedmiocie – odpadku z pobliskiego sierocińca, zardzewiałej puszcze po konserwie, która swego czasu zawierała trzy kilo musu z jabłek. W tym nowym pałacu Chli-pou-ni, cały czas dokarmiana cukrem, tłuszczami i witaminami, składa zapamiętałe jajeczka.

Tuż poniżej Zakazanego Miasta pierwsze córki utworzyły żłobek ogrzewany rozkładającym się próchnem. To najskuteczniejszy sposób, zanim zakończy się budowę kopuły z gałązek i solarium.

Chli-pou-ni chce, by jej miasto wykorzystало wszystkie znane technologie: hodowlę grzybów, mrówki-cysterny, stada mszyc, przytrzymujący bluszcz, komnaty do fermentacji spadzi, produkcję mąk zbożowych, sale najemników, szpiegów, komnaty chemii organicznej i tak dalej.

Trwa bieżąca. Młoda królowa zdołała przekazać innym swoje nadzieje i entuzjazm. Nie mogłaby pogodzić się z myślą, że Chli-pou-kan miałoby być zwykłym sfederowanym miastem. Ma ambicje być w czołówce, stanąć na szczycie cywilizacji myrmeczeńskiej. I ma na to tysiące pomysłów. Ostatnio, na przykład, odkryto podziemne źródło. Woda jest żywołem jeszcze niewykorzystanym – trzeba znaleźć sposób, by móc poruszać się po jej powierzchni.

W pierwszym podejściu powołana zostaje ekipa, która ma za zadanie zbadać owady żyjące w słodkiej wodzie: pływaki, oczliki, rozwielitki... Czy są jadalne? Czy uda się je hodować na strzeżonych kałużach?

Jej pierwsze przemówienie dotyczy mszyc:

Zbliża się okres wojennych zamieszek. Produkowana broń jest coraz bardziej wyrafinowana. Nie zawsze będziemy w stanie nadążyć za postępem. Być może przyjdzie dzień, w którym wynik polowania na zewnątrz zależeć będzie wyłącznie od przypadku. Musimy zapobiec najgorszemu. Nasze Miasto musi rozciągnąć się jak najdalej w głąb. Musimy też zająć się hodowlą mszyc, najważniejszego źródła życiodajnych cukrów. Stada zostaną umieszczone w oborach położonych na najniższych poziomach...

Trzydzieści córek wychodzi na zewnątrz i wraca z dwiema mszycami, które zaraz będą rodzic. Po kilku godzinach pojawia się setka małych mszyc, którym przycina się skrzydła. To zaczątek inwentarza, który jest umieszczany na -23 piętrze, gdzie będzie dobrze ukryty przed biedronkami. Obficie karmią mszyce świeżymi liśćmi i łądogami pełnymi soków.

Chli-pou-ni wysła swoje badaczki we wszystkich kierunkach. Jedne znoszą spory pieczarek, które zostaną zasadzone przez grzybiarki. Żądna odkryć królowa postanawia spełnić marzenie swojej matki: każe zasadzić rząd ziaren mięsożernego kwiatu wzdłuż wschodniej granicy: ma nadzieję, że w ten sposób uda się jej spowolnić ewentualny atak termitów i ich sekretnej broni.

Nie zapomniała bowiem o tajemnicy sekretnej broni, o zamordowaniu księcia 327 i o zapasie żywności ukrytym pod granitową skałą.

Wysła grupę posłańców w kierunku Bel-o-kan. Oficjalnym powodem jest zawiadomienie królowej matki o budowie sześćdziesiątego piątego miasta i dołączeniu go do Federacji. Nieoficjalnie zaś mrówki te mają za zadanie kontynuację śledztwa na -50 piętrze Bel-o-kan.

Dzwonek u drzwi zadzwieczał w chwili, gdy Augusta wieszala na ścianie swoje cenne fotografie w kolorze sepia. Upewniła się, że łańcuch jest założony, i uchyliła drzwi. Na progu stał mężczyzna w średnim wieku – wyglądał bardzo porządnie. Nie miał nawet śladu łupieżu na kołnierzu marynarki.

– Dzień dobry, pani Wells. Moje nazwisko Leduc, byłem kolegą pani syna Edmunda. Nie będę owijał w bawełnę. Wiem, że pani wnuk i prawnuk zaginęli w piwnicy. W ten sam sposób zniknęło ośmiu strażaków, sześciu żandarmów i dwóch policjantów. Mimo to, proszę pani... chciałbym tam zejść.

Augusta, chcąc upewnić się, że dobrze dosłyszała, podkreśliła regulator swojego aparatu słuchowego na maksimum.

– Czy to pan Rosenfeld?

– Nie. Leduc. Profesor Leduc. Widzę, że słyszała pani o Rosenfeldzie. Rosenfeld, Edmund i ja byliśmy wszyscy entomologami. Łączy nas jedna wspólna pasja: badanie mrówek. Edmund znacznie wyprzedził nas w swych pracach. Szkoda by było, gdyby ludzkość nie mogła skorzystać z jego osiągnięć... Chciałbym zejść do jego piwnicy.

Kiedy się gorzej słyszy, wzrok jest bystrzejszy. Augusta bacznie przypatrzyła się uszom

Leduc. Człowiek posiada tę cechę, że zachowuje w sobie kształty swej najdawniejszej przeszłości. Ucho – na przykład – odzwierciedla stan embrionalny. Płatek symbolizuje głowę, krawędź małżowiny wskazuje na kształt kręgosłupa i tak dalej. Ów Leduc musiał swego czasu być wątłym embrionem, a Augusta niezbyt przepadała za wątłymi embrionami.

– Co spodziewa się pan znaleźć w tej piwnicy?

– Księgę. Encyklopedię, w której Edmund notował wyniki wszystkich swoich badań. Był skryty. Z pewnością ukrył wszystko tam w głębi, zakładając pułapki, by zabić lub zniechęcić ignorantów. Ale ja wiem, o co chodzi. A człowiek, który wie, o co chodzi...

– ...może równie dobrze dać się zabić!

– Proszę mi dać szansę.

– Proszę wejść, panie...?

– Leduc, profesor Laurent Leduc z laboratorium CNRS 352.

Poprowadziła go do drzwi piwnicy. Na murze postawionym przez policjantów widniał wielki czerwony napis:

NIE SCHODZIĆ NIGDY WIĘCEJ DO TEJ PRZEKLĘTEJ PIWNICY!

Wskazała go ruchem głowy.

– Wie pan, co mówią ludzie w tej kamienicy, panie Leduc? Mówią, że to brama piekiel. Mówią, że ten dom jest mięsożerny i pożera ludzi, którzy podrażnią mu gardziel... Niektórzy chcieliby nawet, żeby zalać piwnicę betonem.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Nie boi się pan śmierci, panie Leduc?

– Owszem – odrzekł tamten z drwiną w głosie i uśmiechnął się. – Owszem, boję się umrzeć jak idiota, nie wiedząc, co znajduje się w głębi tej piwnicy.

103 683 i 4000 już wiele dni temu opuściły gniazdo czerwonych tkaczek. Towarzyszą im dwie czerwone wojowniczkę o zaostzonych żądłach. Długo wędrowały razem po trasach ledwie oznaczonych feromonami-śladami. Pokonały już tysiące głów odległości dzielące je od gniazda utkanego w gałęziach orzechowca. Napotkały na swej drodze przeróżne gatunki egzotycznych zwierząt, których nazw nawet nie znały. Dla pewności wszystkim schodzą z drogi.

Z nadejściem nocy starają się wykopać jak najgłębsze otwory w ziemi i kryją się w nich, korzystając z przyjaznego ciepła i ochrony zapewnionej przez planetę żywicielkę.

Dwie czerwone doprowadziły je dzisiaj na szczyt wzgórza.

Czy daleko jeszcze do krańca świata?

To tędy.

Rudym ukazują się ponury krajobraz krzaków ciągnących się ku wschodowi aż po horyzont. Czerwone oznajmiają, że tu kończy się ich misja, że dalej już iść nie zamierzają. Są tu pewne

miejsca, gdzie ich zapachy mogą nie spotkać się z przychylnym przyjęciem.

Belokanijki powinny iść teraz prosto, aż do pól żniwiarek żyjących w pobliżu końca świata – one z pewnością będą w stanie wskazać im dalszą drogę.

Przed rozstaniem się z przewodnikami rude przekazują im cenne feromony identyfikacyjne Federacji – ustaloną opłatę za pomoc. Następnie zbiegają ze wzniesienia ku polom uprawianym przez owe żniwiarki.

SZKIELET: Czy lepiej mieć szkielet wewnątrz, czy na zewnątrz ciała? Gdy szkielet jest na zewnątrz, tworzy rodzaj ochronnej karoserii. Ciału nie zagrażają zewnętrzne niebezpieczeństwa, ale przez to staje się zwiotczone i niemal płynne. Jeśli więc ostrze przedrze się mimo wszystko przez pancerz, wyrządza nieodwracalne szkody. Gdy szkielet stanowi jedynie cienki pręt wewnątrz masy, ciało wystawione jest na wszelkiego rodzaju urazy. Rany są liczne i trwałe. Ale właśnie ta pozorna słabość sprawia, że mięśnie twardnieją, a tkanka staje się bardziej odporna. Ciało ewoluuje.

Widziałem już ludzi, którzy stworzyli sobie w umyśle intelektualne pancerze, chroniące przed przeciwnościami i losu. Wydawali się odporniejsi niż inni. Mówili: „Mam to w nosie” i śmiali się ze wszystkiego. Kiedy jednak jakaś przykrość przeniknęła ich pancerz, szkody były straszliwe. Widziałem też ludzi cierpiących z powodu najmniejszego problemu, najmniejszego urazu, ale umysł ich nie był mimo to zamknięty, pozostawali wrażliwi na wszystko, a każda agresja była dla nich lekcją.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Łowcy niewolników!

Panika w Chli-pou-kan. Wykończeni biegiem wysłannicy rozgłaszają nowinę po młodym mieście.

Łowcy niewolników! Łowcy niewolników!

Straszliwa reputacja wyprzedziła samego wroga. Podczas gdy niektóre mrówki wybrały drogę rozwoju przez hodowlę, magazynowanie, uprawę grzybów lub chemię – zwolenniczki niewolników wyspecjalizowały się w jednym tylko aspekcie wojny.

Tylko to potrafiły i doprowadziły tę sztukę do perfekcji. Całe ciało dostosowało się do ich potrzeb. Najmniejszy staw zakończony jest ostrym haczykiem, chityna jest dwa razy grubsza niż u rudych. Wąska, idealnie trójkątna głowa nie daje najmniejszego zaczepienia dla pazurów. Ich zuwaczki, przypominające kły słonia wygięte w odwrotną stronę, są niczym dwa krzywe miecze, którymi posługują się z niesamowitą precyzją.

Jeśli zaś chodzi o zwyczaj łapania niewolników, jest on wynikiem przesadnej specjalizacji.

Niewiele brakowało, by gatunek ten wyginął, zniszczony przez własną żądzę władzy. Wiecznie w stanie wojny, mrówki te nie potrafią już zbudować gniazda, wychować młodych ani nawet... wyżywić się. Ich żuwaczki-miecze, tak skuteczne w walce, okazują się niezbyt praktyczne przy poszukiwaniu pożywienia. Mimo swych wojowniczych przymiotów mrówki te nie są głupie. Ponieważ nie były w stanie wykonywać prac domowych niezbędnych w codziennym życiu, kto inny musiał się tym zająć.

Zwolenniczki niewolników atakują głównie małe i średnie gniazda mrówek czarnych, białych lub żółtych – wszystkich gatunków nieposiadających ani żądła, ani gruczołu wytwarzającego kwas. Najpierw otaczają wybrane miasto. Kiedy tylko oblężeni zdają sobie sprawę, że żadne wychodzące na zewnątrz robotnice już nie wracają, postanawiają zatkać otwory wejściowe. Ten właśnie moment wybierają wrogowie, by przypuścić pierwszy atak. Z łatwością wyłamują blokady, rozdzierają ściany miasta, sięją panikę w korytarzach. Przerażone robotnice podejmują próbę wyniesienia jajeczek w bezpieczne miejsce. Tego dokładnie spodziewają się atakujące mrówki. Wciskają się każdym wejściem i zmuszają robotnice do porzucenia ładunku. Zabijają jedynie te, które stawiają opór – w mrówczym świecie nie zabija się bez powodu.

Po zakończeniu walk łowcy niewolników zajmują gniazdo i rozkazują ocalałym robotnicom, by odłożyły jajeczka na swoje miejsca. Kiedy wyklują się z nich poczwarki, będą przygotowywane do służenia napastniczkom. A ponieważ nie wiedzą nic o swojej przeszłości, służba wielkim mrówkom wydaje im się właściwa i naturalna.

Podczas zdobywania kolejnych gniazd dawniejsi niewolnicy zostają na uboczu, schronieni w trawach, czekając, aż ich panie skończą czystki w okolicy. Po wygranej walce, niczym małe poczciwe gosposie zajmują gniazdo, nowe jajeczka dokładają do starych, wychowują więźniarki i ich dzieci. W ten sposób pokolenia porwanych nakładają się stopniowo jedno na drugie, w miarę migracji porywaczy.

Zazwyczaj każdej mrówce-zaborcy potrzebne są trzy niewolnice. Jedna, by ją żywić (potrafi jeść jedynie pokarm cofnięty z żołądka, podawany niczym małym dzieciom – wprost do pyszczka), druga do mycia (jej ślinianki zanikły) i trzecia do usuwania odchodów, które zbierając się wokół zbroi przeżarłyby ją.

Najgorsze, co może przytrafić się owym wojowniczkom, to porzucenie przez służące. Zmuszone są wtedy opuścić gniazdo i udać się na poszukiwanie nowego miasta do podbicia. Jeśli nie uda im się to przed zapadnięciem nocy, mogą umrzeć z głodu i zimna – co będzie najbardziej żalosną śmiercią dla tych wspaniałych skądinąd wojowniczek.

Chli-pou-ni słyszała już liczne legendy na ich temat. Niektórzy twierdzą, że zdarzały się powstania i że niewolnicy, którzy dobrze znają swe panie, niekoniecznie muszą znajdować się na przegranej pozycji. Opowiada się również, że niektóre z hodowczyń niewolników zbierają

mrówcze jajeczka, chcąc posiadać kolekcję wszystkich rozmiarów i gatunków.

Królowa wyobraża sobie komnatę pełną jajeczek przeróżnych wielkości i kolorów. A pod każdą ze skorupiek... specyficzna kultura myrmecjeńska gotowa przebudzić się, by służyć tym pierwotnym zwierzętom.

Chli-pou-ni odrywa się od swych przykrych rozmyślań. Musi najpierw pomyśleć o odparciu ataku. Horda wrogów nadciąga ze wschodu. Zwiadowcy i szpiedzy chlipoukanijscy zapewniają, że wojowniczek jest czterysta do pięciuset tysięcy. Przedostały się na drugą stronę rzeki podziemnym przejściem w porcie Satei. Podobno są dość rozdrażnione, ponieważ musiały porzucić przed wejściem do tunelu utkane z liści przenośne gniazdo. Nie mają zatem schronienia i jeśli nie zdobędą Chli-pou-kan, przyjdzie im spędzić noc na zewnątrz!

Młoda królowa stara się zebrać spokojnie myśli: *Skoro były tak szczęśliwe w swoim przenośnym gnieździe, czemu porzuciły je, by przejść przez rzekę?* Zna odpowiedź.

Zwolenniczki niewolników darzą miasta nienawiścią równie głęboką, co niezrozumiałą. Każde z nich stanowi zagrożenie i wyzwanie. Odwieczne współzawodnictwo ludów z nizin z ludnością miast. A zwolennicy niewolnictwa wiedzą, że na drugim brzegu rzeki istnieją setki mrówczych miast, jedne bogatsze i bardziej wyrafinowane od drugich.

Chli-pou-kan nie jest niestety gotowe do odparcia najazdu. Co prawda od kilku dni miasto ma przynajmniej milion mieszkańców, co prawda postawiono mur z mięsożernych roślin na wschodniej granicy... To jednak nie wystarczy.

Chli-pou-ni zdaje sobie sprawę z faktu, że jej Miasto jest zbyt młode, nie dość doświadczone w bojach. Poza tym nadal nie ma wieści od wysłanniczek, które udały się do Bel-o-kan, by oznajmić przyłączenie do Federacji. Nie może zatem liczyć na wojowniczkę z sąsiednich miast. Nawet Guayeï-Tyolot znajduje się tysiące głów stąd – nie sposób zatem wezwać na pomoc mieszkańców letniego gniazda.

Co zrobiłaby Matka na jej miejscu?

Chli-pou-ni postanawia zwołać kilka swoich najlepszych myśliwych (jeszcze nie miały okazji udowodnić, że są wojowniczkami) na Porozumienie Absolutne. Należy pilnie przygotować strategię.

Narada w Zakazanym Mieście jeszcze trwa, gdy straż z posterunku w krzewie wznoszącym się nad Chli-pou-kan obwieszcza pierwsze zapachy nadciągającej armii.

Trwają przygotowania do bitwy. Nie powstała żadna taktyka – przyjdzie im improwizować. Pada rozkaz do walki – legiony ustawiają się jak mogą (nie znają jeszcze zasad formowania oddziałów wypracowanych z dużym trudem przy okazji walk z karłowatymi). Większość wojowniczek pokłada nadzieję głównie w fortyfikacjach z mięsożernych roślin.

W MALI: W Mali Dogoni wierzą, że podczas pierwotnych zaślubin Nieba z Ziemią płcią

Ziemi było mrowisko. Kiedy w wyniku tego zjednoczenia ukończony został świat, srom zmienił się w usta, a w nich pojawiła się mowa i jej uzupełnienie: technika tkacka, którą mrówki przekazały ludziom.

Jeszcze w dzisiejszych czasach rytuały płodności związane są z mrówkami. Kobiety, które nie mogą doczekać się potomstwa, siadają na mrowisku, prosząc boga Amma o zwrócenie im płodności.

To jeszcze nie wszystko, co ludzie zawdzięczają mrówkom – pokazały im one również, jak budować domy, a także wskazywały, gdzie znajdują się źródła. Dogoni zrozumieli bowiem, że należy kopać pod mrowiskami, by znaleźć wodę.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Koniki polne zaczęły skakać we wszystkich kierunkach. To znak. Kawalek dalej mrówki o najbystrzejszym wzroku zauważają posuwającą się w tumanach kurzu kolumnę. Można wiele mówić o zwolenniczkach niewolników, ale widzieć je w natarciu to zupełnie co innego. Nie mają kawalerii – same stanowią kawalerię. Ich ciało jest zwinne i wytrzymałe, nóżki silne i umięśnione, wysmukła i szpiczasta głowa zakończona ruchomymi żuwaczkami.

Aerodynamika ich ciała jest do tego stopnia doskonała, że gdy głowa niesiona na szybkich nóżkach przecina powietrze, nie słychać najmniejszego świstu.

Kiedy przechodzą, żdźbła trawy kładą się, ziemia drży, piasek faluje. Wysunięte do przodu czułki emitują ostre feromony przypominające gniewne okrzyki.

Czy lepiej będzie zabarykadować się i przetrwać oblężenie, czy też wyjść i walczyć? Chli-pou-ni waha się, boi się, nie wie, jaką decyzję podjąć. Wtedy też rude wojowniczkę robią dokładnie to, czego nie powinny. Rozdzielają się. Część z nich wychodzi na zewnątrz, by stawić czoło nieprzyjacielowi na otwartej przestrzeni. Druga połowa zaszywa się w Mieście – w razie czego posłuży za posiłki i będzie stawiać opór w wypadku oblężenia.

Chli-pou-ni próbuje przypomnieć sobie Bitwę Maków, jedyną, o której słyszała. Wydaje jej się, że to artyleria spowodowała najwięcej szkód w szeregach wroga. Rozkazuje zatem, by na linii frontu ustawiono trzy rzędy artylerzystek.

Wrogię oddziały nacierają właśnie na zaporę z mięsożernych kwiatów. Dzikie rośliny pochylają się nad nimi, skuszone zapachem ciepłego mięsa – są jednak zbyt powolne i wszystkie nieprzyjacielskie wojowniczkę przechodzą bezpiecznie, zanim jakiegokolwiek rosiczce uda się którąś chociażby uszczyplnąć.

A więc Matka jednak się myliła!

Tuż przed starciem się z wrogiem pierwszy szereg Chlipoukanijek oddaje salwę, celując gdzie popadnie – eliminują w ten sposób jedynie około dwudziestu napastniczek. Drugi szereg nie ma

nawet czasu ustawić się w pozycji do strzału: wszystkie artylerzystki zostają schwyte za gardło i pozbawione głów, zanim udaje im się wypuścić kroplę kwasu. Czaszki młodych Chlipoukanijek latają wokół. Bezgłowe ciała kontynuują walkę na oślep lub umykają, sięjąc strach wśród ocalałych.

Po upływie dwunastu minut oddziały rudych znacznie się przerzedziły. Druga połowa wojska barykaduje wszystkie wejścia do miasta. Chli-pou-kan nie ma jeszcze kopuły, jego sklepienie stanowią małe kratery otoczone rozdrobnionym żwirem.

Wszyscy są w szoku. Zadać sobie tyle trudu, by zbudować nowoczesne miasto, i widzieć, jak zostaje wydane na pastwę bandy barbarzyńców do tego stopnia prymitywnych, że nie potrafią nawet sami się żywić!

Królowej Chli-pou-ni na nic już zdają się liczne PA, nie widzi sposobu stawienia oporu wrogowi. Odłamki kamieni blokujące wejścia wytrzymają jeszcze najwyżej kilka chwil, a Chlipoukanijczycy wcale nie są lepiej przygotowani do walki w korytarzach niż na otwartej przestrzeni.

Na zewnątrz ostatnie rude wojowniczkę walczą zaciekle. Niektóre z nich miały możliwość wycofania się, ale przed większością wejścia zostały zatrzaśnięte. Nadal jednak stawiają bardzo skuteczny opór – nie mają już nic do stracenia i wierzą, że im dłużej uda im się zatrzymać wroga na odległość, tym dokładniej wejścia zostaną zamurowane.

Ostatnia Chlipoukanijka zostaje zdekapitowana, a jej ciało instynktownie zastawia jedno z wejść i wczepia się w nie pazurami, tworząc prowizoryczną tarczę.

Wewnątrz Chli-pou-kan wszyscy czekają. Czekają w posępnej rezygnacji. Fizyczna siła ma jednak skuteczność, której technologia nie zdołała pokonać...

Hodowcy niewolników nie ruszają jednak do ataku. Niczym Hannibal u bram Rzymu – wahają się. Wszystko wydaje się zbyt proste: musi tu być jakaś pułapka. Reputacja morderczyń znana jest aż tutaj, ale wieści o sile rudych również dotarły daleko. W obozie najeźdźców mówi się, że są zdolne do zastawiania niezwykle zręcznych pułapek. Podobno wchodzi w układy z najemnikami, którzy pojawiają się w najmniej oczekiwanym momencie. Potrafią też ponoć poskramiać dzikie zwierzęta i produkować tajemną broń, zadającą ból nie do wytrzymania. A poza tym, o ile hodowcy niewolników czują się pewnie na otwartej przestrzeni, o tyle nienawidzą być w zamknięciu, otoczeni ścianami.

Nie nacierają zatem na barykady ustawione przy wejściach. Czekają. Mają czas. W końcu noc zapadnie nie wcześniej niż za jakieś piętnaście godzin.

W mrowisku panuje zdziwienie. Czemu wróg nie atakuje? Chli-pou-ni nie podoba się ta strategia. Niepokoi się, gdyż wróg działa, „wykraczając poza jej sposób rozumowania”, a przecież nie ma ku temu żadnego powodu – jest znacznie silniejszy. Niektóre z córek

wysuwają śmiało hipotezę, iż może próbuje się je zagłodzić. Taka możliwość dodaje rudym odwagi: dzięki podziemnym oborom, hodowlom grzybów i spichlerzom z mąką, zbiornikom wypełnionym spadzią, są w stanie przetrwać nawet dwumiesięczne oblężenie.

Chli-pou-ni nie wierzy jednak w taką możliwość. Jedyne, czego chcą te na górze, to gniazdo na noc. Wspomina słynną wypowiedź Matki: *Jeśli przeciwnik jest silniejszy, działaj, starając się wyjść poza jego sposób rozumowania*. Tak, w obliczu tych brutalni tylko najnowocześniejsze techniki mogą przynieść ocalenie.

Pięćset tysięcy Chlipoukanijczyków poddaje się PA. Wreszcie pojawia się ciekawy wątek dyskusji. Małe robotnica nadaje:

Błędem z naszej strony było reprodukcja broni i naśladowanie strategii używanych w Bel-o-kan. Nie możemy ich kopiować, musimy tworzyć własne rozwiązania swoich problemów.

Po pojawieniu się tego feromonu umysły odblokowują się natychmiast i bardzo szybko zostaje podjęta decyzja. Wszyscy zabierają się do pracy.

JANCZAR: W XVI wieku sułtan Murad I stworzył specyficzne oddziały wojska, nazwane janczarami (z tureckiego „yeni tcheri” – nowe wojsko). W ich szeregach walczyły jedynie sieroty. Tureccy żołnierze, grabiąc armeńskie lub słowiańskie wioski, porywali małe dzieci i zamykali je w specjalnej szkole wojskowej, w której żyły odcięte całkowicie od reszty świata. Uczone jedynie sztuk walki, dzieci te stawały się najlepszymi wojownikami w całym Imperium Osmańskim i niszczyły bezlitośnie wioski zamieszkałe przez ich prawdziwe rodziny. Nigdy żadnemu z janczarów nie przyszło do głowy, by stawić czoło porywaczom u boku własnych krewnych. Rośli w siłę, aż wreszcie zaniepokoiło to sułtana Mahmuta II, który w 1826 roku kazał ich wszystkich zgładzić i podpalił szkołę.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Profesor Leduc przytaszczył dwie wielkie skrzynie. Z jednej wyjął zadziwiający model spalinowej wiertarki udarowej. Zabrał się czym prędzej do burzenia muru postawionego przez policjantów, aż wreszcie udało mu się oczyścić okrągły otwór umożliwiający zejście do piwnicy.

Kiedy ustał hałas, babcia Augusta podeszła, by zaproponować mu ziołową herbatkę. Profesor odmówił jednak, tłumacząc, iż mogłoby to wzmocnić potrzebę oddawania moczu. Odwrócił się do drugiej skrzyni i wyjął z niej pełen zestaw sprzętu speleologicznego.

– Myśli pan, że tam jest aż tak głęboko?

– Szczerze mówiąc, droga pani, przed przyjściem tutaj przeprowadziłem badania dotyczące tego budynku. W czasach Odrodzenia zamieszkiwany był przez protestantów, którzy wykopali sekretne przejście. Jestem niemal pewien, że przejście to kończy się w Lesie Fontainebleau. Tą

właśnie drogą protestanci uciekali przed swymi prześladowcami.

– Skoro jednak ludzie, którzy zeszli do piwnicy, wychodzili w lesie, nie rozumiem, dlaczego już więcej się nie pokazali? Tam jest mój syn, mój wnuk z żoną... kilkunastu policjantów i żandarmów. Żadna z tych osób nie miała powodu, by się ukrywać. Mają przecież rodziny, a wojny religijne już dawno się skończyły.

– Jest pani tego zupełnie pewna?

Wbił w nią wzrok z dziwnym wyrazem twarzy.

– Religie przybrały teraz inne nazwy. Zwą się teraz filozofiami lub... naukami. Ale nadal są równie dogmatyczne.

Profesor przeszedł do sąsiedniego pokoju, by przebrać się w strój speleologa. Gdy pojawił się ponownie, ruchy krępował mu ekwipunek, a głowa wciśnięta była w jaskrawoczerwony kask ozdobiony na przedzie lampką. Augusta omal nie parsknęła śmiechem. On jednak ciągnął dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Po protestantach mieszkanie zajmowali członkowie przeróżnych sekt. Niektórzy oddawali się starym pogańskim kultom, inni czcili cebulę albo czarną rzodkiew, kto wie?

– Cebula i czarna rzodkiew są bardzo zdrowe. Mogę zrozumieć kogoś, kto je czci. Zdrowie jest w życiu najważniejsze. Proszę spojrzeć: jestem głucha, wkrótce będę całkowicie zramolała – każdego dnia zbliżam się do śmierci.

Leduc chciał dodać jej otuchy:

– Proszę się nie martwić, całkiem dobrze jeszcze pani wygląda.

– A właśnie, ile by mi pan dał lat?

– Nie wiem... sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt.

– Sto lat, proszę pana! Tydzień temu skończyłam sto lat. Całe moje ciało jest schorowane, życie jest z każdym dniem coraz bardziej niezdolne, szczególnie od czasu, gdy straciłam wszystkich, którzy byli mi bliscy.

– Rozumiem panią, starość jest ciężką próbą.

– Ma pan jeszcze wiele takich sentencji w zanadrzu?

– Ależ...

– No, proszę szybko schodzić na dół. Jeśli do jutra pan nie wróci, dzwonię po policję, a oni z pewnością postawią mi gruby mur, którego nikt już nie zburzy.

Drażona bez przerwy od wewnątrz przez larwy gąsienicznika 4000 cierpi na bezsenność, nawet podczas najchłodniejszych nocy. Czeka zatem spokojnie na śmierć, oddając się pasjonującym ryzykownym działaniom, na które nigdy nie odważyłaby się w innych okolicznościach – odkrywaniu krańca świata, na przykład.

Idą jeszcze ciągle w kierunku pól żniwiarek. Po drodze 103 683 stara się przypomnieć sobie

niektóre z lekcji przekazanych jej przez niańki. Tłumaczyły jej, że Ziemia jest sześcianem niosącym życie jedynie na górnej płaszczyźnie.

Co zobaczy, gdy dotrze wreszcie na koniec świata, na jego krawędź?

Wodę? Pustkę innego nieba?

Ona i jej skazana na śmierć towarzyszka dowiedzą się więcej niż wszystkie badaczki, niż wszystkie rude mrówki od zarania dziejów!

Czując na sobie zdziwione spojrzenie 4000, wojownicza 103 683 rusza nagle stanowczym krokiem.

Kiedy po południu hodowczynie niewolników decydują się sforsować otwory wejściowe Miasta, są wielce zaskoczone, nie napotkawszy żadnego oporu. Wiedzą przecież doskonale, że nie zgładziły całej armii rudych, nawet biorąc pod uwagę małe rozmiary Miasta.

Należy być czujnym...

Posuwają się tym ostrożnie, że przyzwyczajone są do życia na dużych przestrzeniach, gdzie korzystają ze swego wspaniałego wzroku, w podziemiach natomiast są kompletnie ślepe. Bezpłciowe rudnice również nic nie widzą, ale przynajmniej są przyzwyczajone do poruszania się wąskimi kiszkami korytarzy tego świata ciemności.

Wróg dociera do Zakazanego Miasta. Wszędzie pusto. Na ziemi leżą nawet nietknięte stopy pożywienia! Zwolennicy niewolników schodzą dalej w głąb. Spichlerze są pełne – ktoś musiał tu być bardzo niedawno, to pewne.

Na piętrze -5 trafiają na ślad świeżych feromonów. Próbuje rozszyfrować rozmowy, które tu się odbyły, lecz rude położyły gałązkę tymianku, której zapach zakłóca wszelkie emanacje.

Piętro -6. Nie lubią czuć się zamknięte pod ziemią. Tak ciemno w tym Mieście!

Jak rudnice są w stanie wytrzymać w tej ciemnej niczym śmierć przestrzeni?

Na piętrze -8 trafiają na ślad jeszcze świeższych feromonów. Przyspieszają kroku, rude muszą być już niedaleko.

Na piętrze -10 trafiają na grupę obarczonych jajeczkami robotnic uciekających przed napastniczkami. A więc to tak! Wreszcie zrozumiały, że całe Miasto przeniosło się na najniższe piętra, licząc na to, że w ten sposób uda im się uratować cenne potomstwo.

Ponieważ wreszcie wszystko stało się jasne i logiczne, hodowczynie niewolników zapominają o ostrożności i biegną korytarzami, wydając z siebie osławiony feromon-okrzyk wojenny. Robotnikom chlipoukanijskim nie udaje się ich zgubić, a docierają już na -13 piętro.

Nagle mrówki niosące jajeczka znikają w tajemniczy sposób, korytarz natomiast otwiera się na olbrzymią salę, gdzie na podłodze stoją wielkie kałuże spadzi.

Intruzi instynktownie rzucają się ku nim, by zliżać cenny nektar – nie można przecież pozwolić, by wsiąkł w ziemię.

Kolejne wojowniczkki tłoczą się za nimi – sala jest jednak gigantyczna, miejsca i spadzi wystarczy dla wszystkich. Jakie to pyszne, jakie słodkie! To musi być z pewnością komnata z zapasami – jedna z hodowczyń niewolników już o tym słyszała: *Tak zwana nowoczesna technika polegająca na zmuszaniu nieszczęsnej robotnicy do spędzania całego życia wisząc głową w dół z rozciągniętym do granic możliwości odwłokiem.*

Po raz kolejny mają okazję, by ośmieszyć mieszczuchów, równocześnie dogadzając sobie spadzią. Pewien szczegół przyciąga nagle ich uwagę. Zadziwiające, że tak olbrzymia komnata ma tylko jedno wejście...

Nie ma czasu, by kontynuować rozmyślania. Rudnice właśnie skończyły kopać. Z sufitu spada ulewa. Hodowczynie usiłują uciekać korytarzem, lecz wyjście zatarasowane jest teraz wielkim głazem. Poziom wody podnosi się. Te, które nie zostały powalone uderzeniem wody, miotają się teraz ze wszystkich sił.

Pomysł narodził się dzięki rudej wojowniczce, która zauważyła, że nie należy naśladować wyłącznie starszych, i która następnie zapytała: *Co jest charakterystyczne dla naszego Miasta?* W odpowiedzi wszystkie nadały jeden wspólny feromon: *Podziemne źródło na -12 poziomie!*

Wystarczyło zatem tylko zmienić bieg jednego z rowów odwadniających, cały czas uszczelniając podłoże za pomocą natłuszczonych liści. Reszta wiązała się już właściwie z techniką budowy cystern. Rudnice skonstruowały wielki zbiornik wody w jednej z komnat, a następnie wydrążyły otwór gałązką w samym jej środku. Najtrudniejsze było oczywiście utrzymanie gałązki-wiertarki ponad poziomem wody. Wreszcie udało się to mrówkom uwieszonym u sufitu w sali służącej za zbiornik.

Poniżej hodowczynie niewolników machają nóżkami ze wszystkich sił. Większość z nich już utonęła, ale gdy cała woda przelała się do sali znajdującej się poniżej, poziom wody okazał się na tyle wysoki, że niektórym wojowniczkom udaje się wyjść przez otwór w suficie. Rude natychmiast jednak dobijają je strzałami kwasu.

Godzinę później zupa z wroga jest już nieruchoma. Królowa Chli-pou-ni odniosła zwycięstwo. Wygłasza więc swą pierwszą sławną sentencję: *Im wyżej ustawiona jest poprzeczka, tym bardziej zmusza nas do przejścia samych siebie.*

Głuche i regularne uderzenia ściągnęły Augustę do kuchni dokładnie w momencie, gdy profesor Leduc przeciskał się przez otwór w murze. A to dopiero! Po dwudziestu czterech godzinach! I na dodatek ze wszystkich zaginionych powrócić musiała akurat osoba antypatyczna, której zniknięcie było jej całkowicie obojętne!

Kombinezon speleologa był w strzępach, lecz on sam był cały i zdrowy. Widać też było po nim, że nie znalazł tego, czego szukał.

– No więc?

– Co, no więc?

– Znalazł ich pan?

– Nie...

Augusta była poruszona. Po raz pierwszy komuś udało się powrócić z tej dziury żywym i zdrowym na umyśle. Można zatem jednak wyjść cało z tej przygody!

– Ale co się tam znajduje w głębi? Czy korytarz kończy się rzeczywiście w Lesie Fontainebleau, tak jak pan się spodziewał?

Zdjął kask.

– Proszę mi przynieść najpierw coś do picia. Wyczerpałem wszystkie zapasy żywności i nie piłem od wczorajszego południa.

Przyniosła mu ciepłą herbatkę ziołową, którą zawsze trzymała w termosie.

– Chce pani wiedzieć, co tam się znajduje poniżej? Kręcone schody ciągną się stromo kilkaset metrów w dół. Są drzwi. Jest korytarz o czerwonych odbłaskach, pełen szczurów, dalej w głębi znajduje się ściana, którą musiał tam postawić pani wnuk Jonatan. Bardzo solidny mur, próbowałem przewiercić się na drugą stronę, ale bezskutecznie. Prawdopodobnie obraca się lub przesuwają, gdyż ma zakodowany mechanizm przycisków z literami.

– Zakodowane przyciski z literami?

– Tak, trzeba chyba wstukać słowo odpowiadające na pytanie.

– Na jakie pytanie?

– *Jak ułożyć cztery trójkąty równoboczne z sześciu zapalek?*

Augusta nie mogła pohamować się od śmiechu, czym bardzo rozdrażniła naukowca.

– Pani zna odpowiedź!

Między dwoma wybuchami śmiechu udało jej się wydusić z siebie:

– Nie! Wcale nie! Nie znam odpowiedzi! Ale bardzo dobrze znam to pytanie!

Śmiała się i śmiała. Profesor Leduc mruknął:

– Zastanawiałem się nad tym całymi godzinami. Oczywiście udaje się ułożyć trójkąty w kształcie litery V, lecz nie są one równoboczne.

Zabrał się do składania sprzętu.

– Jeśli pani pozwoli, pójdę poradzić się przyjaciela matematyka i wrócę tu.

– Nie!

– Jak to nie?

– Miał pan tylko jedną szansę. Skoro nie potrafił pan z niej skorzystać, to trudno. Proszę zabrać stąd te skrzynie. Żegnaj pana!

Nawet nie zadzwoniła po taksówkę dla niego. Jej awersja do tego człowieka wzięła górę, a bijący od niego zapach był nie do zniesienia.

Usiadła w kuchni, z twarzą zwróconą ku rozprutej ścianie. Sytuacja zmieniła się. Postanowiła zadzwonić do Jasona Bragela i do tego Rosenfelda. Uznała, że powinna zabawić się jeszcze trochę przed śmiercią.

LUDZKI FEROMON: Podobnie jak owady, które porozumiewają się między sobą za pomocą zapachów, człowiek również dysponuje językiem zapachowym, dzięki któremu może prowadzić potajemne rozmowy.

Ponieważ nie mamy czułek-nadajników, feromony wydzielamy spod pach, a także sutkami, skórą głowy i narządami płciowymi.

Komunikaty te odbierane są nieświadomie, co nie zmniejsza bynajmniej ich skuteczności. Człowiek ma pięćdziesiąt milionów węchowych zakończeń nerwowych; pięćdziesiąt milionów komórek, które są w stanie rozróżnić tysiące zapachów, gdy tymczasem nasz język rozpoznaje zaledwie cztery smaki.

Jaki użytek robimy z tego sposobu komunikacji?

Przede wszystkim nadajemy sygnały płciowe. Samica może zwabić samca, używając jedynie swych naturalnych zapachów (które zresztą zbyt często tłumione są sztucznymi!). Zapach, który nie działa na mężczyznę, może wręcz od kobiety odpychać.

Mechanizm jest bardzo sprytny. Obie istoty nie zdają sobie nawet sprawy z zapachowej rozmowy, którą odbyły – mówi się w takich wypadkach, że miłość jest ślepa.

Wpływ feromonów ludzkich może również objawiać się we wzajemnej agresji. Podobnie jak pies, człowiek, który wywęszy u przeciwnika zapach niosący komunikat strachu, będzie miał oczywiście ochotę go zaatakować.

Wreszcie jednym z najbardziej spektakularnych skutków działania ludzkich feromonów jest z całą pewnością synchronizacja cykli menstruacyjnych. Zorientowano się bowiem, że kobiety mieszkające razem wydzielają zapachy, które dostosowują ich organizmy w ten sposób, że u wszystkich krwawienie miesięczne pojawia się dokładnie w tym samym czasie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Pośród żółtych pól dostrzegają pierwsze żniwiarki. Prawdę powiedziawszy, powinno nazywać się je raczej drwalkami – zboża przerastają je znacznie wysokością, mrówki muszą więc ucinąć lodygi u nasady, by opadły z nich pożywne ziarna.

Poza zbieractwem ich głównym zajęciem jest niszczenie innych roślin rosnących wokół plantacji. Używają do tego celu środka chwastobójczego własnej produkcji: kwasu

indolooctowego, który rozpylają za pomocą gruczołu znajdującego się na odwłoku.

Swoim pojawieniem się 103 683 i 4000 niemal nie zwracają uwagi żniwiarek. Te nigdy wcześniej nie widziały rudych mrówek i biorą je za dwie uciekające niewolnice lub mrówki poszukujące wydzieliny lomechusy – krótko mówiąc, za włóczęgi albo narkomanki.

Wreszcie jednej ze żniwiarek udaje się wykręcić cząsteczkę zapachową należącą do czerwonych mrówek. Porzuca na chwilę swe czynności i w towarzystwie koleżanki zbliża się do podróżniczek.

Spotkałyście czerwone? Gdzie one są?

W trakcie rozmowy Belokanijki dowiadują się, że kilka tygodni temu czerwone zaatakowały gniazdo żniwiarek. Zamordowały swym jadowitym ostrzem około setki robotnic i płciowych, a następnie zagrabiły cały zapas mąki zbożowej. Po powrocie z wyprawy na Południe, która miała na celu poszukiwanie nowych ziaren, armia żniwiarek mogła jedynie ocenić szkody.

Rudnice przyznają, że rzeczywiście napotkały na swej drodze czerwone. Wskazują kierunek, w którym należy się udać, by je odnaleźć, i opowiadają swoją własną odyseję.

Szukacie krańca świata?

Przytakują. Tamte wybuchają feromonami śmiechu. Cóż w tym śmiesznego? Czyżby nie istniał?

Owszem, istnieje, i właśnie do niego dotarliście! Oprócz pracy w polu staramy się pokonać kraniec świata.

Żniwiarki proponują, że następnego dnia z samego rana poprowadzą obie turystki ku owemu metafizycznemu miejscu. Wieczór mija na rozmowach, w zaciszu małego gniazda, które żniwiarki wydrążyły w korze buka.

A co ze Strażnikami i Krańca Świata? – pyta 103 683.

Nie martwcie się, zobaczycie ich wcześniej niż byście chcieli.

Czy to prawda, że posiadają broń, która jest w stanie za jednym zamachem zgnieść całą armię?

Żniwiarki są zdziwione, że nieznajome wiedzą o takich szczegółach.

To prawda.

103 683 wreszcie pozna rozwiązanie zagadki tajnej broni!

Tej nocy śni. Widzi Ziemię, która kończy się ścianą wody – pionowy mur zakrywa Niebo, a z wody wylaniają się niebieskie mrówki dzierżące niszczycielskie gałęzie akacji. Wystarczy jedno dotknięcie magicznej gałęzi, by wszystko zniszczyć.

KRES PODRÓŻY

Augusta spędziła cały dzień nad sześcioma zapalkami. Jedno zrozumiała – mur był bardziej psychologiczny niż rzeczywisty. Słynne „trzeba myśleć inaczej!” Edmunda... Jej syn coś odkrył, tego była pewna, i starał się to ukryć, wykorzystując całą swoją inteligencję.

Przypomniała sobie jego gniazda z dzieciństwa, jego kryjówki. Może to dlatego, że wszystkie mu zniszczono, próbował sobie zbudować jedną, która byłaby nie do zdobycia, w której nikt nigdy by mu nie przeszkodził... Odgródzone od świata miejsce, które zapewniałoby mu święty spokój... i byłoby niewidzialne.

Augusta otrząsnęła się z ogarniającego ją zmęczenia. Przywołała wspomnienie dalekiej przeszłości. Jako mała dziewczynka w pewną zimową noc zrozumiała, że mogą istnieć liczby poniżej zera 3, 2, 1, 0, a następnie -1, -2, -3... Liczby na opak! Tak jakby przewracało się na lewą stronę rękawiczkę. Po drugiej stronie istniał inny, nieskończony świat: zupełnie jakby ściana zera została zburzona. Musiała mieć wtedy siedem albo osiem lat, lecz odkrycie to poruszyło ją i nie dało spać całą noc. Liczby na opak... Wejście do innego wymiaru. Trzeci wymiar! Wypukłość!

O Boże!

Rękoma drżącymi z przejęcia, płacząc, sięga po zapalki. Układa trzy z nich w trójkąt, a następnie ustawia w każdym rogu po jednej, tak by wszystkie zbiegły się w jednym punkcie.

Powstaje piramida. Piramida i cztery trójkąty równoboczne.

Oto granica Ziemi. Zdumiewające miejsce. Nie ma w tym już nic naturalnego, nic ziemskiego. 103 683 inaczej to sobie wyobrażała. Skraj świata jest czarny. Nigdy nie widziała nic równie czarnego! Jest twardy, gładki, ciepły i wydziela woń olejów mineralnych. Zamiast pionowego oceanu daje się tu odczuć powietrzne prądy o niebywałej sile.

Przez długą chwilę usiłują pojąć, co się dzieje. Od czasu do czasu pojawiają się wibracje. Ich nasilenie wzrasta wykładniczo. Następnie ziemia zaczyna drzeć, silny wiatr porusza czułkami mrówek, piekielny hałas sprawia, że klekoczą nogi. Niby gwałtowna burza. Zaledwie to zjawisko się pojawia, a już znika, zostawiając po sobie opadające kłęby kurzu.

Wiele badaczek-żniwiarek chciało pokonać tę granicę, ale Strażnicy czuwają. Ten hałas, ten wiatr, te wibracje – to właśnie oni: Strażnicy Krańca Świata, uderzający we wszystko, co próbuje pokonać czarną ziemię.

Czy widziały już tych Strażników? Zanim rudym udało się otrzymać jakąś odpowiedź, nadchodzi nowa fala huku, by po chwili zaniknąć. Jedna z sześciu towarzyszących im żniwiarek twierdzi, że nikomu jeszcze nie udało się przejść po przeklętej ziemi i wrócić z niej żywym. Strażnicy miażdżą wszystko.

Strażnicy... to oni musieli zaatakować La-chola-kan i ekspedycję, w której udział brał samiec 327. Ale dlaczego opuścili kraniec świata i zapuścili się na zachód? Czy chcą opanować cały świat?

Żniwiarki nie mają więcej informacji niż rudnice. Czy da się ich przynajmniej opisać? Wiedzą jedynie, że mrówki, które zbliżyły się do Strażników, zginęły zgniecione. Nie wiadomo nawet, do jakiej kategorii żyjących istot ich zaliczyć: czy są olbrzymimi owadami? Roślinami? Żniwiarki wiedzą tylko, że są bardzo szybcy i bardzo silni. To siła, która je przerasta, która nie przypomina niczego, co było im dotąd znane...

W pewnym momencie 4000 podejmuje decyzję równie nagłą, co nieprzewidzianą. Opuszcza grupę i wbiega na zakazany teren. Raz kozie śmierć, spróbuje przekroczyć kraniec świata, ot tak, z tupetem. Pozostałe patrzą na nią, oszołomione.

Posuwa się powoli, starając się wyczuć wrażliwymi końcami nówek najmniejsze drganie, najdelikatniejszą woń zwiastującą nadciągającą śmierć.

Już pokonała odległość pięćdziesięciu głów, stu, dwustu, czterystu, pięciuset... ośmiuset głów... I nic! Jest cała i zdrowa.

Reszta badaczek dopinguje ją. Stąd, gdzie się znajduje, widzi białe, przerywane pasy biegnące po lewej i prawej stronie. Na czarnej ziemi wszystko jest martwe: ani śladu owada, najmniejszej rośliny. Podłoże jest tak czarne... to nie jest prawdziwa ziemia.

Daleko przed sobą dostrzega rośliny. Czy to możliwe, że po drugiej stronie istnieje inny świat? Rzuca kilka feromonów pozostałym na brzegu towarzyszkom, by im to wszystko opowiedzieć – ciężko się jednak rozmawia na tak dużą odległość.

Zawraca zatem i... w tej właśnie chwili daje się odczuć kolejny olbrzymi wstrząs i hałas. Strażnicy powracają! 4000 galopuje ze wszystkich sił, żeby dołączyć do reszty uczestniczek wyprawy.

Zastygają przerażone na ułamek sekundy, podczas którego przez niebo przewala się oszalamiająca masa. Strażnicy minęli je w oparach mineralnych olei. A 4000 znikła.

Mrówki podchodzą bliżej krawędzi i... już wiedzą. 4000 została zmiażdżona z taką siłą, że jej ciało stanowi już jedynie warstewkę o grubości jednej dziesiątej głowy, całkowicie wgniecione w czarne podłoże!

Nic nie zostało ze starej belokanijskiej badaczki. Tym samym skróciła się męczarnia spowodowana przez jajeczka gąsienicznika. Widać nawet, że jedna z larw przebiła jej grzbiet: to mały biały punkcik na spłaszczonym rudym ciele.

Tak zatem atakują Strażnicy Krańca Świata. Słysząc huk, czuć podmuch i w jednej chwili wszystko zostaje unicestwione, zniszczone, zgniecione. 103 683 zastanawia się nadal nad tym fenomenem, gdy daje się słyszeć kolejny hałas. Śmierć uderza, nawet jeśli nikt nie przekracza jej progu. Kurz opada.

103 683 chciałaby mimo to podjąć się przejścia na drugą stronę. Myśli jej powracają do Satei. Sytuacja jest dość podobna. Skoro nie da się iść po powierzchni, trzeba przejść pod spodem. Czarną ziemię można porównać do rzeki, a najlepszym sposobem przedostania się przez rzekę jest wykopanie pod nią tunelu.

Przedstawia swój pomysł sześciu żniwiarkom, które natychmiast entuzjastycznie go przyjmują. To wydaje się tak oczywiste – dlaczego wcześniej na to nie wpadły! Wszystkie zaczynają od razu kopać ze wszystkich sił swych żuwaczek.

Jason Bragel i profesor Rosenfeld nigdy nie przepadali za herbatką ziołową, ale właśnie powoli stawali się jej fanami. Augusta opowiedziała im wszystko ze szczegółami. Wyjaśniła, że jej syn wskazał ich obu jako spadkobierców mieszkania po jej śmierci. Prawdopodobnie każdy z nich będzie miał ochotę zbadać podziemia, tak jak i ona sama. Dlatego też wołałaby zebrać całą energię i uderzyć z jak największą skutecznością.

Po wstępie Augusty cała trójka nie rozmawiała długo. Rozumieli się bez słów. Jedno spojrzenie, uśmiech... Żadne z nich nigdy wcześniej nie miało okazji odczuć tak naglej osmozy myśli – można by powiedzieć, że zostali stworzeni, by się uzupełniać, ich kody genetyczne stapiały się w jedno. Magiczne uczucie. Augusta była bardzo stara, a jednak dwóm rozmówcom wydawała się niezwykle piękna...

Wspominali Edmunda; sami byli zaskoczeni swoim bezinteresownym przywiązaniem do niego. Jason Bragel nie mówił o swojej rodzinie, Daniel Rosenfeld nie wspominał o pracy, Augusta nie narzekała na swoją chorobę. Postanowili zejść do piwnicy jeszcze tego samego wieczoru. Wiedzieli, że muszą to zrobić, tu i teraz.

PRZEZ DŁUGI CZAS: Przez długi czas sądzono, że informatyka, a w szczególności sztuczna inteligencja rzucią nowe światło na ludzkie idee. Krótko mówiąc, spodziewano się, że elektronika stworzy nową filozofię. Mimo że przedstawia się ten surowiec na różne sposoby, zawsze jest on jednak ten sam: owoc ludzkiej wyobraźni. Ślepy zaulek.

Najlepszy sposób, by odnowić myśl, to wykroczyć poza granice ludzkiej wyobraźni.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Chli-pou-kan rośnie w inteligencję i w siłę: jest już teraz młodym miastem. Kontynuując

technologię rozwoju opartą na oswojaniu wody, założono sieć kanałów pod poziomem -12. Każda z odnóg umożliwiła transport pożywienia z jednego końca miasta na drugi. Chlipoukanijczycy mogą teraz do woli wymyślać przeróżne techniki transportu wodnego. Szczytem doskonałości okazuje się pływający liść borówki. Wystarczy trafić na odpowiedni prąd i można przemierzyć odległość kilkuset głów. Grzybiarki ze Wschodu podróżują w ten sposób aż do obór na Zachodzie.

Mrówki mają nadzieję, że uda im się kiedyś oswoić pływaki. Te wielkie, podwodne chrząszcze, wyposażone w pęcherze z powietrzem umieszczone pod pochewką skrzydłową, potrafią bardzo szybko pływać. Gdyby udało się je namówić do popychania liści borówki, tratwy zyskałyby napęd o wiele pewniejszy niż prąd wody.

Chli-pou-ni wpada na kolejny fantastyczny pomysł. Przypomina sobie chrząszcza nosorożca, który wyzwolił ją swego czasu z pajęczyny – cóż za doskonała machina wojenna! Rohatyniec nie tylko posiada wielki róg pośrodku czoła i wytrzymały pancerz, lecz potrafi również latać z dużą szybkością. Matka ma już przed oczyma cały oddział złożony z tych stworzeń, z których każde niesie na głowie po dziesięć artylerzystek. Wyobraża sobie te niemal niezwykłe grupy bojowe nacierające na nieprzyjaciela i zalewające go kwasem...

Jedyny szkopuł: podobnie jak pływaki, nosorożce bardzo ciężko jest oswoić, gdyż ich język jest całkowicie niezrozumiały dla mrówek. Dlatego też specjalne grupy robotnic spędzają wiele czasu, rozszyfrowując ich zapachowe emisje i próbując wytłumaczyć im feromonowy język mrówek. Nawet jeśli rezultaty tych lekcji nie są zbyt zadowalające, Chlipoukanijczycy zjedną sobie chrząszcze nosorożce, pozwalając obżerać im się spadzią. Pożywienie okazuje się najlepiej rozumianym wspólnym językiem owadów.

Choć zadowolona z kolektywnego dynamizmu, Chli-pou-ni jest pełna obaw. Trzy delegacje emisariuszek wysłanych w kierunku stolicy Federacji w celu obwieszczenia powstania sześćdziesiątego piątego miasta nie dały znaku życia. Czyżby Bel-o-kan odrzucało ten sojusz? Po długich rozmyśleniach Chli-pou-ni dochodzi do wniosku, że jej wysłannicy nie okazali się wystarczająco ostrożni i dali się przechwycić wojowniczkom o zapachu skały. Albo przydarzyło im się jeszcze coś innego.

Królowa chce mieć pewność. Nie ma zamiaru rezygnować ani z uznania jej miasta przez Federację, ani z dalszego śledztwa. Postanawia wysłać tam 801, swoją najlepszą i najsprytniejszą wojowniczkę. Odbywa z nią PA, by przekazać młodej mrówce wszystkie przydatne informacje. Będzie teraz znała tajemnicę równie dobrze, co ona sama. Stanie się:

*Okiem, które widzi
czułkiem, który czuje
pazurkiem uderzającym z Chli-pou-kan.*

Starsza pani przygotowała plecak pełen wiktuałów i napoi, między innymi trzy termosy z ciepłą herbatką ziołową. Nie można dopuścić do sytuacji, której ofiarą padł ten antypatyczny Leduc, zmuszony do powrotu na powierzchnię z powodu zaniedbania kwestii aprowizacji. Zresztą, czy on byłby w stanie kiedykolwiek odgadnąć słowo-kod? Augusta szczerze w to wątpiła.

Oprócz innych elementów ekwipunku Jason Bragel uzbroił się w dużych rozmiarów butle z gazem łzawiącym i trzy maski. Daniel Rosenfeld zabrał z kolei najnowszy model aparatu fotograficznego z lampą błyskową. Kręcili się teraz wewnątrz karuzeli z kamienia. Długotrwałe schodzenie w głąb piwnicy sprzyjało, jak w wypadku ich poprzedników, przywoływaniu wspomnień i najszybszych myśli. Najmłodsze lata, rodzice, pierwsze cierpienia, popełnione błędy, zawiedziona miłość, egoizm, duma, wyrzuty sumienia...

Ruchy ciała były automatyczne, niemal nie czuli zmęczenia. Schodzili w głąb planety i w minione życie. Ach! Jakże długie było życie i jakże bardzo mogło być destruktywne. Niszczyło o wiele więcej niż tworzyło.

Dotarli wreszcie przed drzwiami, na których widniały słowa:

W chwili śmierci dusza odczuwa to samo, co ci zapoznani z wielkimi Tajemnicami. Najpierw biegli drogami o licznych zakrętach, którymi kieruje przypadek, w ciemnościach odbywali niepokojące podróże bez końca.

Następnie, już u kresu, strach przechodzi wszelkie granice. Dreszcz, drżenie, zimny pot, dom inuujące przerażenie.

Po tym etapie niemal natychmiast następuje wyjście ku światłu, ku nagłej iluminacji.

Cudowna łuna ukazuje się oczom, mija się miejsca czyste, prerie, na których rozbrzmiewają głosy i tańce.

Święte słowa inspirują religijny szacunek.

Doskonale, wtajemniczony człowiek staje się wolny i czci Tajemnice.

Daniel uwiecznił napis na zdjęciu.

– Znam ten tekst – stwierdził Jason. – To Plutarch.

– Rzeczywiście, piękne słowa.

– Nie boicie się? – spytała Augusta.

– Owszem, ale właśnie w tym celu został tu zamieszczony ten napis. Zresztą zgodnie z tym, co tu czytamy, kiedy mija przerażenie, nadchodzi czas iluminacji. Działajmy więc stopniowo. Skoro konieczna jest odrobina strachu, dajmy mu się opanować!

– No właśnie, szczyry...

Wystarczyło tylko wypowiedzieć te słowa. Były tu. Trójka badaczy czuła ich przyczajoną obecność lękającą się kontaktu: tłoczyły się tuż przy ich wysokich butach. Daniel znów pstryknął

zdjęcie. W błysku lampy ukazała się masa szarych kulek o czarnych uszach. Jason szybko rozdał maski i obficie rozpylił gaz łzawiący. Gryzonie nie prosiły o dokładkę...

Schodzili dalej jeszcze dłuższą chwilę.

– A gdyby tak coś przekazać, panowie? – zaproponowała Augusta.

Zrobili więc sobie przerwę na piknik. Przygoda ze szczurami wkrótce poszła w zapomnienie, a całej trójce zdecydowanie poprawił się humor. Ponieważ w piwnicy panował dotkliwy chłód, zakończyli posiłek rozgrzewającym kieliszkiem alkoholu i pyszną, gorącą kawą. Herbatka ziołowa podawana miała być jedynie na podwieczorek.

Muszą dość długo kopać, zanim zdołają wyjść na powierzchnię w miejscu, gdzie ziemia jest wystarczająco pulchna. Wreszcie – niczym peryskop – pojawia się para czułek, otacza je fala nieznanych zapachów.

Wolne powietrze. Oto są po drugiej stronie krańca świata, a wciąż nie widać ściany wody. Jest za to świat, który naprawdę nie przypomina niczego, co byłoby im znane. Można dostrzec co prawda kilka drzew i kępek trawy, ale zaraz za nimi rozciąga się szare, twarde i gładkie pustkowia. Robią kilka kroków naprzód, lecz oto w ziemię wokół nich uderzają olbrzymie, czarne przedmioty. Przypominają Strażników, z tym że ich ataki są zupełnie chaotyczne.

To jeszcze nie wszystko. Daleko przed nimi wznosi się gigantyczny monolit, tak wysoki, że ich czułki nie są w stanie wyczuć jego granic. Jego masa rzuca cień na niebo, wręcz przygniata ziemię.

To musi być mur końca świata, za nim jest woda – myśli 103 683.

Podchodzą jeszcze bliżej i nagle stają oko w oko z kilkoma karaluchami zgrupowanymi wokół kawałka... nie bardzo wiadomo czego. Przez ich przezroczyste pancerzyki prześwitują wszystkie trzewia, wszystkie narządy, a nawet płynąca arteriami krew. Ohyda! W trakcie ucieczki trzy żniwiarki zgniata upadający z nieba ciężar.

103 683 i jej trzy ocalałe towarzyszkii postanawiają mimo wszystko kontynuować wyprawę. Przedzierają się przez porowate kamienne przeszkody, kierując się ku nieskończonej wielkiemu monolitowi. Wkrótce trafiają w okolicę jeszcze bardziej zaskakującą. Ziemia ma tu czerwoną barwę i strukturę truskawki. Dostrzegają coś na kształt wgłębienia i mają zamiar skryć się w nim, by przez chwilę skorzystać z cienia, gdy nagle na niebie pojawia się biała, wielka, licząca sobie co najmniej dziesięć głów średnicy kula, która odbija się gwałtownie od ziemi i podąża ich śladem. Rzucają się w głąb otworu... i zdążają przyłgnąć do ściany, gdy kula wpada w sam jego środek.

Przeżalone, wydostają się na powierzchnię i pędzą przed siebie. Wokół ziemia jest niebieska, zielona i żółta, wszędzie mnóstwo jest otworów i białych kul. Tym razem przebrała się miarka, odwaga ma swoje granice – ten wszechświat zbyt jednak różni się od ich własnego, by dało się

w nim wytrzymać.

Uciekają więc co sił i wracają podziemnym przejściem do normalnego świata.

CYWILIZACJA (ciąg dalszy): Inny szok cywilizacyjny: zetknięcie się Zachodu i Wschodu.

Kroniki Imperium Chińskiego informują, około roku 115 n.e., o pojawieniu się statku, prawdopodobnie rzymskiego, który w trakcie burzy zboczył z kursu po dziesięciu dniach dryfowania i dobił do brzegu.

Na pokładzie znajdowali się akrobaci i żonglerzy, którzy, aby zyskać sobie przychylność mieszkańców obcego kraju, przygotowali dla nich spektakl. Chińczycy patrzyli oszolomieni na przybyszów o długich nosach, plujących ogniem, wykrcających sobie kończyny, przemieniających żaby w węże i tak dalej. Nic więc dziwnego, że uznali, iż Zachód zamieszany jest przez klaunów i polykaczy ognia. Musiało minąć wiele setek lat, zanim pojawiła się okazja, by wyprowadzić ich z błędu.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Stanęli wreszcie przed ścianą postawioną przez Jonatana. *Jak ułożyć cztery trójkąty z sześciu zapalek?* Daniel oczywiście zrobił zdjęcie. Augusta wystukała słowo „piramida” i mur powoli przesunął się. Była dumna ze swego wnuka.

Przeszli dalej, a ściana po krótkiej chwili powróciła na swoje miejsce. Jason oświetlił korytarz: wszędzie skała, ale już nie taka sama. Poprzednio ściany były czerwone, a teraz przybrały żółty kolor i poprzecinane były żyłkami siarki. Można było jednak oddychać. Dawało się nawet czuć lekki powiew świeżego powietrza. Czyżby profesor Leduc miał rację i tunel kończył się w Lesie Fontainebleau?

Nagle wpadli prosto na kolejną hordę szczurów, o wiele bardziej agresywnych niż te, które spotkali wcześniej. Jason domyślił się, co się tu działo, lecz nie miał możliwości poinformowania o tym swoich towarzyszy, gdyż musieli założyć maski i ponownie rozpylić gaz. Za każdym razem, gdy ktoś przesunął ścianę z kodem – a nie zdarzało się to zbyt często – szczury z czerwonej strefy przechodziły do żółtej strefy w poszukiwaniu pożywienia. O ile te z czerwonej strefy jeszcze jako tako się miewały, o tyle te, które przedostały się na drugą stronę, nie były w stanie znaleźć niczego konkretnego do jedzenia i musiały pożerać się nawzajem.

Jason i jego przyjaciele mieli tu do czynienia z ocalałymi osobnikami – najbardziej bezlitosnymi. W tym wypadku gaz lżawiący okazał się całkowicie bezużyteczny. Szczury nadal atakowały! Podskakiwały, próbowały uczepić się ich ramion...

Daniel, na skraju hysterii, strzelał wokół oślepiającymi błyskami lampy, lecz potężne,

koszmarne bestie wcale nie bały się ludzi. Pierwsze rany. Jason wyciągnął swój nóż i zadłgawszy dwa szczury, rzucił je na pastwę pozostałym. Augusta wystrzeliła kilkakrotnie z rewolweru... Dzięki temu mogli się oddalić, a czas już był ku temu najwyższy!

KIEDY BYŁEM: Kiedy byłem mały, spędzałem długie chwile, siedząc na ziemi i obserwując mrowiska – wydawało mi się to prawdziwsze niż telewizja.

A oto jedna spośród wielu tajemnic, które kryją w sobie mrowiska: dlaczego po pewnej uczynionej przeze mnie masakrze mrówki wynosiły z pobojowiska niektóre ranne siostry, a innym pozwalały umrzeć, mimo że wszystkie były tych samych rozmiarów? Jakich kryteriów selekcji użyto, by jednego osobnika ocenić jako ważnego, a drugiego lekceważyć?

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Podążali korytarzem przetykanym żółtymi żyłkami, aż wreszcie dotarli przed stalową siatkę. Otwór mieszczący się pośrodku nadawał jej wygląd rybackiego kosza. Całość tworzyła stożek zwężający się w taki sposób, że średniej wielkości ludzkie ciało mogło się przez niego precyzyjnie w jedną stronę, powrót jednak uniemożliwiały ostre szpikulce umieszczone u jego wylotu.

– To świeża robota...

– Mhm, zdaje się, że ci, którzy ustawili tu drzwi i ten kosz rybacki, nie życzyli sobie, by ktokolwiek stąd powrócić.

Augusta znów rozpoznała dzieło Jonatana, mistrza zamków i robót w metalu.

– Popatrzcie!

Daniel oświetlił napis:

Tu kres znajduje świadomość;

Czy chcecie zagłębić się w nieświadomość?

Stanęli, zastanawiając się.

– Co robimy?

Wszyscy myśleli o tym samym.

– Skoro dotarliśmy aż tutaj, szkoda byłoby zrezygnować właśnie teraz. Proponuję, żebyśmy szli dalej!

– Idę pierwszy! – rzucił Daniel, chowając za kołnierz spięte w koński ogon włosy, by nie zaczepić nimi o siatkę.

Każdy po kolei precyzyjnie się przez rybacki kosz.

– To zabawne – rzekła Augusta. – Mam wrażenie, że już kiedyś przeżyłam coś podobnego.

– Znalazła się już pani kiedyś w koszu rybackim, który zwężając się, uniemożliwia drogę powrotną?

– Tak, bardzo dawno temu.

– Co pani określa terminem „bardzo dawno”?

– Och! Byłam młoda, musiałam mieć... jedną albo dwie sekundy.

Żniwiarki relacjonują w swoim mieście przygody z drugiego krańca świata, krainy potworów i niezrozumiałych zjawisk. Karaluchy, czarne płyty, gigantyczny monolit, otwory, białe kule... za dużo tego wszystkiego! Nie sposób stworzyć miasto w tak dziwnej rzeczywistości.

103 683 przycupnęła w kącie, by odzyskać siły. Rozmyśla. Kiedy jej siostry usłyszą tę historię, będą zmuszone zmienić wszystkie mapy i rozważyć ponownie podstawowe zasady rządzące planetą. Chyba już czas na nią, musi wracać do Federacji.

Zwężający się korytarz z siatki musiał mieć przynajmniej dziesięć kilometrów... Zresztą, skąd to można wiedzieć... Tak czy owak musiało ich w końcu ogarnąć zmęczenie. Dotarli do wąskiego strumyka przecinającego tunel – woda była ciepła i pachniała siarką.

Daniel zatrzymał się gwałtownie. Zdawało mu się, że dostrzegł mrówkę płynącą z prądem na tratwie z liścia! Otrząsnął się – z pewnością siarkowy pył wywoływał u niego omamy...

Kilkaset metrów dalej Jason trafił stopą na coś chrzęszczącego. Oświetlił to miejsce. Szkielet klatki piersiowej! Krzyknął. Daniel i Augusta omietli wokół światłem latarki i zauważyli dwa kolejne szkielety, w tym jeden odpowiadający rozmiarom dziecka. Czy mógł to być Jonatan i jego rodzina? Ruszyli dalej, wkrótce wręcz musieli zacząć bieć: dobiegający zewsząd szelest zapowiadał zbliżające się szczury. Żółć na ścianach przechodziła w biel. Wapno. Wyczerpani dotarli nareszcie do końca tunelu i znaleźli się u stóp biegnących ku górze kręconych schodów!

Augusta wystrzeliła dwa ostatnie naboje w kierunku szczurów i wszyscy rzucili się na schody. Jason zdążył jeszcze zauważyć, że te biegną w kierunku przeciwnym niż poprzednie, a to znaczy, że wychodzi się i schodzi zawsze zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara.

Nowina wywołuje sensację. W mieście pojawiła się pewna Belokanijka. Dookoła mówi się, że to wysłana przez Federację ambasadorka, która ma oficjalnie obwieścić przyłączenie do niej Chli-pou-kan jako sześćdziesiątego piątego miasta.

Chli-pou-ni jest o wiele mniej optymistycznie nastawiona niż jej córki. Nie ufa nowo przybyłej. A jeśli to wojowniczką o zapachu skały, przysłana z Bel-o-kan w celu infiltracji miasta należącego do buntowniczej królowej?

Jaka ona jest?

Przed wszystkim zmęczona! Biegła całą drogę z Bel-o-kan, chcąc dotrzeć tu w ciągu kilku dni.

Dostrzegły ją pasterki, gdy wycieńczona błądziła po okolicy. Nic jednak do tej pory nie nadała, zaprowadzono ją od razu do sali mrówek-cystern, by mogła się posilić.

Przyprowadźcie ją tutaj, chcę z nią porozmawiać sam na sam. Niech jednak strażę czekają przed wejściem do królewskiej łoży gotowe do interwencji na mój sygnał.

Chli-pou-ni od dawna czekała na wieści ze swego rodzinnego miasta, ale teraz, gdy pojawia się jedna z belokanijskich obywaterek, pierwszym odruchem królowej jest posądzenie jej o szpiegostwo i zabicie. Zobaczy się z nią najpierw, lecz jeśli wyczuje najmniejszą cząsteczkę zapachu skały – każe ją zgładzić bez wahania.

Wprowadzają mrówkę. Rozpoznają się, rzucają ku sobie, z szeroko rozwartymi żuwaczkami i oddają się... pełnej namaszczenia trofalaksji. Wzruszenie jest tak silne, że nie są w stanie od razu rozmawiać.

Chli-pou-ni rzuca pierwszy feromon.

Jak przebiega śledztwo? Czy to termity?

103 683 opowiada o przeprawie przez Wschodnią Rzekę, o wizycie w mieście termitów i o jego zniszczeniu do ostatniego mieszkańca.

Więc kto za tym stoi?

Odpowiedzialni za te wszystkie niepojęte zdarzenia są, według wojowniczek, Strażnicy Wschodniego Krańca Świata. Stworzenia tak przedziwne, że ich nie widać i nie czuć, aż nagle pojawiają się z nieba i wszyscy wokół giną!

Chli-pou-ni słucha uważnie. Nadal jednak pozostaje niewyjaśniony element całej historii – dodaje 103 683 – a mianowicie, jaki jest związek Strażników Krańca Świata z wojowniczkami o zapachu skały?

Chli-pou-ni ma na ten temat swoje zdanie. Twierdzi, że wojowniczek o zapachu skały nie są ani szpiegami, ani najemnikami, lecz tajną grupą, która ma za zadanie czuwanie nad poziomem stresu w organizmie Miasta. Tłumią wszystkie informacje, które mogłyby je zaniepokoić.. Opowiada o zamordowaniu 327 i zamachu na nią samą.

A podziemne zapasy pożywienia? A granitowy korytarz?

Na to Chli-pou-ni nie zna odpowiedzi. Wysłała właśnie na przeszpiegi swoje emisariuszki, które będą próbowały rozwiązać te dwie zagadki.

Młoda królowa proponuje przyjaciółce zwiedzanie miasta. Po drodze wyjaśnia jej niewiarygodne możliwości, które daje woda. Wschodnia Rzeką, na przykład, zawsze uznawana była za śmiertelnie niebezpieczną, a przecież to tylko woda – królowa sama wpadła do niej i wcale nie zginęła. Być może któregoś dnia uda się spłynąć rzeką na tratwie z liści i odkryć północny kraniec świata... Chli-pou-ni jest pełna entuzjazmu: Strażnicy Północy istnieją z pewnością, może zatem udałoby się zbuntować ich przeciwko tym ze Wschodu.

103 683 zauważa od razu, że Chli-pou-ni przepelniają zuchwałe pomysły. Nie każdy z nich uda się zrealizować, lecz to, co już zostało wprowadzone w życie, wzbudza podziw: nigdy wcześniej wojownicza nie widziała równie wielkich kultur grzybów i obór, nigdy też nie widziała tratw dryfujących po podziemnych kanałach...

Najbardziej jednak zadziwia ją ostatni feromon królowej. Twierdzi ona bowiem, że jeśli jej emisariuszki nie wrócą w ciągu piętnastu dni, wypowie wojnę Bel-o-kan. Według niej, rodzinne miasto nie jest już przystosowane do obecnego świata. Sama obecność wojowniczek o zapachu skały świadczy o tym, że miasto nie stawia czoła rzeczywistości. To miasto strachliwe niczym ślimak. Dawniej było rewolucyjne, lecz teraz odchodzi w przeszłość. Ktoś musi zająć jego miejsce. Chli-pou-kan jest o wiele bardziej postępowe.

Chli-pou-ni uważa, że gdyby to ona objęła panowanie nad Federacją, postęp dokonałby się bardzo szybko. Dzięki sześćdziesięciu pięciu miastom wszystkie inicjatywy mogłyby liczyć na o wiele lepsze rezultaty. Rozmyśla już nad tym, jak podporządkować sobie bieg wody i przygotować do walki latające oddziały chrząszczy nosorożców.

103 683 waha się. Chciałaby wrócić do Bel-o-kan, by tam zdać relację ze swej wyprawy, lecz Chli-pou-ni odwołuje ją od tego zamiaru.

Bel-o-kan ma armię chroniącą je przed informacją. Nie zmuszaj go, by dowiedziało się o czymś, czego wiedzieć nie chce.

Szczyt kręconych schodów przedłużony jest aluminiowymi stopniami, które z pewnością nie powstały w okresie Odrodzenia. Kończą się przed białymi drzwiami. Kolejny napis:

Wszedłem, aż zbliżyłem się do muru, który zbudowany był z kamieni gradowych, i język ognia otaczał go. Zacząłem czuć lęk.

Wszedłem do języka ognia i zbliżyłem się do wielkiego domu, który wybudowany był z kamieni gradowych i ściana tego domu była jak mozaika zrobiona z kamieni gradowych, a jego podłoga ze śniegu.

Jego dach był jak droga gwiazd i błyski błyskawic, a wśród nich były ogniste Cherubiny i ich niebo było jak woda.

Pierwsza Księga Henocha

Popychają drzwi i wspinają się stromym korytarzem. Nagle ziemia usuwa im się spod stóp. Ruchoma podłoga! Upadek trwa tak długo, że już przestali się bać, zdaje im się, że lecą. Bo lecą! Uderzenie amortyzuje olbrzymia siatka o gęstych oczkach. Macają rękoma w ciemnościach, posuwając się na czworakach.

Wreszcie Jason Bragel natrafia na kolejne drzwi... te nie mają już kodu – otwiera się je za

pomocą zwykłej klamki. Przywołuje szeptem towarzyszy, a następnie otwiera drzwi.

STARZEC: W Afryce głośniejsz oplakuje się zmarłego starca niż śmierć noworodka. Starzec zdobył liczne doświadczenia, z których korzystać mogła reszta plemienia. Noworodek natomiast, pożywszy krótko, nie zdaje sobie nawet sprawy ze swej śmierci.

W Europie płacze się nad noworodkiem, wierząc, że z pewnością dokonałby w swym życiu wielkich czynów. Nie przywiązuje się za to wielkiej wagi do śmierci starca. Przecież już skorzystał z życia.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Pomieszczenie skąpane jest w niebieskawym świetle. To świątynia bez jednego choćby obrazu czy figury. Augusta przypomina sobie słowa profesora Leduca – w okresie najostrejszych prześladowań mieli tu schronienie protestanci.

Przepiękna, kwadratowa, rozległa komnata pod szerokimi, kamiennymi łukami. Jedynym elementem dekoracyjnym są małe, stojące pośrodku organy. Z przodu pulpit z leżącą na nim opasłą księgą.

Ściany pokryte są napisami, z których większość, nawet dla niewprawnego oka, bliższa jest czarnej niż białej magii. Leduc miał zatem rację: podziemne schronienie zajmowały kolejne sekty. Wcześniej nie było tu ani ruchomej ściany, ani kosza rybackiego, ani zapadni z siatką.

Słychać szmer przypominający ciekącą wodę. Zrazu nie zauważają, skąd dobiega. Niebieskawe światło ma swe źródło gdzieś po prawej stronie. Znajduje się tam coś w rodzaju laboratorium pełnego komputerów i próbek. Wszystkie maszyny są włączone – to z ekranów emanuje owa luna oświetlająca świątynię.

– Intrygujące, co?

Spoglądają po sobie. Żadne z nich nic nie powiedziało. U sufitu zapala się lampa. Odwracają się. W białym szlafroku zmierza ku nim Jonatan Wells. Wszedł do świątyni drzwiami po drugiej stronie laboratorium.

– Dzień dobry, babciu Augusto! Witam pana, panie Bragel i pana, panie Rosenfeld!

Wymieniona trójka stoi z rozdziawionymi ustami. Więc jednak nie zginął! Żyje tutaj! Jak można tutaj żyć? Nie wiedzą, od jakiego pytania zacząć...

– Witam w naszej małej społeczności.

– Gdzie jesteście?

– Jesteście w protestanckiej świątyni wybudowanej przez Jeana Androuet du Cerceau na początku XVII wieku. Androuet wslawił się, konstruując Pałac Sully przy ulicy Saint-Antoine, ja jednak jestem zdania, że ta podziemna świątynia jest jego największym arcydziełem. Całe

kilometry tuneli wydrążone w kamieniu. Zauważyliście, że przez całą drogę nie brakuje powietrza? Musiał pamiętać o kominach albo też udało mu się wykorzystać naturalne zbiorniki powietrza w galeriach. Trudno stwierdzić, jak właściwie tego dokonał. Ale to jeszcze nie wszystko – oprócz powietrza jest jeszcze woda. Z pewnością zauważyliście strumienie przecinające tunel w kilku miejscach. Zobaczcie, jeden z nich wylania się tutaj.

Jonatan wskazuje im miejsce, skąd dochodzi szmer – to rzeźbiona fontanna umieszczona za organami.

– Przez stulecia wiele osób znajdowało tu spokój i równowagę ducha, dzięki którym mogły pracować nad sprawami wymagającymi... jak by to dobrze ująć... dużej uwagi. Mój wuj Edmund odkrył istnienie tej kryjówki w pewnej starej księdze czarnoksiężników i tutaj właśnie pracował.

Jonatan podchodzi jeszcze bliżej. Biję od niego rzadko spotykana łagodność i rozluźnienie, czym Augusta jest wyjątkowo zaskoczona.

– Ależ wy musicie być wykończeni! Chodźcie ze mną.

Popycha drzwi, którymi wszedł przed chwilą, i prowadzi ich do pomieszczenia, wyposażonego w liczne kanapy.

– Lucie – woła. – Mamy gości!

– Lucie? Ona jest tu z tobą? – Augusta nie może pohamować radości.

– Hmm, ilu was tutaj jest? – pyta Daniel.

– Do tej pory było nas osiemnaścioro: Lucie, Nicolas, ośmiu strażaków, inspektor, pięciu żandarmów, komisarz i ja. Krótko mówiąc, wszyscy ci, którzy zadali sobie trud, żeby tu zejść. Niedługo ich zobaczycie. Wybaczcie, ale dla naszej społeczności jest teraz godzina 4 rano i wszyscy śpią. Tylko mnie obudziło wasze przyjście – potwornie hałasowaliście po korytarzach...

Pojawia się Lucie, również w szlafroku.

– Dzień dobry!

Zbliża się uśmiechnięta i całuje całą trójkę. Za nią kolejne postacie w piżamach wychylają głowy zza drzwi, chcąc zobaczyć nowo przybyłych.

Jonatan przynosi dużą karafkę wody z fontanny i szklanki.

– Zostawimy was na chwilę, musimy się ubrać i przygotować. Zawsze witamy wszystkich nowych, organizując małe przyjęcie, ale nie wiedzieliśmy, że pojawicie się w samym środku nocy... Do zobaczenia!

Augusta, Jason i Daniel stoją bez ruchu. Cała ta historia jest niesamowita. Daniel szczypie się w ramię. Auguste i Jasonowi pomysł ten wydaje się świetny, czynią więc podobnie. Ale nie, rzeczywistość wybiega czasami dalej niż sen. Patrzą po sobie, przyjemnie zdezorientowani, i uśmiechają się do siebie.

Kilka minut później wszyscy siedzą w fotelach. Augusta, Jason i Daniel otrząsnęli się nieco

z pierwszego wrażenia i umierają z ciekawości.

– Mówił pan poprzednio o kominach, czy znajdujemy się głęboko pod powierzchnią?

– Nie, najwyżej trzy lub cztery metry.

– Więc możemy wyjść na wolne powietrze?

– Nie, nie. Jean Androuet du Cerceau umieścił swoją świątynię dokładnie pod olbrzymią, płaską skałą o niewiarygodnej wytrzymałości – pod granitem!

– Został w niej jednak wywiercony otwór grubości ramienia – dodaje Lucie. – Służył on dawniej za szyb wentylacyjny.

– Służył?

– Tak, teraz wykorzystujemy go w inny sposób. Ale to nie szkodzi, są tu inne, boczne kominy wentylacyjne. Widzicie przecież, że nie dusimy się tu...

– Nie da się wyjść na zewnątrz?

– Nie, a w każdym razie nie górą.

Jason wygląda na wyraźnie zaniepokojonego.

– Ale Jonatanie, czemu zbudowałeś ruchomą ścianę, kosz rybacki, zapadnię w podłodze?... Jesteśmy tu całkowicie zablokowani!

– Właśnie to mi chodziło. Kosztowało mnie to dużo środków i wysiłku, ale było konieczne. Kiedy dotarłem po raz pierwszy do świątyni, zobaczyłem pulpit, a na nim oprócz *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* znalazłem adresowany do mnie list od mojego wuja. Oto on:

Mój drogi Jonatanie,

Zdecydowałeś się tu zejść, mimo mojego ostrzeżenia. Masz więc więcej odwagi niż się spodziewałem. Brawo. Według mnie, miałeś jedną szansę na pięć, by odnieść sukces. Twoja matka mówiła mi, że boisz się ciemności. Jeśli jesteś tutaj, oznacza to, że udało Ci się przezwyciężyć strach, a Twoja siła woli wzrosła. Będzie nam ona potrzebna.

Znajdziesz tu Encyklopedię wiedzy względnej i absolutnej, która w dniu, gdy piszę te słowa, zawiera 288 rozdziałów opisujących moje badania. Chcę, byś je kontynuował – są tego warte.

Najważniejsza część moich poszukiwań dotyczy cywilizacji m rówiek. Zresztą czytając – sam zrozumiesz. Najpierw muszę Cię jednak poprosić o coś bardzo ważnego. Nie udało mi się do tej pory zabezpieczyć mojego sekretu (gdyby było inaczej, list mój nie byłby napisany w ten sposób).

Proszę Cię zatem o skonstruowanie zabezpieczeń. Zrobiłem już kilka szkiców, myślę jednak, że uda Ci się ulepszyć moje sugestie, z uwagi na Twoje doświadczenie w tej kwestii. Cel jest prosty. Trzeba utrudnić ludziom wejście do mojego schronienia i upewnić się, że jeśli już tu dotrą, nie będą nigdy mogli zawrócić i opowiedzieć o tym, co tu znaleźli.

– Jonatan dał się wciągnąć w tę grę – wyjaśniła Lucie. – Skonstruował wszystkie zaplanowane pułapki, a wy sami mogliście się przekonać, jak funkcjonują.

– A zwłoki? Czy to ludzie zaatakowani przez szczury?

– Nie. – Jonatan uśmiechnął się. – Zapewniam was, że nikt nie zginął w podziemiach, odkąd Edmund tu się pojawił. Zwłoki, które zauważyliście po drodze, mają przynajmniej pięćdziesiąt lat. Trudno sobie wyobrazić, jakie tragedie tu się rozgrywały. Może jakaś sekta...

– Czy zatem nigdy nie wyjdziemy na powierzchnię? – zaniepokoił się Jason.

– Nigdy.

– Trzeba by wspiąć się do otworu umieszczonego przynajmniej osiem metrów nad siatką, przecisnąć się przez kosz rybacki w przeciwnym kierunku, co jest całkowicie niemożliwe, a nie posiadamy żadnego sprzętu, by go usunąć. Trzeba jeszcze przejść przez mur, a Jonatan nie przewidział systemu otwierania go od tej strony...

– Nie wspominając o szczurach...

– Jak udało ci się właściwie sprowadzić szczury tu na dół? – spytał Daniel.

– To był pomysł Edmunda. Umieścił we wgłębieniu skalnym parę *Rattus norvegicus*, wyjątkowo dużych i agresywnych, zapewniając im duży zapas pożywienia. Wiedział, że to bomba z opóźnionym zapłonem. Dobrze odżywione szczury rozmnażają się w zatrważającym tempie. Co miesiąc rodzi się sześć młodych, każde z nich jest gotowe do prokreacji już po dwóch tygodniach... Dla ochrony przed nimi używał sprayu na bazie feromonów agresji, które okazały się nie do zniesienia dla gryzoni.

– Więc to one zabiły Ouarzazate'a? – zapytała Augusta.

– Niestety tak. Jonatan nie przewidział natomiast, że szczury, które przedostaną się na drugą stronę ściany z piramidą, staną się jeszcze bardziej okrutne.

– Jeden z naszych kolegów, który panicznie bał się szczurów, oszalał, gdy jeden z tych wielkich stworów rzucił mu się do twarzy i odgryzł kawałek nosa. Od razu uciekł na górę, zanim ruchoma ściana zdążyła powrócić na swoje miejsce. Nie wiecie może, co się z nim stało? – wypytywał jeden z żandarmów.

– Słyszałam, że zwariował i zamknięto go w szpitalu – odpowiedziała Augusta – ale to nie są potwierdzone informacje.

Wstaje, by napełnić szklankę wodą, lecz spostrzega, że na stole roi się od mrówek. Wydaje z siebie okrzyk i odruchowo zmiata je wierzchem dłoni. Jonatan rzuca się ku niej i chwytają ją za nadgarstek. Jego groźne spojrzenie kontrastuje z bezgranicznym spokojem panującym w grupie do tej pory, usta wykrzywia mu ponownie grymas, z którego zdawał się już być wyleczony.

– Nigdy... więcej... tego nie rób!

Siedząc sama w łoży, Belo-kiu-kiuni pożera w roztargnieniu miot swych jajeczek – właściwie swe ulubione pożywienie. Zdaje sobie sprawę, że podająca się za 801 nie jest wcale emisariuszką nowego miasta. 56, a raczej królowa Chli-pou-ni, skoro tak chce się nazywać, wysłała ją, by kontynuowała śledztwo.

Nie musi się obawiać – jej wojowniczki o zapachu skały powinny sobie z nią bez problemu poradzić. Kulawa, na przykład, ma wyjątkowy talent do uwalniania innych od ciężaru życia – prawdziwa artystka! Chli-pou-ni już po raz czwarty jednak wysła swoje ciekawskie ambasadorki. Pierwsze zostały zabite, zanim udało im się dotrzeć do sali lomechusy. Druga i trzecia wyprawa nie oparły się substancjom halucynogennym trującym chrząszcza.

Co się tyczy 801, zdaje się, że wyruszyła do podziemi zaraz po wizycie u Matki. Ależ te mrówki spieszą się do śmierci! Za każdym razem jednak docierają coraz głębiej. A jeśli którejs z nich uda się wreszcie trafić na ślad tajemnego przejścia? A jeśli odkryje tajemnicę? A jeśli rozpuści o tym zapach?...

Federacja by nie zrozumiała. Antystresowe wojowniczki nie miałyby wielkich szans powstrzymać w porę informacji. Jak zareagowałyby córki?

Wojowniczka o zapachu skały wkracza gwałtownie do komnaty.

Szpiegowi udało się pokonać lom echusę! Jest na dole!

No właśnie, to musiało się kiedyś stać...

A liczba Bestii: sześćset sześćdziesiąt sześć. (Apokalipsa według św. Jana.) Lecz kto będzie Bestią dla kogo?

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Jonatan zwalnia uścisk. Aby nie dopuścić do krępującej ciszy, Daniel próbuje zmienić temat.

– A czemu służy laboratorium przy wejściu?

– To Kamień z Rosetty! Cały nasz wysiłek koncentruje się na dążeniu do jednego celu: porozumienia z nimi!

– Z nimi... to znaczy z kim?

– Z nimi: mrówkami. Chodźcie za mną.

Opuuszczają salon i kierują się do laboratorium. Jonatan, wyraźnie w swoim żywiole jako następca Edmunda, bierze z wyścielonego słomą pudełka probówkę wypełnioną mrówkami i podnosi ją na wysokość oczu.

– Widzicie, to są istoty. Istoty w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie są to zwykłe małe, nic

niewarte owady – i to mój wuj od razu pojął... Mrówki stanowią drugą wielką ziemską cywilizację. Edmund zaś jest jak Krzysztof Kolumb, który odkrył drugi kontynent między naszymi palcami u nóg. Jako pierwszy zrozumiał, że zanim zacznie się szukać istot pozaziemskich w dalekiej przestrzeni, należałoby najpierw porozumieć się z istotami... wewnątrzziemskimi.

Zapada cisza. Augusta przypomina sobie, że kilka dni temu przechadzając się po Lesie Fontainebleau poczuła nagle, jak pod jej podeszwą zachrzęściły maleńkie drobinki. Nadepnęła na grupę mrówek. Nachyliła się. Wszystkie nie żyły, lecz było w nich coś tajemniczego: stały w szyku, tworząc jakby odwróconą strzałkę...

Jonatan odłożył próbkę i ciągnął dalej swój wykład:

– Po powrocie z Afryki Edmund znalazł ten budynek, podziemia, aż wreszcie i świątynię. Idealne miejsce do założenia laboratorium... Pierwszy etap jego badań polegał na rozszyfrowaniu feromonów dialogu mrówek. Ta maszyna to spektrometr masowy – dzięki niemu można rozłożyć każdą materię na części, z wyszczególnieniem wszystkich tworzących ją atomów... Przeczytałem notatki wuja. Na początku umieszczał doświadczalne mrówki pod szklanym kloszem połączonym rurą ssącą ze spektrometrem. Podrzucał jednej z mrówek kawałek jabłka – ta informowała o tym napotkaną koleżankę, z pewnością mówiąc *Tu jest jabłko*. W każdym razie takie było założenie. Edmund wysłał nadane feromony, rozszyfrowywał je i otrzymywał wzór chemiczny... *Jabłko na północy* brzmi na przykład: *metyl-4 metylpirol-2 karboksyl*. Ilości są minimalne, rzędu 2 do 3 piktoqramów (10–12 g) w jednym zdaniu... Ale to wystarcza. Można w ten sposób powiedzieć *jabłko* i *na północy*. Kontynuował doświadczenie z przeróżnymi przedmiotami, kawałkami pożywienia i sytuacjami. Otrzymał dzięki temu prawdziwy słownik języka mrówczego. Po tym, jak poznał nazwy setki owoców, około trzydziestu gatunków kwiatów, dziesięciu kierunków, przyszła kolej na feromony alarmu, feromony przyjemności, sugestii, opisu. Trafił nawet na osobniki płciowe, które nauczyły go, jak wyrażać abstrakcyjne uczucia siódmego segmentu czulek... Umiejętność słuchania nie wystarczała mu. Chciał z nimi rozmawiać, nawiązać prawdziwy dialog.

– Niesamowite! – Profesor Daniel Rosenfeld nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

– Zaczął od dopasowania każdemu wzorowi chemicznemu jednego dźwięku-sylaby. Metyl-4 metylpirol-2 karboksyl wymawiać się będzie MT4MTP2CX, czyli Miticamitipidicixu. No i wreszcie zapisał w pamięci komputera: *Miticamitipidicixu = jabłko; dicixu = znajduje się na północy*. Komputer może tłumaczyć w dwie strony. Gdy otrzymuje dane *dicixu*, tłumaczy jako *znajduje się na północy*. Gdy wystuka się *znajduje się na północy*, zamienia to zdanie na *dicixu*, co powoduje wyzwolenie karboksylu przez ten oto nadajnik.

– Nadajnik?

– Tak, przez tę maszynę.

Wskazał na rodzaj biblioteczki złożonej z tysięcy małych fiolek, z których każda zakończona była rurką podłączoną do pompy elektrycznej.

– Atomy zawarte w tych fiolkach wsysane są przez pompę, a następnie przesyłane do urządzenia, które sortuje je i odmierza dokładne dawki, wskazane przez komputerowego tłumacza.

– Niewiarygodne – ciągnie Daniel Rosenfeld – po prostu niewiarygodne. Czy naprawdę udało mu się z nimi rozmawiać?

– Hmm... Najlepiej będzie, jeśli wam teraz przeczytam jego notatki zawarte w *Encyklopedii*.

FRAGMENTY ROZMOWY: Fragment pierwszej rozmowy z jedną Formica rufa typu wojownicza.

CZŁOWIEK: Odbierasz mnie?

MRÓWKA: *crrrrrrrr.*

CZŁOWIEK: Nadaję, odbierasz mnie?

MRÓWKA: *crrrrrrrrcrrrrrrcrrrrrr.* Na pomoc.

(NB: Wielokrotnie dokonywano regulacji – w szczególności, gdy emisje były zbyt silne i dusiły obiekt doświadczenia. Należy ustawić przycisk emisji na 1, przycisk regulacji odbioru z kolei musi być ustawiony na 10, by nie stracić ani jednej cząsteczki).

CZŁOWIEK: Odbierasz mnie?

MRÓWKA: Bugu.

CZŁOWIEK: Nadaję, słyszysz mnie?

MRÓWKA: Zgugnu. Na pomoc. Jestem zamknięta.

Fragment trzeciej rozmowy.

(NB: Użyte słownictwo obejmowało tym razem osiemdziesiąt słów. Emisja nadal była zbyt silna. Kolejna regulacja: przycisk musi być ustawiony na pozycji jak najbliższej zera).

MRÓWKA: Co?

CZŁOWIEK: Co mówisz?

MRÓWKA: Nic nie rozumiem. Na pomoc!

CZŁOWIEK: Mówmy wolniej!

MRÓWKA: Nadajesz zbyt silnie! Mam przepełnione czułki. Na pomoc! Jestem

zamknięta.

CZŁOWIEK: Teraz lepiej?

MRÓWKA: Nie, nie umiesz normalnie rozmawiać?

CZŁOWIEK: No więc...

MRÓWKA: Kim jesteś?

CZŁOWIEK: Jestem wielkim zwierzęciem. Nazywam się ED-MUND. Jestem CZŁOWIE-KIEM.

MRÓWKA: Co mówisz? Nic nie rozumiem. Na pomoc! Na pomoc! Jestem zamknięta!

...

(NB: W następstwie tej rozmowy obiekt zmarł w ciągu pięciu sekund. Emisje okazały się zbyt toksyczne? Obiekt przestraszył się?)

Jonatan przerwał lekturę.

– Jak widzicie, nie jest to łatwe. Zgromadzenie słownictwa nie wystarcza, by z nimi rozmawiać. Poza tym język mrówek nie funkcjonuje tak, jak nasz. Oprócz tak zwanych właściwych emisji dialogu, pozostałe jedenaście segmentów czułków również wysyła emisje. Mają one za zadanie identyfikację osobnika, jego kłopotów, jego psychiki... rodzaj globalnego umysłu niezbędnego do dobrego porozumienia między osobnikami. Z tego powodu Edmund zmuszony był zaniechać swych doświadczeń. Przeczytam wam jego notatki:

ALEŻ JESTEM GŁUPI: Ależ jestem głupi! Nawet gdyby istoty pozaziemskie istniały, nie moglibyśmy ich zrozumieć. Nasze punkty odniesienia z pewnością różniłyby się. Wyciągnięcie ręki na powitanie mogłoby oznaczać dla nich gest groźby. Nie umiemy nawet pojąć Japończyków dokonujących rytualnego samobójstwa czy też systemu hinduskich kast. Czasami nie jesteśmy w stanie porozumieć się między sobą... Jakże mogłem być tak zuchwały i wierzyć, że uda mi się zrozumieć mrówki!

801 zamiast odwłoka ma już jedynie kikut. Co prawda udało jej się na czas zabić lomechusę, lecz walka z wojowniczkami o zapachu skały w salach uprawy grzybów dała jej się we znaki. Trudno, a może tym lepiej: bez odwłoka jest o wiele lżejsza.

Zapuszcza się w przestronne przejście wydrążone w granicie. W jaki sposób mrówcze żuwaczki zdołały wykopać taki tunel? Wkrótce trafia na miejsce, o którym wspominała jej Chli-pou-ni: znajduje się w sali wypełnionej pożywieniem. Zrobiwszy w niej kilka kroków zauważa drugie wejście. Wchodzi przez nie i po chwili oczom jej ukazuje się miasto... o zapachu skały! Miasto pod Miastem.

– Więc jednak mu się nie udało?

– Rzeczywiście, długo przeżywał tę przegraną. Sądził, że nie ma na to sposobu, że został zaślepiony przez swój etnocentryzm. Wreszcie życiowe kłopoty sprawiły, że się otrząsnął. Mizantropia okazała się najlepszym motorem.

– Co się stało?

– Przypomina pan sobie, panie profesorze, mówił mi pan, że Edmund pracował w firmie o nazwie „Sweetmilk Corporation”, gdzie miał na pieńku z kolegami.

– Rzeczywiście tak było!

– Jeden z przełożonych przeszkukał jego biurko – a owym przełożonym był nie kto inny, jak Marc Leduc, brat profesora Laurenta Leduca!

– Tego entomologa?

– Tego samego.

– Niesamowite... Ten człowiek przyszedł do mnie, twierdząc, że jest przyjacielem Edmunda. Zszedł nawet na dół.

– Zszedł do piwnicy?

– Tak, ale nie obawiaj się, nie zaszedł daleko. Nie udało mu się pokonać ściany z piramidą, więc wrócił na powierzchnię.

– Mhm, przyszedł też do nas i próbował wyłudzić od Nicolasa *Encyklopedię*. No więc... Marc Leduc zauważył, że Edmund pracował zawzięcie nad szkicami maszyn (były to w rzeczywistości pierwsze projekty Kamienia z Rosetty). Udało mu się dostać do szafki w biurku Edmunda, gdzie znalazł teczkę z *Encyklopedią wiedzy względnej i absolutnej*. Zawierała projekty maszyny do komunikowania się z mrówkami. Kiedy pojął zastosowanie tego urządzenia (a notatek było tyle, że nie dało się tego nie zrozumieć), opowiedział o tym swemu bratu. Ten oczywiście okazał zainteresowanie i poprosił go o wykradzenie dokumentów... Edmund jednak zorientował się, że ktoś grzebał w jego rzeczach i chcąc uchronić się przed kolejnymi włamaniami, wpuścił do szuflady cztery osy z rodziny gąsieniczników. Kiedy Marc Leduc powrócił w swych niecznych zamiarach, został pokluty przez te owady, które mają przykry obyczaj pozostawiania swych żarłocznych larw w ciele, w którym zanurzyły żądło. Następnego dnia Edmund zauważył ślady po ukłuciach i chciał publicznie zdemaskować winnego. Znacnie dalszy ciąg historii – to on sam został przepędzony.

– A bracia Leduc?

– Marca Leduca spotkała należyta kara! Larwy gąsienicznika zżerały go od wewnątrz. Trwało to bardzo długo, podobno wiele lat. Ponieważ larwy nie były w stanie wyjść z tego olbrzymiego ciała i przeobrazić się w osy, drążyły we wszystkich kierunkach, szukając wyjścia. Ostatecznie ból okazał się do tego stopnia nie do zniesienia, że Marc rzucił się pod kolejkę metra. Przeczytałem

o tym przypadkiem w gazecie.

– A Laurent Leduc?

– Robił wszystko, by odnaleźć maszynę...

– Mówił pan, że to dodało Edmundowi energii, by powrócić do badań. Co łączy te dość dawne sprawy z jego doświadczeniami?

– Laurent Leduc skontaktował się bezpośrednio z Edmundem. Wyznał mu, że wie o urzędzeniu do rozmowy z mrówkami. Twierdził, że chciałby z nim pracować. Edmund był nawet całkiem chętny – zresztą i tak dreptał w miejscu – i liczył, że pomoc z zewnątrz może okazać się przydatna. *Nadchodzi moment, że nie można już kontynuować samodzielnie*, głosi Biblia. Edmund był gotów wprowadzić Leduca do swej kryjówki, chciał go jednak najpierw lepiej poznać. Dużo rozmawiali. Kiedy jednak Laurent zaczął wychwalać porządek i dyscyplinę panującą w mrówczej społeczności, kładąc nacisk na możliwość naśladowania ich, gdy tylko uda się nawiązać z nimi kontakt – Edmund wpadł we wściekłość. Dostał ataku szału i zakazał Leducowi pokazywać mu się na oczy.

– Phi, to mnie nie dziwi – westchnął Daniel. – Leduc należy do kliki etologistów, najgorszej, jaka istnieje wśród wyznawców szkoły niemieckiej. Chcą modyfikować ludzkość, kopiując pod wieloma względami zwyczaje zwierząt. Poczucie własności terytorium, dyscyplinę obowiązującą w mrowiskach... Jest o czym marzyć.

– Dzięki temu Edmund znalazł pretekst, by znów rzucić się w wir pracy. Miał zamiar rozmawiać z mrówkami w celach... politycznych; sądził, że funkcjonują według systemu anarchistycznego i chciał uzyskać potwierdzenie swych przypuszczeń.

– Oczywiście! – mruknął Bilsheim.

– Stało się to jego wyzwaniem. Wuj, po długich rozmyślaniach, doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem nawiązania kontaktu będzie stworzenie mrówki-roboty.

Jonatan pokazał plik kartek pokrytych rysunkami.

– Oto kilka projektów sztucznej mrówki. Edmund nazwał ją Doktorem Livingstone. Jest plastikowa. Możecie sobie wyobrazić, jak niesłychana precyzja konieczna była do stworzenia tego arcydzieła! Wszystkie stawy zostały odwzorowane i są sterowane mikroskopijnymi silniczkami elektrycznymi podłączonymi do baterii umieszczonej w odwłoku. Czułki naprawdę składają się z jedenastu segmentów zdolnych do równoczesnego nadawania jedenastu różnych feromonów!... Jedyne, co różni Doktora Livingstone'a od prawdziwej mrówki, to jedenaście rurek grubości włosa, połączonych w rodzaj pępowiny o rozmiarach sznurka.

– Niewiarygodne! Po prostu niewiarygodne! – wykrzyknął entuzjastycznie Jason.

– Ale gdzie jest teraz Doktor Livingstone? – pyta Augusta.

Wojowniczkę o zapachu skały śledzą ją. 801, uciekając, trafia nagle na szeroką galerię, pośrodku

której stoi dziwna mrówka, znacznie przekraczająca rozmiarami przeciętny okaz tego gatunku. 801 zbliża się do niej ostrożnie. Zapachy tajemniczej, samotnej mrówki są tylko w połowie prawdziwe. Jej oczy nie błyszczą, ciało wydaje się pokryte czarną farbą... Młoda Chlipoukanijka chciałaby zrozumieć, jak można być w tak małym stopniu mrówką?!

Wojowniczkii już ją jednak wytropiły. Kulawa zbliża się sama – gotowa do pojedynku. Skacze jej do czułków i zaczyna gryźć. Obie toczą się po ziemi. 801 wspomina radę Matki: *Patrz, gdzie uderza przeciwnik, często jest to właśnie jego słaby punkt...* Rzeczywiście, kulawa zaczyna więc się wściekle, gdy 801 uczepia się jej czułków – widocznie jest to jej najczulsze miejsce. 801 ucina je jednym ruchem i ucieka. Teraz pędzi jednak za nią zgraja przeszło pięćdziesięciu morderczyń.

– Chcicie wiedzieć, gdzie się znajduje Doktor Livingstone? Sprawdźcie zatem, dokąd prowadzą przewody wychodzące ze spektrometru masowego...

Zauważają rzeczywiście coś na kształt przezroczystej rurki, która biegnie wzdłuż słomianki aż do ściany, wznosi się do sufitu, wreszcie znika w wielkim drewnianym pudle zawieszonym pośrodku świątyni dokładnie nad organami. Skrzynka jest najprawdopodobniej wypełniona ziemią. Nowo przybyli wyciągają szyje, by lepiej się jej przyjrzeć.

– Twierdziłeś przecież, że nad naszymi głowami znajduje się skała nie do pokonania – zauważa Augusta.

– Tak, ale mówiłem też, że istnieje szyb wentylacyjny, którego już nie używamy...

– A nie używamy go – ciągnie dalej inspektor Bilsheim – nie dlatego, że go zatkaliśmy!

– Więc jeśli nie wy...

– ...to one!

– Mrówki?

– Właśnie! Nad tą skalną płytą mieści się gigantycznych rozmiarów miasto rudnic – wiecie, tych mrówek, które wznoszą w lasach wielkie kopuły z gałązek...

– Edmund oszacował ich liczbę na ponad dziesięć milionów!

– Dziesięć milionów? Ależ one mogłyby nas wszystkich zabić!

– Bez paniki, nie ma się czego obawiać. Po pierwsze dlatego, że one nas znają i rozmawiają z nami. A także ponieważ nie wszystkie mrówki z Miasta wiedzą o naszym istnieniu.

W chwili, gdy Jonatan wypowiadał te słowa, jedna z mrówek wypada z pudła u sufitu i ląduje na czole Lucie. Ta stara się ją zgarnąć na dłoń, lecz przerażona 801 zanurza się w gęstwinę jej rudych włosów, wślizguje na płatek ucha, zbiega następnie po karku, aż pod bluzkę, obiega piersi i pępek, galopuje po delikatnej skórze na udach, upada aż na kostkę, a stamtąd pędem pokonuje odległość dzielącą ją od ziemi.

Przez chwilę się waha... i rusza ku bocznemu szybowi wentylacyjnemu.

– Cóż jej się stało?

– Czasami nie da się ich zrozumieć. W każdym razie przyciągnął ją prąd świeżego powietrza w szybie wentylacyjnym – nie powinna mieć problemów z wydostaniem się na zewnątrz.

– Ale wyjdzie z dala od Miasta, znajdzie się daleko na wschód od Federacji, prawda?

Szpiegowi udało się zbiec! Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy zmuszone zaatakować to tak zwane sześćdziesiąte piąte miasto...

Żołnierze o zapachu skały złożyli raport z opuszczonymi wstydliwie czułkami. Po ich wyjściu Belo-kiu-kiuni przez chwilę trawi ciężką porażkę swej polityki mającej na celu utrzymanie tajemnicy. Zmęczona, wspomina początki całej historii. Jako młoda mrówka również trafiła na trop każący podejrzewać istnienie gigantycznych osobników. To było tuż po okresie godowym – na własne oczy widziała, jak czarne płyty zmiażdżyły mnóstwo zapłodnionych królowych, nie zjadając ich nawet potem. Później, gdy już założyła swoje miasto, udało jej się zorganizować spotkanie, na które stawiała się większość królowych-matek i córek. Pamiętała cały jego przebieg. Zoubi-zoubi-ni zabrała głos jako pierwsza. Opowiedziała, że wiele z wysyłanych przez nią ekspedycji trafiło na deszcz różowych kul, które spowodowały ponad setkę ofiar. Pozostałe siostry licytowały się, wyliczając zmarłych i okaleczonych w wyniku zetknięcia z różowymi kulami i czarnymi płytami.

Wiekowa Chalb-gahi-ni zauważyła, że – jak wynika ze składanych raportów – różowe kule przemieszczają się jedynie w stadach po pięć. Inna z mrówek, Roubg-fayl-ni, znalazła nieruchomą kulę mniej więcej trzysta głów pod ziemią – zakończona była miękką substancją o dość silnym zapachu. Przekłuła ją żuwaczką i odkryła wewnątrz twarde, białe pręciki... Tak jakby zwierzęta te posiadały skorupkę w środku ciała zamiast na zewnątrz.

Na zakończenie spotkania wszystkie królowe, zgodziwszy się, że tego typu zjawiska wymagają porozumienia, postanowiły zachować znane sobie informacje w całkowitej tajemnicy, by nie siać paniki w mrowiskach.

Belo-kiu-kiuni szybko wpadła na pomysł utworzenia własnej tajnej służby – komórki złożonej z pięćdziesięciu wyszkolonych wojowniczek. Ich misja polegała na eliminowaniu świadków zjawiska różowych kul i czarnych płyt, zapobiegając w ten sposób panice w Mieście.

Pewnego dnia zdarzyło się jednak coś niesamowitego. Jedna z robotnic pochodząca z nieznanego dotąd miasta została zatrzymana przez wojowniczkę o zapachu skały. Matka oszczędziła jej życie, gdyż jej opowieść była dziwniejsza niż wszystko, co można było sobie wyobrazić.

Robotnica twierdziła, iż została porwana przez różowe kule! Wrzuciły ją one do przezroczystego więzienia w towarzystwie kilkuset innych mrówek, gdzie poddawano je przeróżnym doświadczeniom. Najczęściej umieszczano je pod szklanym kloszem i sprawdzano ich reakcję na silnie skoncentrowane zapachy. Było to z początku niezwykle bolesne, lecz

zapachy rozcieńczano stopniowo, aż wreszcie zmieniły się one w słowa!

W rezultacie, za pośrednictwem zapachów i szklanych kloszy, różowe kule przemówiły – przedstawiły się jako olbrzymie zwierzęta, nazywające się ludźmi. Oświadczyli (czy też oświadczyły?), że istnieje przejście wydrążone w granicie pod Miastem i że chcieliby porozmawiać na ten temat z królową, zapewniając jednocześnie, że nie uczynią jej żadnej krzywdy.

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Belo-kiu-kiuni spotkała się z ich ambasadorką – mrówką o imieniu Dok-tor Li-ving-stone. Za ową dziwną mrówką ciągnęło się przezroczyste jelito, ale dało się z nią rozmawiać. Dyskusja trwała długo. Z początku kompletnie nie mogły się zrozumieć, obie jednak podzielały ten sam entuzjizm. Wydawało się, że mają sobie tyle do powiedzenia...

Wkrótce potem ludzie umieścili skrzynię pełną ziemi u ujścia szybu wentylacyjnego, a Matka, w tajemnicy przed innymi dziećmi, złożyła w nowym gnieździe jajeczka.

Ale Bel-o-kan Dwa stało się czymś więcej niż tylko miastem wojowniczek o zapachu skały – stało się Miastem-łącznikiem między światem mrówek a światem ludzi. Tam też na stałe zamieszkał Dok-tor Li-ving-stone (dość komiczne imię, mimo wszystko).

FRAGMENTY ROZMOWY:

Fragmenty osiemnastej rozmowy z królową Belo-kiu-kiuni:

MRÓWKA: Koło? Zadziwiająco, że nie wpadłyśmy na pomysł użycia koła. Pomysleć tylko, że patrzyłyśmy na skarabeusze toczące kule, a żadna z nas nie wymyśliła koła.

CZŁOWIEK: W jaki sposób zamierzasz wykorzystać tę informację?

MRÓWKA: Na razie nie wiem.

Fragment pięćdziesiątej szóstej rozmowy z królową Belo-kiu-kiuni:

MRÓWKA: Brzmisz smutno.

CZŁOWIEK: Pewnie moje organy zapachowe są źle wyregulowane. Odkąd dodałem możliwość wyrażania emocji, mam problemy z maszyną.

MRÓWKA: Brzmisz smutno.

CZŁOWIEK:...

MRÓWKA: Nie nadajesz?

CZŁOWIEK: To zapewne zwyczaj zbieg okoliczności, ale rzeczywiście jestem smutny.

MRÓWKA: Co się dzieje?

CZŁOWIEK: Miałem samicę. U nas samce żyją długo, więc żyje się w parach – jeden samiec dla jednej samicy. Miałem samicę i straciłem ją kilka lat temu. Kochałem ją i nie umiem o niej zapomnieć.

MRÓWKA: *Co oznacza „kochałem”?*

CZŁOWIEK: *Może to, że mieliśmy te same zapachy...*

Matka wspomina koniec *czło-wie-ka Ed-mun-da*. Nastąpiło to podczas pierwszej wojny z karłowatymi. Edmund chciał im pomóc. Wyszedł więc z podziemia. Niestety, jego doświadczenia z feromonami sprawiły, że był nimi całkowicie przesiąknięty. Nie podejrzewał, że idąc po lesie uchodzi za... mrówkę rudnicę. Gdy osy z sosny (z którymi mrówki były akurat w stanie wojny) rozpoznały jego zapachy – rzuciły się na niego i zamordowały, uważając, że jest Belokanijczykiem. Musiał być szczęśliwy, umierając. Nieco później Jonatan i jego wspólnota ponownie nawiązały kontakt.

Jonatan rozlewa jeszcze trochę pitnego miodu do szklanek nowo przybyłej trójki, która nie przestaje zarzucać go pytaniami.

– Więc Doktor Livingstone jest w stanie przekazać na górę nasze słowa?

– Tak, a nam pozwala zrozumieć ich rozmowy. Odpowiedzi pojawiają się na ekranie. Edmund rzeczywiście odniósł sukces!

– Ale o czym z nimi rozmawiał? O czym wy z nimi rozmawiacie?

– Hmm... Odkąd doświadczenie się udało, notatki Edmunda stają się nieco niejasne. Wygląda na to, że nie chciał już wszystkiego notować. Przypuszczam, że na początku opisywali się sobie nawzajem, każde z nich opisywało własny świat. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że ich miasto nazywa się Bel-o-kan i że stanowi trzon federacji złożonej z kilkuset milionów mrówek.

– Niewiarygodne!

– Następnie obie strony uznały, że jest jeszcze za wcześnie na to, żeby poinformować o wszystkim ich społeczności. Zawarli więc umowę gwarantującą zachowanie nawiązanego kontaktu w całkowitej tajemnicy.

– To dlatego Edmund tak nalegał, by Jonatan skonstruował te wszystkie gadżety – wtrąca jeden ze strażaków. – Nie chciał, żeby ludzie dowiedzieli się o wszystkim zbyt wcześnie. Z przerażeniem myślał o szkodach, które mogłaby wyrządzić telewizja, radio i prasa. Mrówki stałyby się modne! Oczami duszy widział reklamy, breloczki na klucze, podkoszulki, występy gwiazd rockowych... i wszystkie głupoty, które można zorganizować wokół takiego odkrycia.

– Ze swej strony, królowa Belo-kiu-kiuni uważała, że jej córki wkrótce zechciałyby walczyć z tymi groźnymi obcymi istotami – dodaje Lucie.

– Dwie cywilizacje jeszcze nie są gotowe, by się poznać i – przynajmniej otwarcie – by się zrozumieć... Mrówki nie są faszystkami ani anarchistkami, ani rojalistkami... Są mrówkami, a ich świat różni się od naszego. Zresztą na tym właśnie polega ich bogactwo.

Autorem tej pełnej przejęcia deklaracji jest komisarz Bilshaim; zdecydowanie bardzo się

zmienił od czasu opuszczenia powierzchni ziemi i... swojej szefowej – Solange Doumeng.

– Szkoła niemiecka i szkoła włoska są w błędzie – mówi Jonatan – gdyż próbują zrozumieć mrówki z punktu widzenia ludzkiego. Analiza ta z natury rzeczy musi być ogólnikowa. To tak jakby one chciały zrozumieć nasze życie, porównując je do swojego. Rodzaj myrmekomorfizmu, w pewnym sensie... Tymczasem każda ich najmniejsza cecha charakterystyczna jest fascynująca. Nie rozumiemy Japończyków, Tybetańczyków czy Hindusów, lecz ich kultura, muzyka i filozofia są pasjonujące, nawet zdeformowane przez nasz zachodni umysł! Przyszłość Ziemi leży w krzyżowaniu ras – to jasne!

– Ale co mrówki mogą wnieść do naszej kultury? – dziwi się Augusta.

Jonatan nie odpowiada, lecz ruchem głowy daje znak Lucie – ta znika na kilka chwil i wraca z czymś, co przypomina słoik konfitur.

– Popatrzcie na to – prawdziwy skarb! Spadź mszycy. Spróbujcie!

Augusta zanurza ostrożnie palec w słoju.

– Hmm... bardzo słodkie... ale przepyszne! Zupełnie inny smak niż miód pszczeleli.

– Widzisz! Nigdy nie zastanawiałaś się, czym się żywimy w tym podziemiu?

– Właściwie tak...

– Mrówki nas karmią swoją spadzią i mąką. Magazynują dla nas zapasy. Ale to jeszcze nie wszystko – naśladujemy ich technikę hodowli pieczarek.

Podnosi pokrywę wielkiej drewnianej skrzyni, gdzie na podłożu ze sfermentowanych liści rosną białe grzyby.

– Galin jest naszym specjalistą od grzybów.

Inspektor uśmiecha się skromnie.

– Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Ale grzyby, miód... Musi wam jednak brakować protein.

– Proteinami zajmuje się Max.

Jeden ze strażaków wskazuje palcem na sufit.

– Zbieram tam owady, które mrówki wsadzają do małego pudełka po prawej stronie skrzyni. Gotujemy je, aż oddzieli się twarde skórki – reszta wygląda i smakuje jak małe krewetki.

– Wiecie, jeśli się człowiek postara, można tu żyć w pełnym komforcie – dodaje żandarm. – Prąd produkuje minicentrala atomowa, która będzie działać jeszcze przez najbliższe pięćset lat. Edmund zainstalował ją kilka dni po swoim pojawieniu się tutaj... Powietrze dostaje się tu przez szyby wentylacyjne, pożywienia dostarczają mrówki, a my na dodatek mamy pasjonujące zajęcie. Czujemy się jak pionierzy czegoś niezwykle ważnego dla ludzkości.

– Jesteśmy tu właściwie jak kosmonauci żyjący na stałe w stacji kosmicznej, którzy od czasu do czasu rozmawiają z istotami pozaziemskimi mieszkającymi po sąsiedzku.

Wszyscy się śmieją. Ogarnia ich fala dobrego humoru. Jonatan proponuje powrót do salonu.

– Wiecie, długo szukałem sposobu na to, by moi przyjaciele mogli żyć w moim najbliższym otoczeniu. Zakładałem już wspólnoty, komuny, domy wielorodzinne... Nigdy mi się nie udało. W końcu doszedłem do wniosku, że jestem po prostu naiwnym utopistą, żeby nie powiedzieć – imbecylem. Ale tutaj... tutaj dzieją się rzeczy niesamowite. Jesteśmy zmuszeni do życia razem, do wzajemnego uzupełniania się, do wspólnego myślenia. Nie mamy wyboru: jeśli nie dojdziemy do porozumienia – umrzemy, gdyż stąd ucieczki nie ma. Tymczasem nie wiem, czy zawdzięczamy to odkryciu mojego wuja, czy też obserwowaniu zwyczajów żyjących ponad naszymi głowami mrówek – ale nasza wspólnota działa wspaniale!

– Działa nawet niezależnie od nas samych...

– Mamy czasami wrażenie, że produkujemy wspólną energię, z której każdy może do woli czerpać – bardzo dziwne uczucie.

– Słyszałem już o tym przy okazji rozmów o różokrzyżowcach i niektórych grupach masonów – mówi Jason. – Nazywają to *egregor*: duchowy kapitał stada. Zbiornik, do którego każdy przelewa swą siłę, na bazie której robi się zupę, z której każdy może potem czerpać do woli... Zazwyczaj jednak okazuje się, że jest jakiś złodziej wykorzystujący energię pozostałych.

– Tutaj nie mamy tego problemu. Kiedy żyje się małą grupką pod ziemią, nie można mieć własnych ambicji...

Cisza.

– Na dodatek rozmawiamy coraz rzadziej – nie potrzebujemy już tego, by się zrozumieć.

– Tak, dzieją się tu dziwne rzeczy. Ale nie wszystko jeszcze rozumiemy i nie wszystko kontrolujemy. Nie dotarliśmy do kresu podróży, jesteśmy dopiero w połowie drogi.

Ponownie zapada cisza.

– Krótko mówiąc, mam nadzieję, że wam się spodoba życie w naszej małej wspólnotcie...

Wyczerpana 801 dociera do swego rodzinnego miasta. Udało jej się! Udało! Chli-pou-ni przeprowadza natychmiast PA, chcąc usłyszeć, co się wydarzyło. To, czego się dowiaduje, utwierdza ją w najgorszych przecuciach dotyczących tajemnicy kryjącej się pod granitową płytą. Postanawia natychmiast zbrojnie zaatakować Bel-o-kan. Wojowniczkę szykują się przez całą noc. Wreszcie nowy latający oddział rohatyńców jest gotowy.

103 683 ma następujący plan bitwy: podczas gdy część armii walczyć będzie na froncie, dwanaście legionów otoczy po kryjomu Miasto i spróbuje zdobyć królewski pień.

WSZECHŚWIAT DAŻY: Wszechświat dąży do różnorodności. Od wodoru po hel, od helu po węgiel. Kierunek rozwoju jest coraz bardziej skomplikowany, coraz bardziej wyrafinowany.

Ze wszystkich znanych planet Ziemia jest najbardziej złożona. Strefa, w której się znajduje, sprawia, że jej temperatura może się zmieniać, pokrywają ją góry i oceany. Nawet jeśli jednak różnorodność form życia wydaje się nieskończona – dwie z nich górują nad pozostałymi i dzięki swojej inteligencji: mrowki i ludzie.

Można by pomyśleć, że Bóg wykorzystał planetę Ziemia do pewnego doświadczenia. Ustawił dwa gatunki, o całkowicie sprzecznych filozofiach, do biegu ku świadomości, chcąc zobaczyć, który z nich będzie szybszy.

Celem jest zapewne dotarcie do wspólnej świadomości planetarnej: fuzja umysłów wszystkich gatunków. Będzie to według mnie kolejny etap przygody świadomości – kolejny etap złożoności.

Tymczasem dwaj liderzy obrali równoległe drogi rozwoju:

– By stać się inteligentnym, człowiek rozwinął swój mózg do monstrualnych rozmiarów – przypomina on teraz wielki, różowy kalafior.

– Chcąc osiągnąć ten sam rezultat, mrowki wołały użyć milionów małych mózgów połączonych niezwykle sprytnymi systemami komunikacji.

Licząc ogólną wartość – tyle samo inteligencji znajduje się w mrowczych okruszynach, co w ludzkim kalafiorze. Siły są zatem równe.

Co by się jednak stało, gdyby obie formy inteligencji, zamiast rozwijać się równolegle, zaczęły współpracować?...

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Jean i Philippe uznają jedynie telewizję i ewentualnie flipery. Nawet zafundowany im niedawno sporym kosztem minigolf ich nie interesuje. Co się tyczy spacerów po lesie... Nie ma dla nich nic gorszego niż gdy opiekun zmusza ich do przewietrzenia się. W ubiegłym tygodniu co prawda nieźle się bawili, wyddbując żabom oczy, ale ta przyjemność nie trwała długo.

Dzisiaj jednak Jean znalazł zajęcie wyjątkowo godne zainteresowania. Odciąga kolegę od grupy innych sierot, zajętych zbieraniem zeschniętych liści na idiotyczne obrazki, i pokazuje mu coś na kształt cementowego stożka. Termitiera.

Natychmiast zabierają się do niszczenia jej kopniakami, lecz nic się nie dzieje – termitiera jest pusta. Philippe nachyla się i pociąga nosem.

– Wytruto je. Zobacz, jeszcze śmierdzi środkiem owadobójczym, wszystkie wyzdychały wewnątrz.

Rozczarowani, już mają dołączyć do grupy, gdy Jean zauważa na drugim brzegu małego strumyka kolejną piramidę na półukrytą pod krzakami.

Tym razem im się udało! Olbrzymie mrowisko, stożek o wysokości przynajmniej metra!

Długie kolumny mrówek wchodzi i wychodzi z niego, setki, tysiące robotnic, wojowniczek, badaczek. DDT jeszcze tu nie dotarł.

Jean aż podskakuje z radości.

– Widziałeś to?

– O nie! Chyba nie chcesz znowu żreć mrówek... Ostatnie były ohydne.

– Kto tu mówi o żarciu! Masz przed sobą miasto – to, co tu widać, jest jak Nowy Jork albo Meksyk. Pamiętasz, co mówili w programie? Wewnątrz aż roi się od istot. Popatrz na te wszystkie idiotki, które zasuwiają jak nienormalne!

– Dobra, dobra... Widziałeś, jak Nicolas w końcu zniknął przez te swoje zainteresowania mrówkami? Jestem przekonany, że w głębi tej piwnicy były mrówki i że go zeżarły. Nie mam zamiaru tutaj sterczeć. Nie podoba mi się to! Wredne mrówki. Wczoraj widziałem jedną, jak wychodziła z otworu w minigolfie – może chciały zrobić sobie tam gniazdo... Wredne, gówniane mrówy!

Jean potrząsa go za ramię.

– No właśnie! Nie cierpisz mrówek, ja zresztą też nie. Zabijemy je! Pomścimy naszego kumpla Nicolasa!

Propozycja zainteresowała Philippe'a.

– Zabić je?

– No tak! Czemu nie? Podpalmy to miasto! Wyobrażasz sobie Meksyk palący się tylko dlatego, że tak nam pasuje?

– OK, podpalimy je. Taaa... Za Nicolasa...

– Czekaj, mam lepszy pomysł: napchamy tam trutki – będziemy mieć prawdziwe sztuczne ognie.

– Super...

– Słuchaj, jest jedenasta, spotkajmy się tu dokładnie za dwie godziny. Opiekun nie będzie się czepiał, bo wszyscy będą na stolówce. Ja się postaram o środek chwastobójczy. Ty załatw pudełko zapalek – to lepsze od zapalniczki.

– Spoko!

Oddziały piechoty maszerują żwawo. Gdy inne sfederowane miasta pytają je, dokąd idą, Chlipoukanijki odpowiadają, że w zachodnim rejonie zauważono jaszczurkę i Miasto Centralne wezwało je na pomoc.

Ponad ich głowami brzęczą chrząszcze nosorożce, nieco ociężałe z powodu artylerzystek usadowionych na ich głowach.

Godzina trzynasta. W Bel-o-kan pracuje się pełną parą. Trzeba wykorzystać ciepło i umieścić

w solarium jajeczka, poczwarki i mszyce.

– Przyniosłem denaturat, żeby się jeszcze lepiej paliło – oznajmia Philippe.

– Świetnie – mówi Jean – ja kupiłem truczkę. Dwadzieścia franków za jedną dawkę, zdzierstwo!

Matka bawi się swoimi roślinami mięsożernymi. Odkąd tu są, zastanawia się, czemu nie ustawiła muru obronnego, jak zamierzała od samego początku. Potem zaczyna rozmyślać o kole. Jak wykorzystać ten genialny pomysł? Można by stworzyć wielką kulę z lepiszcza, którą popychałoby się i miażdżyło w ten sposób przeciwnika. Musi podsunąć córkom ten pomysł.

– Dobra, wszystko jest: denaturat i środek chwastobójczy.

Gdy Jean wypowiada te słowa, jedna z badaczek wspina się na niego. Maca materiał jego spodni końcami czulek.

Wyglądasz na olbrzymią żyjącą istotę, czy możesz pokazać swoje identyfikatory?

Chwyta ją i rozgniata między kciukiem a palcem wskazującym. Pfut! Żółto-czarny sok spływa mu między palcami.

– No, jedną załatwiliśmy – oznajmia. – Dobra, odsuń się! Teraz zaczną się fajerwerki!

– Będzie superwybuch! – cieszy się Philippe.

– Apokalipsa według świętego Jana! – rechoce drugi.

– Ile ich tam jest, jak myślisz?

– Pewnie miliony. Podobno w zeszłym roku mrówki zaatakowały willę w okolicy.

– Ich też pomścimy – mówi Jean. – Chodź, schowamy się za drzewem.

Matka rozmyśla o ludziach. Musi im zadać więcej pytań następnym razem. W jaki sposób oni wykorzystują koło?

Jean zapala zapalnik i rzuca ją w kierunku stożka z gałązek i igieł. Następnie zaczyna uciekać w obawie przed odpryskami.

Wreszcie armia chlipoukanijska dostrzega Miasto Centralne. Jakże jest wielkie!

Zapalnik zaczyna opadać.

Matka postanawia porozmawiać od razu. Musi im też powiedzieć, że bez problemu może zwiększyć ilość dostarczanej spadzi – tegoroczna produkcja zapowiada się wspaniale.

Zapalnik opada na gałązki.

Armia chlipoukanijska jest już wystarczająco blisko, by rozpocząć natarcie.

Jean wskazuje za wielką sosnę, gdzie kryje się już Philippe.

Zapałka nie trafia na żadne miejsce nasączone denaturatem i gaśnie.

Chłopcy wstają.

– Cholera!

– Wiem, co zrobimy. Podłożymy kawałek papieru – większy płomień dotrze w końcu do denaturatu.

– Masz jakiś papier?

– Hmm... tylko bilet z metra.

– Dawaj.

Wartownicy stojący na straży na szczycie kopuły zauważają coś dziwnego: od jakiegoś czasu niektóre dzielnice śmierdzą alkoholem, na dodatek pojawił się też wbity w czubek mrowiska kawałek żółtego drewna. Nawiazują natychmiast kontakt z jedną z komórek roboczych, by umyły gałązki nasączone alkoholem i wyciągnęły żółtą belkę.

Inna czujka podbiega pędem do drzwi numer 5.

Alarm! Alarm! Atakuje nas armia rudych mrówek!

Kartonik się pali. Chłopcy ponownie chowają się za pnem sosny.

Chlipoukanijski nacierają pędem, tak jak to robią hodowczynie niewolników.

Pierwszy wybuch. Cały stożek staje w płomieniach.

Kolejne wybuchy, odłamki.

Jean i Philippe próbują utrzymać oczy otwarte mimo rozchodzącej się fali gorąca. Są zachwyceni widowiskiem. Suche drewno szybko się zajmuje. Gdy płomień dociera do środka chwastobójczego, następuje wielka eksplozja. Detonacje, zielone, czerwone i różowe snopy iskier tryskają z „Miasta zabłąkanej mrówki”.

Armia chlipoukanijska staje jak wryta. Płomienie ogarniają najpierw solarium ze wszystkimi jajeczkami, żywym inwentarzem, a następnie całą kopułę.

Pień Zakazanego Miasta zajął się już w pierwszych chwilach katastrofy. Dozorczyńnie wyleciały w powietrze. Wojowniczkę pędzą, by uratować jedyną płodną mrówkę – królową. Niestety, jest już za późno – uduśliła się toksycznymi gazami.

Informacje alarmowe rozprzestrzeniają się bardzo szybko. Pierwsza faza alarmu:

pobudzające feromony; druga faza: słycać ponure bębnienie we wszystkich korytarzach; faza trzecia: szalałe mrówki biegają po galeriach, zarażając inne swą paniką; czwarta faza alarmu: wszystko co cenne (jajeczka, płciowe mrówki, trzoda, pożywienie) jest znoszone na najniższe poziomy mrowiska, wojowniczkami natomiast podążają w przeciwnym kierunku, by stawić czoło niebezpieczeństwu.

W kopule poszukuje się rozwiązania. Legionom artylerzystek udaje się zgasić niektóre obszary, zraszając je kwasem mrówkowym o dziesięcioprocentowym stężeniu. Zaimprovizowane brygady strażaków widząc swą skuteczność polewają teraz Zakazane Miasto – może uda im się w ten sposób uratować pień.

Ogień jednak zwycięża. Mieszkańcy duszą się w oparach trującego dymu. Kawalki rozżarzonego drewna spadają na przerażony tłum. Panczerzyki topią się i zwijają jak plastik. Nic nie oprze się atakowi potwornego żaru.

EPIZOD: Pomyliłem się. Nie jesteśmy równi, nie stanowimy konkurencji. Obecność człowieka jest zaledwie krótkim epizodem ich całkowitego panowania na Ziemi.

Są liczniejsze, nieskończenie liczniejsze od nas. Posiadają więcej miast, zajmują o wiele więcej niszy ekologicznych. Żyją na suchych, zimnych, ciepłych lub wilgotnych obszarach, gdzie jeszcze żadnemu człowiekowi nie udało się przetrwać. Gdzie tylko spojrzymy – tam są mrówki.

Były tu już sto milionów lat przed nami, i biorąc pod uwagę fakt, że okazały się jednym z nielicznych gatunków, które przetrwały wybuch bomby atomowej, będą tu żyły jeszcze kolejne sto milionów lat po nas. Jesteśmy tylko trwającym trzy miliony lat wydarzeniem w ich historii. Gdyby istoty pozaziemskie pojawiły się pewnego dnia na naszej planecie, miałyby rację, próbując nawiązać kontakt właśnie z nimi – z prawdziwymi władcami Ziemi.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej

Następnego dnia kopuła całkowicie zniknęła z powierzchni ziemi. Ogołocony, czarny pień sterczy pośrodku spalonego miasta.

Zginęło pięć milionów mieszkanki – czyli właściwie wszystkie mrówki znajdujące się w kopule i jej najbliższej okolicy. Ocalały tylko te, którym trzeźwość umysłu nakazała zejść pod ziemię.

Ludzie żyjący pod Miastem nie zauważyli niczego z powodu dzielącej ich olbrzymiej granitowej płyty. Poza tym wszystko wydarzyło się podczas jednej z ich sztucznych nocy. Śmierć Belo-kiu-kiuni stanowi największe zagrożenie – pozbawione składającej jajeczka Matki Miasto

może nie przetrwać.

Tymczasem armia chlipoukanijska również stoczyła walkę z ogniem. Gdy tylko wojowniczkę dowiadują się o śmierci Belo-kiu-kiuni, wysyłają kurierów z wiadomością do swojego Miasta. Kilka godzin później niesiona na grzbiecie rohatyńca Chli-pou-ni we własnej osobie przybywa, by obejrzeć straty.

Mrówki-strażacy jeszcze ciągle polewają popioły. Nie ma już o co walczyć. Królowa chce usłyszeć opowieść o niezrozumiałej katastrofie.

Ponieważ nie ma już innych płodnych królowych, w sposób naturalny zajmuje miejsce Belo-kiu-kiuni i wprowadza się do królewskiej komnaty.

Jonatana budzi odgłos drukarki komputera. Na ekranie pojawia się słowo.

Dlaczego?

A więc nadawały w ciągu nocy. Chcą rozmawiać. Wystukuje na klawiaturze tradycyjne zdanie, którym poprzedza każdą rozmowę.

CZŁOWIEK: Witam, jestem Jonatan.

MRÓWKA: Jestem nową Belo-kiu-kiuni. Dlaczego?

CZŁOWIEK: Nową Belo-kiu-kiuni? Gdzie jest poprzednia?

MRÓWKA: Zabiliście ją. Jestem nową Belo-kiu-kiuni. Dlaczego?

CZŁOWIEK: Co się stało?

MRÓWKA: Dlaczego?

Rozmowa zostaje przerwana.

Teraz wie już wszystko.

To oni, ludzie, są temu winni.

Matka ich знаła.

Znała ich od zawsze.

Trzymała to w sekrecie.

Rozkazała zgładzić wszystkich, którzy mogliby uchylić rąbka tajemnicy.

Była po ich stronie, a przeciwko własnym komórkom.

Nowa Belo-kiu-kiuni przygląda się swojej nieruchomej Matce. Gdy strażę przychodzą, by zabrać zwłoki, królowa otrząsa się.

Nie, nie można tak po prostu wyrzucić tego ciała.

Ogląda dawną Belo-kiu-kiuni, od której czuć już woń śmierci.

Proponuje, by skleić zniszczone członki żywicą, a ciało opróżnić z wnętrzości i wypełnić piaskiem.

Chce ją mieć w swojej komnacie.

Chli-pou-ni, nowa Belo-kiu-kiuni, gromadzi wokół siebie kilka wojowniczek. Chce odbudować Miasto Centralne w sposób bardziej nowoczesny. Sądzi, że kopuła i pień były zbyt podatne na niebezpieczeństwa. Trzeba też poszukać podziemnych strumieni i zająć się połączeniem kanałami wszystkich miast Federacji. Oswojenie wody – w tym widzi przyszłość: zapewni lepszą ochronę przed pożarami i pozwoli szybciej i bezpieczniej podróżować.

A co z ludźmi?

Odpowiada wymijająco:

Nie interesują mnie.

Wojowniczką jednak nalega:

A jeśli znów zaatakują nas ogniem?

Im silniejszy przeciwnik, tym bardziej zmusza nas do przejścia samych siebie.

A ci, którzy żyją pod wielką skałą?

Belo-kiu-kiuni nie odpowiada. Prosi, by zostawiono ją samą i odwraca się ku zwłokom dawnej królowej. Pochyla ostrożnie głowę i opiera swoje czułki o czoło Matki. Pozostaje tak długą chwilę nieruchoma, jakby pogrążona w odwiecznym PA.

KONIEC

SŁOWNIK

- Alkohol:** mrówki potrafią fermentować spadź mszyc i soki zbożowe.
- Bel-o-kan:** centralne miasto Federacji Rudych.
- Belo-kiu-kiuni:** królowa na Bel-o-kan.
- Biedronka:** drapieżnik atakujący stada mszyc; jadalna.
- Bitwa Maków:** stoczona w 100000666 roku; pierwsza bitwa federalna, w której wykorzystano broń bakteriologiczną i czołgi.
- Broń myrmeczeńska:** żuwaczki-miecze, trujące ostrza, rozpylacz kleju, pęcherz z kwasem mrówkowym, pazury.
- Chityna:** z niej zbudowany jest myrmeczeński pancerzyk.
- Chleb:** kuleczki ze zmielonego i roztartego zboża.
- Chli-pou-ni:** córka Belo-kiu-kiuni.
- Choroby:** najczęstsze choroby mrówek i przyczyny schorzeń to: *Conidium* (wywoływana przez pasożytniczego grzyba), *Aegeritella* (objawiająca się gniciem chityny), robak mózgowy (pasożyt szukający schronienia w okolicach węzłów przy przełyku), przerost gruczołów labialnych (objawiający się anormalnym puchnięciem klatki piersiowej już w stadium larwalnym), *Alternaria* (śmiercionośne spory).
- Ciemność:** mieszkanki mrowisk lubią żyć w ciemnościach.
- Ciężar:** masa ciała mrówki waha się od 1 do 150 miligramów.
- Cysterna:** zbiornik na rosę.
- Cywilizacja myrmeczeńska:** cywilizacja mrówek.
- Czerwone tkaczki:** migrujące mrówki ze Wschodu, wykorzystujące własne larwy jako czółenka tkackie.
- Czołg:** technika walki; polega na niesieniu robotnicy o wielkich żuwaczkach przez sześć małych robotnic.
- Deszcz:** zabójcza pogoda.
- Dogma królewska:** zbiór cennych informacji przekazywanych przez królowe z matki na córkę za pomocą czułków.
- Dozorczyńie:** podkasta mrówek o płaskiej okrągłej głowie; ich obowiązkiem jest blokowanie strategicznych korytarzy.
- Dwunastkowy:** myrmeczeński system liczbowy; mrówki liczą dwunastkami, jako że mają

dwanaście pazurów (po dwa na każdej nóżce).

Dynastia: sukcesja królowych-córek na jednym terytorium.

Fale: najmniejszy wspólny mianownik różnych form sygnałów emitowanych przez wszystkie istoty i obiekty ruchome.

Federacja: zgrupowanie miast tego samego gatunku. Federacja mrówki rudnicy składa się średnio z 90 gniazd na obszarze 6 hektarów i zawiera 7,5 kilometra wyznaczonych ścieżek oraz 40 kilometrów tras zapachowych.

Feromon: zdanie lub słowo w postaci płynu.

Gąsienicznik: osa składająca swe wygłodniałe jajeczka w waszym ciebie. Niebezpieczeństwo.

Gęstość występowania: w Europie szacuje się ją na 80 000 mrówek (wszystkich gatunków) na metr kwadratowy.

Głowa: myrmeceńska jednostka miary odpowiadająca 3 milimetrom.

Gruczoł Dufoura: gruczoł wydzielający feromony-ślady.

Gruczoł trucizny: pęcherz, w którym magazynuje się kwas mrówkowy; specjalne mięśnie wystrzelują go pod bardzo dużym ciśnieniem.

Guayę-Tyolot: małe, wiosenne gniazdo.

Hibernacja: głęboki sen od listopada do marca.

Hodowczynie niewolników: gatunek wojowniczek niezdolny do samodzielnego życia bez pomocy służących.

Hodowla: sztuka rozwinięta przez niektóre gatunki, mająca na celu oswojenie mszycy i koszenili i zbieranie ich wydzielin. Latem mszyca dostarcza 30 kropli spadzi na godzinę.

Identyfikator: zapach rodzinny (lub w wypadku najmników – adoptującego) gniazda.

Jajeczko: bardzo młoda mrówka.

Jaszczurka: odpowiednik smoka w cywilizacji myrmeceńskiej. Niebezpieczeństwo.

Jednodniówka: rodzaj maleńkiej ważki o rozgałęzionym ogonku; larwa żyje 3 lata, wykluty osobnik od 3 do 38 godzin. Jadalny.

Karaluch: przodek termita. Pierwszy owad na Ziemi.

Karłowate: główny wróg rudych.

Kasta: zazwyczaj rozróżnia się trzy kasty: płciowe, wojownicze i robotnice. Te dzielą się na podkasty: robotnice-rolnicze, wojownicze, artylerzystki i tak dalej.

Klimatyzacja: regulacja temperatury w wielkich miastach przez solarium, odchody, wywietrzniki umieszczone w kopule.

Komar: samce wysysają soki roślinne; nie wiadomo, czym żywią się samice. Jadalny.

Kwas indolooctowy: środek chwastobójczy.

Kwas mrówkowy: broń; najbardziej żrący kwas mrówkowy ma stężenie 40%.

Kwasoleinowy: opary wydzielane przez zwłoki mrówek.

La-chola-kan: miasto Federacji położone najdalej na zachód.

Larwa mrówki-lwa: mięsożerne ruchome piaski. Niebezpieczeństwo.

Latający posłaniec: technika karłowatych służąca do przekazywania informacji za pomocą muszek. Jadalny.

Legion: grupa żołnierzy zdolna do równoczesnego manewrowania.

Lomechusa: chrząszcz produkujący śmiertelny narkotyk. Niebezpieczeństwo.

Łoża królewska: miejsce składania jajeczek przez królową.

Ludzie: gigantyczne potwory wspomniane w niektórych współczesnych legendach; znane są przede wszystkim ich oswojone, różowe zwierzęta: palce. Niebezpieczeństwo.

Metamorfoza: przeobrażenie się w drugą formę życia popularne wśród niemal wszystkich owadów.

Mitrydatyzm: zdolność niektórych gatunków społecznych do przyzwyczajania się do śmiertelnej trucizny – kolejne jajeczka są genetycznie uodpornione na dane zagrożenie.

Modliszka: owad uwielbający kochać się i jeść bez ograniczeń. Niebezpieczeństwo.

Mrówka zamaskowana: gatunek znajdujący się na chemii organicznej.

Mszyce: inwentarz. Jadalne.

Muzyka: dźwięk lub ultradźwięk wydawany przez świerszcze i cykady pocierające swe skrzydła; mrówki-hodowczynie grzybów również potrafią produkować muzykę za pomocą odwłoka.

Najemnicy: żyjące samotnie mrówki walczące na zlecenie gniazda innego niż ich rodzinne w zamian za pożywienie i identyfikatory.

Ni: dynastia królowych belokanijskich.

Nietoperz: latający potwór żyjący w jaskiniach. Niebezpieczeństwo.

Oczy: składają się z małych fasetek umieszczonych w oku. Każda z nich zawiera dwie soczewki – wielką, zewnętrzną i małą, wewnętrzną. Każda komórka jest bezpośrednio połączona z mózgiem. Mrówki nie dostrzegają przedmiotów znajdujących się blisko, ale widzą z daleka i zauważają najmniejszy ruch.

Odchody: odchody mrówki ważą 1000 razy mniej niż ona sama.

Ogień: broń tabu.

Osy: jadowite i prymitywne kuzynki mrówek. Niebezpieczeństwo.

Pajak: potwór pożerający ofiarę po kawalku i usypiający ją między każdą kolejną amputacją. Niebezpieczeństwo.

Pływak: wodny i podwodny chrząszcz. Jadalny.

Pole widzenia: mrówki widzą wszystko jakby przez siatkę. Osobniki płciowe rozróżniają kolory, ale wszystkie odcienie dążą do ultrafioletu.

Położenie Miasta: mrówki rudnice budują swoje miasta, wysuwając największą jego część na południowy-wschód, aby uchwycić jak najwięcej słońca na początku dnia.

Porozumienie Absolutne (PA): całkowita wymiana myśli przez kontakt czułkami.

Post: w stanie hibernacji mrówka może przeżyć 6 miesięcy bez jedzenia.

Pożywienie: najczęstsza dieta rudej mrówki – 43% spadzi mszycy, 41% owadziego mięsa, 7% soków roślinnych, 5% grzybów, 4% zmiądzdzonych ziaren.

Prędkość marszu: przy 10° rudnica przemieszcza się z prędkością 18 m/h. Przy 15° – 54 m/h. Przy 20° może osiągnąć prędkość do 126 m/h.

Przyczka: trzy małe oczka ułożone w kształt trójkąta na czole płciowych, pozwalające im widzieć nawet w całkowitych ciemnościach.

Ptak: latający potwór. Niebezpieczeństwo.

Rohatyniec: chrząszcz z wielkim rogiem na czole.

Rosiczka: dzika roślina często spotykana w okolicach Bel-o-kan. Niebezpieczeństwo.

Rośliny mięsożerne: tłustosze, dzbaneczniki, rosiczki. Niebezpieczeństwo.

Rośliny trujące: zimowit jesienny, glicynia, oleander, bluszcz. Niebezpieczeństwo.

Salamandra: niebezpieczeństwo.

Samce: owady wyklute z niezapłodnionych jajeczek.

Serce: kieszenie w kształcie gruszki, włożone jedna w drugą. Serce umieszczone jest od strony grzbietu.

Shi-gae-pou: miasto mrówek karłowatych z północnego-zachodu.

Siła: ruda mrówka może ciągnąć przedmiot sześćdziesiąt razy cięższy od niej samej. Ma więc moc $3,2 \times 10^{-6}$ koni.

Stonkaziemiaczana: chrząszcz o pomarańczowych skrzydłach oznaczonych pięcioma podłużnymi czarnymi liniami. Stonka żywi się głównie ziemniakami. Sok stonki jest śmiertelną trucizną.

Stopień: jednostka czasotemperatury i czasu chronologicznego. Im jest cieplej, tym krótsze są czasostopnie; im zimniej, tym są dłuższe.

Ślimak: kopalnia protein. Jadalny.

Śmietnik: stos u wejścia do mrowiska; owady wyrzucają nań odpadki i zwłoki.

Środki chwastobójcze: kwas indolooctowy.

Świetlik: chrząszcz wydzielający fosforyzujące światło. Jadalny.

Święto Odrodzenia: lot godowy płciowych, przypadający zazwyczaj na pierwsze ciepłe dni.

Temperatura gniazda: miasto rudych jest termoregulowane – w zależności od piętra utrzymuje się tam temperaturę między 20° a 30°.

Temperatura: rude są w stanie poruszać się jedynie przy temperaturze powyżej 8°. Płciowe

budzą się czasami nieco wcześniej – przy 6°.

Termity: gatunek rywalizujący z mrówkami.

Tkanie: możliwe dzięki pewnej larwie.

Transport: aby kogoś przenieść, mrówka chwytą go żuwaczkami. Niesiony zwija się, by maksymalnie zmniejszyć tarcie o ziemię.

Trofalaksja: wśród mrówek – dar pożywienia.

Urządzenia sanitarne: zbiornik na ekskrementy.

Walka na żuwaczki: myrmecjeńska dziedzina sportu.

Wąż: niebezpieczeństwo.

Węch: bezpłciowe mają 6500 komórek sensorycznych na każdej parze czułków, płciowe natomiast 300 000.

Wiatr: odrywa od ziemi i rzuca byle gdzie.

Wiek bezpłciowych: robotnica albo wojownicza rudnica żyje zazwyczaj 3 lata.

Wiek królowej: królowa rudnica żyje średnio 15 lat.

Wielkość: rude mierzą średnio 2 głowy długości.

Wieża obronna: drugi stożek na szczycie kopuły. Wieże obronne częściej spotykamy na termitierach niż w mrowiskach.

Wojna Poziomkowa: wojna w 99999886 roku, w której wystąpiły przeciwko sobie żółte i rude mrówki.

Wole: narząd obfitości.

Wysokość: im większe zapotrzebowanie na energię słoneczną, tym wyższe gniazdo. W ciepłych regionach mrowiska są całkowicie ukryte pod ziemią.

Zakazane Miasto: forteca mieszcząca królewską komnatę. Istnieją zakazane miasta z drewna, z lepszczą lub nawet wydrążone w skale.

Ziarno: mrówki bardzo lubią elajoplast, czyli jego najbogatszą w olej cząsteczkę. Gniazdo średniej wielkości gromadzi 70 000 ziaren w ciągu jednego sezonu.

Ziemia: sześcienna planeta.

Zimno: uniwersalny w świecie owadów środek nasenny.

Zoubi-zoubi-kan: miasto na Wschodzie, wślawiło się swoją hodowlą mszyc.

Zwłoki: pusta skóra.

Żniwiarki: mrówki-rolniczki ze Wschodu.

Żuk gnojny (skarabeusz): popycha kulę. Jadalny.